

GRZEGORZ  
KALINOWSKI



**WYZWOLONY**  
**45**

NAMIĘTNOŚĆ, ZDRADA,  
BOHATERSTWO  
I KOLABORACJA  
NA ZGLISZCZACH  
ŚWIATA

GRZEGORZ  
KALINOWSKI

**WYZWOLONY**  
**45**

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Prolog. Śmierć po raz kolejny

I. Upadek

II. Nowy ład

III. Rozbitkowie

IV. Archipelag

V. Zgliszcza

VI. Przeprowadzki

VII. Skarb

VIII. Plekło i niebo

IX. Życie po życiu

Epilog

Posłowie

Przypisy

Redakcja i korekta  
*Anna Mieczkowska*

Projekt graficzny okładki  
*Mariusz Banachowicz*

Zdjęcia wykorzystane na okładce  
© *Levi Meir Clancy/Unsplash*; © *Malivan\_Iuliia/Shutterstock*

Skład i łamanie  
*Agnieszka Kielak*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2021  
© Copyright by Grzegorz Kalinowski, Warszawa 2021

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-66939-50-9



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 15 81  
[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)  
[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



*Rodzinie Rucińskich  
z podziękowaniami za pomoc okazaną  
Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy*

Polska w odróżnieniu od państw bałtyckich i Mołdawii nie została wcielona do ZSRR jako republika sowiecka. Polityczna cena takiej aneksji byłaby w wypadku Polski zbyt wysoka. Pociągnęłaby za sobą całkowite zerwanie z Zachodem, osłabienie wpływów komunistycznych w Europie Zachodniej i gdzie indziej. Potrzebny był kamuflaż i postępowanie stopniowe, a więc utrzymanie na jakiś czas pozorów niepodległości i demokracji.

JAN NOWAK-JEZIORAŃSKI

Jeszcze za Niemca można było coś zakombinować, a za Ruska nie było nic.

KRYSTYNA WLAZŁO

# PROLOG

## ŚMIERĆ PO RAZ KOLEJNY

**Sierpień 1945**  
**Warszawa**

**I**le razy można zabijać jednego człowieka? Jego zabijano już tyle razy, że wszystkich nie pamięta, a nawet nie o wszystkich wie. Bo nie sposób wiedzieć, ile bomb nie doleciało do jego schronu w piwnicy, bo pilot spudłował albo wybrał inną kamienicę; nie miał pojęcia, czemu Kurt, Hans czy inny Wolfgang ustawił celownik tak, że krowa – salwa z zapalających rakiet – zamieniła w płonące kukły nie jego, tylko sąsiadów. Wiedział za to, że uniknął śmierci na Podwalu, dlatego że nie miał czasu i chęci przebijać się przez tłum, by popatrzeć na zdobyczny czołg, odszedł w ostatniej chwili i wybuch tylko go sponiewierał. Przesłuchania, więzienne cele, obozowe baraki, kule świszczące koło ucha, egzekucje za ścianą. Kto by to zliczył tak bez kartki i ołówka! Za to dobrze pamiętał ten pierwszy raz, kiedy tonął w Wiśle. Uratował go wtedy Maniek Ciechaniak, wyciągnął go z rzecznoego wiru, choć parę chwil wcześniej Wicek Rybski, skoczywszy do wody, wykonując akrobatyczną ewolucję niczym cyrkowiec, wygrał z nim wyścig o miano króla wieczoru. Mimo to Maniek rzucił się za nim, ocalił go i zostali największymi przyjaciółmi. Jak to bywa z największymi przyjaciółmi, braćmi krwi jak z westernu albo romantycznej powieści, skończyło się na tym, że zostali śmiertelnymi wrogami. Chcieli się pozabijać,



choć najpierw Maniek jemu, a później on Mańkowi uratował życie. Podobnie było z kapitanem Portugalczykiem. A jak było z Olą? Tego nie sposób było porachować i ocenić, bo ta historia jeszcze się nie skończyła. Wiedział, jak się zaczęła. I kiedy. Czternaście lat temu na Saskiej Kępie, od walki z bandytami, walki na śmierć i życie, z której wyszli cało tylko po to, by po latach połączyła ich wojna i kolejna walka o przetrwanie. Ale ta nie trwała paru minut, tylko sześć lat. Sześć lat z ogonkiem, cholera wie jak długim, może dłuższym niż sama wojna, bo wyzwolenie nie skończy się tak szybko, jakby tego chcieli wyzwalający i wyzwoleni. Za kilka chwil on, ocalony, a później wyzwolony, dorzuci do historii nowego ładu swoją cegielkę, która w szerszym obrazie niczego nie zmieni, ale która może uratuje czyjeś życie. A czy on sam wyjdzie z tego cało? To już inna sprawa. Zabijano go już tyle razy. Pewnie w końcu komuś się uda, oczywiście miał nadzieję, że to nie będzie dzisiaj. Przeładował szmajsera, był gotów, jak najbardziej gotów na śmierć, ale bardziej na czyjaś niż swoją.

# I UPADEK

**Lipiec 1944**  
**Zamojszczyzna**

**K**apral Armii Krajowej Biały.  
Dlaczego Biały?

Bo nie Czarny.

Chciał być Czarnym, jak ten rycerz, Zawisza Czarny z Garbowa, ale nie mógł, bo pochodził z Grabowca, a nie z Garbowa, a w Grabowcu był tylko jeden Czarny – porucznik Paweł Runiewicz, syn właściciela cegielni. Konspiracja konspiracją, ale każdy znał Czarnego i wiedział, kim jest: że kieruje oddziałem partyzanckim, kompanią AK i że jest porucznikiem. Przecież w ważnych sprawach organizował zebrania, jego chłopcy mieli kwatery w okolicznych wioskach, a jeśli ktoś chciał do partyzantki, to ludzie walili prosto do niego. Biały był jednym z jego łączników, tak trochę na wariata, ot, chłopak ze wsi, który przemie meldunek albo i poda godzinę zbiórki, albo jakieś hasło. Później już był prawdziwym partyzantem, pierw strzelcem, później starszym strzelcem, a że się wyróżniał, to dostał kolejny awans i mimo że był młody, nie miał za sobą służby wojskowej ani nie walczył we wrześniu, to dochrapał się w końcu kaprała!

Wojowali więcej niż ci wrześniowi żołnierze, bez przerwy bijąc się z Niemcami i Ukraińcami. Pod koniec 1942 roku zaczęła się obrona polskich wiosek przed niemieckimi wysiedleniami i wywózką do obozów, a później poszło już na całego. Nie tylko bronili, sami też brali odwet. Płonęły wsie czarnych, czyli nie-

mieckich kolonistów, szły też z dymem ukraińskie sioła, bo Ukraińcy dołączyli się do Niemców. Wojna, tak trzeba było. Wszystko wtedy było możliwe, każdy mógł być sojusznikiem, jeśli wróg był wspólny, więc choć się wydarzył siedemnasty wrzesnia i sowiecki cios w plecy, wywózki oraz Katyń, to jednak gdy trzeba było, schodzili się z ruskimi partyzantami. Sowietci nie chcieli się z nimi strzelać, szli na Germańców, tak mówili. Aż w kwietniu 1944 roku pojawiła się ich cała armia. Z pół tysiąca ludzi przekroczyło Bug, nazywali się Zgrupowanie imienia Aleksandra Newskiego. Obie strony szybko się dogadały, ustaliły, co i jak i radzieccy partyzanci dostali od AK nie tylko wolną drogę, lecz także przewodników. Nie czekali na swoich, tylko ruszyli dalej, aż pod Trzuszczanem chcieli ich zatrzymać Niemcy. A właściwie wziąć w kleszcze, bo zaatakowali Ruskich od strony Drogojówki. Dwa dni się bili, a do bitwy dołączyli się chłopcy od Poleszuka i Żbika<sup>[1]</sup>. Niemcy dostali w skórę, bo Ruscy byli dobrze zorganizowani, zaminowali podejście na swoje pozycje i w powietrze wyleciało kilka niemieckich samochodów. W końcu musieli się jednak wycofać, bo hitlerowcy ściągali coraz większe posiłki, a do tego ponieśli straty, byli ranni i zabici. Tych lżej rannych opatrzyli, ale dziewięciu ludzi było w ciężkim stanie i wymagało leczenia. I ci właśnie trafili do nich, do Siedliska pod Grabowcem. Przywieźli ich na furmankach, w eskorcie czterdziestu piechurów. Było uroczyście i wzruszająco, z muzyką, biesiadą i zapewnieniami o przyjaźni. Ruski *kamandir* major Karasiow mówił o braterstwie broni i pięknie się odwdzieczył za opiekę nad swoimi chłopcami, bo sprezentował czternaście zwykłych i dwa karabiny maszynowe. I pistolety dał, granatów dołożył i amunicji pełne skrzynie, a jakby tego było mało, to jeszcze parę kilogramów trotylu akowcom zostawił. Wyściskali się, pożegnali, a z tych dziewięciu nieboraków udało się uratować ośmiu, choć jednemu nogę powyżej kolana musiał doktor ciachnąć, ale fachowo, jak należy, to zrobił, bo radziecki party-

zant przeżył. Karmili ich, aplikowali lekarstwa, dbali jak o synów i braci, więc szybko doszli do siebie i sześcioro dołączyło do swoich. Dwóch tylko, Artiom i Alosza, który złapał zapalenie płuc, zostało do przyścia Armii Czerwonej. Gdy weszli Sowieci, to zdawało się, że wyzwolenie i koniec wojny. A kiedy przyszły regularne oddziały, to były braterstwo i radość, jak z tymi partyzantami od majora Karasiowa. Przywitali się wylewnie, po słowiańsku, ale ta przyjaźń trwała krótko, bo zaraz nadciągnęło NKWD. I braterstwo zastąpiły wycelowane lufy mosinów, pepesz i naganów. Kazali broń oddawać.

Biały nie oddał, uciekł. Bo przecież z Niemcami mieli się bić, nie można kończyć tak w pół drogi. Jak koniec wojny, skoro Niemcy jeszcze w Warszawie, skoro Berlin nie został zdobyty?

Biały zamelinował się gdzieś między Zamościem a Hrubieszowem. Spotkał takich jak on. Niektórzy byli rozbrojeni, ale na niby. Broń zakopana, schowana, zabezpieczona. Przyszedł rozkaz, że kto może, ten idzie na Warszawę, bo tam powstanie. Szykowali się, że trzeba będzie tam po partyzancku pójść, lasami, polami, nocą, między ruskimi oddziałami. Z Niemcami i Ukraińcami tak tańczyli, więc i teraz dadzą radę.

Zeszli się na rozkaz komendanta Stera<sup>[2]</sup> dziesiątego sierpnia w Ornatowicach. Trzy tysiące ludzi! Sowieci o tym wiedzieli. Przybyli z Hrubieszowa pułkownik wojska i major NKWD. Powiedzieli, że skoro idą na Niemca, na pomoc Warszawie, to im pomogą. Powiedzieli, że nie mają się co kryć z bronią, że *wsio w pariadkie*, że nie tylko oddadzą im, co wcześniej zabrali, ale też dozbroją. „Nie macie broni ciężkiej, amunicji u was mało, więc dostaniecie co trzeba, taczanki, granaty i amunicję, a do naszych linii, na front dostaniecie podwózkę ciężarówkami” – mówili jak sojusznicy. Jak im nie wierzyć, skoro cel ten sam był: wyzwolić Polskę, pogonić Niemców do Berlina, złapać Hitlera. No i umowa była uroczyście, a major NKWD dał *czestnoje słowo*

*sowieckiego oficera*. Słowo honoru to słowo honoru, w dodatku oficerskie. Ten i ów mówił, że już wcześniej różne rzeczy obiecywali, że jak się spotkali z jednym oddziałem, z którym rozwalali Niemców, to dowódca ruski swój medal polskiemu dał. Od munduru go sobie odpiął! A dwa dni później ten sam dowódca przyszedł z oddziałem, otoczył i kazał oddać broń. Byli więc czujni i w napięciu czekali na szesnasty sierpnia. Bo na ten dzień umówili się z radzieckim oficerem w Hrubieszowie. Tam miały czekać na nich broń i transport.

Mijał dzień za dniem, ale nic się nie działo. Nic, kompletnie nic poza tym, że co rusz kolejni polscy partyzanci się pojawiali. Ściągali chłopcy z terenu, z powiatu hrubieszowskiego i z odleglejszych stron. Wielkie poruszenie się zrobiło i nawet tacy, którzy się wcześniej migali, przyszli, na ochotnika się zgłosili. We wsiach, miasteczkach i w samym Hrubieszowie kobiety naprawiały mundury, szyły furażerki. Mieli się wyszykować, żeby po wojskowemu dumnie wejść do powiatowego miasta, żeby nacieszyć mieszkańców widokiem polskiego wojska i pokazać Rosjanom, co znaczy polski żołnierz. „Skoro nic nie zrobili, to już nie zrobią” – mówili jedni. „To podstępni bolszewicy” – mówili drudzy i spali, nie wypuszczając broni z rąk.

Aż nadszedł szesnasty sierpnia i ruszyli marszową kolumną do Hrubieszowa. W końcu się policzyli, zobaczyli, ilu ich jest, i od razu zrobiło się lepiej. Biła od partyzanckiej braci jakaś siła, były w nich niespotykana energia i entuzjazm, moc jakiej jeszcze nigdy nie czuli, bo wiedzieli, że całe miasto na nich czeka, że będzie to defilada wyzwolenia i zarazem pożegnania, bo prosto z Hrubieszowa mieli ruszyć na Warszawę. Pięć godzin marszu, ale nogi same niosły, bo w mijanych wioskach machano do nich i oklaskiwano ich. Pięknie to wyglądało, a na czele szedł mały dobosz, który wybijał rytm, waląc w bęben. Pochód zbliżał się do celu z każdą minutą, dystans topniał w oczach, ale w po-

łowie drogi, jakieś dziesięć kilometrów przed Hrubieszowem stanęli, bo pojawił się na drodze sowiecki patrol – dwa łaziki z oficerami, którzy powiedzieli, że kolumna ma się skierować na Obrowiec, a dowódcy mają się do nich dosiąść i pojechać na spotkanie w hrubieszowskim magistracie, bo coś jeszcze do ustalenia zostało. Ale co tu ustalać, skoro wszystko było jasne? Mieli wejść do miasta, tam dostać broń i amunicję, wsiąść na ciężarówkę i ruszyć na Warszawę! Dwa dni i będą w stolicy, która wciąż walczyła i potrzebowała ich pomocy, więc co tu jeszcze uzgadniać i ustalać? Nieufni zaczęli szemrać. I nie tylko nieufni. Wszyscy. Coś tu było nie w porządku, nie tak się przecież umawiali. *Czestnoje słowo sowieckiego oficera, to czestnoje słowo*, a w umowie nie było żadnej filozofii. Zastanawiano się, wahano, oficerowie wazyli słowa i decyzje. Od strony Hrubieszowa nadjechał motor, a na nim mężczyzna i kobieta, najwyraźniej znani partyzanckim dowódcem, bo się przywitali jak starzy znajomi. Okazało się, że to też akowcy, przyjechali z Hrubieszowa i nie mieli żadnych wątpliwości, co się kroi. Zaklinali ich, żeby pod żadnym pozorem nie wchodzili do miasta, nawet się do niego nie zbliżali, bo otoczone jest kordonem sowieckich wojsk, stało się jasne, że nie pójdą na odsiecz Warszawie, że chłopaki z Zamojszczyzny nie pomogą powstańcom, że Warszawa będzie musiała dać sobie radę bez nich, bo oni co najwyżej będą się bić już tylko o to, by przeżyć do następnego dnia.

Na więcej nie mogli liczyć, bo w Hrubieszowie Ruscy rozgonili ludzi, którzy przyszykowali się na defiladę, i powiedzieli, że to nie AK, ale UPA nadciąga, więc ściągnęli duże siły, żeby obronić miasto. Że nie ma żartów, że banderowcy szykują rzeź, że będzie walka i że muszą się pochować w domach. Posłano więc konny zwiad. Nie wprost, ale zgodnie z instrukcjami dwójki motocyklistów na około, łąkami, przez Sławęcín. Konni wrócili i powiedzieli, że na wejściu do miasta są czołgi oraz stanowiska cekaemów. Kapitan Azja<sup>[3]</sup> zarządził odwrót, ale nie wszyscy

poszli za nim. Rozproszyli się, a grupa kapitana Wygi<sup>[4]</sup> miała pójść tak, jak tego chcieli Sowieci, do Obrowca. W ten sposób mieli spowolnić pogoń, która na pewno już się zaczęła, skoro oficerowie nie chcieli opuścić swoich ludzi i pojechać na radę. Biały trafił do oddziału Wygi i ruszył na spotkanie z Sowiecami. Z daleka widzieli kolumnę pancerną i kawalerię, która podążała w ślad za ludźmi Azji. W Obrowcu też się pojawili i też z czołgami i kawalerią. Kapitan Wyga kazał im stanąć z bronią u nogi, żeby pokazać im, że nie chcieli się bić. Że umowa była o tym, że im pomogą pójść na Warszawę! Sowieci się zbliżali. Dwa czołgi jadące na czele ich kolumny nie zwalniały i w końcu stało się jasne, że chcą ich rozjechać. Rozpierzchli się więc, lecz nie wszyscy zdążyli. Mucha<sup>[5]</sup> wpadł pod gąsienice i zginął na miejscu, inni skryli się w lesie, Ruscy sypnęli z działek, kaemów i karabinów, któryś z akowców odpalił rusznicę przeciwpancerną i trafił w jeden z czołgów, drugi się wycofał, ale zaszarżowała kawaleria. Poszli w zupełną rozsypkę, idąc przez lasy, chroniąc się po wsiach. A Sowieci szli i czesali, zabijali, aresztowali i gwałcili sanitariuszki. Po pewnym czasie łączyli się znów w oddziały, wymieniali informacje, liczyli straty. Ponad stu zabitych i aresztowanych, kilka dziewczyn pobitych i zgwałconych, nikt nie wiedział, co się stało z małym dobozem, który był z nimi. Martwili się o chłopca, zastanawiali się, co się z nim stało, czy nie wpadł pod czołg, czy nie stratowali go bolszewiccy kozacy. Biały wiedział, że ten chłopak nazywa się Rysio, i też się przejmował jego losem, i też myślał o chłopaczynie, który wybił im marszowy rytm. I w końcu się dowiedział. W wiosce, w której się ukrywał, zrobiono obławę. Ustawiono wszystkich w szeregu i kazano czekać. W końcu przyjechał gazik i oprócz kierowcy i oficera oraz żołnierza z obstawy był w nim Rysio. Zdrowy, czysty, uczesany, widać, że odkarmiony i zadbany. I w ruskim mundurze...

Rysio ruszył z oficerem w obstawie dwóch żołdatów i zaczął wskazywać partyzantów. Biały miał nadzieję, że może go przeoczyć, bo przecież nie sposób znać wszystkich. On sam niedawno się dowiedział, że ten mały dobosz ma na imię Rysio! A Rysio wybierał, ale jednego z chłopaków minął i kolejnego też, więc Biały uwierzył, że może się udać. W końcu Rysio, jakby się znudził tą całą robotą, stracił entuzjizm i poleciał w kierunku sowieckiego oficera.

– *Konfiety! Daj, dziadzia, konfiety, no daj!* – krzyknął, a oficer uśmiechnął się szeroko i wyciągnął z kieszeni munduru pudełko z landrynkami.

Kapral Biały odetchnął z ulgą.

## **1 października 1944** **Warszawa, Śródmieście**

Wciąż było ciemno, ale zaraz wstanie słońce i rozpocznie się sześćdziesiąty drugi dzień powstania, które jeszcze jakimś cudem i nadludzkim wysiłkiem tliło się mimo przytłaczającej przewagi Niemców, pożarów, przepełnionych szpitali, braku medykamentów, jedzenia i przede wszystkim amunicji.

Ile to jeszcze potrwa? To było pytanie, które dręczyło cywili, lekarzy i dowódców, ale nie żołnierzy takich jak strzelec Kredka. On był w amoku, jak w transie, w który wpadł jakiś czas temu. Co cię nie zabije, to cię wzmocni. Jego o mało nie zabiło, za to bardzo wzmocniło, wrzuciło na tory, którymi jechał przed siebie jak pociąg, który gna, a którego maszynista nie wie, jaka będzie stacja końcowa. Edek Kredka tkwił na placu Napoleona, w czymś, co kiedyś było elegancką kamienicą, a teraz – ruiną w gruzowisku, które nie przypominało jednego z najelegantszych miejsc Warszawy. O tym, że to plac Napoleona przypominał tylko szkielet Prudentialu. Mimo że warszawski dra-



pacz chmur oberwał potężnym pociskiem z działa kolejowego, nadal się trzymał i zdawał się rysować niebo. Kredka chciał się znaleźć na najwyższych piętrach tego gmachu i popatrzeć z góry na Warszawę, ale nie było mu to dane, podobnie jak lot samolotem, o którym marzył. Był daleki od tego, by spoglądać na cokolwiek z góry, bo leżał pod żelbetowym kawałkiem ściany, przysypanym cegłami. To była doskonała pozycja, bo nie dość, że chroniła przed ostrzałem, to na dodatek Niemcy nie mogli się spodziewać, że ktoś tam może być. Od ich strony wyglądało to jak kupa gruzów, pod którą mogły się znajdować tylko zwłoki powstańców i cywilów. Wczołgał się tam, przecisnął, zrobił stanowisko strzeleckie i czekał na dogodny moment. Jeśli się ruszą ze swoich pozycji, upoluje ich jak kaczki. Nigdy nie polował na kaczki, ale tak się mówiło. W ogóle nigdy na nic nie polował, nawet z procą na gołębie, dopiero dwa miesiące temu zaczął polować na ludzi. Może kogoś zabił, ale nie miał pewności. Na pewno miał dziewiętnaście lat, był starszym strzelcem, i pewnie dostanie kaprała. Szybka kariera, bo w kilka dni powstania nauczył się więcej niż na wszystkich konspiracyjnych zajęciach wojskowych. Teraz był już weteranem, który walczył w Śródmieściu od samego początku powstania, wiedział, co i jak, więc pewnie gdyby był starszy, to już by mu dali kaprała. Chciałby jeszcze tego Niemca dorwać, esesmana, który prowadził publiczną egzekucję na Woli, zemścić się na gadzie, który po salwie podszedł do rannych i dobijał ich strzałem w głowę. Miał skurwysyn zadowoloną minę. Kredka zapamiętał tę twarz i będzie pamiętał do końca swoich dni, i nawet gdyby miał to przypłacić życiem, toby wystrzelił w tę uśmiechniętą mordę.

Nagle podniosły się jakieś krzyki i wrzaski, jakiś komunikat poleciał po ich linii, od stanowiska do stanowiska, jak po drucie telefonicznym, ale co dokładnie krzyczeli, tego nie słyszał. Coś o strzelaniu, chyba chodziło o to, że Niemcy idą. Ale skoro idą, to zaraz powinni do nich strzelać, obłożyć ogniem! Granatniki, se-

rie z cekaemów, może nawet miotacze ognia. A tu nic! To nie noc, żeby tak próbowali bez żadnego przygotowania. Wsłuchiwał się w odgłosy, ale nic nie potrafił wyłowić, był tylko pewien, że nikt nie strzela. Przeładował broń i wycelował. W samą porę, w celowniku pojawił się Niemiec. Szedł na bezczela z opuszczonym automatem. Wszedł na kupę gruzów i już był jego! Kredka wystrzelił, ale chybił, a szkop zeskoczył na dół, kula tylko świsnęła nad nim, tworząc obłoczek kurzu. Nagle ktoś w biało-czerwonej opasce wszedł mu w linię strzału, darł się i machał w jego kierunku, pojawiły się białe flagi. Nic z tego nie zrozumiał. Po chwili do jego stanowiska dopadł oficer.

– Strzelec Kredka, nie wiesz, że jest rozejm, nie słyszysz, co się do ciebie mówi?! – Jeszcze nikt nigdy się tak na niego nie darł. Twarz porucznika była wykrzywiona z gniewu. – Nie słyszysz? – powtórzył.

Nie słyszał. Po wybuchu pocisku w pobliżu jego stanowiska kilka dni temu stracił nie tylko przytomność, lecz także słuch, miał poranione palce i bark, zasypał go gruz. Wygrzebali go, zanieśli do szpitala polowego, który mieścił się w dawnym hotelu Terminus. Nie pasował do tego miejsca, w którym leżeli ludzie bez rąk i nóg, popaleni miotaczami ognia, wybuchami krów, które popieliły wszystko, co było w ich zasięgu. A on co? Że film mu się urwał, że trochę nie słyszał, że odłamków z niego parę wyjęli? No i że gorączkę miał?! No miał, ale ilu chłopaków było w gorszym stanie, a walczyli na pierwszej linii. Lekarka, doktor Krzyżanowska, uznała, że za młody jest, że organizm musi wypocząć, zagoić się muszą rany, gorączka musi spaść. Więc jak trochę spadła i się poczuł trochę lepiej, to od razu dał nogę ze szpitala. Nieco felernie mu poszło to dawanie nogi – bujnęło go raz i drugi, bo niewiele słyszał, ale to przecież drobiazgi, kiedy jego kompania walczy i go potrzebuje.

– Głuchy jesteś, nie słyszałeś? – ryknął znowu porucznik, po czym popatrzył na niego i sobie przypomniał. – No tak, głuchy i ranny. W szpitalu miałeś być, wracaj tam natychmiast, niewiele brakowało, a byś narobił niezłego bigosu! Nie wiadomo, czy zawieszenia broni by szlag nie trafił.

Porucznik nawrzucał mu przy chłopakach i jak szczeniakowi jakiemuś kazał się wynieść do szpitala. Więc wrócił, a co miał robić? W szpitalu dostał gorączki, ale i odzyskiwał słuch. Zwłaszcza nocą, kiedy skończyło się zawieszenie broni. Niemcy o dwudziestej, równo z opadnięciem wskazówki sekundnika odpalili najcięższy ostrzał, na jaki ich było stać, jakby chcieli pokazać, jaka jest różnica między kilkunastoma godzinami zawieszenia broni a wojną prowadzoną tak na całego, na cztery fajerki, na pełen gaz. Pewnie byli wściekli, że tylko kilka tysięcy cywilów skorzystało z ogniowej ciszy i wyszło z miasta, dokręcili więc śrubę, żeby przyśpieszyć negocjacje. I udało im się – drugiego października ogłoszono kapitulację.

Kredka dowiedział się wtedy, że zaczęło się wychodzenie z miasta, ale że szpitale zostają aż do czasu zorganizowania transportu.

Inne chłopaki z Kilińskiego weszły do batalionu osłonowego, który ochraniał ewakuację z miasta. Mieli broń, specjalne papiery i chodzili na patrole, a on tylko pomagał jako sanitariusz. Też dostał specjalną kartę ze szwabską pieczętą, ale na wyposażeniu tylko opaskę sanitariusza i chlebak z medykamentami. Oficjalnie to miał tylko zestaw łapiducha, a nieoficjalnie pistolet i nóż.

Dziwne to wszystko było. Kilka dni temu strzelali do siebie. Gdyby się spotkali twarzą w twarz, to nie byłoby przebaczenia. Tamci brali akowców do niewoli, tylko jeśli wyraźnie chciał tego oficer, oni zaś rozwalali każdego z SS i sił policyjnych. Chyba że potrzebowali języka. A teraz siedzieli w czymś w ro-

dzaju kantyny, przy jednym stole, przy kubku herbaty, jakimś ochłapie i wódce. Pili, jedli, palili, czasem nawet rozmawiali. Jak gdyby nigdy nic. Jakby nie było ponad dwóch miesięcy jatki, pacyfikacji Woli i Starówki, mordów na Powiślu. Tamci przestali być zwierzętami, wrócili do ludzkiej postaci, jakby byli doktorem Jekylllem i panem Hyde'em. To trwało do momentu, w którym pojawili się Ukraińcy. Andryj, chłopak w mundurze z dystynkcjami Sturmmana, niczym się nie wyróżniał, ale gdy popił, stawał się elektryczny.

– *Riezat Lachy!* Jak szliśmy, to tak krzyczeliśmy, był strach, co?

– Andryj dość sprawnie składał zdania po polsku, miał tylko silny akcent.

Nikt mu nie odpowiedział, ale Edek odbezpieczył broń. Miał wrażenie, że nie on jeden.

– Baliście się, co? – Andryj wyszczerzył zęby.

– *Spokijnyj!* – warknął ukraiński Rottenführer i dał ręką znać, że to już koniec, że muszą iść. Trzej szeregowcy wstali od stołu, a Rottenführer wziął Andryja za ramię. Wychodząc, pijany Ukrainiec przytrzymał się ramy drzwi i uśmiechnął się krzywo. Edek poczuł, że jeszcze będą z nim kłopoty.

Kilka godzin później patrolował piwnice, szukając zagubionych i rannych, wtedy usłyszał wybuch. Taki stłumiony, nie jak od granatu czy miny. Paf, paf, paf – rozlegało się od strony Koszykowej. Co kilkanaście, kilkadziesiąt sekund słychać było te stłumione odgłosy. Ruszył w tym kierunku, nie czekając na nikogo. Spotkał patrol chłopaków z Kilińskiego, szli we trójkę.

– Dokąd idziesz? – zapytał go sierżant prowadzący patrol.

– Coś tam wybuchło! – Wyjrzał za róg i zobaczył płomienie wydobywające się z parterów kamienic. – Co się dzieje?! – krzyknął.

– Niemcy idą z miotaczami i podpalają sklepy – wyjaśnił sierżant, zatrzymując go w miejscu. Mówił to, jakby to było coś

oczywistego: idą sobie szkopy i palą sklepy!

– Jak to...? – Nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje i co słyszy, w ten spokój sierżanta.

– Tak to. Chcesz zerwać rozejm?

Chciał, ale nie mógł. Nerwowo zacisnął rękę na schowanym w chlebaku pistolecie i odwrócił się, żeby nie patrzeć na to, co robią Niemcy. Jesliby próbowali powstrzymać tych, którzy teraz palą sklepy, rozpętaliby piekło, które mogłoby się skończyć nie tylko ich śmiercią, lecz także rozwałką cywilów, którzy jeszcze wychodzili z miasta. Głównie kobiety i dzieci, starsi mężczyźni, objuczeni tym, co się dało uratować, kołdrami, tobołkami i workami, popychając albo ciągnąc wózki, często dziecięce, które służyły teraz za wehikuły do przewozu tego, co stało się całym dobytkiem. Przejmujący tragiczny obraz, ale mocniej uderzyło Kredkę to, w czym uczestniczył poprzedniego dnia.

Brał udział w wyprowadzaniu dzieci z Instytutu Głuchoniemych. Szły przez plac Trzech Krzyży w milczeniu, tak jak w milczeniu znosiły piekło ostatnich dwóch miesięcy. On nieraz krzyczał, ze strachu, z bólu, ze zwątpienia, żalu i by ostrzec kolegów, a te dzieciaki wszystko na niemo i na migi. Wyobraził sobie dziecięcą kolumnę, bo pewnie jeszcze były jakieś dzieciaki po ruinach, która w razie zerwania rozejmu znalazłaby się w pobliżu bandytów w niemieckich mundurach, jak by to ośmieliło Ukraińców, Rosjan i żandarmów do ataku na szpitale. Wyobrażał sobie, jak Andryj wpada do Terminusa, drze się *riezat Lachy*, potem rzuca granat, chowa się za drzwi, a później wraca i do tych, którzy przeżyli, wali z automatu.

Byłaby rzeź. A przecież niedługo wyjdą z Warszawy i wtedy Niemcy i tak będą robić to, co tylko będą chcieli. Teraz już wiadomo, co będą chcieli zrobić, zresztą pokazali, na co ich stać po pacyfikacji getta. Nie tylko zdusili powstanie, ale też podpalili, co się dało. Wolał teraz o tym nie myśleć, najchętniej napiłby się

wódki, zupełnie niespodziewanie przyszła mu na to ochota. Ale nie napije się, bo służba była odpowiedzialna, dowódcy by się wściekli. Zresztą choć nie był trunkowy – a może właśnie dlatego, że nie był – to zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje z człowiekiem pod gazem. Łatwiej zaprosić do tańca dziewczynę, łatwiej się o nią pobić, łatwiej wyciągnąć broń i pociągnąć za cyngiel.

Nigdy wcześniej nie było na kwaterze tak ciężko jak tej nocy. Nie mógł zasnąć. Pamiętał pijanego Ukraińca, którego odciągał przełożony i koledzy, pamiętał płonące sklepy. Nie wiedział, że każdy z dwóch ostatnich dni będzie jeszcze cięższy od tego, który nie dawał mu spokoju.

## **2 października 1944**

### **Warszawa, Śródmieście**

Mieli nie iść, ale poszli. Dosłownie dwa kroki dalej, ze Złotej na Sienną, tuż obok. Poszli, bo Niemcy byli tacy dokładni, skrupulatni, poszli, bo założyli opaski z gwiazdą Dawida. A jak już założyli, to zostali naznaczeni. Pierwszego grudnia 1939 roku trzeba było to zrobić, ale się ociągali. Wtedy jeden z sąsiadów, Oszczyk, zwrócił im uwagę, jakby chodziło o nanoszenie błota na klatkę schodową albo nocne hałasy w kamienicy.

– Panie doktorze, a pan bez opaski! – zaczął bez zbędnych wstępów. – I pani doktorowa także, a jakże to tak? Przecież jeśli są przepisy, to trzeba się ich trzymać, przestrzegać. Bo co by było, gdyby tak wszyscy zaczęli lekceważyć przepisy?

To był taki, zdawało się, miły człowiek, choć może nieco zasadniczy. A teraz zrobił się jeszcze bardziej zasadniczy, choć zachowujący pozory, jakby był tym wszystkim zatroskany. A potem mówił jeszcze, że nikt tu nie chce żadnych kłopotów, że jego polityka nie interesuje, ale skoro władze tak mówią, to cze-

muś to służy, że skoro kazali nosić opaski z gwiazdą Dawida, to nosić trzeba. Gdyby kazali nosić biało-czerwone, to on by chętnie nosił. Z kolei inżynier Romanowski, ten który miał syna w ONR, nie mówił nic. Nic a nic i dopiero po zamieszkach wielkanocnych zapukał do drzwi i powiedział, że mu przykro, że wstyd. Że jego syn robił to, co robił, ale na pewno teraz by się inaczej zachowywał, bo to już nie jest polityka, że sprawy zaszły za daleko. Może i tak by było, kto wie, ale Wacek Romanowski nie wrócił z wojny. Ważne, że jego ojciec miły był, zaskoczył ich i nawet później na swój sposób pomógł. Przede wszystkim nie mówił jak Oszczyk, że bezpieczniej im będzie we własnej dzielnicy. Inni sąsiedzi nie mówili wprost, niektórzy unikali jakichkolwiek tematów, pozostali szeptali, jedni zdawali się współczuć, inni byli obojętni, jeszcze inni nie afiszowali się z wrogością. A może trzeba było zdjąć opaski, rzucić wszystko, wsiąść do rikszy i pojechać w inne miejsce. Na Mokotów, na Ochotę, gdzieś, gdzie jakoś by się oddalili od ludzi, którzy ich znali. Ale dokładnie dokąd, do kogo? A co z mieszkaniem?

Wszystko obarczone było ryzykiem, a najbardziej wygląd Anny. O nim, o doktorze, mówiono później: pan to masz prezent od Boga, pan masz dobry wygląd! „Masz pan wygląd uniwersalny! – zachwycił się ich nowy sąsiad Dawid Goldman. – Gdybym ja miał taki wygląd...” Ale sąsiad milkł, gryzł się w język, kiedy przypominało mu się, że Anna miała rysy twarzy, włosy, oczy i uszy tak oczywiste, że mówiły więcej niż opaska z gwiazdą Dawida. Każdy szczegół jej fizjonomii mówił: jestem Żydówką! Jakkolwiek świetnie mówiłaby po polsku, jakkolwiek pięknie recytowałaby Apollinaire’a, także w oryginale, jakkolwiek wyraźnie i z najdoskonalszym akcentem mówiłaby po niemiecku, to mówiąc w każdym z języków, które doskonale znała, i tak pozostawała Żydówką. Więc założyli opaski, a później poszli, niedaleko, ledwie ulicę dalej, ze Złotej na Sienną. Wydawało się, że po prostu mieszkanie zamienili. Nawet nie stracili

na tym, bo chrześcijańska rodzina musiała się wynieść ze swojego, gdy kamienica, w której mieszkała, włączona została do getta. Mówili „chrześcijanie”, nie „Polacy”, bo przecież i oni też byli Polakami, ale wyznania mojżeszowego. Bliżej im było do Polaków niż do chasydów! Doktor Reich nie chodził w mycce, a jego żona Anna w peruce, w szabas odwiedzali synagogę reformowaną, kiedyś o takich jak oni mówiono by „Niemieszki”. Bo Żydzi z Niemiec byli nowocześni, a ci, którzy przyjechali ze wschodu, nazywani Litwakami, byli konserwatystami i chasydami. Zresztą doktorostwo Reichowie nie tylko byli postępowi i chodzili do reformowanej synagogi, ale przede wszystkim robili to dość rzadko, a po prawdzie to najczęściej na bar micwę.

W getcie było najpierw źle, a później tragicznie. Wyprzedawali, co się dało, dziękując Bogu, w którego wierzyli coraz słabiej, że uczynił ich bogatymi i wykształconymi. Ktoś, kto miał pieniądze i chrześcijańskich przyjaciół, miał jakieś szanse, a biedny Żyd w chałacie, który nie potrafił funkcjonować poza swoją społecznością i nie znał dobrze polskiego, był skazany na zagładę. Ale żeby skorzystać z pomocy znajomych chrześcijan, trzeba było wpierw przejść na drugą stronę muru. Żyli nędznie, ale żyli, nawet jeśli na ulicach leżały ciała zmarłych z głodu, a przy sklepach stały żebrzące dzieci. Było to życie straszne, ale jednak życie, a próba ucieczki kończyła się śmiercią na miejscu. Czekali więc, czy się coś zmieni. Ale zmieniało się tylko na gorsze. I coraz szybciej. Były wywózki, ale napływali nowi ludzie, w getcie robiło się coraz ciasniej. Latem 1942 roku Niemcy rozpoczęli Grossaktion Warschau, Wielką Akcję likwidacyjną. Na ulicach rozklejono obwieszczenia Rady Żydowskiej, które informowały o decyzji władz niemieckich. Zarządziły one przesiedlenie na wschód wszystkich Żydów z warszawskiego getta. Starych i młodych, kobiet i mężczyzn – wszystkich. W Warszawie mogli zostać tylko ci, którzy pracowali dla niemieckich firm, członkowie i pracownicy Rady Żydowskiej, policjanci z Żydow-



skiej Służby Porządkowej, personel żydowskich szpitali. Ich rodziny też mogły zostać, a reszta musiała się liczyć z tym, że wcześniej czy później zostanie przesiedlona na wschód. Wieczorem dwudziestego trzeciego lipca prezes Judenratu Adam Czerniaków zażył cyjanek. Ta wiadomość szybko do nich doszła, a w ślad za nią treść pożegnalnego listu. Czerniaków napisał „Żądają ode mnie, bym własnymi rękami zabijał dzieci mego narodu. Nie pozostaje mi nic innego, jak umrzeć”.

Wiedzieli, że koniec jest bliski, poszli więc do sąsiada, Abrama Fabera, który od niedawna służył w żydowskiej policji. Był prawnikiem, wielu prawników tam służyło, ale przede wszystkim liczyły się znajomości, poza tym policjanci mieli fatalną opinię. Faber przyznał, że, owszem, wielu kolegów robi rzeczy niepopularne, tak to właśnie określił – niepopularne, ale czasem tak trzeba, ktoś musi. Poza tym Abram Faber pracował w biurze Służby Porządkowej, więc nie brał udziału w patrolach i akcjach. Był właściwie urzędnikiem, ale obiecał, że w miarę swoich możliwości pomoże Reichom, choć oczywiście nie za darmo, bo wszystko miało swoją cenę, zwłaszcza wolność. Wolność była bezcenna, więc pieniądze nie grały roli, ważne było życie. Faber miał coś wymyślić, przedstawić plan, ale na razie odkładał ich ucieczkę na później. Mówił, że to skomplikowane, że trzeba opłacić kilka osób, że wymaga to czasu, i prosił o cierpliwość. Wierzyli mu, bo widzieli, co się dzieje. Niemcy wraz z oddziałami ukraińskimi i łotewskimi blokowali całe kwartały i pędzili ludzi na Umschlagplatz.

Spotkali na podwórku żonę sąsiada policjanta, była smutna, myśleli, że coś się stało mężowi, ludzie ze służby porządkowej nie byli lubiani, poza rodzinami każdy im życzył źle.

– Co się stało, pani Faber? – zapytał doktor.

– Coś się stało mężowi? – dociekała z troską Anna i nie była to troska udawana, zdała sobie jednak sprawę, że pytając o męża

Rajzli Faber, martwi się w gruncie rzeczy o siebie, a nie o nich, Abram Faber był ich ostatnią deską ratunku.

– Abram powiedział mi... – załkała – on powiedział... – Nie była w stanie się uspokoić i dopiero po paru minutach opowiedziała, co się stało. Jej mąż zaczął się upijać, chciała go pocieszyć, a on ją pobił. Podwinęła rękawy, ręce były sine, miała też skopane plecy. Wpadł w szał, bił ją i kopał, a ona nie krzyczała, żeby nie było wstydu na całą kamienicę, bo wystarczy już to, gdzie pracuje. On też nie chciał skandalu, bił tak, żeby nie było widać śladów, musiał się tego nauczyć w policji, bo on tam wcale nie siedział za biurkiem.

Rajzla opowiedziała, jak naprawdę wyglądała jego praca. Żydowski policjanci, tacy jak on, szli z niemieckimi oddziałami do wytypowanego kwartału i wyciągali ludzi z domów. Policja i oddziały SS obstawiały teren, a żydowski funkcjonariusze, w tym i Abram Faber, wchodzili na podwórka i wywoływali ludzi z domów. Krzyczeli stały komunikat: „wszyscy schodzą na dół, każdy ma prawo do piętnastu kilogramów bagażu. Kto odmówi, zostanie rozstrzelany!”. Ludzie przerażeni zbiegali na dół, lecieli w tym, co mieli i co pośpiesznie spakowali, a oni pałkami gnali ich jak bydło na ulicę. Tam wygnańcy ustawiani byli w kolumny, które kierowano na Umschlagplatz, miejsce przy bocznicie kolejowej przy Stawkach. Z chorymi i niedołączonymi kończono na miejscu, nawet jeśli któryś się uchował, rozprawiano się z nim na placu przeładunkowym. Spędzano tam ludzi godzinami, było lato i ci, którzy przybyli pierwsi, musieli czekać na skwarze, aż plac się zapełni. Czasem były to nie godziny, ale dni, a kiedy zgromadzono dostateczną liczbę ludzi, otwierano wagony i wpychano ich do środka, byle szybko, nie zważając, czy rodziny są całe czy nie, nie bacząc na zagubione dzieci. Żydowska policja biła pałkami, żandarmi kolbami karabinów, lała się krew, dzieci płakały, kobiety krzyczały, mężczyźni, którzy pró-

bowali protestować, wyli z bólu, kiedy rozbijano im za to głowy. Wielu kończyło swoją ewakuację na wschód już na rampie kolejowej. A ten wschód nie był gdzieś w Rosji, którą podbijali Niemcy, nie trzeba było robić zapasów na trzy dni jazdy, ten wschód był za Małkinią. Z jednej strony dobrze, bo nie Bełżec. Bo o Bełżcu, który leżał za Lublinem i Zamościem, krążyły plotki, że mordują tam niemal wszystkich przybyłych. Małkinia to inny kierunek. Małkinia, a konkretnie Treblinka. Ale już w sierpniu zaczęto o niej mówić, że też jest miejscem kaźni. Niemcy mają tam zapędzać deportowanych z Warszawy do wielkich baraków, gdzie ich mordują. Nie wiadomo jak. Podobno ludzie krzyczą przez kilka minut, a później nastaje cisza. Nie słychać strzałów, chyba że pojedyncze, a jednak ludzie giną. Jak? Zastanawiano się, szepcząc o tym strasznym miejscu. Ale może to tylko plotka, przecież nikt nie znał tego uciekiniera. Tak uznano i trzymano się tej niewiary w złe wiadomości, tak że nawet jak gazeta Bundu wydrukowała o tym artykuł, to i tak odsuwano tę okropność od siebie. Ale doktor Reich był chemikiem i zdawał sobie sprawę z tego, że już w wielkiej wojnie były ataki gazowe, a w tej spodziewano się ich, ale nie nadeszły i wojsko nie użyło milionów masek gazowych. A co zrobiono z gazem? Bo musiano mieć w magazynach gaz, zatem czy nie użyto go w Treblince? Nie dzielił się swoimi myślami z nikim, a przede wszystkim z Anną. Wystarczyło, że zdawała sobie sprawę z tego, że wywózka czekała ich wcześniej czy później. Chyba że Faber coś wymyśli.

Mijały dni, ludzi coraz bardziej ubywało. Reichowie siedzieli w mieszkaniu i bali się wychodzić na ulicę. Czekali. W końcu pojawił się sąsiad! Myśleli, że przyszedł, by ich wyprowadzić, ale on przyszedł, żeby zabrać ich na Umschlagplatz.

– Panie Faber – doktorowa załamała ręce – panie Faber, obiecał pan, obiecał...

– Pani Reich, ja nic nie obiecywałem, mówiłem, że jak będę potrafił, to pomogę, ale dziś muszę pomóc swojej rodzinie. Ja mam godzinę na to, żeby dostarczyć jeszcze pięć osób, jak tego nie zrobię, to mnie jutro wywiozą z całą rodziną, co do jednej osoby!

Błagali go, ale on nie chciał ich słuchać. Musiał ich wziąć, bo miał już trójkę, a to było za mało, by stanowić przepustkę do kolejnego dnia życia. Więc wziął ich. Przynajmniej nie okradł, wzięli, co mieli, doradził im, że mogą przekupić konwojentów, którzy umieszczą ich w szpitalu. Poszli na Stawki, oni oraz małżeństwo z dzieckiem. Kiedy już policzono sąsiadowi, że się wywiązał z pięciu ludzi, inny żydowski policjant za złote obrączki przeprowadził ich do szpitala przy Stawkach. Plac, który widzieli przez bramę, był piekłem. Pełen ludzi, odgłosów płaczu i bicia, palby, która informowała o dobieciu niezdolnych do poruszania się o własnych siłach. Ale szpital był jeszcze gorszy, chociaż powiedziano im, że dopiero ten na Umschlagplatzu jest prawdziwym piekłem. Za kolejne pierścionki, łańcuszki i złotą pięciorublowkę zorganizowano im ucieczkę. Wyjechali pod zwałami trupów, których Niemcy się bali, bo chyba sami uwierzyli we własną propagandę, że getto utworzono po to, by nie rozsiewać żydowskich zarazków.

Na cmentarzu trupy wrzucono do wielkiego dołu, a Reichowie byli wolni, tak wolni, jak można być na cmentarzu w getcie. Płot od strony cmentarza katolickiego był niski, nocą przeszli przez niego i weszli w las krzyży. Byli już zmęczeni, zwłaszcza Anna, więc weszli do jednego z grobowców. Przytulili się do siebie i usnęli. Sierpniowa noc była ciepła.

Obudziły ich jakieś odgłosy, stukanie, szuranie, głosy. Jakieś dwadzieścia metrów dalej kamieniarze szykowali komuś grób.

– Nie nasz – zażartował doktor, ale Annie nie było do śmiechu.

Kazał jej zostać, a sam poszedł zobaczyć, co i jak. Kamieniarze wyglądali na porządnych ludzi i tacy się okazali. Pomogli, zaświadomili kogo trzeba, po południu przyjechał po Reichów doktor Sielicki, z którym pracowali w Instytucie Chemii. Musiał albo dobrze opłacić dorożkarza, albo ten był wyjątkowo porządnym i odważnym człowiekiem. Musiałby być ślepy, by nie wiedzieć, kogo wiezie. Noc spędzili w domu Sielickiego na Ochocie. Zostali tam zresztą na dłużej, zajmując piwnicę. W kwietniu 1943 roku dochodziły do nich odgłosy powstania w getcie. Tuż po jego upadku do sąsiedniego domu wprowadzili się folksdojczy i trzeba było się wyprowadzać. Ochotę zmienili na ulicę Próżną, gdzie mieli kącik za kominem, pod samym dachem. Miejsca było mniej, zimą dokuczał chłód, latem gorąco. Tam zastało ich powstanie. Wyszli z ukrycia, mogli się cieszyć wolnością. Trwało to krótko, szybko okazało się, że prawdziwego wyzwolenia nie będzie. Padało coraz więcej bomb, wydawało się im, tak jak innym, że tego nie przeżyją. W końcu powstanie upadło i trzeba było wyjść z miasta. Znow strach przed wywózką, strach przed esesmanami i żandarmami, którzy mogli zrobić z nimi wszystko, co im się tylko spodoba. Byli tylko Żydami, których można było tysiącami mordować. Ustalili, że nie wychodzą, że zostają. Przycupnęli w jakiejś zrujnowanej kamienicy przy Widoku i czekali, co będzie dalej. Patrzyli, jak cywile i wojsko tysiącami opuszczają miasto. Co będzie dalej? Czy ktoś tu zostanie, czy Niemcy będą przeszukiwać domy i ruiny? Po ulicach chodziły patrole i jak się wydawało doktorowi Reichowi, niektóre z nich były polskie, czasem mieszane. Bali się kogoś zaczepić, a raz wpadli na niemieckiego żołnierza i myśleli, że to koniec. Ale to był jakiś starszy człowiek, nie esesman, zwykły żołnierz, który tylko machnął ręką, że mają mu zejść z oczu i krzyknął, że zaraz przyjdą patrole, z którymi nie da się porozmawiać. Udało się im raz, udało i po raz drugi, kiedy obok ich kryjówek przechodził młody chłopak, który nie miał broni.

Miał na głowie polską furażerkę, zamiast automatu torbę sanitariusza, a na ramieniu białą opaskę z czerwonym krzyżem.

– Panie kawalerze... – zaczepił go Reich.

Zatrzymał się spojrzawszy na nich, wyglądali jak wszyscy, zagubieni i po prostu marnie.

– My się dwa lata poza gettem ukrywaliśmy – zaczął doktor Reich – najpierw w piwnicy, a później na stryszku, jak myszy czy gołębie, myśmy dożyli do powstania, bo pomogli nam dobrzy ludzie, pomóż i pan!

On wyglądał na doktora albo adwokata, ona... Patrząc na starszą panią, młodzieniec nie pomyślał o profesji, o tym, czy była przy mężu i zawiadowała piękną willą na Mokotowie. Nie była dla niego nauczycielką, lekarką, artystką, tylko Żydówką. Dwa dni temu była taka sytuacja, że wyszli z gruzów Żydzi i widział to Niemiec. Nic nie zrobił, chociaż musiał wiedzieć, kim są. Ale to nie był esesman, poza tym był w pobliżu polski patrol. A co się dzieje przy wyjściu z miasta, czy na Żydów nie polują esesmani i żandarmi? *Nie ma co się zastanawiać, oni nie mogli tam iść* – powiedział sam do siebie i zaraz sam siebie zapytał: *Jak oni przetrwali, z jej wyglądem mówiącym wszystko o jej pochodzeniu, jak?*

– A gdzie się państwo do tej pory ukrywali?

– Ostatnio to na Próżnej, do powstania tam byliśmy. Aż w końcu pan Sierakowski, co nas ukrywał, powiedział, że wolność, Warszawa zajęta przez powstańców. Radość była ogromna, a potem... Jak strzelali z armat, to zburzyli wyższe piętra, tam gdzie my się na strychu chowaliśmy, ale my już, jak reszta, siedzieliśmy w piwnicy. Niemcy dochodzili do barykady, więc uciekliśmy bliżej placu Napoleona. I tu dotrwaliśmy do końca. Nie mamy dokąd iść.

Młody człowiek się zamyślił. W końcu powiedział:

– Niech państwo wejdą tu, do tej piwnicy. Tu była nasza kuchnia polowa, jedzenia nie znajdziecie, dom już wyszabrowany przez Ukraińców, nie wrócą, nie mają po co. Poszukam czegoś, może jakiś dokument załatwię, jedzenie podrzucę. Zrobię, co mogę, a teraz muszę iść. Ja pracuję w szpitalu, zbieram rannych i zagubionych, muszę się trzymać patroli, na czas mam wrócić do szpitala, bo tam pomagam, a ludzi mało.

Zasalutował i już miał się obrócić na pięcie, kiedy doktor wyciągnął do niego rękę.

– Wróci pan? – zapytał Reich.

– Bardzo prosimy – dołączyła się Anna.

– Wrócę, proszę państwa! Wrócę na pewno.

Zasalutował raz jeszcze i odszedł.

Zostali sami, ona stała jak słup soli, jakby odejście sanitariusza pozbawiło ją nadziei. Doktor ujął żonę za ramię.

– Nie stój tak jak żona Lota, moja kochana. – Pociągnął ją za sobą. – On wróci, na pewno wróci, a teraz chodź do tej piwnicy. Szczęśliwie trafiliśmy na polskiego żołnierza, bo teraz jest tu więcej Niemców niż naszych.

Poszli i zeszli do piwnicy, która mogła się stać ich tymczasowym schronieniem albo grobem. Wrócił, najpierw z jedzeniem, a później raz jeszcze i zakomunikował, że ma na nową, lepszą kryjówkę. Poszli za nim, za starszym strzelcem Kredką, bo tak kazał do siebie mówić.

## **8 października 1944**

### **Włochy pod Warszawą**

Kapitan Armii Ludowej Portugalczyk zamelinował się we Włochach, uciekły z kolumny pędzonej ze Starego Miasta. Uciekł, bo jeszcze żył, a żył bo uniknął egzekucji, bo dla niego powsta-

nie skończyło się na Starówce, a nie na Woli czy Ochocie. Uniknął egzekucji, bo nie był jednym z rannych, których w szpitalach Starego Miasta dobijali Niemcy. Uniknął obozu, bo wyszedł z ludnością cywilną. Jemu udało się to, co nie udało się kilku dziewczynom i chłopakom. Niemcy uznali, że walczyli, że byli bandytami, którzy próbowali wmieszać się w potok cywilnych uchodźców i rozstrzelali ich na miejscu. Mijał ich ciała, wychodząc z miasta. Może dlatego, że nie był już taki młody, a może dlatego, że był dobrze ubrany i miał wprawę, bo był już w różnych sytuacjach i nie od wczoraj. Komunizował od początku lat trzydziestych, bo zaczął jako szczeniak, jeszcze w budzie. Aresztowania, odsiadki, rewizje... On był konspiratorem, zanim to się stało popularne, zanim przyszli Niemcy. On walczył z Niemcami i faszystami, zanim przetoczyli się przez Polskę jak walec, a teraz był gotowy na nowe jutro. Ominęły go szkolenia w Moskwie, ale walczył w Hiszpanii, tam była jego podchorążówka – szkoła polityki, życia i walki, tam był jego uniwersytet, który w Warszawie tylko napoczął. Tam nauczył się, że radzieccy towarzysze, jeśli już tu wejdą, nie będą ani tym, czego się boją burżuje, ani tym, na co czekają towarzysze z PPR. Wiedział, że polityka to gra, że trzeba się w niej ustawić, że Komintern, WKPB i Związek Patriotów Polskich to żywe ciała, które są tak głodne władzy, że potrafią pożreć nie tylko stary świat, lecz także własne dzieci.

*Bój to będzie ostatni,  
Krwawy skończy się trud.*

Tak było w *Międzynarodówce*, ale nie było to w najmniejszym stopniu prawdą, bo jeśli się chciało grać grubo, na wysokie stawki, o najważniejsze stołki, to trzeba się było przygotować na to, że trud będzie wcale nie mniejszy, a bój na pewno nie ostatni i będzie krwawy, bo walki frakcyjne i czystki potrafią być jak rewolucje. Wiedział o tym. Widział, jak działało w Hisz-



panii NKWD, wie, jak skończyło wielu członków KPP, których czystki zastały w Moskwie. „Przeżyłem, bo mnie sanacja do Berezy wysłała – śmiał się jeden z towarzyszy – w Berezie nie było wygodnie, ale co znaczy Bereza przy Syberii, co znaczy przy Łubiance?”. Nie znaczyła nic, a raczej wszystko. Z Berezy się wychodziło i walczyło dalej. I on będzie walczył dalej, pewnie z karabinem albo naganem w rękę, o komunistyczną Polskę i z politycznymi kartami w grze o wysokie i bezpieczne stanowiska.

Ciekawe, co się działo na prawym brzegu, gdzie towarzysze już rządzą, rozdzielali stanowiska, obejmowali resorty i sztaby. Jaki był układ sił, czyje na górze? To się okaże i trzeba będzie iść tam, gdzie będą odpowiedni ludzie. Polscy i sowieccy towarzysze. Pójdzie tam, gdzie będzie miał przyjaciół, to jasne. UB dawało walkę na pierwszej linii frontu, ale tam, podobnie jak w milicji, nie czułby się zbyt pewnie. Komendantem MO był towarzysz Witold – Franciszek Józwiak, którego znał z czasów Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. Znał dobrze, można powiedzieć bardzo dobrze, wręcz za dobrze. Pociągało go wojsko, bo wciąż wierzył, że „Tezy nr 1” wezmą górę nad „Tezami nr 2”, że zwycięży pomysł towarzysza Berii. *Pust budżet*, stanie się, jak się stanie, dowie się wszystkiego we właściwym czasie. Na razie był we Włochach, z których na początku powstania Niemcy deportowali parę tysięcy mężczyzn. Było pusto, ale względnie bezpiecznie i trzeba tu jakoś przeczekać, aż nadejdzie Armia Czerwona. Wtedy się zacznie jego czas, a skończy czas jego sąsiadów. Na sąsiedniej posesji spotykali się akowcy, musiałby być ślepy, żeby tego nie zauważyć i nie skojarzyć faktów. Kilku mężczyzn, z dwu-, trzyosobową obstawą, coś tu radziło i omawiało. *Ostatnie chwile panowie* – zaśmiał się w duchu. *Niedługo będziecie sobie radzić w obozie albo...* Tego nawet on nie wiedział, tego pewnie nie wiedzieli nawet ludzie w Lublinie. To mogli wiedzieć tylko Stalin i Beria.

\*\*\*

Niedaleko Stawów Cietrzewia stał mały dom. Nie miejski, ale też nie wiejski, po prostu podmiejski, typowy dla przedmieść takich jak Włochy, które ze wszystkich stron otaczały Warszawę. Do centrum miasta było stąd ledwie parę kilometrów i przez dwa ostatnie miesiące dochodziły stamtąd przerażające odgłosy kanonady i wybuchów, ale teraz panowała tam nie mniej upiorna cisza. W pokoju, którego okno wychodziło na tyły posesji, było czterech mężczyzn: dwóch w średnim wieku i dwóch trzydziestolatków. Wszyscy sprężyści, jakby zachowujący gotowość, czujni, ale poszarzali na twarzach, wyraźnie zmęczeni. Cywilne ubrania, choć pozostawiały wiele do życzenia, nosili z fasonem, elegancją i wojskowym sznytem. Jeszcze niedawno ubrani byli w drelichy, na pagonach mieli gwiazdki, a na ramionach biało-czerwone opaski. Teraz stali przy stole, pochylając się nad czymś, co leżało na jego blacie. Wodzili palcami, mówili coś po cichu, jakby się starali zachować tajemnicę. To przyzwyczajenie, którym nasiąkli przez ostatnie lata, które przerwały tylko na jakiś czas dni powstania. Wtedy trzeba się było przekrzykiwać, bo wybuchały bomby, ryczały krowy i terkotały karabiny maszynowe, a teraz, jak przed sierpniem, naradzali się, szepcząc i gestykułując. W końcu jeden z tych starszych, lekko łysiejący wąsacz o twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi, wyprostował się i przemówił, patrząc na jednego z tych dwóch młodszych, szczupłego szatyna w sportowej kurtce.

– Panie poruczniku, już chyba wszystko jasne. Ile czasu pan potrzebuje?

– A ile czasu mi pan major daje? – odpowiedział porucznik Marek.

Taka odpowiedź nie spodobała się majorowi, twarz drgnęła mu, bo kto to słyszał, żeby młodszy stopniem oficer na pytanie odpowiadał pytaniem!

– Zadałem panu pytanie, poruczniku... – powiedział metalicznym, niemiłym głosem.

– Moi ludzie to świetna obstawa, obronią, jeśli trzeba, oddadzą życie, ale nie nadają się do tego rodzaju zadania. Komunikacja jest utrudniona, tak naprawdę praktycznie nie istnieje, łatwiej nam o łączność z Londynem niż kimkolwiek stąd, struktury się tworzą...

– Wiem o tym – słowa majora zdawały się mrozić powietrze – ale rozmawiam z kimś, od kogo mogę wymagać więcej niż od innych, bywały sytuacje, w których potrafił się pan odnaleźć, panie poruczniku, w ułamku sekundy! Słucham pana!

– Proszę o dwa dni, panie majorze. Miałem w oddziale takiego człowieka, ale w tej chwili nie ma z nim kontaktu. To najlepszy z najlepszych, a jeśli żyje, to się znajdzie.

– Skąd ta pewność? – zapytał major Nałęcz głosem człowieka, który tracił cierpliwość.

– Nie mam pewności, czy żyje – odpowiedział porucznik Marek.

– Ja się pana porucznika nie pytam, czy żyje, tylko skąd ma pan pewność, że się odnajdzie, przecież poszliśmy w rozsypkę! – To był ton kogoś, kto nie tylko stracił cierpliwość, lecz także z trudem hamował gniew.

Jak wyjaśnić majorowi, że Lisek ma szósty zmysł, że znajdzie resztki oddziału, tak jak pies znajduje drogę do domu? Nie wytłumaczy.

## **8 października 1944**

### **Warszawa, Saska Kępa, Grochów**

Wincenty Rybski przyjechał spotkać się z Olą i tylko to się dla niego liczyło. Nie myślał o bezpieczeństwie ani o tym, że prze-

cież nie była zamelinowana na Saskiej Kępie, tylko na Szmulkach. Kosiorek jakoś mu to wytłumaczył, że się przeniosła do kuzynki czy jakoś tak. Skoro tak, to w porządku, najważniejsze, żeby szybko, natychmiast, minuta osiem albo jeszcze szybciej. Gdy usłyszał adres, to wiedział, gdzie szukać domu, w którym miała na niego czekać. Bo znał go doskonale. To była willa, w której czternaście lat temu handlarze kobietami trzymali niešťczesne dziewczyny, które jak niewolnice mieli sprzedać do argentyńskich burdeli. Inny by to uznał za zły omen, że to miejsce splamione krwią, przekłete. On to widział inaczej. W końcu uratowali cudze życie. Nie jedno, ale wiele. Strasburger, Stolarczyk, Jung, Ola i on – Wicek Rybski, wtedy młody kot, posterunkowy który dopiero co zaczął pracę w policji. Zrobili to razem, dwóch starych gliniarzy, dwóch młodziaków bez doświadczenia i panielka z dobrego domu. Panielka miała teraz trzydzieści cztery lata, była jego miłością i wyrzutem sumienia w jednym. Jadąc, cały czas myślał o niej. O tym, jak ją wyprowadzał z getta przez budynek sądów na Lesznie, jak u niego zamieszkała, jak razem z Jungiem wyciągnęli ją z rąk szmalcowników. W końcu została jego kochanką, choć starał się tego uniknąć. Ale nie dał rady, poszedł o parę kroków za daleko, wyrzucając z głowy wspomnienia. Żyli tak, jakby Aleksandra Fuchs nie była kobietą komisarza Strasburgera, jego promotora i przyjaciela, jakby nie istniały nigdy jego żona i córka. Przez nią zapominał o tym, że stracił z nimi kontakt we wrześniu 1939 roku, kiedy one poszły z kolumną ewakuacyjną pod niemieckie bomby, a on trafił do niewoli. Jechał więc tam z nadzieją, niecierpliwością, ale i czując ukłucie, które przywoływały pojawiające się jak błyski wspomnienia o Zofii i Jadzi. Pruli z fasonem, bo pięknym oplem, który Kosiorek prowadził osobiście. Szofer przedwojennych gangsterów wprawnie zmieniał biegi, auto sunęło płynnie. Im było bliżej, tym Rybski coraz intensywniej myślał o tym, co ich łączyło.

Zatrzymali się przed willą. Wtedy, czternaście lat temu, była w budowie, teraz pięknie otynkowana, dach pokryty dachówką, całość otoczona wspaniałym ogrodem. Zostawił Staśkowi notes kapitana Ahrego, i ruszył do drzwi, powstrzymywał się, żeby nie biec, ale i tak przyśpieszał kroku. Drzwi się otworzyły, ale to nie Ola na niego czekała, tylko bezpieka, czyli ludzie z Resortu Bezpieczeństwa Publicznego.

\*\*\*

Ciemność i szum. Co to tak szumi, morze? Bo wiedział, jak szumi morze, bo słyszał podczas wycieczki do Gdyni, zorganizowanej dla harcerzy, żeby mogli zobaczyć polskie okno na świat i budujące się port i miasto.

*Morze, nasze morze,  
wiernie ciebie będziem strzec.  
Mamy rozkaz cię utrzymać,  
albo na dnie, na dnie twoim lec,  
albo na dnie z honorem lec!*

Kto to śpiewa, kto gra, skąd orkiestra, czy po tamtej stronie jest morze? Nie potrafił sobie odpowiedzieć, bo szum zagłuszał wszystko, nawet ten tubalny, mocny głos.

– Młody, hej, młody, żyjesz? – dobiegało jak przez mgłę. Przez mgłę, szum morza i portowe brzęczki! – Stasiek, wszystko w porządku, gra gitara?!

– Morze, nasze morze... – Stasiek Rybski zdał sobie sprawę, że to on podśpiewuje, że morski hymn wychodzi z niego jak z patefonu.

– Pamiętasz, co się stało? – usłyszał głos jak z tuby. Na okręcie pokazywali im tuby, przez które bosmani nawoływali marynarzy.

– Ocknij się, do cholery, no, młody! – Ktoś nim potrząsnął, ob-  
raz powoli się wyostrzał, mgła ustępowała, zaczął dostrzegać  
owal twarzy i wąsy. – W porządku? Dobrze jest, pamiętasz coś?

– No tak... – stęknął z trudem. – Z tygrysa wystrzelili, z ty-  
grysa!

W głowie zaczął mu się wyświetlać film. Był w załodze bro-  
niącej wytwórni papierów i miał właśnie dyżur przy oknie,  
kiedy ruszył kolejny niemiecki atak. Od strony Fortu Legionów  
szły czołgi, a za nimi piechota, czyli normalka, jak zwykle, jak  
za każdym razem. Ale tym razem cała reszta była inna. Jakby  
się coś zacięło, jakby dowódca zapomniał, bo nikt nie dawał  
znaku do odwrotu. Wciąż kryli się za workami ustawionymi w  
oknach i strzelali. Ale nie pruli seriami, bo amunicji było mało i  
też mało kto miał peem. Cykali po jednym, na pewniaka, kiedy  
jakiś szwab wychylił się zbyt daleko poza czołgu. Szkopy chciały  
jeszcze przed czołgową salwą ukraść parę metrów, skrócić dy-  
stans, podbiec pod ogrodzenie, żeby ich później wyprzedzić.  
Trzeba było im to wybić z głowy. Ale próbowali, skurwysyny,  
więc palba nie ustawała. Tymczasem czołgi podjechały na odle-  
głość, poza którą można by je było dziabnąć z piata, a może na-  
wet zahaczyć butelką z benzyną. Nie odważą się, w końcu  
łupną, zaraz wystrzelą! Gmach Państwowej Wytwórni Papie-  
rów Wartościowych był niezwykle solidny, żelbetowe ściany i  
stropy chroniły przed pociskami czołgów i dział, ale okna były  
wielkie. Dobrze dla drukarzy i urzędników, którzy mieli w cza-  
sie pracy naturalne światło, źle dla powstańców, ale ich obecno-  
ści ani tego, że budynek będzie twierdzą, budowniczowie nie  
przewidzieli. Przez okna nowoczesnego gmachu niemieckie po-  
ciski wlatywały do środka i siały zniszczenie, więc przy każdym  
ataku było jak w dziecięcej grze. Kryjemy się, a potem wyskaku-  
jemy, żeby się przyklepać! Taka gra w chowanego, w której  
trzeba było trwać jak najdłużej, by piechociarze nie byli zbyt

śmiali, a później chodu, w głąb budynku, na przeczekanie czołgowych salw, a następnie biegiem z powrotem na pozycje, żeby wystrzelać szkopów, którzy po zakończeniu ostrzału ruszali na barykadę przy Zakroczymskiej i na gmach wytwórni. Gazu, biegiem, na pozycję, żeby nie przeszli przez ogrodzenie. Było wysokie i z mocnych, żelaznych prętów. Prawie nie do przejścia. Trzeba było być sprawnym i mieć dużo czasu, żeby się wspiąć na jego szczyt i zeskoczyć na dół. A oni nie dawali szkopom ani chwili. Zaraz po zdobyciu wytwórni, kiedy jej załoga wiała do swoich w kierunku Fortu Legionów i Cytadeli, to jeden Niemiec wdrapał się na górę i był już prawie po drugiej stronie, ale doszły go kule wystrzelone z powstańczej broni. Zginął, ale nie spadł, zawisł na ogrodzeniu. I choć teraz były już w nim wyłomy, to obrońcy byli w nie wstrzelani, wiedzieli gdzie pruć, jeśli tamci będą chcieli się przecisnąć. Nie można ich było dopuścić bliżej, żeby nie pokonali dystansu między ogrodzeniem i budynkiem, żeby nie przykleili się do ścian, nie znaleźli się poza zasięgiem ich ognia, żeby nie wrzucili do środka granatów. Więc na razie czekali, trwali.

Czy nie za długo? Zaraz któryś czołg wypali, pocisk wpadnie do środka i rozerwie ich albo w najlepszym wypadku porani odłamkami. W końcu padła komenda:

– Odskok, dawać, chłopcy, w głąb budynku!

Ruszyli. W ostatniej chwili, bo gdy tylko zajęli bezpieczne miejsca, ścianami wytwórni wstrząsnęły wybuchy. Salwa po salwie walili w gmach, a szwabska piechota była jak sprinterzy przed startem biegu. Skuleni przy pancierzach, jak w blokach startowych czekali na sygnał do natarcia. Wraz z ostatnią salwą wyskoczą z za czołgów, a wtedy powstańcy ruszą ze swoich schronów. Ale to Niemcy wiedzieli, kiedy padnie ostatni strzał, starter był z nimi umówiony, więc mieli fory. Obrońcy wytwórni musieli to wyczuć, wiedzieć, że w rytmie, w którym ła-

downiczny podawał pocisk, pojawia się dłuższa przerwa. W spodziewanym czasie salwy nie było, jeszcze sekunda, dwie i bez rozkazu, na czuja poderwali się do biegu. Do szaleńczego biegu, bo Niemcy mieli nad nimi przewagę, wystartowali szybciej. Rybski jak inni zbliżał się do okien, kiedy budynkiem zatrzęsło. Buuum! Szkopy opóźniły kolejną salwę! Jakaś potężna siła, która rzuciła nim jak szmacianą lalką. Padały na niego kawałki ściany i tynk, w uszach cisza, a po niej szum...

Pochylał się nad nim dowódca, ciągnął go za ramię, cucił.

– Strzelec Bazyliszek, wszystko w porządku, wiesz, co się stało?

Bo przecież jest w AK, ma powstańczą opaskę z literami WP – Wojsko Polskie, nie jest Staśkiem, jest strzelcem Bazyliszkiem. Ale jego dowódca nie miał wąsów, nie był tak potężnym typem... Teraz sobie wszystko przypomniał. Zaklął cicho, był w pułapce, umarł w butach, finito.

A wydawało się, że nic gorszego im się już nie przydarzy, bo przecież wyszli z piekła Starówki i choć wpakowali się w jeszcze gorsze nad Wisłą, to przedarli się ze starszym bratem Wikiem z Solca na Pragę. Stasiek jako czupurny chłopak ze Starówki wstydził się trochę przed kumplami brata, który był komisarzem policji. Ale jeszcze więcej zamieszania było za okupacji, bo Wicek był w polnische Kripo. Stasiek unikał kontaktów z bratem, boczył się, bo uważał go za zdrajcę. No bo jak można było pracować dla szkopów? Ale obowiązkowo bił się, jeśli ktoś nazwał Wicka zdrajcą, szwabską świnią albo jeszcze gorzej. A to jeszcze gorzej obrażało ich matkę, więc nie było wyboru, pięści szły w ruch. Może to właśnie jeszcze mocniej pchnęło go do konspiracji – brat pies w niemieckiej służbie? A później okazało się, że brat był kozak, i to nie byle jaki! Nie wiedział wszystkiego, ale to, co robił, to była poważna, ostra konspira! Źle o nim



myślał, ale spłacił długi. Uratował go podczas ucieczki na Pragę, nie dał mu utonąć w Wiśle.

Dotarli na Rybną, gdzie mieli bezpieczną metę u cwaniaka Mieczysława Kosiorka. Ale krótko tu zabawili, bo Kosiorek prze-flancował ich z Kamionka na Grochów. Zamelinowali się przy Ostrobramskiej u furmana, pana Janka. U klasy robotniczo-chłopskiej, jak zachwalał tę miejscówkę Kosiorek. Byczo tam było, ciasno, ale prawie jak na letniakach, no i niby jeszcze Warszawa, a jak na wsi. Przede wszystkim to było co jeść, nie spadały bomby, omijały tę okolicę wojskowe patrole.

Powstanie upadło, zapanowała cisza, a oni w końcu się ruszyli. Mieli pojechać na Saską Kępę, gdzie na Wicka miała czekać Ola, babka, którą ukrywał w czasie wojny. Chyba nie tylko ukrywał, ale Stasiak nie wnikał, bo sprawa była delikatna, przecież jego brat miał żonę i córeczkę. Nie wiadomo, czy żyły, bo słuch o nich zaginął po opuszczeniu Działdowa. Większość ludzi, którzy szli w tym samym co one taborze, zginęła pod niemieckimi bombami. Widocznie Wicek pogodził się z tym, że nie wróca... Nie trzeba było drażnić. Po co? Wojna jest, zamieszanie, niepewność, sytuacja nadzwyczajna.

Mieli się tam udać z fasonem, i to z nie byle jakim. Kosiorek zajechał po nich autem, poniemieckim oplem.

– Proszę, tu dokumenty, a na wszelki wypadek – Kosiorek się skrzywił – mamy jeszcze klamkę. Pan Wincenty jadzie na ksiuty, więc chwytaj pan, panie Stasiu. – Wyjął z samochodowego schowka parabelkę.

Jechali gablotą jakby nigdy nic, jakby nie było okupacji, jakby nie było powstania, jakby parę dni temu nie padło, jakby ruskie i berlingowcy nie wyłapywali na praskiej stronie akowców, jakby każdy z nich nie miał przy sobie broni. Kosiorek mówił, że wszystko jest na cacy, że auto ma papiery jak złoto, że wszystkie bumagi są pierwszorzędne, że jakby je jakiś Ruski zo-

baczył, toby ich z szaconeczkiem jak samego Stalina pocałował w dupę, ale że z tą czerwoną hołotą nigdy nic nie wiadomo, więc strzeżonego pan Bóg strzeże, a już najszybciej da radę ustrzec takiego, który ma spluwę w kieszeni. Trzęsło ich na uliczkach pokrytych kocimi łbami, gdzie indziej, tam gdzie nie było już nawet uliczek, a bardziej polne drogi, koła buksowały w piachu lub błocie. Jechali powoli, więc Kosiorek zainteresował się dokumentami, które miał przy sobie Wicek. Był to notes jakiegoś niemieckiego oficera, na tyle dla niego ważny, że pilnował go jak oka w głowie. Trzymał go w gumowym pokrowcu, który zawiesił sobie na szyi, dzięki czemu przetrwał ewakuację wpływ przez Wisłę. Jakieś tajne sprawy, których nawet Wicek nie znał i nie rozumiał, ale był pewien, że ktoś to wszystko pokorzy i skorzysta z tej wiedzy.

– Idziesz pan na ksiuty, to zostaw pan te papiery. Więcej romantyzmu, mniej konspiracji – powiedział Kosiorek, widząc, że Wicek poprawia zawieszoną na szyi torebkę z notesem, który należał kiedyś do kapitana Ahrego z Abwehry. – Potrzebne to panu na randkę jak świni kamizel – dodał, rechocząc.

– Daj mi go, zaopiekuję się nim – dołączył się Stasiek.

Wicek oddał mu dokumenty, faktycznie, tak będzie lepiej i przynajmniej na jakiś czas pokrowiec z notesem zawisł na jego szyi. Zajechali pod willę, która była położona na peryferiach dzielnicy. Daleko od Wisły, znaczy się bezpieczniej, bo im bliżej rzeki, tym gęściej od wojska. Wiele domów było zajętych, z niektórych wysiedlono mieszkańców, o innych willach i kamieniczkach mówiono, że podobnie jak wiele domów na Pradze, na jej przedmieściach i w okolicznych miejscowościach zamienione zostały na więzienia. Tu wszystko było jak na bocznych uliczkach Grochowa. Prawie sielsko i beztrosko, Stasiek pomyślał, że wręcz nienaturalnie. A może po prostu po tym, co przeszedł na

Starówce, a później na Powiślu i Solcu, względna normalność była czymś niezwykłym?

– Za godzinę wracamy, uwiń się pan! – krzyknął do Wicka Kosiorek, kiedy ten wyskoczył jak z procy i pognął do swojej Oli.

Starszy brat Staśka zniknął za drzwiami willi, więc ruszyli załatwiać swoje sprawy. Auto nie było Kosiorka, nie wytłumaczyłby się sąsiadom z Kamionka, zwłaszcza jednemu, który – jak o nim mówił – „zawsze lewus był i się został milicjantem”. Opel był „zorganizowany” na dzień jazdy, na przewiezienie towarów i przy okazji na podwózkę Wicka na Saską Kępę. Ujechali kilkanaście metrów, kiedy z sąsiedniej uliczki wyjechał wojskowy gazik z sowieckimi żołnierzami. Czy dokumenty Kosiorka są faktycznie aż tak mocne? Może niepotrzebnie wzięli broń, bo co z tego, jeśli papiery są dobre, skoro przeprowadzą rewizję i znajdą broń. Broń i to, co miał na szyi... Szpiony, niemieckie albo akowskie – powiedzą i zaaresztują. Zanim zastanowił się, co będzie dalej, Kosiorek gwałtownie nacisnął na gaz, auto wyrwało do przodu i minęło gazika z żołdatami.

– Coś pan, teraz po nas! – krzyknął Stasiek, ale jego słowa zagłuszyła seria z pepeszy. Parę pocisków poleciało po karoserii, Stasiek Rybski znów poczuł się jak wtedy na Solcu, kiedy byli w matni i nie mieli dokąd uciekać. Można się było poddać i liczyć na to, że trafi się „dobry” Wehrmacht, a nie oddziały policyjne i SS. Albo Wisła. Teraz do Wisły było daleko, a ci, którzy do nich pruli, znali dla nich tylko jeden adres – katownia NKWD. Wiadomości o tych draniach rozchodziły się szybko i wszystkim było wiadomo, że to nic innego jak ruskie Gestapo.

Chwycił za pistolet, ale na nierównych uliczkach, a potem polnych drogach nie był w stanie dobrze wycelować, bo ledwo trzymał się siedzenia. Było jak w praskim lunaparku Sto Pociągach, jak na diabelskim młynie, górskiej kolejce i karuzeli naraz. Dostrzegł tylko, że ścigają ich trzy samochody: dwa gaziki i

ciężarówka. Pojawiły się niemal jednocześnie, wyjeżdżając z sąsiednich uliczek. Kosiorek miał jakiś dodatkowy zmysł, radar typowy dla szemranych najwyższej kategorii – zauważył to, zrozumiał, że to zasadzka i dlatego wyrwał pełnym gazem do przodu. Większy pojazd szybko zostawili za sobą, gaziki po kilkunastu sekundach. To wszystko było bardziej niezwykle od tego, co widział na gangsterskich filmach, to był prawdziwy rajd. Auto z niemal wiejskiej zabudowy okolic Ostrobramskiej wjechało między kamieniczki i domki. Im bliżej Grochowskiej, tym zabudowa była gęstsza, w końcu, klucząc po kocich łbach, Kosiorek znalazł podwórko, którego szukał. Wjechał jak do siebie, szybko otworzył wrota do okazałej szopy i zaparkował w niej jak w garażu. Natychmiast rozpoczął oględziny pojazdu.

– Cholerka, jest parę dziur, ale gumy całe, a lewe tylne światło i tak było trzaśnięte.

– Panie Mieczysławie! – krzyknął Stasiek, a Kosiorek z niechęcią odwrócił się do niego. Zdawało się, że warknie „czego chcesz, szczeniaku? Przecież sprawdzam auto”. Nie powiedział jednak nic, tylko gestem wskazał na bramę wiodącą na posesję.

– Nie drzyj się, młody, dyskrecji trochę. Zamknij bramę, a później wrota do tej stajni, bo nie będę sterczeć na widoku z tym trefnym towarem. – Kopnął w oponę samochodu.

Stasiek zrobił, co mu kazał, i od razu wyrzucił, co mu leżało na sercu.

– Auto pan oglądasz, dziury liczysz, a Wicek!?! – Na więcej zabrakło mu słów. Po prostu zaniósł się płaczem, on, który przeżył powstanie, śmierć najbliższych, który widział okrucieństwa, które powinny przygotować na wszystko, znieczulić i uodpornić. – Tam na pewno był kocioł, wszystko było obstawione!

– Było. Ślepy nie jestem – odparł Kosiorek. – Obława była, złapali go, a my mu nie pomożemy – powiedział sucho. – Nie wyciągniemy go za chińskiego boga!

– Wyciągniemy!

– A skąd? – Spojrzał na Staszka po ojcowsku. – Skąd? Z którego więzienia? Będziesz chodził od drzwi do drzwi?

– Idź pan w cholere, wyciągnę go!

– Ochłoń, młody, jak Boga kocham, weź się w garść! – Kosiorek położył Staśkowi Rybskiemu dłoń na ramieniu. – Ratuuj siebie! Ile ty masz lat, siedemnaście, tak? Komisarz nie chciałby, żebyś jeszcze i ty poszedł do piachu!

– Dalej jazda, zabierz pan te łapy! – Szarpnął się, strzepnął z ramienia dłoń Kosiora. Patrzyli sobie w oczy i wydawało się, że młody Rybski się uspokoił, ale nagle wyciągnął z kieszeni rewolwer i wycelował w głowę Kosiora.

– A może jesteś szpiclem... – Jego oczy płonęły ze wściekłości.  
– Tak, jesteś szpiclem, wydałeś go!

– Chłopaku, gdyby nie ja...

– To podpucha! Nie dam się nabrać! Łapy w górę, oddaj swoją kłamkę, tylko powoli i spokojnie.

Kosiorek zaczął podnosić ręce do góry, robił to w absurdalnie powolnym tempie, jak zabawka nakręcana kluczykiem, w której mechanizmie coś się zacięło. Stasiak patrzył, jak dłonie szofera idą w górę milimetr po milimetrze, był tym zahipnotyzowany i nagle wszystko poszło lotem błyskawicy. Kosiorek nie wiadomo jak i kiedy chwycił młodego Rybskiego za rękę i nie wiadomo jakim cudem w ułamku sekundy sytuacja się odwróciła. Stasiak Rybski nie mógł w to uwierzyć, ale stał bez broni, bo teraz jego rewolwer trzymał Kosiorek i celował mu z niego w pierś. Szofer królów warszawskiego półświatka zrobił dwa kroki do tyłu i powiedział:

– Tak na przyszłość: jak kogoś masz na muszce, to trzymaj dystans, chłopaku, rozumiesz? – Rybski patrzył na niego nieobecnym wzrokiem. – A teraz spokojnie porozmawiamy, dobrze? –

Rybski przymknął powieki i lekko kiwnął głową. – Uspokoileś się, wszystko w porządeczku, jest dobrze? – Chłopak powtórzył gest. – Nnno, dobrze. – Kosiorek ciężko westchnął. – Bardzo dobrze, fajniusio, w porządeczku.

Ale nie było dobrze ani fajniusio, a tym bardziej w porządeczku, bo nagle Staszek runął na Kosiorka, skoczył jak dziki kot, z rykiem i z wyciągniętymi dłońmi, które miały chwycić z broń. Ostatnie, co zapamiętał, to twarz Kosiorka, nadspodziewanie spokojna, jakby to była partia warcabów, a nie walka na śmierć i życie. I wtedy wszystko zgasło, jak wtedy, kiedy podczas niemieckiego ostrzału czołgowy pocisk trafił w sąsiednią ścianę.

Bum, cisza, ciemno jak w piwnicy.

\*\*\*

O ludziach z UB Rybski słyszał, że to bandyci, co nie było niczym nadzwyczajnym, bo wszystkie służby mają na specjalne okazje takich właśnie specjalnych ludzi. Rybski nie spodziewał się jednak, że UB weszło na poziom Gestapo i że zatrudnia prawdziwych bandytów.

Dowiedział się o tym, bo przesłuchiwał go Władek Ciechaniak, młodszy brat Mańka, dawnego kumpla ze Starówki. Maniek był dla niego jak brat, kiedyś uratował mu życie, wyciągnął go z Wisły, więc jako gliniarz starał się pracować tak, by nie zrobić mu krzywdy. Bo Ciechaniaki z dziadka na ojca, a później z ojca na synów byli bandytami. Na początek tłukł go, o nic nie pytając, z zemsty za to, że tuż przed wybuchem powstania mocno poharatał ich bandę. Wcześniej nawet współpracował z nimi, bo zanim podziemie ogarnęło etaty dla egzekutorów, to do mokrej roboty najmowano takich jak oni. Z kolei on pomagał im w różnych geszeftach, bo przecież „kto handluje, ten żyje”, a Ciechaniaki chcieli żyć jak lordowie. I żyli, a i on mógł przy nich

dorobić. Ale w lipcu przed samym powstaniem przesadzili, chcieli zrobić skok na kasę AK. Nie wyszło po dobroci, więc musiał na ostro, w strzelaninie padło czterech bandziorów pracujących dla braci. Mańka i Władka ocalił, był im to winien za tamten wieczór podczas wianków na Wiśle i za te wszystkie lata znajomości, w końcu byli funflami z jednej dzielnicy, a coś takiego to na Starówce rzecz święta. Maniek go uratował, więc puścił i jego, i młodszego brata Władka. Władek tego nie docenił i prał go zawzięcie, aż się za nim wstawił starszy z bezpieczeństwa-ków. Bo miał przeżyć, bo to dopiero była przystawka przed daniem głównym – wizytą w gmachu dyrekcji PKP, gdzie zainstalowali się Sowieci. Znikąd ratunku i świadomość, że wiedzą, o co pytać.

Ciechaniak, tłukąc go, wymieniał nazwiska i pseudonimy, które mu nic nie mówiły, aż w końcu padło: Jezewski! To był człowiek, którego spotkał na początku powstania w komendzie głównej Armii Krajowej. Facet od głębokiej konspiracji, tak to nazwał człowiek z akowskiego wywiadu. Miał na ochotnika dołączyć do Jezewskiego i pójść na drugą stronę Wisły. Na ochotnika, bo choć naciskali go, to nie mogli mu rozkazać, bo przecież formalnie nie był w AK. Zresztą niemal nikt nie przypuszczał, że ma jakieś związki z podziemiem, jeśli już, to sądzono, że się nie angażuje albo że jest konfidentem. Szeptano za jego plecami, zastanawiano się, jakim cudem dwa razy został wypuszczony przez Gestapo. Pierwszy raz w 1939, kiedy uniknął rozwałki w Działdowie, a drugi raz w 1940 po zaaresztowaniu wszystkich oficerów warszawskiej policji. Do tego komuniści pamiętali mu rozbięcie grupy szturmowej GL, która chciała rozbić bank Spółem przy Krakowskim Przedmieściu, a cała reszta szeptała, że był zaplątany w sprawę kapitana Nigela Reginalda Johnsona. Angielskiego oficera ukrywało podziemie, ale coś poszło nie tak i jego ciało znaleziono w ruinach cyrku na Okólniku. Johnson walczył do końca, kładąc trupem Haupt-

sturmführera Nowitzkiego i funkcjonariusza polskiego Kripo Szymona Ardańca. Podobno widziano ich razem z Rybskim na Krakowskim Przedmieściu. Do tego Ardaniec, świeżo upieczony absolwent Szkoły Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa Reichsführera SS w Rabce, był nie tylko podopiecznym Rybskiego, lecz także kuzynem Ciechaniaków. Rybski nikogo nie zdradził, nic nie podpisał, po prostu za pierwszym razem chciano z niego zrobić nieświadomą wszystkiego wtykę, ale ich ograł. Za drugim – nie było żadnej rozgrywki, był przegrany, w drodze do Palmir albo do obozu, ale wyciągnął go z Pawiaka nowy komendant granatowej policji. Ale przecież nie mógł dać w tej sprawie ogłoszenia w „Kurwarze” czy innej gadzinówce ani nie mógł chodzić po ludziach i szeptać im „nie jestem trefny”. Było jak było, Rybski nie kojarzył się z konspiracją i dlatego najlepiej się nadawał do tego, by pójść z Jeżewskim. Co więcej, sam tego chciał, bo po praskiej stronie była Ola, którą wyekspediował tam tuż przed wybuchem powstania. Tylko o to mu chodziło. Wszystko się popieprzyło, wpakował się w akcję na Woli, a Jeżewski wyruszył wcześniej, ale zostawił namiary, adres lokalu przy Stalowej. Teraz to była zupełnie niepotrzebna wiedza, informacje, które z niego wyciągną, bo byli równie wprawni co Gestapo. Wiedział, co mówi, bo znał jednych i drugich. Młody Ciechaniak to tępy bandzior, ale zorientował się, że zareagował na nazwisko Jeżewski. Nie zdążył go zatłuc albo wydusić szczegółów. Czas Ciechaniaka minął i musiał go oddać towarzyszom z NKWD.

Wyprowadzono Rybskiego z piwnicy willi. Poobijany z trudem łapał orientację i składał myśli. Nie miał wątpliwości, że zdradził go Kosiorek. Bo któż inny! Czemu to zrobił? Dla pieniędzy? Bo go szantażowali? A może z innego powodu? Dlaczego wsypał tylko jego? Co ze Staśkiem? Co się dzieje z Olą!



Ciechaniak i jakiś drugi człowiek prowadzili go alejką do furtki. Przed domem parkował duży gazik, obok którego stał oficer, cholewy jego butów lśniły, był dostojny niczym pomnik.

– Zabiliście Annę Mikołajewną... – przemówił. – Fräulein Welle, naszą agentkę.

Rybski poczuł, że krew odpływa mu z twarzy i ogarnia go paraliż. Ten sowiecki oficer to... kapitan Hermann Ahre, którego znał z czasów okupacji. Ten sam Ahre, tyle że już nie w mundurze Abwehry, ale sowieckiego oficera.

– Niedobrze, że to zrobiliście, Rybski, niedobrze, bo to była bardzo ważna agentka. Wsiadaj! – warknął, a Ciechaniak otworzył tylne drzwi. Na kanapie czekał na Wicka krasnoarmiejec, z przodu siedzieli kierowca i... Ola! Czuł się jak sparaliżowany, nie mógł się ruszyć, ani odezwać. – No już! Ważni ludzie na nas czekają – pogonił go Ahre.

Auto ruszyło, Rybski starał się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, czy Ola go zdradziła, czy tak jak on była ofiarą. Jeśli to drugie, to kto zdradził? Kosiorek? Co w takim razie dzieje się ze Staśkiem?

## **Lubelszczyzna**

Selekcja, którą prowadziło NKWD, a której gwiazdą, mistrzem ceremonii i sędzią był mały dobosz Rysio, dobiegła końca. Spośród wygonionych przed kościółek wszystkich mężczyzn, których Sowietci zastali w wiosce, Rysio wybrał kilkunastu. Tym się skończyły dzielenie się jedzeniem, dawanie cukierków i wielka sympatia, jaką cieszył się wśród leśnych mały dobosz. W ciszy patrzyli na akowców, których pakowano na ciężarówki, ale wtedy Rysio obrócił się na pięcie i raz jeszcze przeszedł się

przed szeregiem. Wskazując palcem na Białego, radośnie się uśmiechnął, jakby wygrał jakiś konkurs, i zawołał:

– A ty, kapral Biały od Czarnego, z Grabowca jesteś!

Przewieźli ich do jakiegoś budynku, chyba byłych koszar. Loteria jak na szkolnej zabawie, taka, w której żaden los nie jest pusty, każdy coś zawiera. Na NKWD każdy coś dostanie, zależy od dnia, rozkazów i oficerów śledczych. Będzie zsyłka czy werbunek do Wojska Polskiego albo do Armii Czerwonej, bo jak ktoś się urodził za Bugiem, to uważali, że ma iść w ich kamasze. Chyba nie rozwalą, bo po co by marnowali czas, ale z drugiej strony może najpierw się dowiedzą, czego chcą się dowiedzieć, a później zabiją. Pewnie Katyń nie był jeden i na pewno nie ostatni.

## **8 października 1944**

### **Okolice Warszawy**

Niedawno Warszawa wyglądała jak piekło, teraz jak cmentarz. Ucichła kanonada, niebem nie wstrząsały artyleryjskie salwy, nie wyły sztukasy i nie ryczały krowy. Nawet głuchy zauważyłby różnicę, bo tylko gdzieś palił się ogień, nocą nie rozświetlała nieba gigantyczna łuna i nie sypały się iskry, jakby miasto było kraterem wulkanu. Dym opadł i tylko kiedy powiał silniejszy wiatr, unosiły się tumany kurzu i pyłu, jak z jakiegoś stepu albo pustyni, a nie sponad milionowej metropolii, którą jeszcze nie tak dawno było to miejsce.

Opuścił to cmentarzysko niemal cudem, a teraz był jak zjawą, która krążyła na obrzeżach pobojuwiska, czekając na okazję, by znów zostać człowiekiem. Złym człowiekiem, może nawet demonem. Od kilkunastu lat przechodził metamorfozy. Zaczął jako złoty chłopiec, później zaskoczył wszystkich, pracując w świecie bandytów i ludzi z rynsztoka. Mówił, że to dla ich i

wszystkich innych dobra, i traktowano go jak bohatera. Bo był nim, budząc szacunek, podziw i uznanie, ale następnie, jakby logiczną koleją rzeczy, stał się częścią świata, z którym walczył. Ale to był tylko moment, podobno kreacja wynikająca z potrzeby chwili, poświęcenie, a nie upadek – tak twierdzili życzliwi mu ludzie. Inni, których nie był faworytem, uważali, że wyszedł z bagna i oczyścił się pod groźbą szantażu. „Jakiego szantażu? Co mogłoby podzielać na osobę tak zdegenerowaną?” – odpowiadali jego zwolennicy, którzy wierzyli w niego z całych sił.

Odpowiedź przyszła niespodziewanie, jak niespodziewanie skończył się ich świat, i była równie brutalna jak nowe czasy. Okazał się zdrajcą i padalcem, upadł najniżej, jak tylko się dało, zasmucił rodzinę, przyjaciół i bliskich, stracił kolegów, ale zyskał nowych, bo był kameleonem. A teraz nie wystarczy być kameleonem, a nawet kameleonem doskonałym. Teraz, by dowieść życie do końca – końca, jaki przysługuje komuś z takiej rodziny i z tym wykształceniem: spokojnego finiszu w wygodnym fotelu, przed kominkiem, w którym trzaskają płonące polana i z lampką dobrego trunku – musi być nie tylko duchem, lecz także greckim herosem. Ale przecież nie ma rzeczy niemożliwych!

## II NOWY ŁAD

**8 października 1944**  
**Warszawa, Grochów**

**T**o nie była równa walka i nie mogła być, o czym Stasiek Rybski doskonale powinien wiedzieć. Górę nad rozsądkiem wzięły jednak zapalczywość i naiwna wiara we własny spryt. Stasiek myślał, że zaskoczy przeciwnika. Ale nie zaskoczył. I kiedy ocknął się po nokaucie, zobaczył wąsatą twarz. Szumiało mu w głowie, miał trudność z poskładaniem myśli, ale jedna z nich w końcu wybiła się na czoło – Mieczysław Kosiorek, szofer szefów szemranego podziemia, bandyta i zdrajca. Skurwysyn! Jak można mu było zaufać, no jak? Co ty zrobiłeś, Wicek!?

– Chłopaku, ja cię serdecznie przepraszam, ale musiałem! – Kosiorek, którego przed chwilą młody Rybski przeklinał w myślach, był wyraźnie zmieszany i mówił łagodnym tonem.

– Wydać ruskim mojego brata? – warknął Stasiek.

– Oj, bo ci jeszcze raz przypalantuję! – Na twarzy Kosiorka pojawił się uśmiech, ale to, co mówił, nie było żartem, świadczyły o tym czerwień, której nabierały jego policzki, oraz niezbyt przyjemny gest wykonany wielką jak bochen chleba pięścią. Przystawił mu ją tak blisko nosa, że włoski w palców trącały jego skórę. Stasiek spodziewał się sakramentalnego „powąchaj, jedzie cmentarzem”, ale zamiast tego Kosiorek podniósł go do góry i posadził na jakiejś skrzyni. Z jego twarzy zniknęła purpura, policzki nabierały naturalnej barwy, jeśli nie liczyć czer-

wonych żyłek, które je pokrywały. – Słuchaj, chłopaku – jego głos był śmiertelnie poważny – ja nigdy nikogo nie sypnąłem! – Wyjął z kieszeni marynarki papierośnicę, a z niej papierosa. Zapalił i się zaciągnął, wypuścił dym i zapytał: – Rozumiesz?

Stasiek milczał.

– Nigdy nikogo, kurwa, nie zdradziłem. – Kosiorek znów się zaciągnął i wypuścił kłęb dymu. – No, może raz... żonę moją. Ale w delegacji to było, rozumiesz, daleko, Paryż! – Rozmarzył się, po czym dodał: – Ale dawno temu i nigdy więcej, bo ja swoje zasady mam! – Wbił w Staśka świdrujące spojrzenie, zimne i niebezpieczne.

Stasiek nie był w stanie nic powiedzieć, mruknął tylko coś, co miało znaczyć, że rozumie, wtedy kąciki ust starego bandziora poszły delikatnie w górę.

– No, to znaczy się rozumiemy się? Już w porządku, nie będziesz brykał? – Klepnął go swoją wielką łapą w ramię i zapytał: – Palisz? – I nie czekając na odpowiedź, podsunął Staśkowi papierośnicę.

Młody Rybski sięgnął po papierosa i przypalił go od zapalniczki podanej przez Kosiorka. Zakasłał. Harcerzem był, w wytwórni dopiero zaczął palić, ale tak bardziej dla fasonu, żeby nie było, że taki młodziak. Teraz sięgnął, bo nie bardzo wiedział, co zrobić. Żeby nie mówić, a zaciągać się, żeby sobie poukładać wszystko w głowie. Bo kto jak nie on? Ale czy brat zaufały zdrajcy? Znał bandziorów, łobuzów i cwaniaków. Poznał się na Ciechaniakach... Tylko że późno. A jednak przecież Maniek Ciechaniak uratował go przed utonięciem! Sam już nie był pewien, co o tym wszystkim myśleć, skołowany był i od tego, co się stało, i od tego, że zaliczył z ręki tego potwora solidny nokaut.

– Siedzisz jak na tureckim kazaniu i nic nie sklejasz z tego, co się dzieje – westchnął Kosiorek. – Przecież bym się z tobą nie

pieprzył jak matka ze starym łobuzem, tylko bym cię ruskim wydał! Mało nas nie zastrzelili podczas ucieczki! Ryzykowałem? Widziałeś gablotę, pamiętasz, jak latały kulki z rozpylaczy?

– No może...

– Co, kurtka na wacie, „może”? – zachnął się Kosiorek. – Gdybyś nie był bratem komisarza Rybskiego, to za ten numer z rewolwerem kark bym ci skręcił! A że ci później przywaliłem w japę... – Rozłożył ręce. – Skoczyłeś jak jakiś Indianiec na westernie, więc musiałem walić szybko. Zabrakło troszkie precyzji, lata już nie te. Przepraszam, chłopaku. – Kosiorek przyjrzał się rozciętej skórze na skroni Staśka. – Nie zgubiłeś notesu?

– Nie. – Stasiek poklepał się po piersiach, gdzie pod koszulą miał zawieszony gumowy pokrowiec z notesem.

– To jest dla nich cenne. Gdybym był z nimi, to już bym ci to zaiwanił, a nie robił te wszystkie korowody. Poza tym to ja mu doradziłem, żeby go nie brał na te feralne rendez-vous.

To przekonało Staśka.

– To co dalej? – zapytał młody Rybski głosem, w którym nie było już zadziorności, tylko bezradność.

Skoro nie Kosiorek, skoro nie mógł mu wypłacić za zdradę i skoro nie wiadomo, co z bratem, to siły i animusz go opuściły. Zasnął jak zabity.

## **Warszawa**

Jechali w milczeniu, w końcu odezwał się Ahre.

– Nic nie mówicie... – w jego głosie dało się wyczuć sarkazm – no bo co właściwie macie do powiedzenia? Niewiele. Tak wam się wydaje, że niewiele i wydaje wam się, że jesteście w trudnej sytuacji. Ale ja wam powiem, tak po starej znajomości i po kole-

żeńsku, że owszem, wasze położenie jest trudne, ale nie beznadziejne. Zapalicie? – zapytał Ahre po polsku. Wcześniej rozmawiali ze sobą, ale po niemiecku, Ahre z uprzejmości albo dla dowcipu składał jakieś polskie zdania, ale czynił to nieporadnie, jego polski był zabawny. Teraz była to czysta polszczyzna, równie doskonała jak jego niemiecki.

– Tak, kapitanie Ahre. – Rybskiemu odpowiedział śmiech Rosjanina.

– Kapitana Hermanna Ahrego już nie ma, choć są jego sprawy, a prowadzę je ja, major bezpieczeństwa państwowego, Wsiewołod Władimirowicz Kolicki. Niekiedy mówią o mnie Kłos, czyli Kłos. Teraz już mogą, bo Ahre został zdekonspirowany. Przyczyniłeś się do tego, Rybski, skomplikowałeś sprawy, utrudniłeś, namieszałeś... Źle zrobiłeś, bardzo źle – powiedział spokojnym, prawie ojcowskim tonem, po czym uniósł głos: – Czemu zastrześliłeś Annę Mikołajewnę?!

– Bo była niemiecką... – miał ochotę powiedzieć „dziwką”, ale ugryzł się w język – ...kolaborantką. Zrobiłbyś tak samo – zaryzykował, przeszedł do ataku.

Odpowiedział mu śmiech majora Kolickiego.

– Alosza, wjedź w park – powiedział po rosyjsku do kierowcy i auto skręciło w główną aleję parku Skaryszewskiego. – Nie lubię palić w samochodzie – wyjaśnił po polsku. – Poza tym chcę spokojnie porozmawiać, bez świadków i twarzą w twarz. Samochód temu nie sprzyja, a oficjalne przesłuchanie tym bardziej.

Wysiedli z auta, które stanęło w pobliżu stawu. Rybski z trudem opuścił samochód, Kolicki wziął go pod ramię i posadził obok siebie na zwalonym pniu drzewa.

– Piękny park, piękne stare drzewa, nic dziwnego, że towarzysze alianci nie zdołali tu bezpiecznie wylądować... – Pokręcił głową. – Nie pomogli wam i nie pomogą. Jesteście nasi, ale nie będziecie kolejną republiką sowiecką, będzie – poprawił się,

uśmiechając – jest! Polska Rzeczpospolita Ludowa! To nieodwołalne, to się dzieje i to będzie trwało obok państwa radzieckiego, po bratersku, w najlepiej pojętym wspólnym interesie. Sojusznicy, rozumiesz? Ale dobrzy sojusznicy, pewni, a nie tacy jak Anglia i Francja! Trudno przejść samemu przez życie, tak bez przyjaciół, bez bratnich dusz. – Oficer skończył przemowę i czekał na to, co powie Rybski. Nie doczekał się, więc zapytał: – powiedz mi, Wincenty: czy to źle? Co w tym złego? – I dalej nic, cisza, ale Kolicki był na to przygotowany. – Powiedz mi, czemu nie stanąć przy Stalinie jak przy Napoleonie? To jeszcze większa potęga i więcej na tym Polska skorzysta. Co dał cesarz Francuzów? Księstwo Warszawskie, państewko małe, a teraz Polska w nowych granicach, z bogatym Śląskiem, z długim wybrzeżem! To będzie lepsza Polska od tamtej, kulawej, sanacyjnej. Dużo lepsza, bo to będzie Polska sprawiedliwości społecznej! – Major Kolicki podał Rybskiemu zapalniczkę, a później sam przypalił sobie papierosa. – Amerykańskie – uśmiechnął się – imperialiści robią najlepsze, ale jeśli chce się zapalić coś naprawdę mocnego, to tylko naszą, radziecką machorkę!

Rozmowa sprawiała wrażenie spotkania przyjaciół, z których jeden był mentorem, a drugi zagubionym rozbitkiem, który wrócił z dalekiej podróży i chciał sobie ułożyć życie na nowo. Park, świergot ptaków, romantyczne siedzisko, jakim był zwalony pień drzewa. I tylko dwaj żołnierze z odbezpieczoną bronią i Ola, która siedziała w samochodzie, przypominali o okolicznościach. I wybuchy, które szły zza Wisły.

– Faszyści niszczą Warszawę – powiedział z troską i smutkiem major Kolicki.

– Czego ode mnie chcesz?

– Twojej pomocy. – Major uśmiechnął się po przyjacielsku.

– Rozumiem, że w drodze rewanżu, bo na początek to ty mi pomogłeś. Gdybyś nie przyjechał, to ten bandyta by mnie na



śmierć zajeżdżał. Dziękuję ci, że mnie wyciągnąłeś z rąk tego skurwysyna Ciechaniaka.

– Niepotrzebna ironia, niepotrzebna... i te słowa, mocne, brutalne. – Kolicki miał zatroskaną twarz. – To nieporozumienie, tak bywa. Wojna, przyjacielu, wojna! Ja nie sądziłem, że Ciechaniak to aż taki prostak, a ty z pewnością nie chciałeś zabić Anny Mikołajewny! Trochę cię znam, no i Aleksandra dużo o tobie mówiła...

To go zabolalo. Chciał spytać, od kiedy mu się tak zwierzała i co ich łączy, ale się powstrzymał. Na razie słuchał, zbierał strzępki informacji, starał się podjąć z Kolickim grę, choć odbywała się ona na jego boisku, z jego sędziami i według jego przepisów.

– Nie ufaleś mi. Słusznie. Zabrakło nam czasu, żeby sobie wszystko wyjaśnić. Nie mogłem się zdekonspirować, a być może Anna była zbyt impulsywna, ale nie współpracowałem z lepszą agentką i radiooperatorką. Bez niej nie przekazałbym do Moskwy niczego. To nie była egzekucja, ty ją chciałeś porwać, prawda?

Rybskiemu stanął przed oczami pierwszy sierpnia, ostatnie minuty przed powstaniem, które na Żoliborzu wybuchło wcześniej niż w reszcie Warszawy. Pojechał do mieszkania Marty Falskiej, tancerki, która występowała w niemieckich kabaretach pod pseudonimem Fräulein Welle. Myślał, że to zwykła ściera, która podpisała folklistę i puszczała się z niemieckim oficerem. Chciał z niej wydobyć informacje o kapitanie Ahrem, ale zaczęła się stawiać, wyciągnęła pistolecik, więc on szybciej wypalił z trzymanej w kieszeni broni. Przechodnie na ulicy myśleli, że to zabłąkana kula, która przyleciała od strony ulicy Suzina, gdzie trwała strzelanina między ludźmi z konspiracji i niemieckim patrolem.

– Chciałem z niej wydobyć, kim jesteś. Śpieszyłem się, bo wiedziałem, że wybuchnie powstanie. Niepotrzebnie użyła broni, a ja miałem lepszy refleks. Nawet nie myślałem, odruch, zwyczajny odruch, kiedy ktoś do ciebie mierzy z pistoletu. Wtedy albo on, albo ty.

– Ona albo ty – poprawił go Kolicki, po czym zaciągnął się skrętem, jakby chciał nadrobić te wszystkie lata, w trakcie których palił marne przydziałowe papierosy dla niemieckich oficerów i te eleganckie zdobyczne amerykańskie i angielskie.

– Że wybuchnie powstanie, to wszyscy wiedzieli. – Kolicki się uśmiechnął, zaciągając dymem. – Może nawet my i Niemcy lepiej od was! Dlatego szukałem cię, nie chciałem, żebyś przepadł. Zależało mi na was obojgu, na tobie i na Aleksandrze, tymczasem ona gdzieś zniknęła, a ty zacząłeś się ukrywać... Może za ostro zagrałem? – Zamyślił się. – Ale nie miałem innego wyjścia. Musiałem być wiarygodny, nie mogłem ot tak, po prostu wpaść do komendy i wyjść jak przyjaciel. Przyjazd z patrolem. Zły Niemiec i dobry Polak. Rozumiesz?

Nie odpowiedział, po prostu skinął głową, że rozumie. To było logiczne.

– Może się trochę spóźniłem? Ale były sprawy ważniejsze, gdybym się zdekonspirował, to musiałbym cię zabić... A nie chciałem. Zginęła za to Anna... Bywa. *Żyżn', bor'ba, wojna...* – zakończył po rosyjsku. – Straty są nieuniknione! Ale ty żyjesz. I to jest paradoks tej całej sytuacji, że wszystko ułożyło się lepiej niż w planach. W planach nie było, że zginie Anna, ani nie było też, że zostanę odcięty od swojego konspiracyjnego mieszkania przy Rozbrat. Tym bardziej nie było, że utknie tam mój notes... Przeszedłem na Pragę tuż przed wysadzeniem mostów, mój człowiek, który miał opróżnić skrytkę, zawiódł. Zrobił to ktoś inny, ktoś, kto się na mnie uparł.

Rybki szedł w zaparte, bo skąd Ahre wiedział, że to on ze Stolarczykiem włamali się do jego garsoniery i wyciągnęli notes? To był blef, Kolicki wpuszczał go i tyle.

– Myślisz, że cię prowokuję? Ja to wiem. Mój człowiek był świadkiem, jak żandarmeria wyprowadzała was z budynku, że dowodem przeciwko tobie i twojemu podoficerowi był notes, którego chcieliście się pozbyć. Zakładam, chyba nie bezpodstawnie, że to jest moja własność. Kto go teraz ma?

Rybki milczał.

– Jest bezcenny. Towarzysz, który miał go zabezpieczyć, nie miał łatwego zadania. Spóźnił się, nie odzyskał go z rąk żandarmerii i poniósł za to karę. Ewakuował się z polskim wojskiem i zdał mi raport. To było za mało. Nie wszystko zapamiętałem, nie każde nazwisko i kontakt. Masz go? – Spojrzał mu w oczy. – Czuję, że masz... I czuję, że wiesz co nieco o głębokiej konspiracji.

Rybki nadal milczał.

– Teraz tylko pytam, nie wiem, ale zakładam, że będąc blisko wywiadu, będąc poza strukturami, jesteś idealnym człowiekiem do tego, by być jednym z nich. Kimś, kto może znać Nila, Benedykta, Niedźwiadka albo Jeżewskiego. Mówią ci coś te nazwiska, pseudonimy?

– Nie. – Rybki w końcu postanowił się odezwać.

– A ten nadgorliwiec Ciechaniak, powiedział, że na nazwisko Jeżewski drgnęła ci twarz.

– Czy na tej twarzy można coś jeszcze dojrzeć? – zapytał Rybki.

– Trafne spostrzeżenie, trafne... Ciechaniak zawiódł, nie okazał się prawdziwym czekistą – to nie był żart, Kolicki mówił z powagą – zaryzykowałem, zaufałem, bo zgłosił się sam, mówił, że zna wielu ludzi, że może pomóc wyłapać przestępców, że ma

na pieńku z granatowymi, a zwłaszcza z takim jednym Rybskim. Wydawało się, że spadł nam z nieba! Miał po dobroci, subtelnie dokonać obróbki, a on zaczął z wysokiego C! Mówił, że się znacie i faktycznie wy starzy znajomi, ale nie wiedziałem, że było coś osobistego, nawet Abwehra i Smiersz nie wiedzą wszystkiego. Przepraszam za to nieporozumienie. – Szeroki uśmiech majora nie wróżył niczego dobrego, ale ku zaskoczeniu Rybskiego nie padła zawołana groźba, nie było zabójczej ironii, tylko pytanie zupełnie odchodzące od głównego tematu: – W sumie to nie jest najważniejsza sprawa, ale dobrze zacząć od czegoś lżejszego kalibru. Powiedz mi, proszę, czym mu tak podpadłeś? Dziewczyna, pieniądze, honor?

– Jego starszy brat Maniek to mój przyjaciel. Były przyjaciel. Uratował mi kiedyś życie, wyciągnął z topieli. Byłem jego dłużnikiem, jako policjant unikałem tematów z nim związanych, zresztą nie było to trudne, był bandziorem, a ja zajmowałem się innymi sprawami, subtelniejszymi, poważniejszymi. – Major Kolicki nie przerywał mu, słuchał pilnie, Rybski zrozumiał, że za bardzo się otworzył, przecież przed wojną, pracując w specjalnej komórce Komendy Głównej Policji Państwowej, zajmował się nie zwykłym bandytyzmem, lecz sprawami, których czasem nie była w stanie ugryźć wojskowa Dwójka, szybko więc przeskoczył na bezpieczniejszy, zdawałoby się, temat. – W czasie okupacji pomagaliśmy sobie, szmugiel i te sprawy, podziemie najmowało ich do mokrej roboty... – miał nadzieję, że współpraca z ludźmi z Armii Krajowej będzie wyrokiem na Ciechaniaków – ale przed samym powstaniem chcieli okraść AK. Tak się skończyła przyjaźń.

– Rozumiem, rozumiem... – Kolicki się zadumał. – Towarzysze śledczy nie mają do was osobistych urazów, ale metodycznie będą dochodzić prawdy. To nie narwani gówniarze, to fachowcy!

– Jak ci z Gestapo?

– To było niepotrzebne. Przecież z Gestapo nie było uczciwej współpracy, bo jaką współpracę można było zaproponować podludziom? A wy dla nas, sowieckich ludzi, zwłaszcza Rosjan, jesteście braćmi! I we mnie jest polska krew – powiedział z dumą. – *Tawariszcz Dzierżyński był Poliak! I marszał Rokossowski tożę Poliak, w Warszawie radłsia!* Siostra marszałka nadal mieszka w Warszawie – płynnie przeszedł na polski. – Jesteśmy otwarci, jeśli ktoś nam zaufa, do nas można się przyłączyć, pozostając Polakiem. Przyłączyć, *panimajesz?* Normalnie żyć, współtworzyć, odbudowywać kraj! Tworzy się nowy ład, nowa Polska! Taki wybór wam, braciom Polakom, dajemy! A co oferowało Gestapo? Pieniądze za służbę, nagrodę za podczłowieczeństwo! Zastanów się.

Rybski znów milczał.

– Zastanawiasz się, co masz zrobić? To proste. Jeśli masz notes, oddaj go. Jeśli znasz swoje notatki, listę kolaborantów, sporządź ją!

Rybski patrzył na Koliczkiego, teoretycznie nie było to nic, czego by nie mógł poświęcić dla ratowania życia. Nie żałowałyby kolaborantów, przecież takich ludzi likwidowali w czasie wojny akowcy, on sam rozwalił kuzyna Ciechaniaków.

– Notesu nie mam, a szpicli chętnie wydam. Czego nie zrobiła Armia Krajowa, może zrobić Czeka.

– Czerezwyczejki już nie ma – powiedział z powagą Koliczki – ale są jeszcze prawdziwi czekięści. Mówią, że ja jestem jednym z nich. Pochlebia mi to. I staram się temu sprostać. Podchodzę do mojej roboty poważnie, więc chyba nie spodziewasz się, że to zamknięty temat? – Nie czekając na odpowiedź Rybskiego, mówił dalej: – To na dobry początek, na wieczór przy wódce i dobrej zakąsce. Bo widzisz, mój przyjacielu, jak tylko przekroczyłem linię frontu, powiedziano mi: *Tawariszcz Wsiewołod Władi-*

*mirowicz, wy Poliak po praischożdżieniju, a u naszych towarzy-  
szy z Polski braki kadrowe, więc im pomóżcie! Doradźcie, po-  
kierujecie, dobierzecie właściwych ludzi. „Pomogę! Doradzę,  
pokieruję i ludzi odpowiednich dobiorę”, tak odpowiedziałem  
towarzyszowi generałowi, a on mi na to „prawdziwy czekista,  
maładec i nie żałuje, że nie pójdzie na Berlin, bo ufa”. Więc je-  
stem tu, chociaż mogłem iść na Berlin. Ale w Berlinie będzie  
wielu, zresztą, może i czemu nie. I ty pomożesz. Będziesz do-  
brym fachowcem, oddanym, takim jakim byłeś za sanacji i za  
Niemca, sprytnym i dzielnym jak dla Armii Krajowej! *Poniał, ta-  
wariszcz Rybski?**

– Chcesz, żebym wstąpił do milicji?

– Milicja? – Zaśmiał się. – Ja składam poważną propozycję.  
Tworzymy nowy wywiad i nie patrzymy jak Niemcy na pocho-  
dzenie i metryki, mamy w szeregach tych, którzy pracowali dla  
rządu londyńskiego, i tych z Armii Krajowej, mamy też, ma się  
rozumieć, towarzyszy z KPP. Sami wartościowi patrioci! Byłbyś  
ważną osobą, widzę dla ciebie naprawdę ciekawą rolę! Znasz te  
nazwiska, które ci wymieniałem?

– Nie.

– Nie znasz... – twardo powiedział Kolicki. – To poznasz. –  
Uśmiechnął się zimno. – Dam ci czas na ich odnalezienie. Armia  
Krajowa będzie prawdopodobnie rozwiązana, a jej miejsce zaj-  
mie kadrowa organizacja NIE. NIE jak niepodległość, NIE jak  
nie Związkowi Radzieckiemu. Wiemy, że jest, że powstała mie-  
siące temu... – Zamyślił się. – Ale nie mamy tam jeszcze czło-  
wieka. Będziesz nim ty! To musisz być ty! – powiedział stanow-  
czym głosem, po czym dodał już łagodnie: – Tylko ktoś taki jak  
ty może to rozmontować, bo to trzeba rozmontować, żeby krwi  
nie przelewać, żeby Polskę odbudować – dokończył z troską, po  
czym zaciągnął się skrętem i wstał z pnia. – Dam ci parę minut  
na zastanowienie. Żebyś się nie nudził i nie zmarzył, chłopcy da-

dzą ci pałatkę, płaszcz, wódkę i papierosy. *Dumaj, tawariszcz Rybski, dumaj!*

Rybski podłożył pod siedzenie pałatkę, na ramiona zarzucił płaszcz wojskowy. Z metalowej myśliwskiej piersiówki pociągnął łyk wódki. *Ładna* – pomyślał, obracając ją w rękę.

– *Trofejna* – zaśmiał się Kolicki. – *Na zdrowie! Piej, zakuri sigarietu, dumaj. Wybieri łuczsze wsiewo!* – Po czym dodał po polsku, już mniej przyjaźnie: – Masz pięć minut, tyle ci daję.

Kolicki oddalił się i stanął z Olą przy samochodzie. W pewnym oddaleniu stało dwóch żołnierzy, jeden trzymał swojego nagana w kaburze, ale drugi miał przewieszoną pepeszę. Uciec? Dokąd by dobiegł? To wojska NKWD, pepesza na pewno sprawna, a strzelec wie, co robić. Poza tym Ola. Jakoś nie mógł dopuścić do siebie myśli, że byłaby zdolna go zdradzić. Nie, nie zostawi jej. Co robić?

## Lublin

Jest nowa Polska, zapanuje nowy ład, tylko musimy wiedzieć, czy wy, chłopski syn, chcecie go tworzyć? A może nie jesteście chłopskim synem? Może jesteście bandytą? Udowodnijcie, że warto dać wam szansę!

Tak mówili do kaprała Białego, a w zamian chcieli wiedzieć wszystko o jego przeszłości i oddziale. Chcieli, to powiedział, bo to już była żadna tajemnica, zresztą niczego się nie wstydził, nie było czego, nawet przed nimi, bo w końcu pomagali sowieckim partyzantom. Opowiedział o tym, jak weszli do Grabowca, jak Czarny i Karasiow się ściskali i pili wódkę, jak przechowali rannych.

– Więc mówisz, że znasz majora Karasiowa? – zapytał kapitan NKWD, który ożywił się, bo wyglądał na znudzonego, w swoim

mundurze z rozpiętą pod szyją haftką i z papierosem z mocnego tytoniu, którym okopcił cały ciasny pokój.

– Tak, znam. Major Wiktor Karasiow ze Zgrupowania imienia Aleksandra Newskiego. Pomogliśmy rannym, uratowaliśmy waszych ludzi!

– Ciekawe...

Przywołał ręką sierżanta, zwalistego chłopa o złym wyrazie nalanej twarzy, takiego, który na pewno potrafi przywalić. Tamten się pochylił, a kapitan coś mu powiedział do ucha.

– No to zobaczymy, ile są warte te twoje opowiadania, bo *wytolka skazki* znacie!

Za plecami Białego otworzyły się drzwi, nie obejrzał się, choć był ciekawy, kto taki przyszedł, czy kolejny enkawudzista, czy może kogoś z leśnych wprowadzili. Poprzednim razem się obejrzał i wtedy sierżant ryknął *nieszja!*. I strzelił go w głowę tak, że zobaczył wszystkie gwiazdy i o mało nie spadł z krzesła.

– Leutnant Smirnow, znacie go?

– *Tak, toczna! Eta kapral Bięłyj!* – usłyszał śmiech. – Bięłyj, Janek, nie poznajesz mnie?

Początek zdania usłyszał zza pleców, ale końcówkę już od frontu. Stał przed nim dziarski, uśmiechnięty porucznik NKWD w nowiutkim mundurze i butach tak lśniących, że można by się było w nich przejrzeć jak w lustrze.

To był Alosza Smirnow? Tak to on, wtedy to był strzęp człowieka, wydawało się, że nie przeżyje, a jednak. A co będzie z nim? Czy go rozwalą jak wielu innych, czy też słowo sierżanta Smirnowa będzie dla nich coś znaczyć? Czy oni dotrzymują słów po tym, co zrobili Polakom?

Okaze się, nie miał przecież nic do powiedzenia, bo czy można było mieć w tej sytuacji wybór? Jak będą go chcieli rozstrzelać, to go rozstrzelają. A jeśli wsadzić do więzienia albo wy-



wieźć na Syberię, to zrobią, jak będą chcieli. A co, jeśli zaproponują wcielenie do wojska? Do polskiego wojska, bo przecież było jakieś polskie wojsko, które szło z sowieckim. Czy to jest jakiś wybór? Niby żaden, bo przecież pójdzie, choćby po to, żeby zdezerterować. Będzie jak będzie, się zobaczy, na razie jest w Lublinie.

## Warszawa, Śródmieście

To już prawie tydzień, a strzelec Kredka nie mógł się do tego przyzwyczaić. Znów słyszał, rozumiał słowa, ale kiedy wychodził ze szpitala, szedł w gruzy szukać niedobitków, rannych, zagubionych dzieci, to jego uszy rozrywała cisza. Po ponad dwóch miesiącach bombardowań, krów i karabinowej palby cisza dosłownie huczała w uszach. Żadnych odgłosów, które kiedyś w nocnym mieście świadczyły o tym, że Warszawa żyje, ale tylko śpi. Żadnego ujadającego psa, skrzypiącego, nocnego tramwaju, a nad ranem nie budziły ptaki. Bo nie było ptaków i psów. Zostały wybite i zjedzone. Przypomniawszy sobie, jak skończył Reks, tłusciutki piesek, którego właścicielka nie tylko przechowała przez całe powstanie, ale i karmiła go nie wiadomo czym, tak że utuczyła go jak małą świnkę. Ależ była heca, na skargę chciała iść, pod ścianę stawiać. Można powiedzieć, że po części dopięła swego, bo jeden z chłopaków, który brał udział w przerobieniu przyjaciela domu na smaczną potrawkę, nie dożył końca powstania. Zginął i może ona o tym wiedziała, bo chłopcy o tym mówili, a przecież mieli kwatery po sąsiedzku. Zabójca Reksa został ukarany i jego pani dokonała żywota w poczuciu sprawiedliwości. W poniedziałek Reks skończył jako potrawka, we wtorek strzelec Piorun zginął podczas ostrzału, a w środę właścicielka Reksa została trafiona odłamkiem, gdy szła po wodę. Każda z tych śmierci miała swój sygnał – skowyt psa, serię z ka-

emu, huk wybuchu. Teraz śmierć przychodziła tylko po cichu, ciężko ranni, których jeszcze nie ewakuowano, odchodzili bez wojennej muzyki.

Od jutra będą umierać w drodze albo w szpitalach i obozach. Bo jutro wymarsz, zwiną się ostatnie placówki i lazarety, i kompania osłonowa, i sanitariusze, wyjdą wszyscy, do ostatniego człowieka. Wszedł do szpitala, chciał się zwalić na swój barłóg i usnąć, ale już w drzwiach zatrzymał go doktor.

– Dwie pielęgniarki zniknęły, wyszły na chwilę się przewietrzyć. To już ponad kwadrans, a są tu pilnie potrzebne, ja nie mogę opuszczać szpitala, żadna z pielęgniarek także, zrób pan coś!

Średnio mu się to spodobało, samotne wejście w uliczki, w rumowiska, gdzie kwaterowali Niemcy i Ukraińcy, ale siła wyższa, poprawił chlebak, sprawdził, czy jest broń, dyskretnie ją przeładował i ruszył w gruzy. Usłyszał jakiś odgłos, jakby głuchy strzał. Poszedł w tym kierunku, przyśpieszył kroku, a kiedy usłyszał jęki i podniesione głosy, zaczął biec. Wpadł do bramy i zobaczył dwie leżące dziewczyny, jedną w kałuży krwi, drugą gwałconą przez dwóch ludzi w mundurach.

– *Hände hoch!* – krzyknął, wyszarpując z chlebaka visa.

Obaj niechętnie podnieśli się znad sanitariuszki. Automat jednego z nich leżał na ziemi, drugi trzymał w ręku pistolet. Poznał ich, to był Sturmman Andryj i jego dowódca w stopniu Rottenführera. Kiedy zorientowali się, że nie mają do czynienia z Niemcem, wydali mu komendę.

– *Paszoł won, sobaka!* – zacharczał Andryj, po czym zapytał: – Twoja suka? Nie, to ja się z nią zabawię, a jak skołujesz wódkę, to też skorzystasz. No co się tak gapisz? Spierdalaj stąd, chyba że chcesz popatrzeć. Nie wiesz, jak się to robi, nie miałeś żadnej laleczki? To się przypatrz, jak to się robi!

Sanitariuszka chciała coś powiedzieć, ale z jej ust wydobył się tylko pisk, bo szybko ścisnął ją dłonią.

– Chcesz popiszczęć? Będiesz piszczeć, jak ci będę dogadzał!

– Zastrzelę was, skurwysyny!

Andryj, zamiast schylić się po automat, wyciągnął bagnet i chciał go przystawić dziewczynie do szyi. Nie zdążył, bo Edek wystrzelił. Andryj zgiął się, trzymając za brzuch, ale zanim upadł, druga kulka trafiła w twarz Rottenführera.

– Spokojnie, spokojnie – zawołał i podbiegł do dziewczyny.

– Uważaj! – krzyknęła.

Andryj usiłował się dźwignąć, ale Edek kopnął go w brzuch, tam gdzie wsadził mu kulkę. Sturmman z bólu wypuścił bagnet, Edek podniósł go i wbił mu w gardło. Rozległo się chrapnięcie, z otwartego gardła chlusnęła krew.

Dziewczyna dopadła do swojej koleżanki, próbowała odwrócić to, co nieodwracalne. Edek ją odciągnął, wtedy ona rzuciła się na niego i zaczęła go okładać pięściami. Przyjął serię ciosów, aż po kolejnym schwycił dziewczynę za nadgarstki.

– Uspokój się, uspokój się!

Przytulił ją do siebie, po chwili nieco ochłonęła.

– Co robimy?

– Uciekamy.

– Dokąd?

Nie odpowiedział, tylko zabrał magazynki do szmajsera, bagnet, którym dobił Andryja, chlebak, w którym były dwie konserwy, po czym nic nie tłumacząc, złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Dokąd? – zapytała raz jeszcze, ocierając drugą ręką łzy, które spływały jej po policzkach. Wiedziała, że w tej sytuacji to głupie, niepotrzebne pytanie, ale nie potrafiła się powstrzymać.

– Byle dalej stąd. To nie Niemcy, z nimi może bym się dogadał.  
– Okrzyki po rosyjsku i ukraińsku były coraz głośniejsze, co najmniej kilku kolegów Andryja i Rottenführera zbliżało się w ich kierunku. – Powiedzą, że zabiliśmy ich kolegów i nas zabiją.

Pobiegli w głąb bramy, znaleźli się na zawalonym gruzami podwórku studni, Krysia odruchowo się zatrzymała, bo wydawało się jej, że wpadają w pułapkę bez wyjścia.

– Zaufaj, znam drogę.

Zaufała, bo komu po tym wszystkim mogła zaufać jak nie temu piegowatemu, tykowatemu chłopakowi? Uratował ją przed gwałtem i śmiercią, kto wie przed jak okrutną. Marcie się nie udało. Bo była dzielniejsza? Bo powiedziała coś nie tak, bo może chcieli ją tylko postraszyć? Ona żyła, a jej koleżanka leżała w bramie z przestreloną głową. Może i ona skończy tak samo, w oku chłopaka był jednak błysk, pewność, że się uda, że uciekną goniącym ich prześladowcom.

## **Warszawa, park Skaryszewski**

Rybski siedział i myślał, jakby miał do rozwikłania sprawę kryminalną. Ta była najcięższa ze wszystkich i dotyczyła jego samego. Kim w niej właściwie był? Śledczym, ofiarą czy podejrzanym? Każdym po trochu.

Miał mało czasu, musiał zacząć od tego, co najważniejsze dla jego przyszłości, musiał pozbyć się nieustającego, natrętnego myślenia o Oli – dlaczego i jak mocno go zdradziła. Przede wszystkim co o nim wie Kolicki, jakie jest jego miejsce w układance sowieckiego szpiega. Zaczął od historii ich znajomości. Poznał Ahrego wczesną wiosną 1943 roku, jeszcze przed wybuchem powstania w getcie. Ahre wystąpił wtedy w roli niemieckiego oficera dżentelmena, który uspokoił w kawiarni szwab-

skich żołdaków. Przeprósł za rodaków, którzy zachowali się jak sowieccy barbarzyńcy, a nie jak niemieccy żołnierze i zaprosił na koniak. Przedstawił się – kapitan Hermann Ahre. Rybski znał to nazwisko! Był uprzedzony przez swojego przyjaciela Junga, polskiego agenta w niemieckiej policji, żeby uważał na tego człowieka. Jung miał na niego oko i nie podobał mu się ten typ, choć nie miał żadnych informacji czy podejrzeń. Po prostu czysta policyjna intuicja. Rybski uważał, ale Ahre przykleił się do niego, poznał też i Olę podczas jazzowego wieczoru w pa-sażu Italia. Słuchali w Bodedze big-bandu George’a Scotta, a Niemiec z każdą minutą coraz bardziej sprawiał wrażenie ko-goś, kto jest gotów porzucić Führera i Trzecią Rzeszę. Zakra-wało to wręcz na prowokację i Rybski starał się trzymać dy-stans, ale Ahre uczeplił się ich jak rzep psiego ogona. Co więcej, wyglądało na to, że chciał mu odbić Olę, adorował ją, prawil komplementy, oczywiście wszystko w ramach zachowania dżentelmena i oficera. Prowadził ożywione życie towarzyskie, ale mimo spotkań z niemieckimi sztabowcami i ich rodzinami oraz rozrywek, które gwarantowała mu jego pozycja, kapitan Ahre wciąż był blisko Rybskiego i Oli.

Zgłosił tę znajomość majorowi Nałęczowi, swojemu szefowi z wywiadu AK, ale ani major, ani jego przełożeni nie wiedzieli, co zrobić z tym fantem. Propozycja Rybskiego, by założyć kapita-nowi obserwację i rozpracować go, została odrzucona, uznano, że nie warto, polecając równocześnie Rybskiemu, by utrzymy-wał kontakt i szukał okazji, jak podejść kapitana Abwehry, jak skorzystać z tej coraz silniejszej zażyłości. Czas mijał, nie nada-rzała się żadna okazja, nie było żadnej oznaki słabości ze strony Hermanna Ahrego, nie było żadnego punktu zaczepienia. Poja-wiły się za to niedwuznaczne propozycje ze strony Niemca, by znajomość przerodziła się we współpracę. Taki stan trwał aż do lutego 1944 roku.

W połowie miesiąca likwidatorzy od porucznika Skrytego mieli rozwalić kilku miejscowych konfidentów. Góra postanowiła, by przed likwidacją przesłuchać drani, Nałęcz wyznaczył Rybskiego do tego zadania. Dwa dni paskudnej roboty z ludzkimi ścierwami, trzy egzekucje i żadnych ciekawych informacji. Po prostu zwykli bandyci, bez interesujących powiązań. Na czas swojej nieobecności Wicek odstawił Olę do przyjaciół, którzy mieszkali w Podkowie Leśnej. Poszedł więc na końcowy przystanek kolejki EKD, na róg Poznańskiej i Nowogrodzkiej. Kiedy szedł od Dworca Głównego, przed hotelem Polonia Palace mignął mu kapitan Ahre. Poczuł, że musi, że tak trzeba, zapomniał o Oli, o kolejce do Podkowy, poczuł się jak pies, który złapał trop.

Śledził Ahrego, który szedł z jakimś mężczyzną, doszli do kamienicy przy Poznańskiej 37 i weszli do bramy, a on za nimi. Usłyszał tylko, że idą do lokalu „na drugim piętrze, numer dwadzieścia”, i wtedy dostał w głowę.

Ocknął się kilka godzin później w piwnicy, był ranny, ale dołókł się na drugie piętro. W mieszkaniu były ślady walki i rewizji, sąsiedzi powiedzieli, że Gestapo zrobiło tam kocioł.

Dopiero w szpitalu major Nałęcz wyjaśnił mu, że Niemcy przejęli archiwum podziemnej armii i dokonali wielu aresztowań.

Dochodził do siebie przez dwa miesiące, to był czas niepewności. Miał wrażenie, że jest sprawdzany i śledzony, że major Nałęcz podejrzewa go o podwójną grę. Sam by siebie podejrzewał, zwłaszcza że Ahre odwiedził Rybskiego w szpitalu. Rybski trzymał się wersji, że czekał na Nowogrodzkiej na kolejkę EKD i usłyszał krzyk przechodnia, że coś się dzieje na Poznańskiej pod trzydziestym siódmym. Ruszył, bo wszystko wskazywało na bandycki napad, a kiedy wpadł do bramy, dostał postrzał, a po-

tem cios w głowę. Nie wiadomo, kto to zrobił – tłumaczył – i było to jedyne prawdziwe zdanie w jego opowieści.

Od tego momentu na własną rękę śledził kapitana, pomagali mu w tym jego zaufani ludzie z policji. W ten sposób ustalili, że Hermann Ahre utrzymuje stosunki z artystką kabaretową Falską i regularnie bywa u niej na Żoliborzu, drugim miejscem spotkań była jego garsoniera przy Rozbrat. Czas uciekał, powstanie było coraz bliżej, stawało się nieuchronne. Co więcej, kiedy Wicka nie było w komendzie, Ahre zajechał z patrolem, szukał go. Rybski ukrył się i nie mogąc uderzyć w oficera Abwehry, postanowił pójść na całość i zmusić do mówienia jego kochankę. Wiedział, że ma mało czasu, że zaraz wybuchnie powstanie. Pojechał na Żoliborz i zgarnął ją z ulicy. Chciał przeszukać jej mieszkanie, ale zanim do niego doszli, rozpoczęła się strzelanina. Wykorzystała zamieszanie, wyjęła z torebki pistolet, ale on strzelił pierwszy.

– *Durak, blad', job twoju mat'! Nastojaszczij durak!* – To były jej ostatnie słowa.

Dzisiaj się dowiedział, dlaczego mówiła po rosyjsku i kim byli ona i Ahre.

A co sowiecki szpieg wie na jego temat? Na pewno, że pracował dla Armii Krajowej i że ma jakieś pojęcie o głębokiej konspiracji. Pewnie będzie chciał się dowiedzieć, co wie na temat tego, co się stało na Poznańskiej, a przede wszystkim o jego udziale. Wiedza, którą ma na ten temat, była niewygodna, a nawet niebezpieczna. Lokatorzy mówili, że przyjechało Gestapo, on sam widział Koliczkiego-Ahrego, a człowiekiem, który go jednocześnie postrzelił i uratował był oficer Armii Ludowej. Facet nazywał się Portugalczyk i obstawiał tę akcję, co było niezbitym dowodem na współpracę komunistów i Gestapo. Uratował go, bo wcześniej on uratował jego, podczas nieudanej próby napadu na bank, którą przeprowadziła komunistyczna bojówka. Mógł

mówić różne rzeczy, przyznawać się do wszystkiego, tylko nie do tego, że wie o grze, którą przeciwko AK wspólnie podjęły Gestapo, Armia Ludowa i sowiecki wywiad. Zapłaciliby za to życiem. On, i nie tylko on, tym samym skazałby na śmierć Portugalczyka, a tego nie chciał, w końcu uratował mu życie.

Straszny galimatias, z którego są dwa wyjścia. Na pozór dwa, bo dla takiego gracza jak on znajdzie się i trzecie. Przecież nie może być tylko tak, że albo się postawi i wtedy zatłuką go na przesłuchaniu, albo przystanie do nich, żeby ratować skórę. Co to, to nie!

## Lublin

Powstanie upadło, wojsko i ludność cywilna opuściły miasto. Tę hiobową wieść Leszek Pec odczytywał nie jak nekrolog, ale jak komunikat o nieuchronnej metamorfozie, bo wraz z upadkiem powstania pogrzebany został stary świat, i z miejsca na usta cisnęły się radosne słowa pieśni:

*Przeszłości ślad dłoń nasza zmiata*

[.....]

*Dziś niczym – jutro Wszystkim my!*<sup>[6]</sup>

Myślał o tym, co się stało. Mieszkał w Lublinie i pracował przy ulicy Spokojnej, w gmachu dawnego urzędu skarbowego. Leszek nie był przed wojną komunistą, ale sympatyzował z socjalistami. Dlaczego? Bo nie lubił sanacji i kościoła, bo widział, jak jego ojciec pepeesiak, peowiak i legionista zjechał na prawo, tak jak jego koledzy, z którymi w legionach nosili orła bez królewskiej korony i gonili precz kapelanów. Polubili prężenie się na trybunach honorowych z biskupami, zabiegali o przychylność arystokratów, nosili nie „szary strzelca strój”, tylko eleganckie mundury, strzelali obcasami, brzęczeli szabelkami i



uśmiechali się do narodowców i odwrócili się od Żydów. Sromota! Obnosili się ze swoimi konspiracyjnymi pseudonimami, jakby byli szlachtą, która do nazwiska dodaje przydomki i herby: Śmigły-Rydz, Grzmot-Skotnicki, Straszny-Pec. Nadal posługiwali się ksywkami, które nosili jako młodzi socjaliści – cholerna hipokryzja i sprzedanie ideałów za pozycję, szamerunek i pieniądze. Stworzyli nową elitę, zamykając drogę innym opcjom, czego jego ojciec, dawny idealista, a później urzędnik państwowy z dobrą pensją i wygodnym mieszkaniem, zdawał się nie dostrzegać.

Dlatego Pecowi nawet przez myśl nie przeszło, żeby wejść do nowej arystokracji i nosić dubeltowe nazwisko Straszny-Pec, bo się tym zwyczajnie brzydził. I dlatego też zamiast, jak wielu kolegów z liceum, rzucić się do podchorążówki, żeby imponować mundurem i popisywać się butami oficerskimi zamawianymi u szewca Hiszpańskiego albo szytą na miarę, nieregulaminową, ale za to robiącą wrażenie na damach rogatywką, miał jeden cel – nie iść do wojska chroniącego burżujów i będącego pełną samouwiełbienia operetkową zgrają. Jego taka kariera nie interesowała, tak jak i nie interesowały go damy, które leciały na podchorążych. Nie interesowały go głupie kozy wpatrzone w pozorów z szabelkami, on kochał kobiety uduchowione, takie jak Irena Steiner, którą poznał podczas rozmowy w kawiarni.

Irena, podobnie jak on, miała wtedy dwadzieścia jeden lat i była zbuntowana przeciwko rodzicom, rozczarowana Polską i poszukiwała ambitniejszych wyzwań niż tylko chodzenie na fajfy i premiery. Była piękna i mądra i uczestniczyła w spotkaniach organizowanych przez Towarzystwo Antropozoficzne<sup>[7]</sup>. Poszedł i on. Oprócz rewolucji seksualnej, bo z żadną dziewczyną ani kobietą nie uprawiał miłości w sposób tak brawurowy, aż mógł w duchu przyznać, że dopiero ona w pełni go roz-

prawiczyła, to była to także prawdziwa duchowa rewolucja, która niespodziewanie wzbogaciła go także politycznie.

Jednym z aktywnych uczestników antropozoficznych spotkań był dwudziestodwuletni student prawa, Bohdan Jaxa-Rożen. Bohdan szybko stał się jego przewodnikiem po świecie polityki, starszym bratem, a nawet mentorem. Tak jak Leszek pochodził z piłsudczykowskiej rodziny. I to z nie byle jakiej! Jego zmarły ojciec Władysław był generałem, ale on szedł zupełnie inną drogą, a może po prostu taką, jaką szli kiedyś ich ojcowie, dopóki nie znaleźli się po stronie władzy, która chciała rządzić za wszelką cenę i zepsuła ich do cna. Bohdan zainteresował się antropozofią, o której klechy mówiły „ukryte zło”, co już samo w sobie czyniło tę koncepcję pociągającą, a on dodatkowo łączył ją z socjalizmem, przez co jego poglądy stawały się iście szatańskie i niezmiernie atrakcyjne. Irena nie podzielała jego entuzjazmu dla uczestnictwa w spotkaniach Klubów Demokratycznych i nie zapisała się do utworzonego właśnie Stronnictwa Demokratycznego. Ich drogi zaczęły się rozchodzić, żar wygasać, aż został sam, pochłonięty nauką i pracą partyjną. Tak jak do polityki Bohdan wciągnął go także do pracy w miesięczniku „Orka na Ugorze”, który szybko zdobywał popularność, stając się kolejno dwutygodnikiem i tygodnikiem. Kiedy w lutym 1939 roku czytał we wstępniaku, że liczba współpracowników sięgnęła stu dwudziestu pięciu, wiedział, że to także o nim! Pasjonował się kinem i o tej najnowszej, ale, jak uważał, najbardziej przyszłościowej ze sztuk zaczął pisać w „Orce”. Zdawał sobie sprawę, jakim narzędziem, jaką bronią może być kino, bo wnikliwie śledził nie tylko amerykańskie przeboje kinowe, ich polskie podróbki, ale przede wszystkim chłonał niemiecką i radziecką kinematografię. Jakaż w tym była siła, choć jakże odmienne cele. Mieli z Bohdanem wielkie plany, które zostały brutalnie przerwane. W czerwcu podczas wyjazdu w góry Bohdan przewrócił

się z kajakiem podczas spływu Dunajcem. Nie udało się go odratować, podobnie jak Polski, która padła parę miesięcy później.

Okupacja zastała go, jak wielu młodych warszawiaków, w Lublinie. Odpowiedział na ogłoszony przez pułkownika Romana Umiastowskiego, szefa propagandy w Sztabie Naczelnego Wodza, który wezwał wszystkich zdolnych do noszenia broni, a jeszcze niepowołanych do wojska, do opuszczenia miasta i marszu na wschód. Tam mieli zostać zmobilizowani, wstąpić do Wojska Polskiego i walczyć z Niemcami. Leszek uwierzył w apel, przecież dzień wcześniej uciekli z Warszawy wszyscy notable, w tym jego ojciec. Odmówił wyjazdu, powiedział, że nie jest tchórzem, ale gdy tylko usłyszał Umiastowskiego, błyskawicznie opuścił Warszawę. Nie dotarło do niego odwołujące apel Umiastowskiego wystąpienie prezydenta Starzyńskiego. Zresztą kto by słuchał radia o trzeciej w nocy?! Poszedł więc na wschód, bo ostatni raz uwierzył, że jedność może uratować Rzeczpospolitą. Szybko się rozczarował, zobaczywszy bałagan i chaos, przy którym frontowa Warszawa wydawała się miejscem uporządkowanym i w pełni zorganizowanym. Nie było żadnej mobilizacji, nikt na nich nie czekał, poza niemieckimi pilotami, którzy bombardowali kolumny z uchodźcami. Kiedy dotarł do Lublina, rodzinnego miasta jego ojca, wiedział już, że państwo, które miało nie oddać nawet guzika, było państwem z dykty i papieru, a siedemnastego września wraz z wejściem Armii Czerwonej Polska runęła jak potiomkinowska wioska. Czuł wtedy coś na kształt satysfakcji, że szlag trafił mit, w który wierzyła większość Polaków, że skończyło się w końcu coś, co gnęło w nieskończoność, aż wreszcie się rozsypało. Zaczął nawet żałować, że Lublin to nie Białystok, do którego weszli Rosjanie, bo choć nie był sympatykiem komunistów, to jednak wielu ludzi ze Stronnictwa Demokratycznego wypowiadało się o nich ciepło, więc w jego głowie zakiełkowała myśl, że lepiej byłoby być tam,

gdzie są bracia Słowianie, do tego bliżsi socjalizmowi niż ktokolwiek inny.

Najpierw się przyglądał i zastanawiał co dalej, unikając wszystkiego, co było związane z upadłym reżimem, aż spotkał ludzi, których znał z Warszawy, i zaczął konspirować. Konspirowali z kolegami, których znał z Klubów Demokratycznych, poznali kilku pepeesiaków, w końcu jeden z nich złapał kontakt w Warszawie i stali się częścią większej całości, dosłownie PLAN-u<sup>[8]</sup>. Z nimi mógł działać, bo to byli ludzie z dawnej „Orki na Ugorze”, jej autorzy i czytelnicy oraz tacy, którzy jak oni myśleli lewicowo i nowocześnie. Kursował między Warszawą a Lublinem, ale trudno było o nim powiedzieć, że był jakimś ważnym ogniwem PLAN-u, raczej trybikiem.

W 1943 roku połączyli się z innymi organizacjami i stworzyli Polską Armię Ludową. Leszek nie znał się na walce, ale potrafił pisać, a poza Warszawą to się w PAL-u najbardziej liczyło. W propagandzie był dobry, bo pasował mu program organizacji. Zrywali ze złą konstytucją kwietniową<sup>[9]</sup>, żądali uspołecznienia środków produkcji i reformy rolnej, i to bez wykupu. Nie lubił przemysłowców, arystokratów i ziemian, więc ten pomysł bardzo mu się podobał i w propagowanie go wkładał całe serce. Radykalizował się z miesiąca na miesiąc, coraz mocniej współpracował z ludźmi z komunistycznej Armii Ludowej i cieszył się, kiedy do Lublina weszły oddziały nie tylko Wojska Polskiego, lecz także Armii Ludowej. PAL i odrodzone Stronnictwo Demokratyczne uznali legalność Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, ich ludzie pojawili się w rządzie, a Leszek dostał propozycje pracy. I to nie jedną, ale dwie! Był nieco rozdarty, bo major Jerzy Borejsza tworzył redakcje i wydawnictwa, ale ministerstwo to ministerstwo, choć nazywano je skromnie resortem, a jego szefa, Wincentego Rzymowskiego, tytułowano kierownikiem. I redaktor Borejsza, i kierownik resortu kultury i sztuki

Rzymowski byli związani z Klubami Demokratycznymi, ale tak się składało, że Rzymowskiego znał lepiej i to przeważało. Może ktoś powiedzieć, że Leszek Pec zrobił to z wygody, ale on sam uważał, że jako urzędnik więcej będzie mógł działać dla polskiego kina oraz filmu. Nie było się nad czym zastanawiać, bo przecież film jest najważniejszą ze sztuk – tak wszystkim mówił i nie wiedział, że cytował Lenia. Widocznie wpadli niezależnie na ten sam pomysł – śmiano się i klepano go po plecach. Lubiany był w gmachu przedwojennego urzędu skarbowego, który teraz mieścił w swych murach Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, polski rząd. To uskrzydlało go do dalszej pracy, to przypominało mu słowa Międzynarodówki:

*Nie nam wyglądać zmiłowania  
Z wyroków bożych, z pańskich praw.  
Z własnego prawa bierz nadania  
I z własnej woli sam się zbaw!*

Zbawmy się, robotnicy, chłopci, inteligenci i artyści! Ludzie, którzy tworzą na zgliszczach sanacyjnej klęski demokratyczne państwo, które da wszystkim równe szanse. Zapanuje nowy ład i on, Leszek Pec, syn sanacyjnego urzędnika, będzie w jego awangardzie!

## **Warszawa, park Skaryszewski**

Rybski podjął decyzję, wybrał trzecią drogę: musi się zgodzić na współpracę z sowieckim szpiegiem. Nie ma wyjścia. Zarobi trochę czasu, pomoże bratu, w odpowiednim momencie zniknie. Może nawet zdoła pomóc organizacji, w końcu wie, gdzie szukać Jeżewskiego. Pytają o niego, więc nie złapali go, inna sprawa, czy żyje.

Zaciągnął się jeszcze raz amerykańskim papierosem, po czym odkręcił piersiówkę, nie zdążył wziąć łyka, kiedy usłyszał strzał. Spojrzał w kierunku, z którego doszedł huk. Kolicki miał roztrzaskaną głowę, broczył krwią i osuwał się po masce auta. Kolejna kula trafiła żołnierza z pepeszą. Padając, oddał jeszcze serię, która wykosiła gałęzie z drzew. Trzeci Rosjanin zdążył wyszarpnąć rewolwer, ale nie zdążył oddać strzału. Rybski wiedział, że Ola prowadziła auto jak szalona, że potrafiła pilotować samolot, słyszał od Strasburgera, że doskonale strzela, ale nie wiedział, że aż tak. Teraz się dowiedział. Stała z pistoletem w ręku na pobojuwisku. Kiedy do niej podchodził, strzeliła raz jeszcze. Do siebie. Siła strzału odrzuciła ją w tył, pistolet wypadł jej z ręki. Leżała jak nieżywa. Rybski podbiegł do niej, żyła. Objął ją, starał się jakoś pomóc.

– Spokojnie, potrafię strzelać, to tylko obojczyk – powiedziała słabym głosem.

– Co ty zrobiłaś?!

– Próbowałam odkupić swoje winy. Uciekaj stąd, po tej serii z pepeszy przyjdą tu, uciekaj!

– A co z moim bratem?

– On i Kosiorek uciekli.

– Wiedzą o nich?

– Nie.

– Czemu mnie wydałaś?

– Nie wydałam cię, dał słowo honoru, że chce z tobą porozmawiać. Słowo oficera...

– Ciekawe, którego, tego z NKWD czy z Abwehry?

– On nie jest z NKWD, on jest z wywiadu wojskowego Smiersz. – Zajęczała. – To wszystko moja wina...

– Odkupiona. – Uściskał ją i powiedział coś, o co się nie podejrzewał: – Dziękuję, mój aniele, byłaś dziś moim Aniołem Stró-

żem.

– Ale ja cię w to wszystko wplątałam. – Ledwie było słychać jej szept.

Rybski dotknął jej skroni, podniósł z ziemi pistolet i zaczął uciekać. Tak jak przed niespełna miesiącem znów udał się w kierunku Kamionka. Mieszkanie Kosiorka było dla niego jedyną nadzieją, ostatnią przystanią, do której mógłby iść.

## **Warszawa, Śródmieście**

– Znam tę okolicę, chodziłem tu na patrole, tu są trzy podwórka, jedno za drugim, przejdziemy potem piwnicami, są przekute, połączone z innymi domami.

Biegli co tchu, aż w piwnicy zwolnili, kiedy było już pewne, że zgubili pościg. Krysia nadal nie wiedziała, co dalej, dokąd i co z nimi będzie. Ale Edek wyraźnie miał jakiś plan, był bardzo pewny, bez zastanowienia prowadził ich najpierw labiryntem piwnic, później wyszli na powierzchnię, doszli przez podwórko do bramy. Edek po chwili nasłuchiwania ostrożnie wychylił głowę. Zacisnął mocniej swoją dłoń na dłoni Krysi i spojrzał na nią.

– Na drugą stronę, do tamtej bramy. Szybko, ale nie biegiem, po cichu.

Przeszli przez ulicę, nie wiedziała przez jaką, bo wszystkie były do siebie podobne, zasypane gruzami, wyszczerbione, z wypalonymi domami, usłane trupami, których nie zdążono pochować. Znów piwnica, wyjście w innym domu, w końcu wejście na kuchenną klatkę schodową, a z niej do służbówki i kuchni na drugim piętrze.

– Teraz ostrożnie – ostrzegł.

Z salonu została tylko połowa. Naderwanym stropem doszli do drzwi, które prowadziły na korytarz. Wyszli na klatkę schodową, której schody i szyb windy urywały się piętro niżej, ale za to te wiodące w górę były całe. Zaczęli wspinaczkę, trzymając się ściany, trzecie, czwarte i wreszcie piąte piętro. Edek zdjął szmajsera i zapukał w klapę prowadzącą na strych. Puk, puk, puk – puk, puk – puk! I jeszcze raz, a na koniec pięć uderzeń, bez pauz, jedno po drugim.

– To ja, Edek! – zawołał.

Rozległo się jakieś szuranie, po czym kłapa podniosła się do góry, ale na milimetry, ostrożnie, jakby ktoś z góry naiwnie myślał, że ci z dołu tego nie zauważą.

– Panie doktorze, to ja. – Edek przybliżył twarz.

– Wiem, młody człowieku, ale kłapa jest ciężka – sapnął starszy człowiek.

Edek naparł na klapę z dołu i po chwili na Krystynę spoglądała para bursztynowych oczu.

– Sanitariuszka Krysiu, doktor Reich. – Edek zamachał ręką, wykonując, jak mu się wydawało, dworski gest. – Wprowadzamy się do państwa – niespodziewanie zakończył prezentację.

– W końcu to pana kwatery, to pan wybrał nam to lokum – Doktor się uśmiechnął i zaprosił gestem do środka.

\*\*\*

Widziała, że chce się zgodzić. Że jest gotów podpisać pakt z diabłem. Wystarczy, że ona to zrobiła i że tego żałowała. Bo nie sposób wygrać z kimś takim jak Kolicki. *Czestnoje słowo sowiet-skiego oficera!* Tak jej powiedział. Obiecał. Dużo jej wcześniej obiecywał, i równie często straszył. Wszystkim. Że bez niego sobie nie poradzi, że gdy już wszystko minie, to przecież ktoś taki



jak Rybski pójdzie pod ścianę, a w najlepszym wypadku pojedzie na Sybir. Tak straszył na koniec, bo na początku myślała, że jest Niemcem, a on jej z tego błędu nie wyprowadzał. A dzisiaj bała się, że Wicek będzie hardy, że się porwie na niego albo że coś powie. Że odmówi mu wprost. Ale nie miał zamiaru umierać i nie chciał się bić ani uciekać. Był zbyt słaby, bo go okrutnie pobili. Czy ucieknie, czy da radę? Na razie nikt go nie gonił, jeszcze nie dotarli tu, na to pobojuwisko. Leżała jak martwa, ale nie musiała udawać, bo okazało się, że celniej biła do żołnierzy z obstawy i do Kolicznego niż do siebie samej. Skłamała Rybskiemu, że to niegroźny postrzał. Poszło nie tak, jak chciała, kula poleciała w głąb ciała, jakiś rykoszet wewnątrz ją rozorał i czuła, jak słabnie z każdą chwilą. Leżała w kałuży własnej krwi, patrząc na zabitych przez siebie żołnierzy, patrząc w twarz Kolicznego, który wyglądał, jakby spał. A tak chciała zobaczyć jego zamglone oczy. Usłyszała jakieś odgłosy, silnik gazika, krzyki, po rosyjsku i polsku. Straciła przytomność.

## **Włochy pod Warszawą**

Zmienił miejsce spotkań, bo poprzednie, przy Stawach Cietrzewia budziło wątpliwości. Na jednej z sąsiednich posesji był człowiek, który wyglądał na szpicla. Obstawa go nie zdjęła, żeby się nie dekonspirować. Przenieśli się za tory, w okolice kościoła. Skład zebranych był ten sam, znów referował major Nałęcz.

– Zatem podtrzymuje pan swoją opinię, panie poruczniku, że to odpowiednia osoba... – raczej stwierdził niż zapytał.

– Tak jest, panie majorze, to najlepszy łącznik, jakiego mieliśmy – odpowiedział porucznik Marek. – Najlepszy, jakiego znałem – dodał szybko. – Szkoda tylko, że nieistniejący! – wybuchnął Nałęcz.

– Nikt nie wiedział jego śmierci!!! – krzyknął porucznik Marek, jakby gwałtownością chciał nadrobić różnicę szarż, jaka ich dzieliła.

– Pan się chyba zapomina! My nie mamy czasu, ja żądam ludzi do wykonania zadania!

– Nikt nie da gwarancji!

– A da ją jakiś gówniarz, z którym nie ma pan kontaktu?!

– To wspaniały żołnierz!

– Daj pan spokój, koniec tych bajek, żądam wyznaczenia ludzi, którzy wykonają to zadanie!

Porucznik Marek nie miał wyjścia, ale podjął jeszcze jedną próbę, zrobił coś, czego nie powinien robić – zamiast wykonać rozkaz przełożonego, spróbował go obejść.

– Panie pułkowniku! – zwrócił się do mężczyzny ubranego w prochowiec.

– Wykonać! – odpowiedział sucho pułkownik, po czym dodał:

– Może i ma pan rację, ale nie jesteśmy w stanie tego sprawdzić, liczy się to, co jest tu i teraz! Jutro pierwszy wyznaczony przez pana człowiek pójdzie do Warszawy. Wykonać!

– Mam prośbę, panowie.

– Tak, to może być ochotnik – powiedział pułkownik. – Kończę spotkanie.

W przeciwieństwie do spotkania kłopoty porucznika Marka dopiero się zaczęły. Miał nie tylko odpowiadać za samobójczą misję, ale też liczyć się z jakimś rewanżem ze strony majora Nałęcza.

## **Gdzieś między Warszawą a Gdańskiem**

Duchowi szło na początku dobrze, może nawet bardzo dobrze, z pewnością lepiej, niż się tego spodziewał. Zdobył mundur, przyczaił się i czekał. Nie mógł wyjść za wcześnie, bo wtedy *Kettenhunden z Feldjägerkorps*<sup>[10]</sup> uznałyby go za dezertera. Nie było żartów, teraz przy drogach coraz częściej widać było zwłoki żołnierzy, którzy nie polegli od sowieckiej bomby, tylko zostali rozwaleni przez esesmanów lub żandarmerię wojskową. Ludzie z ryngrafami na piersiach nie pieprzyli się i nie znali litości. Skończeni służbiści, elita wykuta na frontach, sami sprawdzeni w boju weterani. Wielu z nich odznaczonych za męstwo Krzyżami Żelaznymi, więc nie mogłeś im wytłumaczyć, że się bałeś czy miałeś zadanie nie do wykonania – takie gadki do nich nie trafiały. Do tego psy łańcuchowe Führera były mu wierne jak Blondi, jego ulubiona suka, którą dostał od swojego faworyta Martina Bormanna. Wierni, nieprzekupni i bezlitośni, dlatego *Feldgendarmarie* budziło grozę, także u niego, który miał do sprzedania swoją legendę. Kiedy front pękł i wszystko poszło w rozsypkę, można było dołączyć się do takich, którzy nie wyglądali na dezertersów, tylko na sprawnie wycofujący się oddział.

Wypatrzył takich. Po pierwszej, wrogiej reakcji ucieszyli się, że jest ktoś, kto jak oni będzie próbował łątać dziury w tej tonącej łąjbie. Dawali odpór Sowietom, cofali się z godnością, a kiedy front już się zupełnie załamał, szykowali się do odskoku. Nie zdążyli, wpadli w kocioł, z którego nie mogli wyjść żywi. Kilkunastu ludzi próbowało się przebić, ale na ich oczach doszło do prawdziwej masakry. Nie było szans na przebicie się przez sowieckie linie, porucznik, najstarszy oficer dowodzący garstką ludzi, która niedawno była batalionem, podjął decyzję o wywieśzeniu białej szmaty.

Rosjanie kazali im wychodzić z rękami podniesionymi do góry. Kiedy już to zrobili i zobaczyli tłum piechurów z karabinami, na których były szpikulce bagnetów, oraz pepeszami,

chyba każdy z nich poczuł, że to błąd. Rozwalą ich. Często tak robili, bo dlaczegóż by nie! Każdy znał jakąś nieciekawą historię o tym, co się działo z Iwanami w niemieckiej niewoli, wiedzieli, jak wyglądały białoruskie i ukraińskie wioski. Ich oficer, pamięta to, nazywał się Hermann Krause, podszedł do rosyjskiego oficera, zasalutował, a tamten po prostu strzelił mu w głowę. Kolejnych strzałów nie było, trochę kolbami oberwali, jakiś złamany nos, podbite oko, ale było lepiej, niż się można było spodziewać po egzekucji leutnanta Krausego. Okradli ich. zegarki, pióra – pół biedy, gorzej, że kilku z nich musiało oddać buty. Krause też oddał swoje oficerskie, ale jemu było już wszystko jedno.

## III ROZBITKOWIE

8 października 1944

Lublin

**L**eszek Pec miał dwadzieścia sześć lat i dostał poważną państwową posadę. Doszedł do tego szybciej niż jego ojciec i zrobił to, nie zmieniając poglądów! Bo przecież ich nie zmienił, zawsze był lewicowy. Nie był komunistą ani nie był w PPS, ale był jednolitifrontowy, stanął przeciwko faszystom i sanacji. Pisywał do „Sygnałów”, działał w Klubach Demokratycznych, należał do Stronnictwa Demokratycznego, a teraz odrodzone SD weszło do Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. A on był w tym wszystkim, w samym środku, w tyglu nowego polskiego ładu jako referent w resorcie kultury i sztuki. Blisko samego Rzymowskiego, więc były powody do zadowolenia, a nawet do dumy. On wprost pękał z dumy, był przejęty, ale niektórzy przyjmowali swoje awanse, obecną rzeczywistość i nowy ład, który zapanował w Polsce, ze spokojem i bez napięcia, tak jakby to była rzecz naturalna. Na przykład kapitan Władysław Sawicki sprawiał wrażenie, jakby wcale go to nie obchodziło, jakby nie było w tym wszystkim – w lubelskiej Polsce, w reformie rolnej i socjalnej, w zniszczeniu burżuazji i pogrzebaniu starego porządku – niczego zaskakującego. Nie wykazywał rewolucyjnego podniecenia, sprawiał za to wrażenie maszyny, która z żelazną konsekwencją, w rytmie równo pracującego motoru zmieniała kraj i wprowadzała nowy ład. Zawsze taki był i imponował mu tym zimnym, mechanicznym spokojem, bez niepotrzebnej podniety i egzaltacji ruszał z posad bryłę

świata. Jakże mu zaimponował, kiedy nie tak dawno powiedział mu: „ty, Leszek, daj sobie spokój z tą zmianą partii, ty dalej wykonuj swoją dobrą robotę w Stronnictwie! My jesteśmy jednolitym, demokratycznym, antyfaszystowskim frontem, razem zmieniamy Polskę i nieważne, czy jesteśmy z tej, czy innej partii albo stronnictwa, które tworzą Krajową Radę Narodową i PKWN. Jesteśmy razem, choć nie wszyscy są tak mocni kadrowo jak PPR. Dlatego ty, jako świadomy przedstawiciel demokratycznej inteligencji jesteś niezwykle ważny, bo umacniasz ideowe skrzydło inteligencji pracującej, która może się odnaleźć właśnie w SD”!

Ależ on to, kurwa, pięknie powiedział! Ile go ta przemowa nauczyła! Patrzył z zazdrością na człowieka, który pochodził z chłopskiej rodziny, ale którego ciężka praca i odbyte w Moskwie kursy wyrzeźbiły jak posąg nowych czasów. Sawicki jawił mu się właśnie jako postać ze spiżu, kolos, jeden z wielu kolosów, którzy zrobią porządek z sikorzakami i całą resztą rozbitków z sanacyjnej łajby. Oczywiście z tymi, którzy nie rozumieją, że nastał nowy ład, nowa, demokratyczna Polska, nowe czasy. Tym, którym sanacja śmierdziała, trzeba oczywiście dać szansę przyłączenia się do postępowego marszu, ale jasne jest, że nie wszyscy z niej skorzystają. Przechodził właśnie ulica Krótką, kiedy pod budynek Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa zajechał samochód, z którego wyprowadzono młodego człowieka, o ile nie popełnił zbrodni, to nowa Polska poda mu pomocną dłoń.

\*\*\*

Kaprala Białego trzymali jakiś czas w ruskiej jednostce, w czymś, co było jak jakiś kantorek albo składzik. A może to była szkolna koza? Możliwe, bo przed wojną budynek należał do szkoły, a teraz stacjonowało tam NKWD. Siedział i czekał, bo po

wyjeździe Aloszy Smirnowa jakby o nim zapomnieli. Ale nie było na co narzekać, bo przebywał nie tylko w tej pakamerze, lecz także na dziedzińcu. Jadł, miał dach nad głową, miał gdzie rozprostować kości i przede wszystkim nie wysłali go na białe niedźwiedzie. Tylko co dalej?

W końcu przyjechali po niego Polacy. Gazikiem zajechali, takim kanciastym, mówili po drodze, że amerykański był ten automobil. Starszy szeregowy siedział za kierownikiem, a obok niego kapral. Mundury mieli drelichowe, zielone, z rogatywkami, podobne do tych, które były we wrześniu trzydziestego dziewiątego, w rękach pepeszki, na ramionach biało-czerwone opaski. Na czapkach orzełki, jakieś dziwne, jak kury i bez korony. Ale byli Polakami i powiedzieli, że mają go zabrać do Lublina, do Urzędu Bezpieczeństwa, a tam ktoś z MO na niego miał czekać.

– Z czego? – zdziwił się Biały.

– No przecież, że z MO.

– A co to jest MO?

– MO, to Milicja Obywatelska – odpowiedział kapral.

– Ale tak dokładnie?

– No milicja to milicja – wspomógł kaprala kierowca. – My na ten przykład jesteśmy milicjanci.

– Ale co to dokładnie znaczy? – powtórzył pytanie Biały.

– No znaczy to, że... – kierowcy brakowało słów – że to ludowa policja! Jest nowa Polska, władza ludowa, nowe Wojsko Polskie, też ludowe, a nie sanacyjne, no i znakiem tego policja też musi być nowa i ludowa.

– Głupi jesteś – ofuknął go kapral. – Policja to była państwowa. Ucisk burżuazyjnego rządu na robotników i chłopów, a milicja jest obywatelska – w końcu szkolenie prowadzone przez

oficera politycznego na coś się przydało – znaczy się dla obywateli, dla wszystkich i dla każdego z osobna!

– Ale pod kogoś ta milicja podlega, nie? – zapytał Biały.

– Pewnie, że podlega – bąknął kapral.

– Ale pod kogo, pod Ruskich, Polaków, rząd jakiś?

– No, zasadniczo podlega pod resort – odpowiedział kapral.

– Ale pod jaki resort?

– No pod resort! – wtrącił się kierowca. – Resort to... eee, no to jest resort i już!

– Konkretnie to jaki?

– Bezpieczeństwa, no a jaki? – Kapral był znudzony opowiadaniem o oczywistych oczywistościach, które były, choć dokładnie nie wiedział, jak funkcjonowały. – Jak ktoś mówi „resort”, to od razu samo przez się rozumie, że Resort Bezpieczeństwa Publicznego.

– I kto stoi na jego czele?

– Kierownikiem jest towarzysz Radkiewicz, a komendantem naszym generał Józwiak – odpowiedział kapral stanowczym głosem. – Co jeszcze chcesz wiedzieć.

– On, ten Radkiewicz, to jest ministrem w rządzie?

– Rząd to przez Zaleszczyki uciekł, tera jest Krajowa Rada Narodowa! – Kapral wyciągnął woreczek z tytoniem, wydarł kawałek gazety, którą trzymał złożoną w mundurowej bluzie i zapytał: – Zapalisz?

– Zapalę.

Więc palili, aż Biały popsuł te miłe chwile.

– Czego tam ode mnie będą chcieli?

– A bo ja wiem? – odparł kapral mocno podirytowanym głosem. – Chyba nie na zamek.



Czyli nie wieźli go do więzienia, zresztą powinien się tego domyślać, bo inaczej by go traktowali.

– Bo na zamku dalej więzienie – wyjaśnił kierowca, kiedy stali na skrzyżowaniu dróg i czekali, aż kierująca ruchem dziewczyna puści wojskową kolumnę. Zobaczył, że czołgi i ciężarówki miały białe orły, tak samo koślawe jak na rogatywkach. Ale polskie. Polskie piosenki śpiewali, gdy tak jechali. Nowe i stare, te same co wojsko śpiewało na manewrach przed wojną. Może jakoś to będzie?

Dojechali na miejsce. Na budynku wisiały tabliczki, na jednej z nich nazwa ulicy – Krótka, a na drugiej, większej, że budynek mieści Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie.

## **Warszawa, Kamionek i Grochów**

Żołnierze stacjonujący w wysadzonej przez Niemców Państwowej Wytwórni Aparatów Telefonicznych i Telegraficznych słyszeli strzały, które doszły z drugiej strony jeziora Kamionkowskiego. Park, Zieleniecka, a może aleja Waszyngtona – gdzieś tam, nie dalej. Dalej to były Wisła i Saska Kępa, więcej zresztą o tej okolicy nie wiedzieli, poza tym te strzały nie za bardzo ich obeszły. Żadna tam poważna palba, parę strzałów pistoletowych, kto by się przejmował paroma puknięciami? Nikt. Bo cały czas strzelano, a z drugiego brzegu Niemcy potrafili wystrzeliwać salwy nie tylko z armat, lecz także ze swoich katusz, które ryczały jak krowy, na co artyleria radziecka odpowiadała ogniem albo wysłaniem samolotów.

Dopiero po jakimś kwadransie rozdzwonił się telefon polowy, bo ogłoszono alarm, i to taki poważniejszy! Plutonowy Leśniewski szedł przez plac, kiedy dogonił go oficer polityczny porucznik Lewicki.

– Ruszajcie się, plutonowy, bo to nie ćwiczenia! – krzyczał z błyskiem w oku, bo nie był frontowcem, tylko politrukiem po szkoleniu, który nie znał innych alarmów jak tylko te ćwiczebne. Pewnie dlatego był zesrany, jakby faszyci chcieli przejść przez Wisłę albo sikorszczaki zrzuciły skoczków, tę brygadę, której tak wyglądali w Warszawie w powstaniu, w każdym razie jakieś zło, o którym porucznik Lewicki głądził na organizowanych z zapalem zebraniach. Dopiero sierżant Dowgiałło, który biegł ze swoją pepeszą, wyjaśnił mu, co się stało i że sprawa jest taka więcej poważna.

– Zamach! Napadli na radzieckich żołnierzy i jakiegoś oficera, ważnego chyba. Jatkę bandyci urządzili, zasadzkę, bo to był konwój wiozący więźnia.

– Ale gdzie?

– Gdzieś... no gdzieś, no nie wiem, na Kępie jakiejś. – Sierżant, jak i cała reszta, nie był z Warszawy. – Mówią, że w parku! – Po chwili zrobił groźną minę i ryknął: – A was, plutonowy, co to obchodzi? Bierz, Leśniewski, dwóch szeregowych i idźcie o tam – machnął ręką w kierunku jeziora i parku – i patrolujcie, a jakby co, to wiecie, co macie robić!

Oczywiście, że nie wiedział, co ma robić, ale wziął dwóch szeregowych i poszli we wskazanym kierunku, bo rozkaz to rozkaz i jakoś go trzeba wykonać, a stare wojsko nie z takimi poleceniami sobie radziło.

\*\*\*

Obity przez Ciechaniaka Wincenty Rybski cierpiał, i najchętniej zwaliłby się gdzieś w krzaki i odpoczął. Ale nie miał wyjścia, musiał brnąć przez park, który dzisiaj był dla niego wielki jak afrykańska puszcza, którą musieli przemierzyć Staś i Nel. Ze spuchniętą twarzą, obitymi nerkami i nadgarstkami pokancerowanymi przez kajdanki był jak statek, który może nie płynął po

zbyt wzburzonych falach, ale miał przetrącony ster. Miotło nim jak Żydem po pustym sklepie – tak by powiedział Zyga Stolarczyk i byłaby w tym zaledwie połowa prawdy. Bo starozakonny kupiec w pustym sklepie miotałby się tylko przez krótką chwilę, gdyż błyskawicznie zorientowałby się, co robić, pod jaki adres pójść, gdzie dostać kredyt, a gdzie kupić towar. Tymczasem w głowie Rybskiego panował chaos, bo nie potrafił wyrzucić z niej tego, co wydarzyło się w ostatnich godzinach: spotkania z Olą, które okazało się ubecką pułapką, katowania przez Władka Ciechaniaka, znalezienia się w rękach Hermanna Ahrego, który okazał się nie kapitanem Abwehry, tylko Wsiewołodem Kolickim – majorem sowieckiego wywiadu wojskowego. Później zaskoczyła go jego propozycja, by przystąpić do zwycięzców i tworzyć nowy, sowiecki ład, a na koniec był świadkiem szaleńczego czynu Oli, która rozwalila majora i jego obstawę. Tak jak żydowski kupiec w pustym sklepie musiał włączyć myślenie, stworzyć plan, ale jak to zrobić, skoro ma się kłopoty z utrzymaniem równowagi i nie tylko wygląda się, ale też jest się jak majster, który przepił wypłatę. I to była ta myśl! Kieszenie kurtki obciążały mu dwa przedmioty – rewolwer, który dostał od Oli, i piersiówka z wódką, którą razem z papierosami dał mu Kolicki. Oblał się wódką, tak żeby śmierdziało od niego na odległość, po czym i piersiówkę, i broń wyrzucił do Jeziorka Kamionkowskiego. Pijak powinien śmierdzieć wódką, ale na pewno nie powinien mieć przy sobie broni i zbyt eleganckiej piersiówki. A ta właśnie taka była i może kiedyś ktoś ją wyłowi z dna jeziora i będzie jej używał, nie znając jej historii.

\*\*\*

Stasiek Rybski był jak samolot, który stracił paliwo. Napędzały go najpierw emocje ucieczki, a później chęć wzięcia odwetu na Kosiorku. Kiedy uciekli i był już całkiem pewien, że to nie Kosio-

rek zdradził, to jakby uszło z niego powietrze. Górę wzięły zmęczenie i niemoc. Pytań, na które nie znał odpowiedzi, było tak wiele, że kroila się łamigłówka nie dla niego, tylko dla starszego brata. Co by Wicek zrobił na jego miejscu? Jakie rozwiązanie by znalazł, co by doradził? Na pewno by ich z tego wyciągnął, oczywiście jeśli żyje. I to było najważniejsze pytanie bez odpowiedzi. Mieczysława Kosiorka albo to nie obchodziło, albo tylko udawał, w każdym razie nie myślał ani o Wicku, ani o zemście, tylko o tym, jak uratować skórę.

– Na pewno nie pójdziemy do mnie na Rybną – pomyślał na głos – bo cholera wie, czy nie mamy tam jakiej wizytacji. Czekał tu z kwadransik, ale nie ruszał się, kochany, bez nerwowych ruchów. Idę na dzielnicę załatwić ci kwaterę i wysłać na Rybną kogoś sprytnego, kto sprawdzi, czy możemy tam spokojnie wrócić. Pół godzinki, kochany, i jestem z powrotem – spojrzał na zegarek – nnnno może trzy kwadransiki, bo nogi już nie te co kiedyś. – Kosiorek próbował się uśmiechnąć, ale jakoś słabo mu to wyszło, bo to wszystko, co ich spotkało, przytłaczało nawet jego, starego szemranego, nie dając wziąć w płuca porządnego oddechu. – W każdym bądź razie muszę się uwinąć przed godziną policyjną – zakończył już bez uśmiechu i poszedł.

Czas się dłużył Staśkowi, i wydawało mu się, że Kosiorek przepadł na długie godziny. Kiedy wrócił, popukał potężnym paluchem w szkiełko zegarka i powiedział:

- Miało być w trzy kwadransiki i jest! Bujamy się stąd!
- Na Rybną?
- Nie, mój drogi, tam była jakaś aferka, zatem przekomarujesz dzisiaj na Osowskiej.
- Jaka aferka?
- Nie wiem, dlatego odstawię cię na Osowską pod sprawdzony adres.
- A pan?

– O mnie się nie martw, ja sobie radę dam, chłopaku! Tobie się należy odpoczynek, a ja muszę się troszkę pokręcić. Jak cię zamelinuję, to jeszcze wpadnę to tu, to tam, rozejrzę się, zasięgnę języka.

Stasiek wylądował w kamieniczce przy Osowskiej, w mieszkaniu małowównego typu, który wyglądał na zawodowego bandytę, ale w końcu czego można się było spodziewać po koneksjach Kosiorka? Łysy, niedogolony, mimo chłodnego wieczoru w samym podkoszulku, ale jego ramion nie pokrywały, jak przystało na przestępcę, żadne tatuaże.

– Od Mieczysława Kosiorka jesteś...? – zapytał, jakby nie wiedział, kto go tutaj przyprowadził.

Stasiek przytaknął, a typ zlustrował go wzrokiem i dalej milczał. Minął z kwadrans, kiedy odezwał się po raz kolejny.

– Po tamtej stronie byłeś, awanturkę z koleżkami robiliście?

– Tak, w powstaniu byłem – odpowiedział Stasiek.

– Znaczy się robiłeś awanturkę – zachrypiał typ.

I znów milczał z parę minut.

Rybcki starał się być jak powietrze, nie odzywał się, zresztą myślał o tym, co znaczyły słowa Kosiorka, że na Rybnej była aferka. Może pojawił się tam jego brat Wicek? Ale czemu aferka? Zgarnęli go? Cholera, może tak było i Kosiorek to przemilczał? Gryzło go to. Nie za długo jednak, bo typ wstał od stołu, podszedł do szafki pod oknem, takiej pod parapetem, w której trzymało się rzeczy potrzebujące chłodu. Wyjął z niej kawałek kiełbasy i wódkę, postawił na stole i dołożył do tego dwa kieliszki.

– Popijasz? – zapytał.

Stasiek skinął głową, bo skoro nie pił wódki, to musiał popijać. Typ w podkoszulku w milczeniu dołożył do zestawu „kiełbasa, wódka, kieliszki” syfon z wodą sodową oraz szklanke.

– Woda sodowa z tych stron – wyjaśnił – dobre źródło. Okoliczne. – I znów zapadła cisza, którą przerwało odbicie flaszki. – A wódka nie wiem skąd. Może z Wawra, a może z Rembertowa, a może nawet i z Otwocka? Jakoś tak, bo mówił, że podwarszawska. Ale też zdrowa. Żaden wynalazek, szwagier mi dostarcza od miesiący i jakoś widzę. A kiełbasa z Karczewa jest.

Rozgadał się niemożliwie, ale umilkł, jakby się wygadał za wszystkie czasy, wypili flaszkę w milczeniu, dopiero przy drugiej zaczął znowu nawijać.

\*\*\*

Plutonowy Leśniewski potrafił trzymać gębę na kłódkę i miał nadzieję, że szeregowcy, z którymi był na patrolu, także. Bo ten patrol się skończył tak, że przycupnęli w krzakach i czekali w miejscu, gdzie można było przejść groblą w kierunku Grochowskiej. Ta ulica z ruinami fabryki, w której stacjonowali, Grochowska się nazywała, chociaż ta okolica to Kamionek, tak miejscowi, znaczy się warszawiaki, mówili. No więc tam się przyczaili, na tej grobli, co do Grochowskiej prawie dochodziła, i czekali, aż to wszystko odwołają. Aż nagle nadszedł człowiek! Więc zarepetowali broń: pepeszkę i dwa mosiny i kazali mu stanąć. A on jeszcze parę kroków zrobił i wyrznął jak długi, prosto w błoto. Szedł tak więcej wężykiem, ale że był aż tak pijany? No był! Środa, centralnie środek tygodnia, a on jakby z tańców albo z wesela wracał! Śmierdziało od niego okrutnie, a upadek musiał być już nie pierwszy, bo gębę miał poharataną. Obszukali go dla świętego spokoju, ale pijaczyna nie miał nic oprócz papierosów. Machnął ręką, jednego wsadził sobie w ten brudny, poharatany ryj, a resztę pozwolił im zabrać. Zapalili i tak się rozstali. W końcu kiedy już się ciemno zrobiło, to ich odwołali, a polityczny powiedział, że mówią, że to była jakaś banda z czarnego opla. No i dobrze, bo ten, co go puścili i dał im papierosy, to na

kierowcę nie wyglądał, więc się tylko z szeregowcami do siebie uśmiechnęli. Potem jednak porucznik politruk dodał, że jeden z tej bandy, najbardziej poszukiwany, to miał obitą gębę i wtedy już plutonowy wymienił z szeregowcami spojrzenia bez uśmiezków. Lepiej zapomnieć o tym, że kogoś widzieli, że był jakiś człowiek, a już tym bardziej z obitą gębą. Tak lepiej dla wszystkich.

## **9 października 1944**

### **Warszawa, prawy brzeg, ulica Stalowa**

Wincenty Rybski obudził się rano z bólem. Z bólem głowy najbardziej, ale tak poza tym to z bólem wszystkiego. Za to serwis jak w najlepszym hotelu albo w szpitalu. Podano mu do łóżka śniadanie, kiedyś by kręcił nosem, ale teraz mimo bólu rzucił się na nie łapczywie. Wypił zbożówkę z mlekiem i jeszcze dolewkę dostał, i wtranżolił bułkę z masłem. Nie mógł jej zjeść w całości, bo go bolały szczęka i zęby, więc wydłubał sam mięsz, a skórkę zostawił. Wciąż był głodny, ale wpadł na pomysł, jak się dopchać: wrzucił skórki do zbożówki z mlekiem, a gdy się namoczyły, zmiękły, to i z nimi skończył, jak stary, bezzębny dziadek.

– Najedzony? – zapytał gospodarz.

– Najedzony.

Niewiele brakowało, a nie byłoby tego śniadania. Na pewno gdyby próbował się przebijać z bronią. Poszedł na Rybną do Kosiora, ostrożnie dotarł do bramy, wszedł do klatki schodowej i zapukał do drzwi. Nikt nie otwierał. Niedobrze, ale przecież Ola mówiła, że major Kolicki nie wiedział o Kosiorze i Staśku. Zszedł na dół i spojrzał w okna – były ciemne. *Szlag, nie ma ich!* – zaklął w myślach, ale wtedy przyszedł mu do głowy pomysł. Znalazł kawałek drutu, wygiętego, jakby ktoś go specjalnie wy-

modelował na wytrych. Doszedł do drzwi, zaczął grzebać w zamku i wtedy z piętra wyżej rozległ się głos:

– Nie ruszaj się, złodzieju, nie odwracaj się!

Nie ruszał się, bo tamten miał pistolet. Wincenty Rybski nie widział broni, ale odgłos przeładowania jest jedyny w swoim rodzaju, rozpoznał go bez pudła. Oparł ręce o drzwi i czekał. Podpuścił go bliżej i kiedy tamten do niego doszedł i przystawił mu lufę do pleców, odczekał i w odpowiednim momencie odwiął mu się tak, jakby nie było za nim tego dnia. Jakby go nie przesłuchiwał Ciechaniak, jakby nie było strzelaniny i krwawiącej Oli, jakby nie było tego całego fizycznego i psychicznego zmęczenia. Trafił w punkt, tak jak chciał, łokciem w czubek brody, facet zachwiał się, a po chwili dostał fangę w nos, zalał się krwią i padł na podłogę. Wicek zabrał mu pistolet i wybiegł z klatki schodowej, a później udało mu się dostać na Stalową, choć niedokładnie pod adres, o który mu chodziło, za to w stanie, którego mógł się spodziewać po brutalnym przesłuchaniu. Ledwo żył, ale co z nią? Co z Olą?

## **9 października 1944**

### **Warszawa, prawy brzeg**

Pamiętała odchodzącego Rybskiego, później kroki i pokrzykiwania żołnierzy, polskich i radzieckich, ale dominował rosyjski. Następnie ją podniesiono, dokądś jechała. Mdląła, traciła przytomność, pamiętała zapachy lekarstw, ukłucie, po którym znów straciła przytomność. Twarze w maskach chirurgicznych, znów bezwład i mgłę, która ją nieustannie otaczała. Żyła? Chyba żyła, chyba była w szpitalu.

## **Warszawa, prawy brzeg, Grochów i Kamionek**



Kiedy Kosiorek pojawił się następnego dnia przy Osowskiej i zabrał Staśka ze sobą, wiedział, że coś jest nie tak.

– Coś niewyraźnie wyglądasz, chłopaku. – Pokręcił głową.

– Jedzenie, wódka... – tłumaczył nieskładnie Stasiek.

– Jak wódeczka, to w porządku, czyż nie? – Kosiorek przyjrzał się młodemu Rybskiemu i z uśmiechem sam sobie odpowiedział: – Oj, panie harcerz, tośmy trochę z panem Karolem pociągnęli, co nie?

– Ja niepijący jestem.

– To po co piłeś?

– Ten typ namawiał, a że wyglądał jak bandzior, to nie chciałem go denerwować.

– Cykoria cię obleciała, na widok pocziwego zegarmistrza?

– To zegarmistrz? – zdziwił się Stasiek. – Dużo było u niego zegarów i zegarków, inne rzeczy, ale że zegarmistrz?

– A co myślałeś, że jakiś król dintojry? Pan Lolek, to pocziwy człowiek, ale wojna go przenicowała. Pije, facjata mu się zdefasonowała. Miał swoje przejścia, stracił bliskich. Nie wiem, co go jeszcze trzyma przy życiu, tak prawdę mówiąc, to liczyłem, że troszkę się rozerwie albo wygada, jak ktoś do jego portu na przynajmniej jeden dzień zawinie. Mówił coś?

– Kompletnie nic. Tylko polewał. Jak wypiliśmy flaszkę, to się zapytał, czy słyszałem coś o Helenie Rudnickiej. Nie słyszałem, więc walnął jeszcze ze szklanki i poszedł spać.

– To jego córka. Jedyna bliska mu osoba, która mogła przeżyć. W twoim wieku dziewczyna. Ostatni raz ją widział parę godzin przed wybuchem powstania, pojechała do koleżanki, miała wrócić wieczorem. Nie wróciła. W sumie to powinienem cię uprzedzić, ale wybac, chłopaku, był wczoraj taki młyn, że nie miałem głowy. Pokręciłem się to tu, to tam, dziś od rana na Szembeku. Niezła draka, ludzie mówili o tym, co się działo na

Saskiej Kępie, legendy normalnie tworzą. Wpadłem na wódeczkę, taką drobną, tak na dzień dobry, do szynku przy Grochowskiej i wiesz, co usłyszałem? – Nie czekając na odpowiedź, bo i skąd Stasiek miał wiedzieć, Kosiorek powiedział: – Że chłopaki z AK zrobiły na Saskiej Kępie zasadzkę na sowieckich żołnierzy wyzwolicieli. – Zaśmiał się ponuro. – Takie kozaki jesteśmy! Podobno Ruskie z nerw wychodzą, na rzęsach stają, żeby nas dorwać, taka legenda po Grochowie i Kamionku kursuje: banda z czarnego opla! Wychodzi na to, że troszkęśmy narozrabiali i że mamy sławę jak Dymsza z Kolczyńskim razem wzięci. A to niedobrze, rozgłos to ostatnie, czego potrzebujemy.

– Nie da się ukryć. A co z Wickiem?

– Gdybym wiedział, tobym od tego zaczął. Wiesz, ilu jest takich jak on, ile osób pyta i nie znajduje odpowiedzi? Nie mówię ci tego, żeby cię pocieszyć, bo to żadna pociecha, po prostu tłumaczę, jak jest. A jest tak, że ludzie setkami znikają. Za Niemca były obwieszczenia, a ruskie nie marnują papieru. Nie ma człowieka, nie ma sprawy. Z Gestapo czasem szło się jakoś wykupić, a tu... A tu nawet nie wiadomo, gdzie szukać! Czerwone skurwysyny.

– Dokąd mnie pan zabiera? – zapytał Stasiek.

– Do siebie na Rybną.

– A ta aferka?

– Aferka? Nieporozumienie towarzyskie. Chcieli mnie zrobić, to znaczy mieszkanie okraść, tylko nie wiedzieli frajerzy, że nade mną mieszka milicjant. Kokot, bo Arkadiusz Kokot się ten funkcjonariusz z bożej łaski nazywa, wystartował do gościa z pistoletem, ale odstawił totalną amatorkę. – Kosiorek się zaśmiał. – Zebrał raz na szczękę, a potem pigułę na nos! No ale wódeczkę za odwagę postawiłem, bo w końcu mnie przed okradzeniem uratował! Koniec świata, żeby mnie, człowieka z taką pozycją ktoś próbował okraść! – Zdumiony kręcił głową. – Przed

wojną nie do pomyślenia, za okupacji także samo, ale mamy nową władzę, nowy ład, nowe czasy i niewychowaną młodzież złodziejską! Ale przyjdzie czas na edukowanie, chociaż... – Kosiorek się zasepił.

– Chociaż co, panie Mieczysławie?

– Ten, co obił towarzysza milicjanta, to niezły kozak był, bo Kokot to przedwojennym policjantom mógłby buty czyścić, ale jednak sto kilo wagi zaposiadywuje i choć techniki nie ma, to w mordę dać potrafi. Znakiem tego będę musiał użyć całej swojej profesorskiej wiedzy, żeby mu adekwatny wykład skutecznić.

Słowo „adekwatny” Mieczysław Kosiorek wypowiedział tak, jakby się chciał nim pochwalić, zaimponować Staśkowi. I tak w istocie było, bo Stasiek Rybski pomyślał, że skoro Kosiorek był szoferem takich arbitrów elegancji jak Szpicbródka i Haas, to musiał się nauczyć wykwinnych słów.

## **Warszawa, prawy brzeg, Praga, ulica Stalowa**

Wincenty Rybski czuł się jak więzień, a może nawet nim był. Wszystko zależało od tego, jaka jest prawda i kto jest kim. Siedział w mieszkaniu na Stalowej i czekał, co będzie dalej. Leżał w łóżku i patrzył na swojego gospodarza, który z zainteresowaniem oglądał pistolet. Jego pistolet, zdobyczny, odebrany przy Rybnej milicjantowi.

Tym razem uciekał z bronią, bo uznał, że drugi raz numer na pijaka nie przejdzie. Ruszył w kierunku Stalowej, pod adres, który dostał na początku powstania, w Komendzie Głównej AK, w fabryce Kamlera. Dostał go od Jeżewskiego, tajemniczego faceta, z którym miał iść za Wisłę. Wyszło inaczej, ale tamten zostawił karteczkę „Nie mogłem czekać, żałuję. Na pewno jeszcze się spotkamy, my i kapitan Ahre. W imię sprawiedliwości. Sta-

lowa 26 m. 5. J.”. *Z kapitanem Ahrem już się nie spotkamy* – pomyślał Rybski – *ale warto byłoby o tym powiedzieć Jeżewskiemu*. Kim był i czym była „głęboka konspiracja”? Na pewno kimś ważnym, bo Ciechaniak, tłukąc Wicka, wymieniał to nazwisko. Ahre-Kolicki też chciał go dorwać, a major Nałęcz, oficer prowadzący z wywiadu AK, z pewnością był od niego niżej w hierarchii. Cichociemny, a może jakaś szycha z Londynu? Mało mówił, dużo słuchał, zadawał celne pytania, krótko mówiąc – budził zaufanie. I jeszcze ten list, który mu zostawił. To wszystko imponowało, a czasem jest tak, że komuś się ufa, choć zna się go parę minut. Bywa, że pierwsze wrażenie jest tak mocne, że po paru zamienionych zdaniach pójdzie się za kimś w ogień. Rybski rzadko kiedy ulegał takim egzaltacjom, ale Jeżewski był gościem, z którym mógłby pracować. Skąd to przekonanie? Może dlatego, że stał się dla niego ostatnią deską ratunku? Udało mu się szczęśliwie dojść, ale kiedy dotarł pod adres, którego szukał, do jego głowy wtargnęła myśl: a jeśli Jeżewski zaliczył wpadkę, w lokalu jest kocioł, a adres już spalony... Tylko co dalej? Robiło się późno, ciemności pomagały, słońce zachodziło i wciąż obowiązywało zaciemnienie przeciwlotnicze, ale zbliżająca się godzina milicyjna wszystko utrudniała, więc musiał coś ze sobą zrobić. Wszedł do bramy i przeczekał patrol, który przejechał ulicą, był już półprzytomny, nie zauważył nawet, czy to byli Ruscy czy Polacy, zakręciło mu się w głowie, osunął się na ziemię i stracił przytomność.

Obudził się rano, w obcym łóżku, z lekka obmyty i przebrany, bez broni, ale za to ze śniadaniem. Gospodarz, starszy mężczyzna, siedział przy stole i z wprawą manipulował przy pistolecie.

– Sowiecki – ocenił broń. – Ale pan szanowny to raczej nie z bezpieczeństwa?

– Nie, z ochrony<sup>[11]</sup> – odpowiedział Rybski zboląłymi wargami.

– No popatrz pan, bo ja bym dał sobie głowę uciąć, że z kółka różańcowego – uśmiechnął się gospodarz, który podchwycił dowcip Rybskiego. – Zawsze nocujesz pan po bramach z trefnymi klamkami w kieszeni?

– Kradną, więc dla bezpieczeństwa noszę broń przy sobie – odpowiedział Rybski.

– Dobrze, bardzo dobre – powiedział z uznaniem gospodarz. – Będę musiał zapamiętać! Pali pan? – zapytał, sięgając po papierosa.

Zapalili i wtedy gospodarz zrobił poważną minę.

– Pożartowaliśmy sobie, a teraz do rzeczy – powiedział, wypuszczając dym papierosowy. – Kim pan jest i co pan tu robił?

– To zależy, kto pyta, bo jak Urząd Bezpieczeństwa, to pistolet znalazłem na ulicy.

– Pan oczywiście sobie żartuje, bo gdybym był z UB, tobyś pan pewnie był dwie ulice dalej, przy Strzeleckiej pod ósmym, albo w jakimś innym miejscu, gdzie towarzysze z NKWD prowadzą badania takich jak pan, którzy przypadkiem znajdują sowiecką broń na ulicy.

– Sowiecką, czyli milicyjną – doprecyzował Rybski. – Facet z MO ją zgubił.

– Rozumiem, że mimo wszystko nie chce pan nic więcej powiedzieć.

– Jakie „mimo wszystko”?

– Zgarnąłem pana z bramy, ocaliłem. To jest to wszystko. Nie ma pan zaufania?

– Nie mam – odparł Rybski.

– Żartuje pan?

– Absolutnie nie. Skąd mogę wiedzieć, czy nie jestem przyjętą?

Gospodarz wykrzywił w uśmiechu twarz.

– Toś mi pan zaimponował!

– To bardzo się cieszę z tego powodu, dziękuję panu za uznanie.

– Jak to miło, kiedy kulturalni i fachowi ludzie spotkają się i mają szansę spokojnie porozmawiać. No dobrze, zatem czekamy! – westchnął gospodarz, skiepował papierosa, wstał i zapukał w drzwi. – Maleńki, chodź tu na chwilkę!

Z sąsiedniego pokoju wyłonił się potężny młody mężczyzna, który trzymał w rękach łańcuch i kajdanki. Po chwili Rybski był przykuty do łóżka i czuł się jak pies przyczepiony do budy. Niby można zrobić dwa kroki, ale nic poza tym, zresztą nie miał siły wstawać. Zrozumiał, że ma do czynienia z fachowcami, tylko nie wiedział, czy są to ludzie z UB, którzy zakładają kocioł, czy może obstawa Jeżewskiego. Miał nadzieję, że to drugie, choć ubecy mogli go niańczyć, chcąc wyciągnąć z niego jak najwięcej, przynajmniej on sam by tak zrobił.

\*\*\*

Mieczysław Kosiorek działał pełną parą, rano byli u fotografa przy Grochowskiej, a po południu wszedł do mieszkania, wymachując dokumentami.

– Masz, kochany, kenkartę, z którą elegancko zamelinuję cię na Pradze, przy Jagiellońskiej, zaraz obok katedry, a raczej koło tego, co z niej zostało. – Strapił się na wspomnienie ruin, które pozostawili po sobie Niemcy, ale już za chwilę dodał: – Uprzedziłem, że kuzyniak ze wsi przyjeżdża.

– Ze wsi?! – oburzył się Stasiek.

– Taką kenkartę ci załatwiłem, więc nie grymaś. Teraz jesteś Paweł Dybała z Piwonina, a jak ci się nie podoba, to se zmień. – Uśmiechnął się, jakby to wszystko było jakimś żartem. – A poza tym, koleżko sympatyczny, to wszyscyśmy ze wsi, a jak nie my,

to nasi rodzice, a jak nie oni, to dziadkowie! Ja się już we Warszawie urodziłem, ale parę lat wcześniej to mój Kamionek za rogatkami w charakterze wiochy figurował, więc się nie pusz, tylko grzecznie graj chłopaka ze wsi. Bodo w filmie fest babkę zagrał, to i ty dasz radę kmięcia z czworaków odstawić.

Po dojściu na miejsce poszli nie do mieszkania, tylko do komórki, którą Kosiorek miał na podwórku.

– Będziemy musieli w sprawie komisarza zrobić tak jak on, czyli jakieś dochodzenie i przesłuchanie, żeby dojść, kto go wrobił. Bo ktoś musiał, bo to była leguralna obława, trzy wozy z wojskiem, nie licząc tych, którzy mogli być w willi. Skoro nie ty i nie ja, to są trzy możliwości: Fuchs Aleksandra albo Bielański, albo Kamiński.

– Jaki Kamiński, jaki Bielański?

– Towarzysz Kamiński ze Szmulek dał melinę, ale wszystkim zawiadował niejaki Bielański, od niego zaczniemy, on zresztą też na Szmulowiźnie mieszka, bo gdzie ma mieszkać, skoro się Szmul nazywa.

Stasiek popatrzył uważnie na Kosiorka.

– Szmul się przed wojną nazywał, a teraz Janusz. Wiesz, o co chodzi, czy mam ci jeszcze objaśniać?

Nie musiał. Stasiek zdziwił się tylko, że osobą, która ukrywała Olę, był Żyd. Nie dość, że Żyd, to jeszcze komunista, który ukrywając się, prowadził podziemną działalność, bo przecież kiedy jego brat Wicek wywiózł Aleksandrę Fuchs na praską stronę, to było to jeszcze przed wybuchem powstania i za niemieckiej okupacji.

– „On, ten, co pannę Olę zamelinował, to może i porządny jest, ale nie wiem, jakie są granice tej jego porządności”, tak pan o nim mówił.

– Pamięć masz jak patefon, jakbym płytę puszczał. – Kosiorek zażartował, ale minę miał poważną. – Tak wtedy powiedziałem, co do joty się zgadza, ale nie mówiłem wtedy, że jest świnia.

– Co teraz?

– Zabawimy się w doktora.

– Co?

– No tak to. Trzeba, chłopaku, sprawę przebadać. Jak doktry, a na koniec zdecydować, czy nie trzeba zrobić jakiegoś zabiegu, piąchopirynkę podać, może nawet jakąś amputację przeprowadzić, na ten przykład głowy. – To powiedziawszy, zarządził: – Idziemy wysprzątać piwnicę. – I ku zaskoczeniu Staśka rażno wyszedł na zewnątrz.

Zeszli do piwnicy, a tam Kosiorek odszukał drzwiczki, otworzył je z kłódki i skobla i zaczął rozgarniać piach.

– Sprząta pan, teraz? – Stasiek nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Sprzątać to ja dopiero będę, a na razie muszę się do tego sprzątania przygotować. Dobrze się muszę przygotować, bo to może być bardzo poważne sprzątanie. – Stasiek stał i patrzył na Kosiorka, nie wiedząc, co powiedzieć. – Te, żołnierz jesteś czy łamaga? Nie stój tak z rozdziawioną gębą, wyjm ręce z kieszeni i mnie pomóż!

Nie zadając już żadnych pytań, Stasiek wziął deskę, którą zaczął zgarniać ziemię. Po minucie intensywnej pracy odsłonili betonową wylewkę, jeszcze parę ruchów miotłą, którą przyniósł Kosiorek, i cel ich wysiłków stał się widoczny. W rogu komórki była kłapa, Kosiorek otworzył ją i zszedł do środka. Wrócił po dłuższej chwili, nieco złorzecząc i postępując.

– Żeż kurtka na wacie, się roztyłem. Wojna nie wojna, a ja dalej rosne w siłę. – Pokręcił z niezadowoleniem głową. – Pod starą figurkę, jak jeszcze ździebko szczuplejszy byłem, było to krojone.



Wygramolił się na powierzchnię, trzymając w rękach dwa zawiniątka.

– Pestki i świnki – wyjaśnił. – Klamki mamy, ale amunicja i flota już się kończą. Poza tym to może być poważne sprzątanie. – Odchyliwszy marynarkę, odsłonił wiszący na jego piersiach pistolet maszynowy. – A na poważne sprzątanie warto zabrać rozpylacz. – Nagle spoważniał. – Ja wyrównuję rachunki, ale nie za wszelką cenę. Idziemy tam, na Szmulki, do towarzysza Kamińskiego, ale najważniejsze są nasze własne tyłki. *Ponimajesz?*

– Tak – bąknął Stasiek.

– Nie „tak”, tylko *nu da, tawariszcz kamandir!* Ech, wy młodzi, nie uczyliście się w szkole rosyjskiego, bo i po co. Był car, potem marszałek, po nim Hycler, a teraz znowu car, tylko że czerwony. I znów w szkołach będzie rosyjski, tylko ciekawe, za kogo się będą modlić przed lekcjami. Za Lenina czy za Stalina?

– Pewnie za obu.

– Niestety, ale chyba masz rację, chłopaku.

Spakowali broń i pojechali dorożką na Szmulki.

## **10 października 1944** **Warszawa, lewy brzeg**

Cywile, ranni i szpitale, wreszcie oddziały osłonowe. Wczoraj wszyscy wyszli z miasta. Prawie wszyscy, bo pod niemiecką eskortą przyjeżdżały jakieś ciężarówki z Polakami. Niektórzy wyglądali na takich z Głównej Rady Opiekuńczej, a może z magistratu, bo jeszcze szukali czegoś po ocalałych domach, pakowali i wywozili. A byli i tacy, co wyglądali na przymusowych robotników, wynosili sprzęty z domów, jakby byli wielką firmą przeprowadzkową, której klientami są ludzie w mundurach i z psami. Kiedy taka ekipa dokładnie zlustrowała dom, wtedy po-

jawiali się saperzy, albo drużyny z miotaczami ognia. Ich czwórka – doktorostwo Reichowie, sanitariuszka Krysia i strzelec Kredka – patrzyła na ten spektakl z wysokości swojej kryjówki.

– Jak długo będzie nam dane się tu ukrywać? – zapytała w końcu doktorowa, patrząc nocą na płomienie ogarniające całe kwartały miasta.

– Nie wiem, szanowna pani. Jedzenia mamy pod dostatkiem, zbieram kołdry, koce i ciepłe rzeczy, żeby przetrwać zimę. – Kredka naprawdę się starał i ze swoich wypraw, które codziennie urządzał, przynosił mnóstwo użytecznych rzeczy. – Z opałem też nie powinno być źle, meble, ramy okienne, drzwi... Skołowałem kozę, teraz szukam do niej komina, a jak trzeba, to się dosztukuje jaką rurę i będzie git! – Zauważywszy, że doktorowa patrzy na niego jakoś dziwnie, Kredka od razu dodał: – Nocą będziemy grzać, nie będzie dymu widać, a że czuć? – Uśmiechnął się po szelmowsku. – Przecież wszędzie się coś pali.

Wzrok doktorowej był jeszcze bardziej wymowny, jej mąż zaś lekko chrząknął, tylko Krysia jakby była nieobecna i nie słuchała tego, co mówił Edek. Nagle pojawił się, o co chodziło doktorowej, o co pytała.

– Oni metodycznie palą, znakują domy, nasz jeszcze nie jest przeznaczony do spalenia, ja to wszystko ogarniam, szanowni państwo. – Zrobił bardzo poważną minę i patrzył przede wszystkim na Krysię, bo mu się ona bardzo podobała, ale Krysia patrzyła w dal, jakby jej tu nie było. Kredka nie mógł wiedzieć o tym, że to, co ją teraz obchodziło, to spóźniający się jej okres. Zastanawiała się, co to oznacza, kiedy będzie miała pewność.

**15 października 1944**  
**Włochy pod Warszawą**

Lisek siedział sobie wygodnie w Podkowie Leśnej. Dom był przepełniony uchodźcami z Warszawy, ale co tam! Poza tym to same luksusy: micha, woda, kąpiel i elektryka! A po tygodniu nuda. Spotkał koleżkę z innego oddziału, który dostał się do tego rajku z Włoch. Tam się działo marniej, ale podobno przebywał tam dowódca Liska, porucznik Marek. Podobno, bo ten koleżka go nie widział, ale ktoś inny mu powiedział, i nie żaden blagier, tylko kolega z plutonu. Lisek uznał, że jego miejsce jest przy dowódcy, w końcu był jego łącznikiem, a poza tym ile można usiedzieć w jednym miejscu! Wanna z ciepłą wodą mu się znudziła, poszedł więc na Włochy, a tam się pokręcił i znalazł porucznika. Ale się porucznik Marek ucieszył!

\*\*\*

Czwórka mężczyzn stała przy oknie, dyskretnie obserwując rudowłosego chłopaka, który stał pośrodku podwórka i z niebyt mądrą miną pluł w górę. Nagle odskoczył. Plwocina minęła jego czuprynę, a on zaśmiał się jak dziki.

– I to jest, panie poruczniku, ten pana wyjątkowy człowiek? – Nałęcz miał zdeglustowaną minę. – Ten pana champion, doborowy żołnierz? – Te ostatnie słowa zabarwione były wręcz przesadnie eksponowaną kpina.

– Tak jest, panie majorze! Chciałem zauważyć, że nie wysyłałyśmy go do Wiednia na bal debiutantów... – Zauważywszy, że major Nałęcz czerwienieje na twarzy, a pozostali oficerowie wyglądają na skonfundowanych, porucznik Marek szybko zmienił ton. – Panie majorze, panowie! Lisek to świetny żołnierz, choć nie chciałem, by taki dzieciak strzelał, ale to wszystko było sytuacją nadzwyczajną. Teraz także ją mamy, bo dwóch doskonałych ludzi, dwóch ochotników, poszło do miasta i nie wróciło, a kapral Lisek...

– Starszy strzelec Lisek... – poprawił Nałęcz porucznika i westchnął ciężko. – Już dość pan tego swojego Luxtorpedę reklamował z całych sił, że szybki i odważny.

– Bo strzelec Lisek jest szybki i odważny. – Porucznik z trudem powstrzymywał nerwy, był świetnym dowódcą kompanii, ale dyplomacji i cierpliwości musiał się jeszcze uczyć. – Kapitan Solski może to potwierdzić, Lisek kursował między moją placówką a sztabem, poczta, meldunki. Byliśmy i jesteśmy go pewni!

Kapitan Solski, wyglądający na kogoś, kto kojarzyłby się raczej z brutalnym kapralem, a nie z oficerem, skinął potakująco głową.

– Porucznik Marek ma rację, Lisek to najlepszy łącznik, jakiego znałem – powiedział dość wysokim głosem, który zdecydowanie nie pasował do jego twarzy i sylwetki. – Majorze Nałęcz, polecam go jak samego siebie!

Major Nałęcz spojrzał na nich badawczym wzrokiem, po czym powiedział nie do nich, ale do czwartego mężczyzny, szpakowatego z wydatnym nosem, ubranego w prochowiec ściśnięty w pasie, jakby to był wojskowy płaszcz, a nie cywilne ubranie.

– Decyzja należy do pana pułkownika, to zlecenie sztabu, a my tylko mamy je wykonać!

Oficer w prochowcu uniósł brwi do góry i wbił wzrok w Nałęcza.

– Unika pan decyzji, panie majorze? – zapytał nieco podniesionym głosem. – Nie jest pan pewny opinii oficerów, którzy najlepiej znają żołnierza i obstawali przy nim od samego początku?

– Ja już niczego nie jestem pewien, panie pułkowniku! – powiedział Nałęcz, wymownie zerkając za okno, gdzie rudowłosy pętał urządził sobie zabawę polegającą na rzucaniu scyzorykiem w drzewo. – Nie jestem już pewien aliantów, nie jestem

pewien słuszności naszych decyzji sztabowych... – Były jeszcze kolejne „nie jestem pewien”, ale pułkownik uniósł rękę w górę, jakby chciał powiedzieć „stop!”.

– Panie majorze, to nie czas na takie dywagacje, pana wątpliwości do niczego nas w tej chwili nie doprowadzą. Od oficera wywiadu oczekuję rozwiązań niezwykłych, nieoczywistych, zaskakujących. Słucham pana!

Major Nałęcz przełknął ślinę, poczuł się źle, bo zdał sobie sprawę, że jako zawodowy oficer, jako major Wojska Polskiego i doświadczony dwójkarz nie powinien sobie pozwalać na takie przemowy. Zachował się jak, nie przymierzając, komisarz Rybski, który wiecznie miał wątpliwości, pewnie jak wielu, ale jak żaden potrafił o nich mówić w obecności przełożonych.

– Sądzę, panie pułkowniku, że w obecnej sytuacji nie mamy wyboru, uważam jednak, że starszy strzelec Lisek potrzebuje kilku dni, najlepiej tygodnia przygotowania. Trzeba mu dokładnie objaśnić, co ma do zrobienia – skończył i czekał na decyzję pułkownika.

– Zatem, panowie, wykorzystajmy ten czas jak najlepiej – powiedział pułkownik. – Mówiliście, panowie, że miał być awansowany, odznaczony, ale do tego nie doszło. Proszę nadrobić stracony czas, to podbuduje jego morale, które, jak panowie mówią, jest i tak niezwykle wysokie. Zorganizujmy to gdzieś, oczywiście nie w tym miejscu. Czekam, panowie, na wieści, czołem! – Zasalutował do kapelusza, który założył na głowę, i wyszedł. Przed drzwiami czekało na niego dwóch ludzi z obstawy, rzucili papierosy, obciągnęli kurtki i poszli ze swoim szefem.

**Warszawa, lewy brzeg, Śródmieście**

Wokół ruin kamienicy, w której ukrywali się Reichowie, Krysia i Kredka, robiło się coraz goręcej. Otaczały ich płomienie i dym z domów, które niszczyli Niemcy. Przez cały dzień słychać było wybuchy, zdawało się, że szwabskie komanda są już przy sąsiednich kwartałach, że lada chwila dojdą do nich, ale strzelec Kredka uspokajał, że wszystko ma pod kontrolą. Chodził codziennie na patrole, patrzył czy na sąsiednich ulicach nie pojawiają się znaki, które zwiastować miały wyburzanie i podpalanie. Przy okazji przynosił też rzeczy, które mogłyby im się przydać. Na prośbę Krysi rozglądał się za lekarstwami, bo doktor Reich wyglądał coraz słabiej. Sanitariuszka zapomniała o tym, że zatrzymał jej się okres, teraz skoncentrowana była już nie na sobie, ale na doktorze. Zresztą jak jej się o tym przypominało, to przecież wiele dziewczyn miało ten problem. Pewnie co druga byłaby w ciąży, gdyby opóźnianie się miesiączki miało o tym świadczyć. „Nerwy, ciężka praca, niedożywienie – zwykła sprawa, moje panie” – tłumaczyła doktor Krzyżanowska z Terminusa.

– Panie doktorze, co panu jest? – Krysia otarła Julianowi Reichowi czoło.

– Nie wiem, drogie dziecko, jestem doktorem chemii, a nie medycyny. – Reich zdobył się na dowcip. – Ty jako siostra, która pracowała w szpitalu, wiesz o tym więcej niż ja.

Krysia oczywiście przytaknęła, ale prawda była taka, że umiała wynosić rannych spod niemieckiego ognia, opatrywać rany, nawet szyc poszarpane ciało, dawać zastrzyki. Z wielkim oddaniem praktykowała to, czego jako studentka polonistyki nauczyła się na kursach sanitarnych, oraz wykonywała polecenia lekarzy i doświadczonych pielęgniarek. Robiła teraz dobrą minę do złej gry i wybierała lekarstwa spośród różnych, często nieznanym sobie medykamentów, które znosił Kredka.

## Warszawa, prawy brzeg, ulica Stalowa

Rybskiego obudziło pukanie do drzwi. Nie zwyczajne, tylko jak morsem, konspiracyjne trzy uderzenia, pauza, uderzenie, pauza i dwa szybkie. Przerwa i sekwencja się powtórzyła jeszcze raz, dopiero wtedy drzwi zostały otwarte i w sieni zaczął się jakiś ruch.

– Myślałem, że to jakiś pijak – usłyszał rozmowę za drzwiami – bo nawet śmierdział wódką, jak go obszukiwałem.

Jego gospodarz spowiadał się, raportował, to znaczy, że przyszedł ktoś ważniejszy od niego, ktoś decyzyjny, i jest nadzieja, że po blisko tygodniu gnicia w końcu będzie albo w tę, albo we w tę. Drzwi się uchyliły i do środka wszedł mężczyzna po czterdziestce, wysoki, z mocno zarysowaną szczęką i dość wydatnym nosem. Wtedy, w sierpniu w fabryce Kamlera, szpakowate włosy zaczesywał do góry na brylantynę, a teraz miał ścięte na krótko, niemal do skóry. Ale to był on – Jeżewski. Nie zadawał pytań, powiedział tylko:

– Dobrze pana widzieć, komisarzu. – Po czym dodał: – Byłem kilka dni w terenie, a tu została moja obstawa, takie mamy zasady. Zresztą pan też, jak mi mówiono, przestrzegał konspiracyjnej etykiety. Nie jest z tym wygodnie, ale tak trzeba. Mam nadzieję, że otrzymał pan, jak na te okoliczności, właściwą opiekę. – Jeżewski poczęstował Rybskiego papierosem i zapytał: – Co chciałby pan wiedzieć?

– Dobre pytanie – odpowiedział Rybski. – I pewnie myśli pan, że zapytam o to, kim pan jest, co to jest ta głęboka konspiracja, o której mówiliście z Nałęczem u Kamlera, co pan robi i czego będzie ode mnie chciał, ale mnie przede wszystkim interesuje to, co się stało z moimi bliskimi, a na to pytanie pan z pewnością nie potrafi mi odpowiedzieć, chyba że podrzucę panu parę wiadomości.

– Niech pan opowiada!

I komisarz Wincenty Rybski zaczął opowiadać o tym, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, a Jeżewski pilnie słuchał. Kiedy Rybski skończył, powiedział:

– To wszystko jest niezwykle ważne, więc będę miał do pana pytania, wiele pytań. Niestety, nic nie wiem o panie Fuchs, pańskim bracie Stanisławie ani o Mieczysławie Kosioru. Potrzebuję na to czasu, podobnie jak pański organizm potrzebuje lekarza, wcześniej chłopcy nie mogli go sprowadzić, bo to by była dekonspiracja naszego zaufanego medyka, rozumie pan.

Rozumiał, choć wciąż czuł się podle, na pewno lekarz bardziej potrzebny był Oli, chyba ją odratowali? Powinni i pewno jest w jakimś szpitalu, przynajmniej taką miał nadzieję.

### **Warszawa, prawy brzeg, Szpital Przemienia przy ulicy Boremlowskiej**

Zemdlała, bo była słaba. Nie bili, nie szarpali, byli stanowczy, ale nic ponadto. I w kółko, na okrągło pytali wciąż o to samo, a ona odpowiadała. Zawsze tak samo, gdyby było to na piśmie, to pewnie tylko przecinkami mogłyby się jej zeznania różnić.

Funkcjonariusza policji Rybskiego znała sprzed wojny. Skąd? Bo była z jego szefem, komisarzem Kornelem Strasburgerem. Co się z nim dzieje? Zmobilizowano go, wyjechał z Polski, mówią, że konwojował Bank Narodowy. Nie, nie miała kontaktu. Nie. Żadnego kontaktu, nie wie, czy żyje. Ona się w jego sprawach nie rozeznawała, przystojny był, męski, szykowny. Żydówka i oficer policji? Do śmierci Piłsudskiego Żydzi nie mieli kłopotów, poza tym nie była jego żoną, a w dodatku on wystąpił z policji, został prywatnym detektywem. Dlaczego? Polityka. Co to znaczyło? Tak mówił. Nie dogadywał się z szefami.



Tak, znała komunistów. To znaczy nie wie, czy poeta Broniewski był komunistą, ale sympatyzował z nimi. Znała go, bo wielu artystów znała. Na pewno Lucek Szenwald. Skąd wie? Nie krył się z tym, bo pisał dla Czerwonej Latarni, to był taki lewicowy kabaret. Nie, nie wie, co się z nim stało. Zginął?

Jak to się stało, że w czasie wojny mieszkała z Wincentym Rybskim? Kolaborantem? Nie był kolaborantem, uratował ją z getta. Raz byli szmalcownicy, zwykli bandyci i granatowi policjanci. Czy może więcej opowiedzieć o tym niemieckim policjancie Jungu? Już przecież mówiła, że gdyby nie on, to by przepadła i Rybskiego też by pewnie zabili. Czemu ich uratował? Bo to był przedwojenny policjant z urzędu śledczego. We czwórkę służyli. Strasburger, Rybski, Jung i Stolarczyk. Czym się zajmowali? Głośne śledztwa, gazety o tym pisały, chyba żadna tajemnica. A w czasie wojny? Jung się pojawił i zniknął, Rybski nie mówił, co się z nim stało. Nie, nie wspominał.

Potem pojawił się niemiecki oficer nazwiskiem Ahre. Tak, przyznał się jej, że jest radzieckim wywiadowcą. Nie mówiła Rybskiemu, kim jest. Zaufał jej, dała słowo, nie mogła go złać. Nie wie, co robił poza tym, że zbierał informacje o Niemcach. Czy coś mówił o Polakach, czy miał inne kontakty? Nic o tym nie mówił. Nic od niej nie chciał, czasem pytał o Rybskiego, ale ten jej się nie zwierzał, co robi. Mówił jej, żeby się nie interesowała, że tak będzie lepiej. Przed powstaniem wywiózł ją na Pragę, mieszkała u komunisty, tak go przedstawiono.

Kiedy weszła Armia Czerwona, zobaczyła Ahrego na ulicy, już w sowieckim mundurze. Podeszła do niego, a on przedstawił się jej nazwiskiem Kolicki. Od razu zapytał ją o Rybskiego. Nie wiedziała, co się z nim stało, nie miała pojęcia, czy żyje, bo był na tamtym brzegu, gdzie działo się piekło. Czy ktoś przeżył, ocalał? Ale obiecała, że się zgłosi, jeśli będzie coś wiedziała, bo Kolicki dał oficerskie słowo honoru, że Rybskiemu nic z jego strony nie

grozi. Powiedział, że ma do niego sprawę, ważną dla nich obu, ważną dla Polski. Podał jej adres, Jagiellońska 17, radziecka wojskowa komenda miasta. Niespodziewanie spotkała Rybskiego i umówiła go z Kolickim, a ten kazał go zatrzymać. Dlaczego? Wie tylko, że przesłuchiwał Rybskiego funkcjonariusz UB Władysław Ciechaniak. Zdziwiło ją to, bo to był przedwojenny bandyta, w czasie wojny zajmował się szmalcownictwem, zresztą major Kolicki przeproszał w samochodzie Rybskiego, tłumaczył, że to miała być przyjacielska rozmowa, a Ciechaniak przekroczył kompetencje. Sam postanowił po przyjacielsku porozmawiać z Rybskim i kazał kierowcy pojechać do parku Skaryszewskiego. Tam pili wódkę, palili papierosy i rozmawiali. Wyglądało, jakby się na coś umawiali, że jakby major Kolicki Rybskiego do czegoś przekonał, podali sobie ręce i wtedy stało się. Ona też została postrzelona i przeżyła, jak jeden z ludzi z obstawy, ale ona jest w szpitalu, a ten żołnierz zmarł w ambulansie.

Notowali, notowali, notowali, a później po raz kolejny pytali o to samo.

## **Warszawa, prawy brzeg, ulica Stalowa**

Doktor przebadał Rybskiego i z uśmiechem powiedział:

– Będzie pan żyć!

Żartowniś, cholera jasna! Dał jakieś lekarstwa, opatrzył, zalecił odpoczynek. Ale o odpoczynku nie było mowy, jak zapowiadał Jeżewski, teraz przyszedł czas na zadawanie pytań. Było ich wiele, ale najważniejszy był notes Ahrego-Kolickiego, który Rybski zdobył w trakcie powstania.

– Co się stało z tym notesem?

– Ma go mój brat Stasiek.

– Gdzie go możemy znaleźć?

– Nie mam pojęcia, powinien być zamelinowany u Mieczysława Kosiorka, ufam mu, to solidna firma, gdyby kiedyś nie był przestępcą i miał wykształcenie, to pewnie mógłby być ministrem – zażartował Rybski.

– Chętnie bym go poznał, ale najchętniej pańskiego brata. I nie będę ukrywał, że chodzi mi przede wszystkim o notes. Wie pan doskonale, co się wydarzyło na Poznańskiej. – Wiedział, to właśnie tam widział Kolickiego w mundurze Abwehry, gestapowców i ludzi z AL, to tam Portugalczyk spłacił dług wdzięczności i tylko ranił go, ocalając mu tym samym życie. Na Poznańskiej było tajne archiwum, w którym trzymano ważne dokumenty, głównie papiery kontrwywiadu. Wpadło wtedy aż siedem osób, mnóstwo kontaktów zostało spalonych, ale co dokładnie straciła Armia Krajowa? Jeżewski mu opowiedział: – Mieliśmy listę współpracowników Gestapo, w tym także członków PPR. Bezcenna rzecz dla komunistów, po pierwsze kompromitacja i prawda o ich wojennych powiązaniach i sposobie walki z legalnym rządem, jego delegaturą na kraj i Armią Krajową, a do tego ludzie spoza ich struktur. Gdyby chodziło tylko o to, że postawią pod ścianą konfidentów, toby nie było problemu, ale oni wielu z nich zrobią swoimi informatorami. Dadzą im propozycję nie do odrzucenia i pozyskają groźnych agentów, których będą prowadzić na krótkiej smyczy. Nie cała lista poleciała do Moskwy, część polscy komuniści zostawili tylko dla siebie, traktując to jako swój kapitał albo polisę ubezpieczeniową, a może chcieli mieć przed Rosjanami parę swoich tajemnic i nie dawać im zbyt wielu kart do ręki? Kolicki dotarł jednak do tego spisu i sporządził notatki, miał to nadać do Moskwy drogą radiową, ale...

– Ale w dniu wybuchu powstania ktoś sprzątnął jego radiooperatorkę?

– Otóż to, ktoś na Żoliborzu zastrzelił aktoreczkę z niemieckich teatrzyków, Martę Falską albo, jak kto woli, Fräulein Welle. Nie wiem, jak pan na nią trafił, ale dzięki temu mamy jeszcze szansę w tej przegranej wojnie wygrać jakąś bitwę. A teraz idźmy po notes!

Pół godziny później byli na Rybnej, Kosiorek otworzył drzwi i prawie krzyknął z radości, wyściskał Rybskiego.

– Żyjesz pan! Jak Boga jedyne go Kocham, żyjesz pan! – Kosiorek przeżegnał się, co robił wyłącznie w kościele, do którego chadzał jedynie na chrzciny, pierwsze komunie, śluby i pogrzeby.

– Stasiu, notes!

– Notes jest, ale brata nie ma, Stasiu jest... daleko stąd. – Kosiorek westchnął ciężko i nabrał powietrza w swoje potężne płuca i wydawało się, że zaraz będzie wielki jak balon, który startuje w zawodach o puchar Gordona Bennetta, i wypełni sobą cały pokój. W pewnym momencie wypuścił z siebie powietrze i zrobił się jak przekłuta piłka futbolowa. Spojrzał na Rybskiego smutnym wzrokiem i zaczął opowieść.

\*\*\*

Wracali ze Szmulek. W sumie dobrze, że tam poszli, bo dowiedzieli się co trzeba, tyle że byli niepotrzebnie uzbrojeni, a jeszcze gorzej, że było już zaciemnienie i godzina milicyjna. *Trzeba było gdzieś się zamelinować albo zostać na Kamionku i siedzieć na tyłku* – myślał sobie Kosiorek, kiedy razem ze Staśkiem przemykali przez praskie uliczki. *To jest proszenie się o problemy!*

– No i, kurwa, wykrakałem... – syknął Kosiorek, widząc na końcu ulicy patrol.

– Ruki wierzch! – krzyknął z dala żołdat.

– O kurwa... Ruskie... – zauważył Stasiu.

– Przecież, że nie Amerykanie – odpowiedział mu Kosiorek, po czym podniósł ręce do góry, a każdej z nich trzymał po smukłej flaszcze przezroczystego płynu. – Oni tak zawsze. Siedź cicho, nie ma cię, ja idę, mną się zajmą, spokojna głowa, jeszcze nie było przypadku, żeby...

Chciał powiedzieć: nie było jeszcze przypadku, żeby ruskie pogardzili spirytusem i słoniną, kiedy rozległa się seria. Sołdat fiknął na ziemię, po chwili drugi i trzeci. To Stasiek walił z pe-emu.

– Wiejemy! – krzyknął, nie wiadomo po co, bo obaj oddalali się od miejsca strzelaniny w tempie ekspresu.

– Wyrzuć ten automat, do cholery! – ryknął Kosiorek.

– Żywego mnie nie wezmą, rozdzielamy się – zadysponował Stasiek.

I rozdzielili się. Chłopak przeskoczył przez płot, a Kosiorek, nie mogąc zrobić podobnego manewru, wskoczył do jakiejś bramy. Kluczył po podwórkach, po czym wszedł na klatkę schodową i wybrał drzwi z narysowanymi kredą literami K+M+B 1943. Zapukał i czekał.

– Kto? – zapytał męski, twardy głos.

– Polak, katolik w potrzebie! Strzelają na ulicy, a ja nie zdążyłem przed godziną milicyjną.

Drzwi się uchyliły.

– A to co, to?

– A to...

Niczego nie trzeba było tłumaczyć, dwie flaszki wódki były solidną walutą. Dolary i marki zakazane, pieniądze niewiele znaczyły, a dobry samogon niezmiennie trzymał wysoki kurs, tak jak Kosiorek potrafił budzić zaufanie. Przesiedział noc, rozpijając z dobroczyńcami jedną flaszkę, a drugą zostawiając w podzięce, i koło siódmej był w domu. Otworzył drzwi i...

– Ożeż ty, kurde balans – sapnął na widok Staśka, który czekał za drzwiami z automatem. – Chcesz, żebym śmiertelnie zszedł na zawał?

– Wszedłem po rynnie, gdzieś się musiałem podziać – wyjaśnił Stasiek, jakby chodziło o grę w chowanego.

– A to? – Kosiorek wskazał na automat.

– Jak już go doniosłem tutaj...

– Nie mogłeś po drodze wyrzucić?

– No jakoś tak wyszło... Przepraszam, panie Mieczysławie.

– „Przepraszam, panie Mieczysławie”. – Kosiorek ciężko opadł na krzesło i otarł czoło chusteczką. – Coś ty najlepszego narobił! Po jaką cholere do nich pruleś, co my teraz zrobimy?!

– Pan na pewno coś wymyśli – odpowiedział mu ze skruszoną miną Stasiek.

\*\*\*

– No i wymyśliłem, bo co miałem nie wymyślić! – powiedział Kosiorek do Wincentego Rybskiego. – A swoją drogą to narwaniec z tego pańskiego brata! Jak Boga jedyne go kocham, takiego egzemplarza to nie widziałem. Wcześniej to on myślał, że to ja pana wsypałem, i na mnie raz z bronią, a raz z pięściami ruszył. Niestety, musiałem wtedy zadać mu, delikatnie oczywiście, piąchopyrunki – rozłożył bezradnie ręce – ale tu się należało na goły tyłek włożyć, żeby szanowny braciszek doznał oświecenia. – Kosiorek pokręcił głową.

– A po coś pan automat brał? – zapytał Rybski.

– To dobre pytanie, panie komisarzu, i mogę na nie odpowiedzieć, że gdybym wiedział, że tak będzie, tobym go nie brał. Ale z drugiej strony? Cholera wie, czy by nas nie zawinęli i byśmy teraz nie jechali na białe niedźwiedzie. Na dwoje babka wróżyła. W każdym bądź razie Stasiu ma dobre papiery, elegancką

kenkartę, ale trzeba go było odstawić w bezpieczne miejsce, jest teraz w Wilanowie i zażywa beztróskiego, wsiowego życia.

– Bezpiecznego? W Wilanowie? – Rybskiego wprost zatkało, przecież Wilanów był po drugiej stronie Wisły, po drugiej stronie frontu.

– A ilu masz tam pan ubeków i enkawudzistów, panie komisarzu? – spytał Kosiorek. – Już panu odpowiadam: zero! Zero i może po przecinku coś się znajdzie, ale zaręczam panu, że się nie będą wychylać, a już na pewno nie będą wyłapywać młodych akowców. Przynajmniej na razie.

## Lublin

Dali Białemu jeść i poszedł do łaźni. Łachy były do wyrzucenia, więc dostał jakąś przydziałową bieliznę i jakieś drelichy, spodnie od niemieckiego munduru i polską bluzę. Noc spędził na w miarę wygodnym posłaniu, a o dziewiątej zabrali go do jakiegoś oficera. Do kapitana Piotrowicza, powiedzieli z nabożeństwem i szacunkiem. Widać ktoś ważny. Czego ktoś ważny mógł chcieć od niego, od akowca, który się nie dał rozbroić, a później uciekał przed sowiecką obławą?

Wszedł do środka, w zadymionym pomieszczeniu siedział dwudziestoparolatek w wojskowym mundurze z dystynkcjami kapitana. Ospowaty, zaczesany na brylantynę blondyn palił papierosa, nie przejmując się, gdzie puszcza dym, a ten leciał wprost na Białego.

– Siadajcie, Biały. – Wskazał krzesło. – Wy nie jesteście wcale biali, tylko tacy więcej czarni – zauważył, bo trudno było nie zauważyć, że Biały był szatynem.

– Biały, a nie Czarny, bo u nas w Grabowcu komendant był Czarny...

– O sobie mówcie, a nie o Runkiewiczzu, on mnie nie interesuje.

– Kapral Armii Krajowej... – zaczął, ale kapitan znów mu przerwał.

– Leszczyński Jan, kapral. Może i kapral, ale Armii Krajowej już nie ma, zrozumieliście?

– Zrozumiałem, panie kapitanie!

– Wy mi nie panujcie, do kurwy nędzy! – Pogroził palcem. – „Towarzyszu kapitanie” się mówi w proletariackich organach, ewentualnie możecie mówić „obywatelu”.

– Tak jest, obywatelu kapitanie!

– Towarzysze radzieccy was rekomendują... – powiedział oficer, kapitan, Polak! No tak, ale to nie było wojsko ani UB, to Milicja Obywatelska. W czasie jazdy kapral i kierowca powiedzieli Białemu to i owo. Że w wojsku to wyższe szarże mają Ruscy i Ukraińcy, którzy czasem ledwo mówią po polsku, ale mają polskie mundury. Że w UB to taka defensywa<sup>[12]</sup> jakby, specjalna milicja polityczna, tu też dużo ruskich było, ale milicja to już polska.

– Rekomendują, bo znają – odpowiedział Biały, bo co miał powiedzieć.

– Taki jesteś! – Tamten gwizdnął. – Hardy, kozak!

– Żołnierz. Biłem się w lesie, uratowałem radzieckich partyzantów, to wszystko.

Nie, to nie było wszystko. Okazało się, że major Karasiow był kimś ważnym w NKWD, a ojciec leutnanta Smirnowa kimś jeszcze ważniejszym, Alosza sam mu o tym powiedział, gdy pili wódkę. Dużo wódki. To mu dało pewność siebie i ten dzień spędzony w sztabie. Wszyscy patrzyli na niego z zaciekawieniem, bo nie wiedzieli, kim jest, co znaczy. To, kim jest, wiedzieli tylko chłopcy z AK, których tu przesłuchiowano, dla nich był jednym z



sowieckich pacholków – ubekiem albo milicjantem. A nie był na razie ani jednym, ani drugim. Znalazł się w Lublinie, bo tam potrzebowano ludzi, tyle że kapitan Piotrowicz nie bardzo wiedział, co z nim zrobić. Aż do tej pory nie wiedział.

– To wszystko... – powiedział Piotrowicz i nagle się ożywił. – A właśnie, że nie wszystko! Przyjaciół macie, dobrych towarzyszy, więc mam taką propozycję... Wyślę was do Warszawy, ale nie takiego gołego!

Wkrótce Biały się dowiedział, co to znaczyło. Jechał z wojskowym transportem, w wojskowym mundurze, na którym była biało-czerwona opaska z literami MO, a na pagonach miał po gwiazdce. Do Warszawy jechał jako porucznik Milicji Obywatelskiej. Nie wiedział, że w ten sposób Piotrowicz po prostu pozbył się go z Lublina. Ktoś taki jak on – z plecami, ze znajomościami w NKWD! – to był niebezpieczny człowiek, który zgrywał kompletnie niezorientowanego. Cholera wie, do kogo by raportował, kogo jeszcze znał, kim tak naprawdę był.

## **Prusy Wschodnie**

Teraz był już naprawdę Duchem. Tak głodny nie był nigdy w życiu. I tak przerażony. Inni byli po prostu apatyczni, jakby uleciały z nich dusze, ale on był w zupełnie innej sytuacji, miał mijsję, która została przerwana. Miał się przebić do Danzig, a tam już wiedział, gdzie i u kogo mógł się zaczepić.

Było źle, ale lepiej, niż przypuszczał. Może rozładowali już pierwszy gniew, może zwyczajnie już się znudzili wyzynyaniem Niemców albo po prostu mundur Wehrmachtu nie działał jak mundury SS i policji oraz żandarmerii. Największy morderczy entuzjazm budzili jednak byli krasnoarmiejcy, którzy przystąpili do SS i oddziałów pomocniczych. Rosjanie odsiewali tych najbardziej „wartościowych” jeńców, kandydatów do rozwałki

albo przesłuchań. Mieli swoje listy, preferencje, plany. NKWD działało bardzo sprawnie, sprawniej, niż można się było tego spodziewać. Nie było rzezi na dzień dobry, była staranna filtracja. Co z nimi później zrobią? To jasne, że większość z nich trafi na Syberię. A pechowcy? Na pewno doskonale wiedzieli, co robiono z ich rodakami, że zanim do komór trafili Żydzi, to doskonalono procedury i skład gazu na radzieckich jeńcach. Że transporty złożone jedynie z węglarek i platform jechały w deszczu i mrozie, że goniono ich pieszo, czasem nawet przez kilkaset kilometrów, i trzymano później w szczerym polu. On to wiedział, więc oni na pewno także. I o tym, że z głodu zjadali zwłoki, a w szale skakali na druty kolczaste. To również musieli wiedzieć.

Patrzył na twarze współwięźniów i się zastanawiał, o czym myślą. Czy tylko o tym? Bo on myślał o ucieczce. I wysoki, przystojny kapral także. Dyskretnie mu się przyglądał. I coraz mocniej upewniał się w przekonaniu, że Unteroffizier<sup>[13]</sup> Minge, podobnie jak Obergefreiter Ast musieli być oficerami, tylko ukrywali swoje szarże. A Müller? On mógł być Feldwebel<sup>[14]</sup>, ale nie Wehrmachtu. Müller i dwóch jego kompanów wyglądali mu na esesmanów.

## IV ARCHIPELAG

### Koniec października 1944 Wilanów pod Warszawą, lewy brzeg

**N**ie mógł się do tego przyzwyczaić. Do wsi ani do gospodarzy, do całej tej sytuacji. Ale musiał, bo po tej aferze, kiedy nie wytrzymał i ostrzelał ruski patrol, Kosiorek powiedział mu:

– Chłopaku, tyś się do Niemców przyzwyczaił, to i do Ruskich się przyzwyczaisz, ale może nie tu, tylko gdzieś kawałek dalej. Nie ma to tamto. Musisz wiać!

– Ale dokąd?

– Dobre pytanie! Bardzo dobre... – Kosiorek się zamyślił. – Tylko że ja nie mam pomysłu, gdzie jest teraz takie miejsce. W sam raz dla takiego narwańca jak ty. Gdzie nie będą szukać brata Wincentego Rybskiego?

– Przecież mam inne papiery, w papierach jestem Paweł Dybała.

– Papiery masz prima sort, sam ci załatwiałem, tyle że ty jesteś elektryczny jak dynamo, nakręcasz się i świecisz – wyjaśnił Kosiorek, zanim Stasiek zapytał, co ma na myśli. – Dokąd cię wyekspediować, żebyś nie ściągnął na siebie ani na mnie jakiegoś nieszczęścia... – Kosiorek się zasępił.

– Jest takie miejsce. – Stasiek zaskoczył go szybką odpowiedzią.

– No to mnie oświeć, kochany!

– W Warszawie, w gruzach na prawym brzegu.

– Czyś ty kompletnie zwariował? Pokręciło cię do imentu?

– Tam jest większy bałagan niż tu. Wysiedlili ludzi, morze gruzów, z których zawsze coś wygrzebie, gdzieś przekimam. Na harcerskie obozy jeździłem, więc dam radę! A jak się uda, bryknę gdzieś dalej.

– Gdzie dalej, do Pernambuco czy na Madagaskar? Chyba ci wtedy za mocno przyłożyłem, rozum ci odebrało!

– A może do Góry Kalwarii albo Piaseczna – odpowiedział Stasiek pewnym głosem, jakby obie miejscowości leżały równie daleko od Warszawy i wojny, co miejsca wymienione przez Kosiorka. – Ale faktycznie lepiej się urządzić na pobojuisku. Ile to potrwa? Teraz, jak Ruskie już nie muszą czekać na upadek powstania, to pewnie dwa, trzy tygodnie, tyle co skautowy wyjazd do lasu. Zanim psia pogoda nadejdzie i mrozy, się to wszystko skończy, wszyscy tak mówią.

– A jak przed powstaniem mówili? – Kosiorek machnął ręką.

– Ale im się o powstanie rozchodziło, więc wajchę od hamulca zaciągnęli, a teraz... Zresztą tam nikogo nie będę narażał, rozumiesz pan? Uda mi się albo i nie, ale nikogo za sobą nie pociągnę. Poza tem nie ma tam ani NKWD, ani bezpieki. Rozumie pan?

– Kapuję, młody człowieku, jeszcze mi kiepeła posłuszeństwa nie odmówiła, ale to niezły ryzyk-fizyk!

– Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana! – zaśmiał się Stasiek.

– Skoro tak... – Kosiorek się zamyślił – to tak. Będę coś kołował, bo chyba wpływ nie dasz rady. Na razie zamelinuję cię gdzieś na dzień, dwa. Żadnych luksusów, za to dyskrecja oraz wikt, ale bez opierunku, gwarantowane! – Kosiorek zrobił dobrą minę do złej gry. Adresy się pokurczyły, ale w końcu kto, jeśli nie on, da radę?

Kosiorek wszędzie miał znajomości, zawsze znalazł kogoś, kto był mu winien jak nie pieniądze, to przysługę. Dzień później oświadczył:

– W nocy przeflancujemy cię na drugą stronę. Mam ugadanego rybaka z Zawad. Na razie jest ze swoją łódką na Gocławiu, ale chce wracać do siebie. Na grubo się z nim ułożyłem, będziesz mieszkał u jego krewniaków na Wilanowie. Żadne luksusy, będziesz musiał pomóc w obeiściu i nauczyć się wsiowego życia, bo żebyś sobie nie myślał, ten Wilanów to nie pałac z miasteczkiem, to zwykła wiocha jest, tyle że z pętlą tramwajową.

– Jako kto tam będę urzędował?

– Jako kuzyniak, będziesz tam jako babki szwagra brata syn. Albo coś w ten deseń. Dogadacie się na miejscu, co do szczegółów powinowactwa.

– A papiery? Chyba nie zamelinuję się tam jako Paweł Dybała z Piwonina?

– Za to pytanie powinieneś obkoczyć po uchu. – Kosiorek pogroził palcem. – A jak myślisz?

– Myślę, że pan coś załatwił.

– Nnno! Masz szczęście, chłopaku, że akuratnie myślisz. – Znów pogroził mu palcem. – Jadziesz na pięknej kenkarcie. Mogłem jakąś fałszywkę już z nowego druku załatwić, ale byłoby kiepsko, jakby szkopy zobaczyły bumagę zza Wisły. – Pan Mieczysław zaniósł się śmiechem.

– A pan? Co z panem?

– Ja mam alibi. – Kosiorek się uśmiechnął. – Po pierwsze primo nie byłem w konspiracji, przynajmniej nie w takiej, której ruskie nie lubieją... Za ludzi interesu wezmą się za jakiś czas, a poza tem to ten sąsiad milicjant już w kieszeni.

– Bierze?

– Chłopaku – zaśmiał się Kosiorek – pytasz się, czy bierze! Ryby czasem nie biorą, ale ludzie zawsze! Poza tym jedyny trefny fant, który się może znaleźć w tym lokalu, to ty. – Uśmiechnął się.

Nocą przewoźnik zabrał Staśka na drugi brzeg. Kiedy łódka odbijała, Rybski zaczął się bać jak cholera i żałował, że wpadł na taki pomysł. Przypomniał mu się wrzesień, kiedy płynęli z płonącej Warszawy na praską stronę Wisły, jak huczało niebo i śmigały pociski. Ale dzisiaj była cisza, momentami wprost przerażająca, bo Staśkowi wydawało się, że każde pociągnięcie wiosła przebija się do uszu żołnierzy patrolujących oba brzegi rzeki, że po którymś pluśnięciu rozlegnie się kanonada. Dopłynęli jednak szczęśliwie do Zawad, gdzie czekał na niego przyzwywany stryjek Ambroży Ozdoba. Ozdobnie raczej nie wyglądał, wprost przeciwnie, ale jak mówi porzekadło, z rodziną wygląda się dobrze tylko na zdjęciu, a on z Ozdobami nie miał zamiaru ani tworzyć rodziny, ani robić fotek. Miał u nich jako Wojtek Ozdoba spędzić bezpiecznie parę tygodni, a później poczekać, co będzie dalej.

## **Włochy pod Warszawą**

Portugalczyk zorientował się, że sikorszczaki zwróciły na niego uwagę, więc się przyczaił, bo cholera wie, co im mogło strzelić do głowy. Gdyby byli narwańcami – a pewnie w AK było ich kilku, bo gdyby nie było, toby nie zaczęli awantury z powstaniem – toby go zlikwidowali, ale ci byli rozsądni i po prostu uznali, że lokal jest spalony. Zachowali się jak trzeba, ale nie do końca, bo Portugalczyk wyszedł, dokąd się przenieśli. Nową melinę mieli po drugiej stronie torów, co warto było zapamiętać, bo jak pójdą Niemcy, to trzeba będzie z kolegami z AK zro-

bić porządek. Jaki porządek? To się okaże, pewnie każdemu według zasług.

Na razie obserwował, próbował zapamiętać twarze, zwłaszcza jednego bywalca tego miejsca mógłby rozpoznać bez pudła, bo był to niepowtarzalny egzemplarz.

\*\*\*

Kapral Lisek miał szesnaście lat i był z siebie dumny. Do pełni szczęścia brakowało prawdziwego Krzyża Walecznych, który zawisłby na mundurze, choćby i harcerskim. Ale przecież harcerskiego już nie włoży. Bo harcerz nie pali papierosów, a Lisek palił jak smok, nauczył się w powstaniu. Strzelać się też nauczył, dostał rewolwer, ale na linię szedł tylko wtedy, kiedy szkopy zagrażały im bezpośrednio. A i to nie trwało długo, bo porucznik Zbyszko pchał go z meldunkiem do kapitana Solskiego. Ale umiał strzelać. Pić też się nauczył, ale unikał, bo alkohol źle działał na orientację, na wszystko źle działał, za dużo w życiu widział, nie pochodził z dobrej dzielnicy, więc wiedział, jak jest. Ale gdyby to była jakaś oficjalna ceremonia i by wódką częstowali, to czemu by nie! Tak wypada, obyczajny człowiek nie odmawia, bo jak – kultura musi być.

Teraz to już na bank jest dorosły, tylko że przegrany. Cała ta walka na marne poszła. Ale jeszcze coś się dzieje, wojna trwa, a on ma zadanie. Jest zadanie, znaczy się jest walka, nie wszystko stracone. Kapral Lisek wyjął z kieszeni pomiętego papierosa i zapalił. Wiatr poszedł mu w twarz i dym wszedł w jego rude włosy.

Poszedł. Ruszył jak gdyby nigdy nic, a Nałęcz patrzył za nim, paląc papierosa.

– Uda mu się – powiedział porucznik Marek.

– Musi się udać – odpowiedział mu Nałęcz – bo nie mamy nikogo lepszego.

Stali w ciszy, bo choć porucznik Marek uważał Liska za najlepszego łącznika, to miał świadomość, jak trudna będzie jego misja. *To spryciarz!* – powtarzał w myślach. *Wielki spryciarz, ale czy będzie miał szczęście? To i tak będzie przede wszystkim loteria.*

Sylwetka kaprała Liska majaczyła w ciemnościach, aż w końcu zniknęła w ciemnościach, ich wysłannik znalazł się strefie śmierci.

## **Warszawa, prawy brzeg, ulica Rybna**

Wódeczka dobrze wchodziła, Wincentemu Rybskiemu tym lepiej, że Mieczysław Kosiorek zapewnił go, że brat żyje i został ewakuowany.

– Wszystko w jak najlepszym porządku, ja tego przewoźnika spotkałem następnego dnia, znaczy się nie złapali go. Zapewnił, że odstawił go tam gdzie trzeba, więc teraz możemy być pewni, że NKWD i UB są od niego daleko.

– O ile czegoś nie wypajacuje. – Rybski się zasepił, po czym zmienił temat. – A Ola?

– Wiem, że żyje. W stanie ciężkim była, ale żyje, w Przemienieniu Pańskim leży, na Boremlowskiej, bo pod Olszynkie spod Floriana szpital przenieśli. Pewnie pan ciekawy, co o niej wiedzą? Myślę, że tylko tyle, co im sama powiedziała, więc powinno być w porządku, bo to mądra kobitka jest. Dobrze ją traktują, bo myślą, że to wojenna wdowa po tym ruskim oficerze. Niech myślą. Śladu nie ma żadnego, taki zbieg okoliczności. – Kosiorek się uśmiechnął.

– No coś pan?

– Nie było mokrej roboty, chociaż się na nią szykowaliśmy, bo sądziliśmy, że zdrada poszła od jednego z ludzi, którzy zameli-



nowali pannę Olę, a tymczasem...

– A tymczasem uwierzyła Kolicickiemu, tyle że mogą pana ści-gnąć i nie będzie sympatycznie. Nie boisz się pan, panie Mieciu?

– Ten ze Szmulek, Kamiński, na mur-beton nie wie, że ja mia-łem coś wspólnego z panną Aleksandrą. Ja dogadałem sprawę ze Szmulem Bielańskim, a on, bo przecież za Niemca sam się ukrywał, po partyjnej linii nadał melinę. Po drodze byli pośred-nicy, śladu po mnie nie ma żadnego! I nie będzie, bo Bielański miał pecha jak mało kto, ukrywał się przez całą okupację, ro-biąc przy okazji w PPR, i na koniec, w czasie szturmie Pragi do-stał odłamkiem, i to sowieckim. Tak to jest, jak ktoś ma pecha, to i w kościele w mordę dostanie – skwitował Kosiorek tragedię Szmula Bielańskiego.

– On to raczej w synagodze!

– W kościele, bo zanim został komunistą, się ochrzcił. Jakby się nie ochrzcił, toby wejścia Ruskich nie dożył i nie zorganizowałby meliny dla panny Oli. Jednak ktoś to na górze ogarnia. – Kosiorek po raz drugi się przeżegnał, co było jak na niego wyjąt-kowym objawem pobożności. Dla równowagi nalał szklaneczkę wódki, po czym popatrzył z troską na twarz Rybskiego. – Panie komisarzu, pan musisz ździebko odsapnąć! Twarz masz pan jak, nie przymierzając, befsztyk tatarski, na jedno limo to pan chyba nie widzisz, łuk brwiowy to pan masz, jakbyś pan miał spotkanie z pociągiem towarowym. Nieźle pana załatwili, nie ma co gadać. Dobrze, że oko nie wypłynęło. Jakby co, to kiedyś tego Ciechaniaka się dorwie, ja nigdy nie miałem o nich dobrej opinii, ale teraz to się zeszmacili do końca. Szmalcownicy, ku-zyn zdrajca, a teraz z komunistami w komitywie. Ciekawe od kiedy?

– Nie wiem i pewnie się nie dowiem, bo jak go spotkam, to go po prostu zabiję – powiedział Rybski bez jakichkolwiek emocji.

– Dobrze, żeś mi pan sąsiada nie zabił! – zaśmiał się Kosiorek.  
– Fachowo oberwał, nokaucik jak z ręki mistrza Kolczyńskiego.  
Ależ to był bokser! – rozmarzył się Kosiorek.

– Sąsiad na pewno mnie nie pozna?

– Było nie za jasno, a pan mu światło bezszmerowo na amen zagasił. Mówi, że wyjechał mu wysoki blondyn, wielki jak szafa gdańska, trzydrzwiowa z lustrem! Znaczy się, że nic nie zapamiętał, bo pan konus nie jesteś, ale że wielki i gabarytowo rozwinięty jak poważny mebel, to nikt by nie powiedział.

– Szkoda tylko, że minęliśmy się ze Staśkiem, cholera jasna – syknął Rybski po kolejnej porcji jodyny, która wypełniła jego rany.

– Przykro jest, jakbyście się w trumnach na Bródnie minęli, a wy żyjecie i to jest ważne!

Rybski pokiwał głową. Faktycznie to, że żyli, to był i tak wystarczający powód do szczęścia. Teraz jeszcze Ola, ale o wiadomości o niej poprosił Jeżewskiego, pewnie się dowie, a on w ramach zobowiązań będzie musiał zrobić coś dla konspiracji. Zrobi, bo wojna trwała, a on nie miał nic do stracenia.

## **Warszawa, prawy brzeg Wisły, Szpital Przemienia przy ulicy Boremlowskiej**

Dzisiaj znów pytali o to samo co zwykle. Rutyna, w której trzeba było zachować pewność siebie i stale powtarzać to samo, żeby w tym wyczerpanym wyrobisku, jakim była jej historia, nie pojawił się jakiś nowy ślad, który dawałby śledczym nadzieję na żyłą złota. O nie, co to, to nie, tak łatwo nie wpadnie. Była zmęczona, ale wciąż zachowywała koncentrację, nie dawała się nabrać na żadne numery. Nie wierzyli polskiemu lekarzowi, więc sprowadzili radzieckiego, zwolnili też jedną z salowych. To była

ulga, bo Ola odnosiła wrażenie, że coś do niej miała. Raz podsłuchiwała, jak mówiła do innej salowej: „ta tutaj, uważaj na nią, to ruska kurwa, co się prowadziła z sowieckim oficerem. Nasi chłopcy zrobili na niego zamach i rozwalili go razem z całą obstawą, ale ona przeżyła i teraz obchodzą się z nią jak jajkiem, bo mają nadzieję, że sobie coś przypomni, że dzięki temu dorwą tych akowców, bo na pewno akowcy byli”.

Zabolało ją to, ale i ucieszyło, bo widocznie wszyscy uważali ją za ofiarę. I niech tak pozostanie. Pojawiła się nowa salowa, bo tamta, obsobaczona przez oficera, już nie wróciła. Z tą drugą było zupełnie inaczej – miła, uczynna, porozmawiała.

– Może coś komuś przekazać? – szepnęła kiedyś.

– Ale ja już nikogo nie mam.

– A ten... – zawiesiła głos i się rozejrzała.

– Kto?

– Ten uciekinier.

– Zналиśmy się, ale to była taka przelotna znajomość.

– Ludzie mówią... – salowa szeptała, rozglądając się – że ten Rybski był ciężko przebadany przez oprawcę z UB.

Ola już jej nie słuchała, zasnęła.

Salowa wyszła z sali, minęła strażnika, który pilnował drzwi, później zdjęła fartuch, włożyła palto, bo już było zimno, i wyszła na ulicę. Pół godziny później zdawała raport na Floriańskiej, w radzieckiej komendanturze.

– Nic nowego. – Major NKWD się skrzywił się.

– Jesteście pewna, Anno Mikołajewna?

– A czy ja kiedykolwiek towarzysza majora zawiodłam? – Salowa się uśmiechnęła.

Major wstał zza biurka i spojrzał na nią. Rozczarowujący raport i jej mało efektowny strój nie zmieniały opinii. Nigdy go nie zawiodła, jej raporty wiele razy mu pomogły, a poza tym...

poza tym, że była jego najlepszą agentką, to była też najlepszą frontową żoną. Zastanawiał się, jak to będzie, kiedy się skończy wojna, gdzie go rzuca i czy będzie to jakaś stała robota, z mieszkaniem i z rodziną. Wróci żona... no wróci, ale co z Anną, czy załatwi jej jakąś posadę koło siebie, czy może jako doskonałą agentkę rzuca ją gdzieś na front walki z imperializmem? Chciała pracować na zagranicznej placówce, a on obiecał, że jej pomoże. Jak pomóc, żeby nie pomóc, żeby zachować ją dla siebie? Co będzie jeśli go dadzą na jakieś *zazopie*<sup>[15]</sup>, a ona będzie w Paryżu? Ech, jebać to, ważne, że dzisiejszą noc mieli spędzić razem.

## Warszawa, lewy brzeg

Pani Reich i Krysia podsumowały stan posiadania:

niemieckie konserwy – 6 sztuk,  
suszona włoszczyzna – około dwóch kilogramów,  
skrzynka wody mineralnej,  
dwie bańki z wodą,  
cztery kilogramy kawy (prawdziwej!).

Jak na racje żywnościowe w ostatnich dniach powstania, to prawdziwe bogactwo, ale co będzie dalej? Kredka musiał dalej przeczesywać okolicę w poszukiwaniu jedzenia i, tak na wszelki wypadek, lekarstw. Swoje wypadki nazywał wyjściami na zakupy, jedynym problemem była woda, ale na razie mieli jej dość w parunastu butelkach oraz w dwóch wielkich wiadrach. Starali się jeść zdrowo, na ile pozwalały im skromne zasoby, zachowywać higienę. Wypróżniali się w łazience, a dokładnie w półowce łazienki zawieszanej nad przepaścią.

– Nasz dom to kikut, nie ruszą go! – powiedziała doktorowa.

– Pewnie nie, ale sąsiednią kamienicę już naznaczyli farbą. Jeszcze daleko, wysadzają kwartały odległe od naszego, ale jeśli tu dojdą i wysadzą sąsiednią kamienicę, to możemy runąć razem z nią. Poza tym na pewno ją podpalą, wtedy ogień może przejść na naszą ruinę i spłonimy żywcem. Musimy się wynosić, i to najdalej za tydzień w nocy. Będę od dzisiaj szukał nowego miejsca. Jak znajdę, to zacznę przenosić zapasy, oczywiście bez sienników, bo nie dam rady – wyjaśnił Kredka.

Był najmłodszy, ale był komendantem tej grupy, czuł się odpowiedzialny za Krysię i Reichów, starał się robić wszystko, by przeżyli. Starał się, co nie znaczy, że mu wszystko wychodziło. Kredka próbował kopać studnię, bo na wielu podwórkach z powodzeniem kopano studnie. Ale kopano w wiele osób i łopatomami, a on dłubał ziemię deską. Miał poranione ręce, odciski i dwa metry urobku, a o ile dobrze pamiętał, woda pokazywała się okolicach dziesiątego metra. Dół był zbyt płytki i do tego ciasny, powinien go poszerzyć i umocnić, żeby się studnia nie zawaliła i nie pogrzebała go żywcem. To było ponad jego siły, zaczął więc chodzić na poszukiwania podwórek ze studniami. Co prawda mieli się wynosić, ale zanim to nastąpi, zabraknie wody. Martwił się o wodę i o zdrowie doktora, który wyglądał coraz słabiej, choć jego żona i sanitariuszka Krysią poświęcały mu dużo uwagi.

W poszukiwaniu wody oraz lekarstw, a najlepiej jakiegoś doktora, który podobnie jak oni ukrywał się w gruzach miasta, Kredka dotarł do Koszykowej. Wędrówka zabrała mu prawie godzinę, bo kluczył między gruzami, przebijał się przez zrujnowane kamienice, chcąc uniknąć patroli. Ulica zawałona była gruzem i zatarasowana barykadą. Wspiął się na nią i z jej wysokości spojrzął na gmach biblioteki. Nagle w oknie mignęła mu jakaś postać. Czyżby ktoś tam był? Zszedł z barykady, bo sterzenie na jej szczycie było niebezpieczne, wypatrzyłyby go

szkopy. Wyjął z chlebaka pistolet i ostrożnie wszedł do kamienicy stojącej naprzeciwko biblioteki. Przyczaił się w zasypanym gruzem mieszkaniu i patrzył w okna budynku. W końcu doczekał się, znów coś mignęło. Lub ktoś. Tak, był pewien, tam byli ludzie.

Rozejrzał się i wsłuchał w odgłosy opuszczonego miasta. Ciszsza, żadnych patroli, więc podszedł pod drzwi i nacisnął klamkę. Zamknięte. Zapukał.

– Kim jesteś? – usłyszał zza drzwi kobiecy głos.

– Powstaniec, strzelec Kredka, ukrywam się z trójką innych ludzi, a pani?

Drzwi się uchyliły.

– Ewa Śliwińska, z sześcioma innymi osobami szykuję zbiory do ewakuacji. – Kobieta wypowiedziała te słowa, jakby to był komunikat bibliotekarki, która informuje o zawartości i dostępności zbiorów.

– Tak po prostu? Niemcy was rozwalą! – krzyknął Kredka.

– Mamy legitymacje z Rady Głównej Opiekuńczej i przepustki ważne do pierwszego listopada – odpowiedziała kobieta z niezmiennym spokojem. – Od czasu do czasu zajężdża tu ktoś i sprawdza, czy żyjemy, wciąż czekamy na transport, mamy książki popakowane i opisane. Niemcy w akcie kapitulacji nam to obiecali, może dotrzymają słowa – powiedziała bez nadmiernej pewności, bo cała okolica płonęła.

– Mamy chorego, szukam lekarstw i doktora. Pomoże pani?

Lekarstw nie było, doktora też nie, ale pani Ewa i bibliotekarze podzielili się z Kredką cukrem, smalcem i kaszą. Mieli tego spore zapasy, a do tego dobrą wodę ze studni artezyjskiej. Kredka wracał na swoją kwaterę objuczony niczym wielbłąd idący w karawanie. Szedł parę kwartałów przez ponad półtorej godziny, bo krył się przed patrolami i stale robił postoje, był

okrutnie zmęczony. Ale szczęśliwy, bo dobrze wypełnił swoją misję. Po drodze znalazł też kilka miejsc, w których mogliby zamieszkać. Upatrzył kamienice oznaczone jako te do wyburzenia. Zorganizuje w pobliżu magazyn ich dobytku, a potem spośród nowych ruin znajdzie te, w których będą całe piwnice, bo zimą nie wytrzymają na samej górze, zamarzną.

## **11 listopada 1944**

### **Lublin**

Przed samą wojną zrobiono ten dzień świętem, teraz ci, którzy czcili marszałka Piłsudskiego nie mieli już czego świętować. Będą nowe święta: 1 maja, 22 lipca – dzień Manifestu Lipcowego – i rocznica rewolucji październikowej. Dużo filmów w Związku Radzieckim na ten temat powstanie, więc i w Polsce pewnie też. Tak sobie dumał, kiedy wpadł do jego pokoju na kwaterze kapitan Sawicki. W ręku miał butelkę wódki oraz kawałek kiełbasy. Leszek nie przepadał za alkoholem, ale bardzo się ucieszył z przyjścia Władysława Sawickiego. Czuł na sobie pozytywne oddziaływanie jego chłopsko-proletariackiej mocy.

– Wpadłem, żeby porozmawiać, tak po koleżeńsku i tak zawodowo, bo wiesz, ja teraz też w kulturze robię.

To była nowość, ta informacja zaskoczyła Leszka, bo wiedział że Sawicki przeszedł w Moskwie partyjne kursy, które nazywano uniwersytetem, ale żeby od razu kultura? Skarcił się za tę myśl – klasizm w czystej postaci – ofuknął się i od razu złapał właściwy kurs rozważań: kultura i sztuka mają być dla wszystkich. Co prawda on jest w inteligenckiej SD, ale trzeba myśleć szerzej.

– To opowiadaj mi trochę, wprowadź w temat! – Sawicki otworzył flaszkę, rozlał dwa kieliszki i przeciągnął się na krześle. – No mów, żebym wiedział, w czym robię – zaśmiał się.

– To szeroki temat...

– Pewnie, że szeroki, dlatego nadzór nad właściwym kursem będzie trudny, ale wiadomo, nie ma rzeczy niemożliwych. – Sawicki zarechotał. – Bo ja z ramienia PPR oddelegowany zostałem: „trzeba, towarzyszu Sawicki, zadbać o to, żeby nam sztuka z kulturą nie skreśliły w burżuazyjnym kierunku, żeby się towarzysze artyści nie pogubili”. A wiesz, co ja myślę na ten temat?

Leszek milczał, bo słuchał z pewną niepewnością, może nawet i strachem, ale także z uwagą. Działy na niego moc i szczerść przekazu Sawickiego.

– Że się nie pogubią, jeśli urzędnicy będą to trzymać w ryzach!

Jak to odczytać? Groźba, a może przyjacielska rada? Mówiono, że był kapitanem AL, a później UB, a teraz okazuje się, że z ramienia PPR nadzoruje kulturę. W końcu jest rząd, to znaczy PKWN, jest ministerstwo, znaczy się resort i tym resortem kieruje Rzymowski z SD, a przecież kierownik resortu odpowiada przed premierem, to znaczy przewodniczącym, którym jest Osóbka-Morawski z PPS-u, więc jak to tak? Że PPR ma to nadzorować? Trochę się spocił, ale zanim zdążył coś powiedzieć, zapytał, a może zaprotestować nawet, Sawicki zapytał:

– Powiedz mi: jak widzisz przyszłość sztuki i kultury jako takiej w państwie robotników i chłopów?

Ulżyło mu. Zatem towarzysz z PPR po prostu konsultuje, pyta.

– Kinematografia! – odpowiedział z entuzjazmem Leszek.

– Kinematografia powiadasz? A nie książki, prasa? Mówili, że ty to literat, dziennikarz.

– To przeszłość!

– Jaka tam przeszłość, Lesiu, miej odwagę się przyznać, że Bo-rejsza zajął ci miejsce i jesteś bez szans!



– Borejsza to nasz Gebethner, Wolf i Dąbrowski w jednym! – odparł Leszek. – On robi wielką robotę, ale...

– Ale co?

– Nie wszyscy jeszcze czytają, został nam po sanacji analfabetyzm, więc jego działania są skierowane do inteligencji, a nie do szerokich mas robotniczo-chłopskich... – Zawiesił głos, czekając na jakąś reakcję Sawickiego.

– To ciekawe jest... No, mów dalej!

– A kino, kino nie wymaga umiejętności czytania i pisania, zresztą dobra, dojrzała książka niekoniecznie musi trafić do początkującego czytelnika, a dobry film potrafi poruszyć masy, na przykład Pancernik Patiomkin!

– To ciekawe, bardzo ciekawe... – powiedział Sawicki, nalewając wódki. – Trzeba tylko pomyśleć o tym, kto ma robić te filmy.

– To jest łatwiejsze niż kontrola słowa pisanego, bo pisarzowi potrzebna jest maszyna do pisania i papier, a poecie... Majakowski pisał wiersze w kawiarni, na serwetkach, a filmu się tak nie robi. Państwo będzie produkować filmy i wybierać najlepszych!

– I kontrolować ich treść! – Sawicki z szerokim uśmiechem wznosił kieliszek do góry. – A o to, żeby to robili najwłaściwsi ludzie, zadbamy my! Czyli odpowiednie komórki w resorcie kultury i sztuki oraz w aparacie partyjnym!

Wypili po kieliszku, wódka rozgrzała Leszka, ale jeszcze mocniej myślał, o sile, jaką może mieć w ręku. Słowo „kontrola” nieco go zmroziło, ale jeśli będzie to kontrola sprawowana przez takich ludzi jak Sawicki i on, to zmienia to postać rzeczy! Czy to możliwe?

– Trzeba mieć na uwadze, że przedwojenne kadry są różne, że...

– Przedwojenne kadry oficerskie były niemal wyłącznie złe, więc je zastępujemy ludźmi młodymi, a wyższe szarże dają nam towarzysze z Moskwy. I co? I kręci się!

– Ale nie można ot tak sobie pozbywać się autorytetów... – Kieliszek wódki dodał Leszkowi odwagi.

– Oni chcą cofnąć czas, zaprzeczyć temu wszystkiemu, co się stało, posłać do piachu nie tylko takich jak ja, ale i takich jak ty. Albo my, albo oni, rozumiesz? Na każdym froncie musimy zmienić kadry! *Ponimajesz?*

Zrozumiał. Albo my, albo oni, innej drogi nie było, a przecież rewolucji nie można było cofnąć, grzechem byłoby zawrócić nurt przemian. Czy Sawicki miał na tyle silną pozycję? Sam sobie wszystko zawdzięczał, pokończył kursy na uniwersytecie międzynarodowym w Moskwie, i to w tym samym roku co Gomułka, pierwszy sekretarz PPR, mówią że w przyszłości bardzo ważna persona. *Przyszłość* – pomyślał i szybko nalał kolejny kieliszek wódki.

– Za nowe, polskie kino! – Wzniósł toast.

Czuł, że Władek Sawicki wskazał mu drogę, ośmielił go do bardziej radykalnych, śmiałych działań. Albo my, albo oni!

– Teraz, kurwa, my! – krzyknął Leszek Pec po wypiciu kieliszka wódki i pomyślał o następnym.

## **Warszawa, prawy brzeg, ulica Stalowa**

Nadszedł dzień, w którym Jeżewski w końcu powiedział Rybskiemu, kim jest i czego od niego chce.

– Sytuacja wygląda tak, że po odkryciu prawdy o zbrodni katyńskiej rząd Rzeczypospolitej uznał, że musimy być gotowi na każdy, możliwy i zły dla nas, scenariusz, który będzie próbowała wprowadzić Moskwa. Zrodził się wtedy pomysł pracy nad

nową organizacją konspiracyjną, która kontynuowałaby walkę po wkroczeniu Armii Czerwonej. Sowieci wprowadzili swoje rządy bez pardonu, choć i nie na pełnię swoich możliwości, bo grunt był przygotowany. Mają łatwiej, bo wybili w Katyniu tysiące naszych ludzi, a wcześniej wywieźli na Syberię. Alianci oddali nasze wschodnie ziemie, to pewne, ale czy oddali nas? Nie wiem, pewnie jesteśmy jakąś kartą w wielkiej grze, ale nie możemy być bierni. Wiedząc, co groziło Armii Krajowej, że Sowieci będą aresztować naszych żołnierzy, utworzyliśmy kolejną, głębszą organizację konspiracyjną. Nazywamy się NIE, od Niepodległości, ale jak się pan komisarz domyśla, mówimy równocześnie „nie” Sowietom i ich porządkom oraz marionetkowej władzy, którą osadzili w Lublinie. Musimy istnieć, trwać i organizować to, co zostanie po Armii Krajowej, stanowić struktury oporu politycznego, zbierać to, co zostanie po ruchu oporu, koordynować nasze polskie sprawy, ratować, co się da. Polska jest teraz jak archipelag wysp, niektóre mają Niemcy, inne Sowieci, ale są też małe, a wcale liczne zupełnie polskie, wciąż wolne. Przystąpi pan do nas?

– Wydaje mi się, że przystąpiłem w fabryce Kamlera. Powiedział pan wtedy o głębokiej konspiracji, zaproponowaliście mi z majorem Nałęczem przejście na Pragę, a ja się zgodziłem. Tylko splot wydarzeń sprawił, że nie przepłynąłem Wisły razem z panem.

– Pamiętałem o pańskiej deklaracji, ale minęły ponad dwa miesiące, wiele się wydarzyło, zatem wolałem spytać raz jeszcze. – Jeżewski wstał i podał dłoń, którą Rybski uścisnął. – Bardzo się cieszę, panie komisarzu!

– Wtedy panie...

– Majorze – odpowiedział Jeżewski. – Mam stopień majora, a moje konspiracyjne imię to Piotr, ale proszę mówić jak dawniej, po prostu Jeżewski.

– Panie majorze, wtedy miałem wybór, podjąłem taką, a nie inną decyzję, ale dzisiaj nie mam już żadnego wyboru. Ostatnim wyborem była gra, którą chciałem podjąć z majorem Kolickim, zdecydowałem wtedy, że zostanę jego agentem, by zyskać na czasie, by kupić sobie tydzień, miesiąc, a kto wie, może i parę lat życia, a przy okazji dowiedzieć się o planach Sowietów i polskich komunistów. Taki był mój wybór, ale jak to już panu opowiadałem, Aleksandra Fuchs podjęła dramatyczną decyzję. Zlikwidowała Kolickiego, w jednej chwili uwalniając mnie i zarazem czyniąc jednym z najbardziej poszukiwanych ludzi w Warszawie. Ja nie mam wyjścia, ja muszę walczyć.

– Dziękuję za szczerość, z której jest pan zresztą znany i za którąś bólem, czasem z oporami cenią pana współpracownicy. Taką miał pan opinię w policji państwowej, tak też pana oceniał major Nałęcz.

– Czyżby?

– Oczywiście mam na myśli opinie dobrych, rzetelnych przełożonych z policji, bardzo pana komplementowali wszyscy komendanci policji granatowej, a co do majora Nałęcza... Tak, nie było mu lekko z panem współpracować, ale kiedy przychodziło do ostatecznej, podsumowującej oceny, wystawił panu najwyższą ocenę! Szkoda, że nie przeniknął pan do struktur wywiadu wojskowego i nie został pan zaufanym człowiekiem Kolickiego, wielka szkoda. Czasem wielkie poświęcenie nie jest tak efektywne jak podwójna gra, ale przecież Aleksandra Fuchs nie zdała sobie sprawy z pańskich planów. Dzielna kobieta, niezwykła, wyjątkowa... – Zamyślił się, po czym dodał: – Jest w szpitalu, dochodzi do siebie, budzi zaufanie Sowietów. O pannę Fuchs bym się nie bał, bardziej bym się martwił o pańskiego brata, ale może właśnie wysłanie go za Wisłę było dla niego najlepszym wyjściem?

Rybski pokiwał głową, może i dla niego samego byłoby to najlepsze wyjście, ale był tutaj, ponownie zobowiązał się do tego, by współpracować z podziemiem, ale wtedy, w czasie wojny był funkcjonariuszem oficjalnej władzy, a teraz był przez władze pilnie poszukiwany. Taka sama była za to kara, która mogła go spotkać – śmierć.

## **14 listopada 1944**

### **Warszawa, lewy brzeg, Sadyba**

Stasiek szybko zrozumiał, że z Ambrożym Ozdobą i jego rodziną nie będzie mu dobrze nawet na zdjęciu. Jego gospodarz dorabiał sobie, i to wcale nieźle, na szabrowaniu Warszawy. Dwa razy widział, jak wyładowana po brzegi rzeczami furmanka wjeżdżała na podwórze. Trzymał gębę na kłódkę, był tu gościem, w dodatku trefnym, który ukrywał się przed żandarmami. Po tygodniu sprawy nabrały jednak zupełnie innego obrotu, gospodarz Ozdoba powiedział mu przy kolacji, że ma z nimi jechać do Warszawy.

– A z jakiej racji?

– Co ty myślisz, że jak my pracujemy, to ty się będziesz obijać?

– Ale to jest złodziejstwo zwykłe!

– A jakie tam złodziejstwo! – parsknął. – Toż to teraz niczyje. Ludzie odeszli, Niemcom chcesz to wszystko zostawić? A poza tym mam twoje dokumenty, więc bądź grzeczny!

Stasiek zdał sobie sprawę z tego, że podczas lustracji, którą prowadzili w gospodarstwie żandarmi, wszystkie dokumenty miał w ręku gospodarz, bo to on pokazywał kenkarty i rozmawiał z Niemcami. Powiedział potem, że lepiej, żeby on miał wszystkie papiery przy sobie, Stasiek zgodził się na to i teraz tego pożałował.

Pojechali na Sadybę, przejeżdżając między zamaskowanymi stanowiskami artylerii przeciwlotniczej. Niemcy jakby ich nie widzieli. Patrole sprawiały wrażenie, jakby byli dla nich fragmentem miejscowej fauny. Okazało się, że była za to cena, bo żandarmi brali od nich co lepsze fanty.

Któregoś dnia spotkali kobietę. Nie wyglądała na mieszkankę okolic, która zapuściła się na wycieczkę do opuszczonego miasta.

– Co pani tutaj robi? – zapytał Stasiek.

– Przyszłam zobaczyć, co z moim mieszkaniem.

– Jak to?

– Dostałam przepustkę.

– Gdzie?

– W Krakowie.

– Jak to w Krakowie?

– Tam trafiłam po powstaniu, poszłam na policję i dali mi ją.

– I wpuścili panią?

– Wpuścili, ale powiedzieli, że mam szczęście, bo tylko do dzisiaj wpuszczają. Mieli na ścianie swojej wartowni ogłoszenie, że z dniem czternastym listopada władze policji wstrzymują wydawanie przepustek do Warszawy, a dzisiaj właśnie jest czternasty.

– Miała więc pani szczęście.

– Nie, zupełnie niepotrzebnie tu przyjechałam.

– Czemu?

– Mój dom spalony! – Kobieta zaczęła szlochać.

Podwieźli ją w kierunku kolejki grójeckiej, a kiedy wrócili wieczorem do chałupy, Stasiek pomyślał, że to już koniec z szabrem, bo przecież Niemcy wydali stanowcze obwieszczenie, ale Ambroży Ozdoba tylko się z tego śmiał. Następnego dnia znów

pojechali do składu mebli i sprzętów, jakim była dla Ozdoby Sadyba. Wtedy gospodarz wpadł na pomysł, żeby przez pola za jeziorkiem Czerniakowskim pojechać dalej, w kierunku Warszawy. Rozeszli się po domach, kiedy nagle pojawili się Niemcy. To nie byli ani żołnierze z obrony przeciwlotniczej, ani żandarmi – to było SS. Stasiek nie czekał ani chwili, zaczął uciekać. Między ulicami i ruinami wspiał się na skarpe i ruszył w kierunku dymiących ruin Śródmieścia. Wtedy wpadł na patrol, próbował uciekać, ale drogę zajechał mu motocykl, w którego koszu siedział szkop z kaemem. Wpadł, wpadł jak śliwka w gówno!

Bał się, że go mogą rozwalić, ale nie zrobili tego. Wydawało mu się, że wzięli go za złodzieja, ale oni uważali, że był żołnierzem podziemia. Był teraz jednym i drugim, ale cokolwiek by powiedział, i tak by bili. Paru Niemców – mundurowych i po cywilnemu – pobiło go i skopało, a potem zabrali się do przesłuchania. Pytania zadawał cywil w tyrolskim kapelusiku.

– Gdzie byłeś?

– Byłem w Armii Krajowej.

– Łiesz – ryknął Niemiec i na głowę Staśka spadły kolejne razy. – Bandyty z AK wyszli zwartą kolumną i trafili do obozów jenieckich, a ty musiałeś być w Volksarmee!

– Nie byłem w Armii Ludowej!

To nie była odpowiedź, na którą czekali, znów spadły na niego razy.

– Zatłuczemy cię, bandyto z Volksarmee, a dowiemy się, w jakim oddziale byłeś!

– Byłem w oddziale z Wytwórni Papierów Wartościowych!

Spadły na niego kopniaki.

– Uparty jesteś! – Cywil podniósł go w górę. – Czemu nie chcesz się przyznać? Już nie chcesz być komunistą?

– Komuniści chcieli mnie zabić.

Dostał otwartą dłoń w policzek.

– Rozbawiłeś mnie!

– Byłem na drugim brzegu, ale tam komuniści wyłapują takich jak ja, więc uciekłem tutaj!

Znów został spoliczkowany i usłyszał śmiech, a potem szwargotanie. Widocznie cywil przetłumaczył mundurowym jego słowa, bo i ci zaczęli się rechotać.

– Pan Hauptsturmführer powiedział, że teraz jesteś uchodźcą, ha, ha, ha!

Tym razem dostał w ucho, później jeszcze parę plaskaczy spadło na jego głowę i kark.

– Nie oddamy cię polskiej, komunistycznej bandzie i ich sowieckim panom, uratujemy cię, ale będziesz musiał zarobić na swoje utrzymanie. – Znów śmiech i parę kuksańców. – Przydasz się w Verbrennungskommando!

## **Warszawa, lewy brzeg, Śródmieście**

Kredka regularnie odwiedzał bibliotekarzy, był też u nich pierwszego listopada, żeby sprawdzić, czy jeszcze są. Byli, choć właśnie tego dnia kończyły się im przepustki. Zaczekał do wieczora i razem z nimi zapalał świece na grobach, w końcu było Wszystkich Świętych.

Nikt nie przyjeżdżał po nich i książki, które spakowali, więc czekali jeszcze dwa tygodnie. Czternastego listopada zajęły ciężarówki i zapakowano na nie skrzynie z książkami i całą siedmioosobową załogę biblioteki. Oglądał ich odjazd z ukrycia, a kiedy zniknęły samochody i rozeszli się Niemcy, wszedł do biblioteki, żeby zabrać to, co zostało po bibliotekarzach. Sporo tego zostało, wszystkiego nie dał rady wziąć, postanowił wrócić



tu następnego dnia. Nie wrócił. Podpalacze puszczały z dymem całą okolicę, do tego pojawiły się komanda budowlane, które wybierały płyty chodnikowe.

Kiedy wracał na ich melinę, był już zdecydowany na to, dokąd się przeprowadzą. Znalazł piwnicę w oficynie zagruzowanego podwórka, dość wysoką, w miarę jasną, z dwoma wyjściami i z odgałęzzeniami, które mogły pełnić funkcję sanitariatów. Parę ulic dalej była studnia, a co najważniejsze, ani w tej, ani w sąsiednich piwnicach nie było zasypanych ciał. Parę razy już myślał, że ma dobrą miejscówkę, ale trupi odór szybko kazał zmieniać decyzję.

Trzeba teraz było się uwinąć, bo było sporo gratów do przeniesienia, tych z ich kwatery, a także ze składzików, które już porobił w okolicy. Najtrudniej będzie z doktorem Reichem, który słabo chodził. Będą z nim iść noga za nogą, bo nie widział sposobu, żeby go przenieść razem z Krysią. Trudno, co będzie, to będzie.

Kiedy wrócił na kwaterę, stanął jak wryty, bo oprócz Krysi i Reichów był jeszcze jeden lokator, chłopak o niesamowicie rudych włosach.

– Te, Marchewa, a ty kto jesteś?

– Jestem, kolego sympatyczny, starszy stopniem – powitał go szczeniak. – Kapral Lisek. A ty pewnie jesteś strzelec Kredka? Serwus!

– Starszy strzelec Kredka – poprawił go i w duchu zaklął, że tamten był kapralem. – Jesteś kapralem?

– Jestem. – Chłopak wyciągnął z kieszeni legitymację AK.

– Świeżynka – Kredka pokręcił głową – awans już po powstaniu.

– Ale za powstanie. Zresztą ty dowodzisz, jesteś komendantem, bo ja tu tylko na gościnnych występach.

– Co?

– Nico, po prostu tu jestem, a potem się zwinę. Gra gitara?

– Zagra i mandolina, jak mi pomożesz zrobić przeprowadzkę.

– A dokąd chcesz ich przeflancować?

– Do piwnic, tam gdzie już zburzyli i spalili, drugi raz przecież nie przyjdą, pójdą niszczyć dalej. Musimy tak zrobić, bo jak przyjdzie zima, to tu zamarzniemy, a poza tym wcześniej wysadzą i spalą.

– No raczej... – Lisek się zasepił.

– Lepiej pan powie, jak my z żoną zejdziemy – w rozmowę włączył się doktor Reich.

– Pomogę, panie doktorze, już to Kredce obiecałem, Jak państwo weszli, to i zejda. Załatwimy to elegancko jak Węgiełek!

Załatwili. Nie było lekko, bo pani doktorowa się bała, ale jakoś ją sprowadzili. Więcej kłopotów mieli z bezpiecznym przejściem do piwnicy, którą znaleźli i przygotowali. Chłopcy stali na czujkach, a Krysia przeprowadzała Reichów na drugą stronę czegoś, co było kiedyś ulicą. Kiedy doktor był już zmęczony, położyli go na noszach, które sanitariuszka znalazła w ruinach. Przez podwórka, spalone kamienice, omijając szlaki patrolowane przez Niemców i kwartały, gdzie wyburzali i palili, dotarli do wypalonego domu.

– To tutaj? – zapytała pani Reich, patrząc nieufnie na ich nowe lokum, bo kamienica jeszcze dymiała, biło od niej gorąco.

– No, tu – odparł Kredka.

– Ten budynek jeszcze się tli. – Krysia też miała wątpliwości.

– Bardziej się nie spali, a gasić go nie będą. Najlepsze piwnice z tego, co zostało w okolicy – zachwalał Kredka. – Była zniszczona w powstaniu, więc jej nie wysadzali, tylko podpalili. Fundamenty zdrowe, piwnice eleganckie!

– I czyste – wsparł go Lisek. – Nie ma trupów, jest cmentarzyk na podwórku, leży parę ciał, ale w takiej odległości, że nas smród nie dopadnie. Nie mamy kozy, ale na razie...

– Na razie mamy jak z centralnym ogrzewaniem! – entuzjastmował się Kredka, który mieszkał, jak większość, w domu ogrzewanym przez piece kaflowe.

– Czy to aby na pewno bezpieczne? – Pani Reich rozglądała się z niepokojem.

– A co teraz jest bezpieczne! – zaśmiał się doktor. – Bomby we wrześniu, getto, ucieczka z getta, ukrywanie się, powstanie! Żadna nowość, moja kochana, żadna nowość. Z perspektywy czasu to ja nawet myślę, że to całkiem ładna i bezpieczna posesja!

Urządzili się jak lordowie, w ciepłutkiej, a nawet w gorącej jeszcze, dopiero co wypalanej kamienicy.

## **24 listopada 1944** **Warszawa, prawy brzeg, ulica Targowa**

Wincenty Rybski szedł Targową i nagle się zaczęło. Na początek znany dźwięk, huk eksplozji, ale przecież przyzwyczał się do tego, że po tamtej stronie Wisły huczało. Niemcy codziennie coś wysadzali. Z miasta, w którym, zdawałoby się, nie ma już czego niszczyć, co raz wznosiły się nowe chmury pyłu i dymu. Ale to nie było wysadzanie kolejnego domu czy kwartału, bo Wicek usłyszał świst. Odruchowo ruszył do bramy, ale pod dwóch krokach puścił się biegiem w kierunku skweru, który rozdzielał jezdnie Targowej i czynił z niej wcale elegancką aleję. Gnał do przodu, aż uznał, że to już za chwilę i padł na ziemię.

Eksplozja, potem następna i jeszcze kilka wstrząsnęły ulicą. Ktoś krzyczał, ktoś jęczał, kwiliło dziecko, a jakaś kobieta wzy-

wała pomocy. Brzęczało w uszach, a potem odezwały się cekaemy, moździerze i działa z praskiego brzegu. Niemcy też walili dalej, ale już tylko dwa pociski spadły na Targową. Wybuchy słyhać było w porcie praskim, za budynkiem dyrekcji PKP i daleko, na Targówku albo Bródnie. Jeszcze paręnaście sekund i ulica ożyła, ludzie się podnosili, wychodzili z bram. Popatrzył na tę, do której nie wbiegł. Miał szczęście – niedaleko wybuchł jeden z pocisków, ktoś ranny jęczał, podtrzymywany przed dwie inne osoby, które machały na wojskowego łazika. Do środka pojazdu pakowano już jakiegoś poszkodowanego, chyba też z tej bramy, a może z domu, bo poleciały niemal wszystkie szyby i mogły solidnie pokaleczyć.

– A mogłeś pan się wpasować w tę bramę, a jednak żeś dał gazu tu, na skwerek. – Starszy, wąsaty mężczyzna pokręcił głową – Bo ja jak raz biegłem właśnie do tej bramy, ale miałem za mało pary w nogach i zastało mnie tu. Ja po prostu nie doleciałem, ale skąd żeś pan wiedział?

– Gdy ryczy krowa, to nie stać w bramie – odparł Rybski. – Tak mi się po prostu przypomniało. – Wzruszył ramionami.

– Panie, po pierwsze primo to mów pan, byłeś tam, po drugiej stronie? – Nie czekając na Rybskiego, wąsacz sam sobie odpowiedział, mocno ściszone głosem: – No jasne, że pan byłeś. – Chciał coś jeszcze dodać, ale rozległ się huk silników.

Od strony Dworca Wschodniego nadleciały dwa klucze radzieckich szturmowców, ludzie zapomnieli o tym, co mieli do roboty i dokąd zmierzali. Zatrzymali się i patrzyli na widowisko, jeden klucz samolotów z czerwonymi gwiazdami poleciał w kierunku Starówki, drugi na Solec. Kiedy maszyny były blisko celu, odpaliły rakiety, po paru sekundach publiczność usłyszała i zobaczyła wybuchy. Po chwili wszyscy wrócili do swoich zajęć, wąsacz oddalił się w stronę Kijowskiej, a Rybski ruszył w kierunku Stalowej, czyli, jak mówił Kosiorek, ulicy konsumpcji, bo

tam, jakby na przekór pobliskim aresztom i sowieckim katowniom, rozwinął się handel.

## **Warszawa, lewy brzeg, aleja Szucha**

To już ponad tydzień. Tydzień najgorszej roboty w życiu. Wtrącili Staśka do jednej z cel, które były w piwnicy siedziby Gestapo w alei Szucha. Takich jak on, przymusowych robotników, było tak wielu, że siedzieli stłoczeni jak śledzie w beczce. Dowiedział się, że na Szucha bicia i przesłuchań nie było, jedzenie było podłe, ale nie dali zdechnąć z głodu.

Czuł się jak pomocnik złodziei cmentarnych, jak hiena z Bródna albo Powązek krążąca po alejkach, a potem szabrująca groby. Bo Warszawa była cmentarzem pełnym grobów i niepochowanych zwłok. Trupi zapach unosił się znad płytkich grobów, jeszcze mocniej dochodził z piwnic i zaułków. Dlatego Niemcy nie wchodzili do wszystkich domów, tylko do tych, które nie groziły zawalaniem i nie jechały odorem rozkładających się zwłok. Mordercy i złodzieje, kurwa ich mać, nie dość, że wytlukli tysiące ludzi, wzięli wojsko do niewoli, a cywilów pognali do Pruszkowa, to na dodatek grabili, palili i wysadzali miasto. Palili i wysadzali osobiście, ale kradli rękami takich jak on – cwaniaków, frajerów i niewolników. Cwaniacy zgłosili się sami, bo myśleli że coś uszczkną, zachachmęcą, przynajmniej się najedzą. Wyszli na tym jak Zabłocki na mydle, czyli jak ci, co się zgłaszali za okupacji na wyjazdy do Niemiec. Nie brakowało baranów, którzy się zachwycili plakatem z sylwetkami szczęśliwych facetów wystającymi z okien pociągów. Podpis głosił „Ich bieda się skończyła! Jedź z nami na roboty rolne do Niemiec”. I pojechali, a potem cierpieli i wiali. Frajerzy i frajerki, bo inny plakat pokazywał uśmiechnięte kobiety w chustkach. Pewnie zdarzało się, że ten czy ów uciekł przed biedą, zdarzało się, że

poszukiwani przez Gestapo wiali na roboty jak we Francji uciekało się do Legii Cudzoziemskiej. Ale kto nie musiał, a myślał, że to jakaś wielka atrakcja, to był skończonym frajerem. A co dopiero teraz, po ponad pięciu latach gnojenia, dojenia, po tym, co zrobili w getcie i po powstaniu...

Jeszcze ktoś się łudził? Frajerów nie brakuje, cwaniaków też nie. Spryciarze i geszefciarze myśleli, że coś się uda zawiązać. Było co, ale nie było jak z tym się zabrać, bo szkopy rewidowały i każdego dnia łapały tych, którzy chcieli sobie coś wynieść. Różnie się to kończyło, wszystko zależało od kalibru. Złoto, kosztowności, pieniądze znalezione przy którymś z Polaków oznaczały kulkę w łeb. Nawet swoich Niemcy potrafili zastrzelić jak psa za przyłapanie na kradzieży. Na kradzieży prywatnej, bo ta przemysłowa trwała w najlepsze i była prowadzona polskimi rękami. Podobnie jak na roboty w czasie okupacji tak i teraz robiono łapanki. I on właśnie był jednym z pojmanyh. Przynajmniej tak im się wydawało. Było podle, ale mogło być gorzej, tam gdzie Niemcy używali Polaków do palenia trupów. I to było prawdziwe Verbrennungskommando, o którym mówił przesłuchujący go Niemiec.

Już pierwszego dnia solidnie oberwał. Kiedy wynosili ozdobne meble ze śródmiejskiej kamienicy, rozległ się wybuch – aż podskoczył, aż komoda wypadła z rąk. Niemiec, zamiast uciekać, zaczął kląć i okładać go po głowie za to, że uszkodził piękny mebel, chociaż wybuchy waliły, jakby szło bombardowanie albo ostrzał. Ruska artyleria? Ale Niemcy jakby tego nie zauważali, dopiero po kolejnym wybuchu domyślił się, że wysadzają kolejne domy, że systematycznie, dom po domu, kwartał po kwartale, niszczą miasto, równają Warszawę z ziemią.

Parę dni później zobaczył, jak to robią. Niemcy najpierw pracowicie nawiercili dziury w ścianach kamienicy, później włożyli w nie połączone kablami ładunki wybuchowe. Oddalili się od

budynku, padła komenda, później rozległ się wybuch, kamienica jakby uniosła się w pyłe, po czym gwałtownie opadła, wzbudzając tumany dymu i kurzu. Zdawało się, że ulicę spowiła mgła, a gdy w końcu opadła, ukazała ruiny, które pozostały z domu. Trzepnięcie kolbą w plecy oznaczało, że to koniec widowiska i trzeba było wrócić do pracy. Po godzinie zasuwania udało mu się chwilę odpocząć, schował się za jedną z ciężarówek i starał się złapać oddech przed kolejną porcją pracy, którą poczęstuje go wachman. Wtedy zaskoczył go kierowca, cywil, ale jednak Niemiec. Z tym że nie narobił rabanu, że za jego wozem ukrywa się jakiś Polaczek.

– Mówię po polsku, jestem z Warthegau<sup>[16]</sup>, byłem sąsiadem Friedricha Scherfkego – pochwalił się kierowca, bo kto by nie znał piłkarza Warty, w końcu to on strzelił pierwszego gola dla Polski w wielkim meczu przeciwko Brazylii.

– Widziałem go w ligowym meczu przy Konwiktorskiej, on i Wilimowski z Ruchu byli najlepsi.

– Ale teraz grają dla nas – zaśmiał się poznański Niemiec. – Pal!

Nie palił, ale skoro ten Niemiec albo fokstrot<sup>[17]</sup> z Wielkopolski częstował, skoro chciał mu jakoś pomóc... Zaciągnął się i zakaszał.

– Co, dawno nie paliłeś? – Tamten się uśmiechnął. – Masz tu jeszcze dwa!

– Ja to nie jadłem porządnie, jakby pan miał coś do jedzenia... – poprosił i aż pożałował, że się tak poniżył tą prośbą, ale był głodny.

– Jutro coś wezmę, o ile będziemy, bo jak napchamy towaru tyle, że się nie zmieści, to pojedziemy na zachód.

– Wszyscy z Wielkopolski?

– Większość, ale sporo wozów z Berlina i Drezna. Z Warthegau najwięcej, bo gauleiter Greiser dostał za zasługi pozwolenie na wywóz. To nie jest tak, że tu każdy mógł przyjechać, trzeba mieć specjalne *unterlagen*<sup>[18]</sup>, *erlauben*<sup>[19]</sup>! No, na mnie już czas, na ciebie też, zaraz wachman się o ciebie upomni. – Kierowca wsiadł do kabiny i zapuścił motor.

Zrobili im zbiórkę, kilku mundurowych, esesmanów i gestapowców oraz wyglądających jak węszące psy cywilów w tyrolskich kapelusikach dokonywało selekcji. Patrzyli na zdjęcia, porównywali z twarzami. Kogo mogli szukać? Kto był na fotografiach? Poszukiwani ludzie? A może mieli tam zdjęcia Żydów? Później słowami „złoto, srebro, oddawać złoto, srebro, biżuterię” rozpoczęli rewizje. Nagle zaczęli popychać, a później bić jakiegoś mężczyznę. Kiedy upadł, kopali go, a na koniec podszedł esesman i strzelił mu w głowę.

– Taka kara spotka każdego, kto będzie próbował przchemyczyć złoto albo biżuterię – zacharczał jeden z tyrolskich kapelusików, a drugi triumfalnie pokazał złoty łańcuszek.

Czy rzeczywiście ten nieszczęśnik znalazł go i próbował wynieść, czy może wszedł tu ze swoją własnością? Tego się już nie dowiedzą.

Raz jeszcze złapali i rozwalili kogoś, kto próbował wynieść kosztowności, raz oficer kropnął jednego z niemieckich kierowców, bo próbował okraść Rzeszę, która rabowała Warszawę, parę osób wyciągnięto i zabrano, więcej już ich nie zobaczyli. Najgorszy był jednak obraz żydowskiej rodziny, którą znaleźli w ruinach. Wychudzeni, z dziećmi owiniętymi w łachmany. Kiedy ich mijali, stali pod ścianą, a szkopy odzierały ich z ubrań w poszukiwaniu kosztowności, minutę później rozległy się strzały.

I tak ponad tydzień, dzień po dniu upadająca, niewolnicza praca przy ograbianiu Warszawy. Zmieniło się tylko to, że już mniej szabrowali, bo albo nie było czego, albo Niemcom mocno



się już dupa paliła. Zaczęli się umacniać, kopiąc oczywiście rękami Polaków transeje i okopy. Stawiali też bunkry i umacniali domy przy ulicach prowadzących od Wisły. Robili stanowiska strzeleckie, pomniejszając za pomocą gruzu okna i okienka piwniczne, umacniając je dodatkowo płytami chodnikowymi. Nie mieli rękawiczek, dokuczał coraz większy chłód, a dłonie były coraz mocniej pokancerowane. Nie było miejsca ani czasu na odpoczynek czy na zwolnienie tempa pracy, bo wachmani nie żalowali batów.

Po południu zaprowadzili ich nad Wisłę. Ulicę wychodzącą na rzekę pozasłaniali kapami, płachtami i dywanami, żeby Ruscy nie widzieli, co się dzieje. Pewnie zamiast się dowiadywać, hukną w końcu z armat i tak się skończy. Na razie robili to, co w innych punktach miasta. Nagle rozległ się ryk. Nie wiedział, co usłyszał pierwsze – silniki samolotów czy odpalone przez nie rakiety. Rzucił się na ziemię. W samą porę, bo rakiety eksplodowały, a po chwili odezwały się działa i karabiny maszynowe. Po paru sekundach gwizdnęły im nad głową radzieckie samoloty. Zapanował chaos, z którego Stasiek chciał skorzystać, zwłaszcza że do ataku lotniczego doszedł jeszcze ostrzał z drugiego brzegu. Wszyscy poszli w rozsypkę, Niemcy stracili nad nimi kontrolę, ktoś próbował uciekać, ale strażnik ściął go serią. Stasiek widział to z odległości paru metrów, podobnie jak wybuch, który ściął z nóg szkopa z automatem. Kurz opadł, Niemiec się nie podniósł, więc Stasiek wziął jego automat i ruszył w kierunku gruzów.

– *Halt!* – usłyszał wrzask, a seria przeleciała mu nad uchem, zrobił półobrót i wystrzelił serię. On też chybił, ale do kolejnej wymiany ognia nie doszło. Nadleciał kolejny klucz sowieckich samolotów. Nie padł, zaryzykował, wskoczył do bramy. Był wolny, ale na jak długo? Sprawdził magazynek, był prawie pusty. Zaklął, ale potem zdał sobie sprawę, że wszędzie leżało

mnóstwo broni. Był blisko Solca, gdzie walczył w powstaniu. Już wtedy były tu ruiny, jakoś da sobie radę w tym labiryncie.

\*\*\*

Kredka wyruszył na poszukiwanie czegoś do jedzenia, spalenia albo picia i po jakieś łachy, kołdry i koce. Na początku było im za ciepło, ale mury zaczęły stygnąć, i z dnia na dzień robiło się coraz chłodniej. Lisek też chodził „na zakupy”, ale prawie z nimi nie siedział. Włóczył się po okolicy i niechętnie o tym mówił.

– Szukasz skarbów?

– Może i szukam, a jak szukam, to co?

Nawet na poszukiwania potrzebnych rzeczy chodzili osobno, ale co tam, w końcu Lisek robił swoje, a poza tym zanim się pojawił, i tak chodził sam. W sumie to dobrze, że jest, skołował jakieś karty i było z kim pograć. Do czasu, aż doktor popsuł zabawę, bo się przyłączył i w cokolwiek grali, to prawie zawsze wygrywał.

Nagle usłyszał jakiś chrobot, mocniej ścisnął broń i wtedy zza sterty gruzów wyłoniła się postać w płaszczu i meloniku, z twarzą osłoniętą białym szalem. Kredka o mało nie wystrzelił, ale w ostatniej chwili się powstrzymał, bo tajemniczy gość uchylił melonika, który skrywał rudą czuprynę.

– Niech to szlag, Lisek! O mało cię nie kropnąłem, skąd to masz?

– Szkopy nie wszystko wyszabrowały, mam i coś dla panny Krysi – zaśmiał się Lisek, wypuszczając w górę szal boa.

– Jesteś wariat! – podsumował Kredka.

– Przynajmniej nie ma nudów – powiedział, po czym nagle spoważniał i zaczął mu coś pokazywać na migi. Zrozumiał, że mają wejść do bramy, szli do niej, a Lisek jakby nigdy nic opo-

wiadał jakieś kocopały i podśmiewał się z nich. Kiedy weszli do bramy, syknął: – Idź dalej, no kurczę, idź!

Kredka poszedł i miał złe przeczucia, że idzie na wabia, że coś się dzieje. Kiedy wszedł na kolejne podwórko, usłyszał za sobą czyjeś kroki, sklepienie bramy wyostrzyło dźwięk, wtedy rozległo się:

– *Hände hoch!* Ręce do góry!

Odwrócił się i zobaczył człowieka z automatem, nie był w mundurze, próbował się uśmiechać.

– Panowie, chłopaki, swój, Polak.

– Łapy w górę – komenderował Lisek, który stał za jego plecami. – Kredka, zabierz mu broń.

Kredka podszedł bliżej i zobaczył, że to taki sam młody obdartus jak oni.

– Kim jesteś, czemu się skradasz?

– Uciekłem Niemcom, miałem się ujawnić, ale zobaczyłem tego cudaka. – Wskazał czubkiem brody Liska.

– Co za ciężki frajer boi się eleganckiego gościa w meloniku! – prychnął Lisek.

– Stasiek jestem.

– Służyłeś?

– Starówka i Czerniaków – powiedział z dumą.

Rozpoczęła się krótka rozmowa mająca na celu sprawdzenie, czy delikwent nie podszywa się pod powstańca. Nie podszywał się, wiedział, co i jak, a co najważniejsze, zdążył już być na drugim brzegu.

– Dobra, kolego, opowiesz, jak to jest z Ruskimi, u nas, na kwaterze. Zwijamy się, bo dawno nie było tu żadnego patrolu, a podobno dzisiaj wnerwione są, bo im jakiś cwaniak z robót uciekł. – Kredka puścił oko, zaśmiali się i poszli w kierunku piwnicy.

Stasiek został serdecznie przyjęty przez mieszkańców piwnicy, którzy chłonęli jego opowieści o tym, co się dzieje na prawym brzegu Wisły, o tym, jak się przeprawiał przez rzekę, o chłopskim szabrze, wreszcie o tym, jak go złapano i zaprzęgnięto do pracy. Kiedy już się mieli kłaść spać, Kredka postanowił zażartować.

– Każdy jakieś historie z życia opowiada, to może jutro kapral Lisek się poprodukuje?

– Jutro będę poza Warszawą. – Lisek wszystkich zaskoczył.

– Jak to? – rozległ się niemal zgodny chór.

– Tak to, po prostu muszę i tyle.

– Jesteś potrzebny! – stwierdził Kredka.

– No jestem, ale nie tutaj – ogłosił Lisek, ale bez swojego uśmiechu, tym razem mówił całkiem poważnie.

– Zgrywasz się, to jakaś twoja nowa zgrywa. – Kredka był pewien, że tak właśnie było.

– Nie, nie zgrywam się. – Lisek wciąż był poważny.

– Panie Lisku... – włączyła się do rozmowy doktorowa.

– No muszę i tyle. Ja dziś pierwszy wezmę wartę.

Wieczorem następnego dnia Lisek opuścił ruiny miasta.

## **Włochy pod Warszawą**

Portugalczyk nie mógł odbudować siatki, bo miejscowość była wysiedlona, większość mężczyzn stąd zabrali albo wygonili, wielu dało nogę. Nie było żadnych znanych mu towarzyszy, nie było nikogo, kto zaczepiony przez niego, dawałby nadzieję, że jest jednym z nich. Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że mógł sprawiać wrażenie prowokatora, ale wywołując tematy, próbując złowić rozmówcę, ani razu nie spotkał się z charakte-

rystycznym słownictwem ani dialektyką, po których mógłby rozpoznać partyjnych towarzyszy. Można się przebrać, udawać kogoś zupełnie innego, ale doświadczony zawodowy rewolucjonista, jakim był Portugalczyk, nie dałby się nabrać.

Był zatem na wyludnionym przedmieściu, pośród ludzi, którzy nie pałali zbyt ciepłymi uczuciami do Związku Radzieckiego ani do Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Były za to sikorszczaki, których ostrożnie śledził, i to wszystko, co mógł robić, bo nie miał kontaktu z centralą ani towarzyszami. Psia mać, oni mieli tylu ludzi, że cholera brała. Członków Polskiej Partii Robotniczej i Armii Ludowej, nawet razem z sojusznikami, rodzinami i znajomymi, którzy pewnie zostaną kombatantami, nie było dziesiątej części tego, co mieli londyńczycy. Ale to się zmieni. Szybko, nawet nie zauważą kiedy.

Na razie zadbali o to Niemcy, którzy weszli na sikorzacką melinę. Zatrzymali czterech ludzi: gospodarza lokalu, szpakowatego mężczyznę w płaszczu, który wyglądał na przebranego w cywilne ciuchy oficera, oraz dwóch chłopaków, którzy byli jego obstawą. Po czterdziestce, jakby połknął kij, do tego z obstawą – kim był? Majorem? A może pułkownikiem? Na pewno kimś ważnym. Szkoda, bo gdyby nie szkopy, to on by się nimi zajął, i to tak z głową, żeby zwinąć całą akowską siatkę. Niemcy byli niecierpliwi, rozerwali ją, sikorszczaki się rozproszyły i szukaj wiatru w polu. Szkopy musiały się śpieszyć, bo to ich ostatnie dni, pewnie za parę tygodni front ruszy i Armia Czerwona razem z Wojskiem Polskim przetoczy się po nich jak walec. Dalej obserwował dom, w którym Niemcy założyli kocioł, bo może jednak ktoś się tam pojawi, a wtedy on zatrzyma delikwenta, ostrzeże i... wkręci się do Armii Krajowej.

**1 grudnia 1944**  
**Prusy Wschodnie, obóz jeniecki Armii Czerwonej**

Do obozu przyjechali Polacy. Zmroziło go, kiedy usłyszał polski język. Jeszcze gorsze były twarze, a najgorsze oczy. A jeśli teraz będą filtrować Polacy? W zasadzie dopiero teraz powinna się zacząć filtracja, na razie to była zabawa, zwykle rachowanie. Czego mogą chcieć? Większość jeńców patrzyła z niechęcią, ale i zainteresowaniem, bo było to jakieś przełamanie monotonii, można powiedzieć: ciekawostka. Zauważył, że Hauptgefreiter Minge, Obergefreiter Ast i Feldwebel Müller jakby się skurczyli, ale po chwili lekko się odprężyli – wyglądało na to, że żaden z przybyłych Polaków nie był dla nich zagrożeniem. Kazali im się ustawić kompaniami, jak na apelu, i wtedy wbił się między Minge, Asta i Müllera, szepcząc:

– *Kameraden*, ukryjcie mnie, ten drugi z lewej mnie zna!

Szybko ustawili się tak, że znalazł się za ich plecami.

– Już przeszedł – poinformował go Minge. – Poszli do komendantury rozmawiać z Sowietami.

Po chwili rozległa się komenda „spocznij”, a potem „rozejść się” i mogli swobodnie rozmawiać. Ich czwórka stanęła z daleka od innych żołnierzy. Zdarzyło się to po raz pierwszy, do tej pory tamtych trzech unikało spotkań w gronie większym niż po dwóch, co jeszcze bardziej go upewniało, że mają coś do ukrycia.

To on odezwał się pierwszy przed innymi, jakby był najstarszy stopniem.

– *Danke, kameraden, danke*. – Uśmiechnął się. – Spanikowałem, był bardzo podobny, ale to nie on. Niemniej dziękuję, dobra robota, koledzy! Obergefreiter Johann Schulz! – przedstawił się.

Oni też się przedstawili. Ze sposobu, w jaki to zrobili, wynioskował, że nie domyślali się, że ich obserwowal i znał ich szarże i nazwiska.

– Co takiego zrobiłeś, że na widok Polaków musiałeś się ukryć w trzecim szeregu? – zapytał Müller.

– Nie jestem z Wehrmachtu, tak jak i wy – spojrzał na nich – ale nie z tej samej formacji, choć mieliśmy tego samego szefa.

– No proszę, proszę – odezwał się kpiącym głosem Obergefreiter Ast. – I co jeszcze nam powiesz, kolego?

– Że większość z tych tutaj już się pogodziła z losem, a my mamy więcej do stracenia i musimy coś zrobić.

– A mianowicie? – Ast sprawiał wrażenie śledczego.

– Bezwzględnie musimy uciekać.

– Kolego – włączył się Müller – ten obóz zrobiliśmy my, Niemcy, więc to solidna rzecz, przemyślana, rozumiesz? – Wskazał ruchem głowy na wieżyczki, które górowały na drutami.

– Tak, kolego, to niemiecki obóz – odpowiedział mu już nie tak grzecznie jak wcześniej – jeden z wielu, nie wiem który, ale wiem, tak jak pewnie i ty wiesz, że uciekali z nich alianccy jeńcy.

– Będziesz pouczał, mądralo? – wysyczał Feldwebel Müller, który wszedł między nich.

– Będę, jak mi się będzie podobało!

– Spokojnie, panowie, spokojnie – po raz pierwszy włączył się Hauptgefreiter Minge. – Nie potrzebne nam są spory, potrzebne natomiast zaufanie i spokój.

Minge był niezwykle koncyliacyjny, ale Duch znał się na ludziach, wiedział, że nie ma szans na jakieś szybkie zbliżenie do tej trójki.

# V ZGLISZCZA

## Włochy pod Warszawą

**B**ył już grudzień, spadł śnieg, a na białym kolor czerwony odbija się jak stempel. Ale nawet bez pomocy aury Portugalczyk by go zauważył. Młody knypek miał włosy wykluczające z jakiegokolwiek konspiracji, bo ktoś tak rudy jak ten chłopak rzucał się w oczy, wprost krzyczał „zapamiętaj mnie!”. Był związany z sikorzakami, i to bez dwóch zdań, bo widział go już wcześniej na terenie tej posesji. Pewnie był jakimś łącznikiem. A może świadkiem jakiegoś zdarzenia, który opowiadał o tym wszystkim oficerom? Przyuważył, że mieli z nim spotkanie i wyglądało to na coś więcej niż rozmowę. Odznaczali go? Cholera wie, bo niejeden dzieciak dokonał w czasie powstania wielkich rzeczy, może więc i ten rudy jak lis chłopak był jednym z takich bohaterów. Szedł za nim, śledził go, robił to dyskretnie, nie było mowy, żeby szczeniak go zauważył. Tuż przed domem, w którym był kocioł, próbował go zatrzymać, ale rudzielec wyjął pistolet i śmiejąc się swoją lisią twarzą, kazał mu spieprzać.

– Nie idź, tam jest kocioł! – tłumaczył chłopakowi.

– A ty kto?

– Przyjaciel!

– Czyj?

– Wasz, twój, Armii Krajowej.

– Od kogo jesteś?

– Co? – zdziwił się Portugalczyk, bo on mówi gówniarzowi o kotle, a ten pyta, od kogo jesteś, więc w swoim zdziwieniu po-



wtórzył raz jeszcze, ale tylko po to, żeby się jeszcze bardziej zdziwić: – Co?

– Jajco!

Rudy szczeniak przeładował pistolet i odskoczył, cały czas w niego mierząc.

Co za nieufny gówniarz! Myślał, że go złowi, że zostaną kumplami, że opowie mu wszystko o siatce AK, o planach, ludziach. Pewnie są zapasowe lokale, a on jako łącznik, bo kim jak nie łącznikiem jest taki gówniarz, musi je znać. Nie dał się nabrać i pogonił go pistoletem! Jego, starego gieelowca, oficera, weterana Brygad Międzynarodowych.

## **Zima 1944/1945** **Warszawa, Śródmieście**

Kredka i Stasiek wyszli na patrol, tak żeby rozprostować kości, nazbierać trochę drewna, którym będą palić nocą w kozie, przeszukać piwnice i ruiny, bo zawsze mogło się trafić coś bezcennego. Nad tłącymi się ruinami miasta unosił się smród spaleni-ny, ale i tak powietrze było ostatnio prawie jak w kurorcie. To zasługa mrozu, który uczynił Warszawę znośniejszą. Trupy zamarzały, ciała z galeretowatej masy stawały się kamieniami. Zmarli przypominali teraz rzeźby, takie niekończące się rzędy przewróconych pomników. Było kilka koło siebie wyglądających jak wprawki rzeźbiarza, który chciał zrobić kopię pomnika peowiaka sprzed Zachęty, tyle że bez cokołów, ma się rozumieć. Nie dokładnie takie same, ale podobne. I były też zwłoki leżące równo, jak Pan Jezus na grobach Pańskich, które urządzano na Wielki Piątek. I dużo było takich, które wyglądały jak antyczne rzeźby, które przed wojną można było oglądać w Muzeum Narodowym. Bo antyczne rzeźby najczęściej nie miały rąk i nóg, czasem i głów. Tak samo było z ciałami leżącymi na ulicach i w

gruzach. W muzeum te stare, kalekie rzeźby były najczęściej białe, zimną te leżące na ulicy trupy upodabniały się do nich. Próżący śnieg wybielał je, ale pokrywał też makabryczny pejzaż, co z jednej strony dawało zabezpieczenie, a z drugiej było niebezpieczeństwem. Warstwa śniegu pozwalała Kredce i Staśkowi zobaczyć, czy ktoś szedł resztkami ulic, bo niemieckie patrole zostawiały ślady. Ale i oni w ten sam sposób mogli zostać zdemaskowani, więc starali się iść wyłącznie po gruzach, tam, gdzie nikt ich nie wytropi. Idąc kamienną granią, trafili na podwórko, którego jeszcze nie zwiedzali. Zaczęli grzebać i nagle Stasiak wydał radosny okrzyk:

– Sezam, jak Boga kocham, sezam! – ucieszył się, wychodząc z rumowiska ze skrzynką pełną konserw.

– Zamknij się! Chcesz ściągnąć szwabów!? – skarcił go Kredka.

– Przynajmniej się przed śmiercią nażrę mięsa! – odparował Stasiak.

Kredka wyciągnął ze skrzynki jedną z konserw i zaczął ją oglądać, jakby był koneserem wina, który przygląda się butelce, odczytując apelację i rocznik.

– Zostaw to! – Minę miał przy tym jak kiper, którego po otwarciu butelki uderza w nos zapach skwaśniałego trunku. – To z ruskich zrzutów, mało się nie potruiliśmy, dostaliśmy sraczki i wymiotów, przy tym pieczony piesek to był luksus.

– Na pewno? – Stasiak z żalem obracał konserwę.

– Jak chcesz, to spróbuj, ale jednego chorego już mamy, doktor już raz zrobił pod siebie, a ty po tym będziesz walił na okrągło.

Stasiak odłożył skrzynkę z niepotrzebnym żelastwem, które wypełniało zepsute mięso, i powłókł się za Kredką. Faktycznie stan doktora był krytyczny, ale oni też byli w marnej kondycji. Jeśli to wszystko wkrótce się nie skończy, to nie pozostanie nic

innego, jak tylko palnąć sobie w łeb. Nigdy nie miał takich myśli, zawsze był optymistą, i podczas obrony PWPW, i w kanałach, i kiedy Niemcy na Powiślu czerniakowskim spychali ich do rzeki. Zawsze widział jasną stronę, bo gdyby tak nie było, to nie wyciągnąłby swojego brata z Wisły i nie dostał się na drugą stronę. To mu pozwoliło przetrwać ostatnie trudne miesiące, ale teraz czuł się już u kresu sił. Popatrzył na Kredkę, on też wyglądał, jakby miał zacząć świrować. Krysia również była napięta i doktorowa także. Tylko doktor zachowywał spokój, bo przez większość dnia spał albo był nieprzytomny. Dlatego wymyślali te patrole, żeby nie patrzeć, jak Julian Reich powoli, ale nieubłaganie odchodzi z tego świata.

Z dnia na dzień było coraz gorzej, doktor kasłał, jego skóra stawała się coraz bledsza, tracił na wadze, kontakt z nim był coraz bardziej utrudniony. Jego żona Anna czuwała przy nim, a sanitariuszka Krysia... Krysia dbała o panią doktorową, bo wobec choroby jej męża była bezradna. Siedziała obok niej, starała się ją podtrzymywać na duchu, pomóc, ocalić przed szaleństwem. Próbowwała wciągać ją w rozmowy, ale każdy kolejny temat był przez panią Annę utracany. Chociaż całe powstanie pracowała w szpitalach i przeszła prawdziwe piekło, to jednak czuła, że kolejne miesiące, już prawie trzy, doprowadzały ją do szaleństwa. Może dlatego spytała o coś, o co pytać nie powinna.

– Pani Anno...

– Słucham cię, Kysiu.

– Przepraszam, ale... jak ocaliliście?

Doktorowa spojrzała na nią zapuchniętymi od łez oczami, i Krysia pojęła, że nie powinna o to pytać, przestraszyła się tego, co może nastąpić – wybuchu płaczu, niepohamowanego szloch, a może obłędu, bo przecież tam, za murem, działy się straszne rzeczy. Ale pani Anna wzięła głęboki oddech, otarła łzę płynącą z policzka i rozpoczęła opowieść.

Kryścia poczuła, że Anna Reich wyrzuciła z siebie te wspomnienia i zrobiło jej się lepiej. Pewnie chciała komuś o tym opowiedzieć, ale nie miała komu, teraz znalazła w osobie Kryści powierniczkę, osobę właściwą do zwierzenia się, bo będącą z nią w kolejnej krytycznej sytuacji. Sanitariuszka zobaczyła, że pani Anna chce mówić dalej, więc znów spytała:

– Czy było w getcie jakieś normalne życie, czy to prawda, że były tam sklepy, restauracje? Jak to wszystko wyglądało?

– Opowiem ci, bo nie wiem, czy przeżyjemy, czy przeżyje ktoś, kto tam był... A to trzeba wiedzieć, to musi zostać, żeby ludzie mieli świadomość, co się tam działo.

Anna Reich sięgnęła pamięcią do bolesnych przeżyć.

Z dnia na dzień było coraz gorzej, nie dla wszystkich starczało jedzenia, choroby i głód dziesiątkowały ludzi. Umierali już nie dziesiątkami, ale setkami i często nie było ich komu pogrzebać. Coraz więcej zwłok wyrzucano na ulicę, bo rodzin zmarłych nie było stać na pochówek. Tysiące zmarłych odwożono na cmentarz bez jakiegokolwiek ceremoniału i asysty najbliższych. Choć trudno powiedzieć, by odbywali tę drogę sami, bo ich ciała były wrzucane na wóz ciągnięty przez ludzi, których opłacał Judenrat. Tradycja, by w jednym grobie grzebać jedną osobę, poszła w niepamięć. Do wielkiego dołu zrzucano zwłoki, które najpierw symbolicznie oddzielano deskami, ale później zbrakło i tego. Dni żałoby? To była jedna wielka żałoba, nieustanna szywa<sup>[20]</sup>, więc szybko zabrakło słów i łez, by wyrażać smutek. Wszystko było smutkiem. Doktor Reich nie mógł tego zrozumieć, ale byli tacy, którzy chodzili do restauracji i kawiarni, słuchali muzyki i pili dobre trunki, jakby nie było wojny, getta, trupów na ulicach. Zaskoczyła go zatem propozycja Anny, by pójść do Sztuki, żeby posłuchać, jak gra Szpilman i jak śpiewa Wiera Gran. Poszli więc.

Publiczność klaskała jak szalona.

– Klaszczą, Anno, jakby nie było jutra – powiedział doktor, sam waląc w dłonie z całych sił.

– Raczej klaszczą tak, jakby jutro miało być jakieś jutro, jakaś nadzieja – odparła Anna.

Od jednego ze stolików zerwała się kobieta, chciała szybko wyjść, ale się zatoczyła i wpadła na doktora. Podtrzymał ją, żeby nie upadła, ale ona gniewnie się szarpnęła.

– Panna Aleksandra? – zapytał.

Spojrzała na niego mętным wzrokiem.

– To ja. – Nie wyglądała na zachwyconą, ale zaraz go rozpoznała. – Ach, to pan doktor Reich! – A po chwili dodała: – Państwo Reich! To z pewnością był miły wieczór, piękne zakończenie kolejnego dnia w getcie!

Doktor chciał coś odpowiedzieć, ale ona minęła go i wyszła z lokalu. Wydawało mu się, że płakała.

– Kto to był?

– No przecież córka mecenasa Fuchsa!

– Wyglądała bardzo źle – zauważyła Anna.

– Wszyscy wyglądamy bardzo źle, a już w szczególności ci, których nie stać na bywanie w takich miejscach.

Wyszli z lokalu po spektaklu, dali pieniądze żebrakowi, którego nie przegonił wykidajło, i ruszyli w kierunku domu. Doktor czuł niesmak, choć jeszcze parę minut temu był w euforii. Muzyka, występy, Wiera Gran i Jej pierwszy bal... Wszystko prysło jak bańka mydlana, wszystko zepsuła Aleksandra Fuchs. Ale przecież i tak by poczuł wyrzuty sumienia po powrocie z modnej knajpy z muzyką do świata śmierci. Minie kwadrans i znów będą w mieszkaniu, które było ich azylem. Książki, muzyka z patefonu, rozmowy o wakacjach na Helu... To też było oszukiwanie się, ucieczka przed tym, co ich w każdej chwili mogło czekać.

– Chciałabym tu jeszcze wrócić – powiedziała Anna, patrząc mu w oczy.

– Doprawdy? – zapytał doktor.

– Tylko jeśli mogłabym zażyć cyjanek, popić normalną, nie-udawaną kawą, może koniakiem. Umarłabym tu, na skrawku normalnego świata, chciałabym to zrobić z tobą.

– Ale jesteście teraz razem. – Krysia przytuliła do siebie panią Reich.

– Jesteśmy, ale Julian...

– Wszystko będzie dobrze, proszę pani, pan doktor przeżyje – powiedziała, ścierając chusteczką pot z czoła Juliana Reicha.

– Oszukujesz mnie, Kysiu – Anna Reich ścisnęła dłońmi rękę dziewczyny – ale bardzo ci za te kłamstwa dziękuję, sama też się oszukuję, sama też w to wierzę, bo to pomaga.

Zapadła cisza, Krysia nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. W końcu znalazła nowy temat.

– Co się stało z tą kobietą, z tą... Fuchs?

– Ola Fuchs... Mądra dziewczyna, właściwie kobieta. Utalentowana, choć nigdy nie znalazła ujścia dla swego talentu. Może dlatego, że bardzo kochała życie i rozrywki? Studiowała, podróżowała, trochę pisała, na pewno bywała... Ale co się z nią teraz dzieje, gdzie może być?

## **Warszawa, prawy brzeg Wisły, Szpital Przemienia przy ulicy Boremlowskiej**

Olę bolała głowa, czuła się źle, jak wtedy, kiedy przesadziła z alkoholem w Sztuce.

*Gdzie jestem?* – po raz kolejny zadała sobie to pytanie, bo lekarstwa powodowały nie tylko ból głowy, lecz także zaburzały jej poczucie czasu.

Powtórzyła pytanie na głos, ale nikt nie odpowiedział. I jeszcze raz i znów nic. Czyżby nie żyła, a tych lekarzy, siostrę i człowieka w mundurze widziała już z tamtego świata?

– Często tak ma, ale idzie ku dobremu, to cud, że ta kobieta żyje – usłyszała jak przez mgłę.

Nagle sobie wszystko przypomniała. Tak, to był cud. Kolejny. Życie pełne cudów. Cud przeżycia getta i tak był największy, ale ten tuż po nim. Większy od cudu przetrwania po aryjskiej stronie.

Cuda w piekle.

Wojna.

Getto.

Szaleństwo, które ją ogarnęło, kiedy chciała pójść do Hotelu Polskiego.

Szmalcownicy.

Ewakuacja na Pragę.

Wreszcie to, co się stało w parku. Zabiła trzech ludzi i prawie zabiła siebie, by go ratować. Ale tak trzeba było. On więcej dla niej ryzykował. Najwięcej wtedy, kiedy przyszli szmalcownicy. A może bardziej, kiedy ją wyprowadził z sądów. On ryzykował dla niej codziennie. Może lepiej by było, gdyby się dla niego zabiła, bo co ją teraz czeka? Skąd mogła wiedzieć, co ją czeka, skoro tak naprawdę trudno jej było dojść do tego, co przeżyła. Jak jakaś gojka zaczęła sobie robić rachunek sumienia, wyliczać i oceniać.

Miała piękne, nowoczesne i powierzchowne życie. Wszystkiego próbowała i w nic się nie zagłębiła. Wiele spraw, ale niewiele na serio. Pieniądze i pozycja ojca ją uszlachetniły i zepsuły. Stała się dziwną kopią jej własnej matki. Nowocześniejszą, ale nie donośniejszą. Matka studiowała, ale nie pracowała, nie za pieniądze. Prowadziła dom ojcu, organizowała ży-

cie, angażowała się społecznie i w sumie ona też taka była, ale kompletnie inaczej. Jako jedynaczka, córka bogatych, zasymilowanych Żydów, miała wszystko albo prawie wszystko. Wychowała się w jasnym, przestronnym mieszkaniu, chodziła do dobrych szkół, jeździła na wakacje do wuja, który miał willę w Zakopanem, znała Paryż, zwiedziła Włochy, chadzała do teatrów i kabaretów, była wyemancypowana jak amerykańska flapperka. Ojciec nie skąpił pieniędzy na kursy i wykłady, a ona studiowała po semestrze to tu, to tam, ale nie po to, by zdobyć zawód, tylko by zaspokoić ciekawość.

I tak ciekawość pchnęła ją w ramiona policjanta, śledczego Kornela Strasburgera. A nawet nie tyle pchnęła, co wjechała w nie automobilem. Dosłownie! Pomogła mu w pogoni za złoczyńcą i to ich najpierw o mało nie zabiło, a później połączyło. Szalona historia, szalony, niełatwy związek, życie, przez które pędzili jak przez lunapark. A za coraz wymyślniejsze bilety płacił jej ojciec.

Mecenas Fuchs kochał córkę, polubił też wiecznie przyszłego zięcia i nie skąpił środków na jej szaleństwa. To był powód, dla którego Strasburger wystąpił z policji. Zarabiał dobrze, ale nie na tyle dobrze, by nie czuć, że życie na wysokiej stopie zawdzięcza hojności mecenasa Fuchsa. W policji, żeby zarobić więcej, musiałby się sprzedać bandytom, przejść na drugą stronę, a tego zrobić nie mógł. Założył więc biuro detektywistyczne i zajmował się sprawami, których nie mogła albo nie chciała rozwiązać policja. Ryzykował, jechał po krawędzi, wplątał się w handel bronią, ale jak tłumaczył Oli, dla dobra Polski. Przyszły pieniądze, które pozwoliły mu się wyzwolić z myśli, że żyje ponad stan. Mieli jeszcze więcej pieniędzy na coraz to większe przygody w ich lunaparku życia. Wzloty i upadki, w górę i w dół jak na górskiej kolejce, szalone tempo, przygody, awantury, jazda po krawędzi, życie rwane garściami, jakby miało nie być



następnego dnia. Aż pierwszego września 1939 roku okazało się, że następnego dnia nie było. Że to, co sobie zaplanowali, bo nawet oni byli w stanie coś zaplanować, wzięło w łeb. Małżeństwo, dziecko, przeprowadzka pod Warszawę, stabilizacja, bo w końcu w październiku miały być jej dwudzieste dziewiąte urodziny! Raz miały być huczne, dla setki przyjaciół, a raz kameeralne, spędzone tylko z Kornelem, w jakimś romantycznym zakątku. Lizbona, Neapol, Ateny, a może w Białym Słoniu, obserwatorium astronomicznym na Czarnohorze?

Tymczasem pierwszego września poleciały na nich bomby, a Kornel został zmobilizowany. Nie zwyczajnie, bardzo specjalnie, bo z polecenia Ignacego Matuszewskiego, byłego ministra skarbu i pułkownika wywiadu. Ola знаła Matuszewskiego, bo był mężem jej idolki, Haliny Konopackiej. Kornela zwerbowano do wywiezienia rezerwy złota, to było siedemdziesiąt pięć ton kruszcu! Mogła jechać, Konopacka powiedziała jej, że brakuje kierowców, że wie o jej umiejętnościach i przydałaby się kolejna para rąk do poprowadzenia aut, bo jeśli to możliwe, będą jechać dzień i noc, bez przerwy. Zastanawiała się, podjęła decyzję, ale najpierw chciała o tym powiedzieć rodzicom. Pojechała do nich i nie zdążyła wrócić na czas, wszystko przez alarm przeciwlotniczy, a później przez drogę, którą trzeba było dać kolumnie wojska. Konwój odjechał bez niej. Co pomyślał Kornel? Co by się stało, gdyby wtedy do niego dołączyła? I tak nie uratowała rodziców. Matka zmarła w getcie, ojciec, tak jej się wydaje, popełnił samobójstwo. Zrobił to, żeby dać jej wolną rękę, żeby mogła uciec. Zanim to zrobiła, poszła do Sztuki, upiła się, narozrabiała.

Teraz też narozrabiała, zabiła sowieckiego oficera, ale o tym wie tylko Wicek Rybski. Musi zasnąć, bo pewnie wcześniej czy później zaczną ją wypytywać, musi więc ułożyć sobie w głowie historię, której będzie się trzymać, i mieć się na baczności, bo

jeśli ją wypuszczą ze szpitala, to pewnie i tak będą śledzić, a ona nie będzie się miała gdzie podziać.

Rozległo się pukanie, a po chwili do sali wszedł wojskowy w oficerskim mundurze, major chyba, zatem Rosjanin? Z tak wysokim stopniem pewnie Sowiet, nie inaczej. Podszedł do niej i spoglądał jakoś inaczej niż każdy śledczy, w końcu zapytał, a może bardziej stwierdził:

– Wkrótce wypisują panią ze szpitala...

– Tak.

Powiedziała i od razu pomyślała, że to koniec parasola ochronnego, że teraz trafi do więzienia, że wezmą się za nią.

– I co dalej? – zapytał, jakby nie wiedział, co z nią będzie.

– Nie wiem.

– Pani Aleksandro, a ja wiem... – Uśmiechnął się, drań. – To znaczy chciałbym wiedzieć, ja proponuję...

– Panie majorze, ja już wszystko powiedziałam!

– Nie sądzę, nie sądzę... – Pokręcił głową. – Ja uważam, że ma pani bardzo wiele do powiedzenia, a wie pani, skąd wiem?

Skąd mógł to wiedzieć? Ktoś doniósł, ona coś powiedziała przez sen?

– Nie wie pani? A ja wiem! Wiem, bo pamiętam! Pamiętam panią, choć pani mnie nie pamięta...

Coś jej chodziło po głowie, blisko, coraz bliżej.

– Klub Demokratyczny, tam się widzieliśmy, a potem zaproponowałem pani rozwinięcie tego, co pani napisała dla „Sygnałów”. Nazywam się Borejsza, Jerzy Borejsza.

**Warszawa, Praga, ulica Stalowa**

Wincenty Rybski siedział w konspiracyjnym lokalu Jeżewskiego. Dziwnie się w nim czuł, pewnie trochę jak Żyd po aryjskiej stronie, i to w policyjnej dzielnicy. Cała Praga była teraz jak aleja Szucha i jej okolice. Co prawda na Stalowej szedł handel, ale wokół były placówki NKWD i UB, a jednostkę wojskową zamieniono na areszt śledczy, który nazywano Toledo. Gdyby oni wiedzieli, co się tu dzieje i kto tu mieszka! Pewnie się domyślali, bo dla nich wszyscy byli podejrzani, czyli można powiedzieć – normalka, stan permanentnej okupacji, która rozpoczęła swój szósty rok, ale w jeszcze gorszych dekoracjach i w bardziej skomplikowanej sytuacji. Ten bandyta Maniek Ciechaniak miał rację, powtórzył to sobie po raz kolejny, on to wszystko przewidział: „Nie ma tamtej Polski i nie będzie. Żałuję bardzo, ale to finito jest. Delegacja Najjaśniejszej Rzeczypospolitej pójdzie na peron, jak Hycler będzie wsiadał do pociągu do Berlina, ale zanim zdążą się obejrzeć, wjedzie pociąg z Moskwy. Ja już bym w ten temat nie wchodził, odpuść sobie. Jak kumpel ci radzę. Ty się lepiej z Niemcami zabierz, bo policja będzie miała przegwizdane bardziej niż Armia Krajowa. Pomnisz moje słowa!”. Miał stuprocentową rację i był na to wszystko przygotowany, ale inaczej niż organizacja NIE. On się przyłączył, przynajmniej tak zrobił jego brat Władek. Ciechaniakowie potrafili się ustawić, bo przecież w czasie okupacji, kiedy Niemcy byli górą, ich kuzyn Kriminalfeldfelbel Szymon Ardaniec był jedną z największych mend, jakie poznał w czasie wojny i – co go cieszyło – jedną z największych, które udało mu się rozdeptać.

– Za chwilę ruszą – powiedział Jeżewski, który właśnie skończył parzyć herbatę. – Wie pan, ze zrzutów! Aż tu ją zaniósł.

– Dobrze, że do Niemców, przynajmniej ta trafiła do nas.

– Faktycznie tyle zasobników szło na ich stronę? – spytał Jeżewski, który czytał raporty, ale chciał się jeszcze upewnić.

– Pewnie większość, ale jakie to znaczenie?

– Ma pan rację, w tej chwili już żadnego, no – zamyślił się – może symboliczne, że chcieli pomóc, a wyszło jak berlingowcom. Żołnierze i piloci chcieli pomóc, a politycy... Politycy tylko pozorowali. Berlinga za to odwołali, przenieśli, choć na dobrą sprawę pewnie i ja bym go odstawił, bo ta akcja była przygotowana bez głowy: Tyle wojska i sprzętu na nic.

Zapadła krępująca cisza, wypili po łyku herbaty, dobrej, angielskiej, ale bez cukru, bo cukier akurat się skończył.

– Musi być pan gotowy, jak sprinter w blokach startowych, bo to już, za chwilę, za moment i będzie pan musiał iść na drugą stronę niemal równo z frontem. Pewnie już by to się stało, ale, przynajmniej tak miałem w kilku raportach, polscy żołnierze odmówili przejścia po lodzie. Bunt się wzniecił, bo Wigilia Bożego Narodzenia to rzecz święta, i dowództwo dało sobie spokój. To takie plotki, ale są i konkrety, informacje o działaniach zwiadu, wynika z nich, że obrona niemiecka jest symboliczna, a nawet gdyby, to zamkną ich w kotle, przecież od lata jest już przyczółek po tamtej stronie Wisły. Patrole zwiadu, które przedostawały się na drugą stronę, wchodziły jak w masło. Zwiadowcy nawet sprawdzali ludziom, który dom stoi, co zostało z ich mieszkań, czy jest do czego wracać. Nie było. Mówili, że kamień na kamieniu... – Jeżewski znów upił łyk herbaty, jakby chciał zrobić pauzę przed najważniejszą częścią swojego wystąpienia. – Pański notes, to znaczy zdobyty przez pana – uśmiechnął się – jest bezcenny, mamy dzięki niemu namiary na sowieckich agentów, zresztą poszukiwał już ich pan w trakcie powstania.

– Ale wtedy myślałem, że to agenci Gestapo.

– I dobrze pan myślał, bo to, czego był pan świadkiem przy Poznańskiej, dowodzi, że były to naczynia połączone. Nie do końca rozumiem, czemu ten Kolicki zrobił sobie takie notatki, może po to, by szachować polskich towarzyszy? Proponował

panu posadę w wojskowej informacji, zatem musiał być kimś ważnym, a chciał być jeszcze ważniejszy, mając w ręku lejce i bat. Któż, będąc w wywiadzie, by tak nie zrobił? – Znów upił herbaty, delektując się jej smakiem. – To już ostatki, koniec, od jutra będę chyba parzył siano. – Jeżewski zdobył się na dowcip, a po kolejnym łyku spojrzął w oczy Rybskiego i powiedział z powagą: – Mamy jeszcze kilka miejsc w Warszawie, gdzie pochowane są ważne dokumenty, może nie tak doniosłe jak to, co straciliśmy na Poznańskiej, ale mogące być kluczem, uzupełnieniem mozaiki. Musimy je wydobyć i traktować jako nasze aktywa, ale pamiętać również, że więcej możemy stracić, jeśli dostałyby się w niepowołane ręce. Stopień, w jakim Sowieci inwigilowali nasze szeregi, był porażający, więc mam prawo przypuszczać, że też będą poszukiwać tych materiałów. Przed moim przejściem na drugą stronę obciążyłem zadaniem zebrania ocalałych archiwów majora Nałęcz. Miał on instruować naszych ludzi, co robić z cennymi papierami i sporządzić po zakończeniu powstania bilans, które z nich zostały zniszczone, a które ukryte, i co najważniejsze, gdzie tych ocalałych szukać. Major Nałęcz to trudny człowiek, ale rzetelny oficer, więc mam nadzieję, że on i jego ludzie podołali zadaniu. Oczywiście jeśli żyją... – Jeżewski wypił ostatni łyk herbaty. – Jest kilka umówionych adresów, gdzie miano zabezpieczyć tajne materiały. Oczywiście patrząc na obraz zniszczenia i biorąc pod uwagę niemiecką przewagę, to wszystko jest loterią, ale wierzę, że ma pan szczęście. Pokaże panu listę adresów, nauczy się ich pan na pamięć i jak tylko będzie to możliwe, ruszy pan na drugą stronę. Ma je pan znaleźć i zabezpieczyć. Albo zniszczyć. Dlatego niech pan będzie czujny!

– Jak sprinter w blokach. – Rybski powtórzył słowa Jeżewskiego z początku spotkania.

## 16 stycznia 1945 Warszawa, Śródmieście

Z doktorem było już całkiem źle. Majaczył, a kiedy łąpał kontakt z rzeczywistością, prosił o przyście śmierci. Żydowskie modlitwy wygłaszał po hebrajsku, prośby o zmówienie kadisz, składał w jidysz, a wszystko przeplatał zdaniami mówionymi po polsku.

– Ja już nie mam siły. Anno, ja... ja chcę umrzeć!

– Nie wolno ci tak myśleć. – Anna Reich trzymała męża za dłonie. – Julianie, wytrzymaj, zaraz się to skończy!

– Kiedy ja już nie chcę, ja się do tego nigdy nie przyzwyczaję, już nie mam siły, już w tym wszystkim nie widzę sensu, ja już tu nie chcę być, w tym mieście, na tym świecie – powiedział doktor i przymknął oczy.

– Nie wolno ci tak myśleć – powtarzała jak zakłęcie Anna, ale w tej chwili wiedziała, że przytula do siebie męża ostatni raz. – Stanowczo ci tego zabraniam – wyszeptała, a on wydał z siebie ostatnie tchnienie.

Stasiek wiedział, co ma zrobić, znalazł czyste, lekko tylko zabrudzone ceglany pyłem prześcieradła, które miały posłużyć za całun, Krysia je zszyje, a on z Kredką wykopie grób.

\*\*\*

Stasiek był na patrolu, Anna Reich czuwała przy zwłokach męża, a Kredka siedział razem z sanitariuszką Krysią. Popłakiwała, była osowiała, miała wszystkiego dość, poczuła, że wraz ze śmiercią doktora Reicha została przekroczona bariera jej psychicznych możliwości. Bezwiednie włożyła swoją dłoń w dłoń Kredki, a później on wytarł jej policzek, po którym płynęły łzy.

– Kredka, jak ty się naprawdę nazywasz? – zapytała.

– Edek – odparł Kredka.

– A dlaczego Kredka, skąd ten pseudonim? – Nigdy nie była tego ciekawa, ale teraz czuła potrzebę rozmowy, nawet na taki wcześniej mało istotny dla niej temat. – Jesteś szczupły i wysoki, najprędzej takich chłopaków przezywało się Ołówek.

Przyzwyczał się do tej ksywki i pseudonimu, ale teraz, kiedy Kryśka pytała z rozbawieniem, to zrobiło mu się trochę głupio. Nie Kmicic, Babinicz, Orzeł, Sęp, ale Kredka, cholera jasna!

– To od nazwiska? – drążyła z uporem.

– Nie, od imienia – uciął sucho, choć starał się, żeby zabrzmiało to bardziej neutralnie.

– Imienia? – zdziwiła się jeszcze bardziej.

– Tak, od imienia, bo ja Kowalczyk mam na nazwisko, więcej prędzej powinienem być Kowalem albo jakoś tak. To wszystko przez miejsce pracy mojego taty. Pracował w Pruszkowie u Majewskiego, w fabryce kredek. Wszyscy o tym wiedzieli, do tego zawsze kredki miałem z jakichś odrzutów i ze sklepu fabrycznego, więc i moi koledzy mieli. Ktoś kiedyś zapytał jednego kolegę, skąd zawsze macie kredki, kto wam je daje, a on wypalił: Edek z fabryki kredek! No i zostało: Edek z fabryki kredek. Razem byliśmy w harcerstwie, potem w konspiracji, no i zostałem, najpierw druham, a później strzelcem Kredką. Starszy strzelec Edward „Kredka” Kowalczyk! Z Chmielnej jestem, bliżej Okopowej, ojciec mówił, że się prawie pod samą Warszawą Kaliską urodziłem, taki dworzec kiedyś był. Ja tam mówię, że prawie przy placu Kazimierza Wielkiego, przy halach, co już ich nie ma... – dokończył smętnie, ale szybko dodał: – Ruscy rok temu je zbombardowali, w dworzec kacapy nie trafiły. I naszej kamienicy też nie trafili – wyjaśnił, jakby chciał podkreślić, że do powstania wszyscy przeżyli okupację.

– A co z tatą? – zapytała Kryśka.

– Z ojcem, matką, młodszym bratem... Nie wiem. Zielonego pojęcia nie mam. Nie mieszkali na Woli. – Nagle zrozumiał, że palnął głupstwo, Kryśka była z Woli, tam mordowali wszystkich.

– Ani na Ochocie – dodała.

– Stryjek z Ochoty. Ze stryjenką i dwójką kuzyniaków...

Przez chwilę panowało krępujące milczenie.

– A twoi? – zapytał Edek.

– Mama przeżyła, wyszła z miasta. Brat był w Zośce, poszedł na Solec, tata... Tatę rozstrzelali na Marszałkowskiej.

Znów zapadła cisza, Krysia opuściła głowę, znieruchomiała, a po chwili zaczęła się trząść. Płakała, na początku dyskretnie, a później wstrząsał nią szloch, nad którym nie była w stanie zapanować, coraz silniejszy. Edek nie wiedział, co zrobić, w końcu odważył się ją objąć, czuł, jak spazmy wnikają w jego ciało, czuł, jak Krysia się uspokaja. Wtuliła się w niego, pogłaskała ją po głowie, płakała, ale nie był to już szloch, odchyliła głowę spojrziała na niego zaczerwienionymi oczami. Edek zaczął delikatnie ścierać łzy, które ciekły po policzkach, patrzyła na niego bezradna i taka piękna. Spróbował ją pocałować, musnęli się wargami, poczuł wilgoć jej ust, ale nagle gwałtownie go odepchnęła.

– Mam narzeczonego, podchorąży z Zośki, kocham go – niemal krzyknęła i wyszła z piwnicy.

Kredce jakby się zawalił świat, miał już tego wszystkiego dość. Dwa miesiące powstania, w czasie których nie nawalczył się tyle, ile chciał, bo młody i nie było broni, a jak już ją zdobył, to został ranny, a później ta afera z zawieszeniem broni i teraz te trzy z okładem miesiące życia w gruzach. Podobała mu się ta Kryśka, ale nawet nie marzył, ale teraz jak porozmawiali, jak trzymał ją za rękę, jak poczuł jej ciepło, jak go objęła, to nagle zapragnął jej, poczuł, że ją kocha, że to życie na gruzach ich zbliżyło. A gównu, a wcale że nie!



## Lublin

Już niedługo będzie miesiąc, jak mieszkała w Lublinie i pracowała na Krakowskim Przedmieściu. Miała tam swoje biurko, swój kącik, miejsce do spania i pracę asystentki szefowej działu listów w wydawnictwie prowadzonym przez redaktora Borej-szę. Miała azyl, który zawdzięczała paru zbiegom okoliczności.

Przed wojną cały czas szukała na siebie jakiegoś pomysłu. Uznała, że nie zostanie artystką i rzuciła studia na akademii bo zdała sobie sprawę, że nie będzie ani drugą Stryjeńską, ani Łempicką. Wtedy postanowiła pisać o sztuce. Kilka prób artykułów krytycznych, wywiadów i relacji, udanych zresztą i dobrze ocenianych, nie przyniosło jej satysfakcji. Może dlatego, że nie miała potrzeby i chęci wiązać się z którąś z redakcji, a może po prostu brakowało jej na to czasu. Pisała więc z sukcesami, ale nieregularnie i zbyt rzadko, by stać się gwiazdą. To pisanie było alibi, że coś robi, że się realizuje, ale w głębi duszy chciała napisać powieść. Ale jaką? Obyczajową? Romans? Sensacyjną? Miała szuflady pełne ponapoczynanych tekstów, bez pomysłu nawet na zarys fabuły. Czekala, aż grom z jasnego nieba uderzy ją w głowę, olśni, da natchnienie. Bo umiejętności już miała i pewnie także ich potwierdzaniu służyło pisanie do magazynów i tygodników. I chodziło też o jakieś chwilowe choćby zajęcie i pieniądze. Symboliczne, ale pozwalające się oszukiwać, że nie tylko papa i Strasburger zapewniają środki na jej rozrywki, że i ona potrafi zarobić pieniądze, i że gdyby tylko zaszła taka potrzeba i gdyby tylko chciała... Ale takiej potrzeby nie było, zatem także i chęci.

Trafił się za to szeroko komentowany reportaż o Palestynie. Taka mała zemsta, rewanż na Strasburgerze. Wyjechał w jakąś szaloną ekspedycję do Hiszpanii, zniknął na parę ładnych miesięcy, o mało nie zginął w wielkiej awanturze. Więc kiedy się ledwie nacieszyła jego powrotem, a on powiedział, że znów musi

wyjechać w jakąś delegację, w którą nie może jej zabrać, to dała mu małego prztyczka w nos i poleciała do Palestyny! A jaki to wtedy był kłopot? Samolotem? Żaden! Oczywiście jeśli kogoś na to było stać, a ją było. Tysiąc sto dwadzieścia pięć złotych w obie strony, najpierw sześć i pół godziny do Aten, tam krótki odpoczynek i tankowanie, a później już tylko skok przez Morze Śródziemne do Lyddy. Razem trzynaście godzin i była na miejscu! Mniej więcej ten sam czas, co slipingiem do Zaleszczyk. Więc podbiła dokumenty w brytyjskim poselstwie, spakowała się, jakby leciała na dwutygodniową letnią wyprawę w góry – narciarki, szorty, wiatrówka, pumpy, bielizna i sweter – kupiła bilet, zostawiła Strasburgerowi na stoliku kartkę z informacją „jestem w Palestynie, zaraz wracam”, pojechała na Okęcie, wsiadła do pięknego, dwusilnikowego lockheeda i po kilkunastu godzinach była na miejscu.

Zaszumiało jej tam w głowie, bo zobaczyła innych Żydów niż w Warszawie, innych niż ona sama. Pionierów, budowniczych, jakby bohaterów westernów i Gorączki złota. Było to porywające, wielkie, imponujące. Był w tym heroizm, niezwykły świat kibuców, atmosfera walki o swoje. Szybko jednak zrozumiała, że istnieją te same podziały co w Polsce, że swary między socjalistami i bejtarowcami, osobne życie chasydów i innych ortodoksyjnych grup było łyżką dziegciu w beczce miodu. Kibuce jak szybko ją porwały, tak szybko rozczarowały. Otrząsnęła się z początkowego odurzenia, ale nadal uznawała to miejsce za fascynujący, piękny świat. Czarujący i pociągający na swój sposób, ale ze świadomością, że to nie jest jej miejsce na ziemi. Tęsknota za Kornelem i Warszawą, za ulubionymi miejscami, za... tak, z pewnością za wygodą i luksusami.

Wsiadła w samolot na lotnisku w Lyddzie z głową pełną wspomnień, z kilkoma rolkami filmów, z postanowieniem, że będzie tu wracać, ale też z przekonaniem, że jeśli nie War-

szawa, to jednak Nowy Jork byłby dla niej miejscem, w którym mogłaby zamieszkać. Popłynęła do Nowego Jorku Batorym i wtedy była to wyprawa! Po co się wiązać z jakimś miejscem! Postanowiła, że będzie mieszkać w Warszawie, latać po świecie i pisać reportaże. To jest życie dla nowoczesnej, twórczej kobiety!

Reportaż, który dała do lwowskiego miesięcznika „Sygnały” nie przyniósł jej pieniędzy, bo pismo stało na krawędzi bankructwa, ale uczynił ją znaną. Tak dowiedział się o niej Borejsza, zapamiętał i kiedy dowiedział się od brata Józefa, który służył w bezpieczeństwie, że mają w szpitalu taką osobę, postanowił ją zabrać do Lublina, gdzie tworzył nowy, państwowy koncern prasowy. Czy miała wybór? Żadnego. Pojechała do Lublina.

## **Warszawa, prawy brzeg**

Wincenty Rybski Skręcił ze Stalowej w Inżynierską, był zamyślony, bo wiedział, że to może być już jutro, najdalej za dwa dni. Sowietci wkroczą do Warszawy, a on musi razem z nimi, by dotrzeć do miejsc, które wskazał mu Jeżewski. Myślał o swojej misji, zastanawiał się, jak w tym chaosie odnajdzie Staśka, układał też sobie w głowie, że być może już nigdy nie zobaczy Oli, bo Jeżewski zdobył informacje, że wyjechała z Warszawy i urządziła się w Lublinie, w redakcji, która działa pod auspicjami PKWN. Stracił żonę i córeczkę, stracił i ją, wiele już do stracenia nie ma, już tylko brata i własną skórę.

Kiedy o tym myślał, zauważył, że coś jest nie tak. W drugim końcu Inżynierskiej, bliżej Wileńskiej kłębił się tłum. W pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że to łapanka, taka jak za Niemca, bo na ulicy były też milicyjne i wojskowe pojazdy, kręciło się sporo mundurowych. Dawali coś czy zabierali? Łapali czy wypuszczali? Wszystko było możliwe. Szybko się zorientował, że nie dzieje się tam nic niebezpiecznego, bo w takich sytu-

acjach ludzie zawsze oddalali się od miejsca zagrożenia, a nie ciągnęli do niego jak pszczoły do miodu. Prawie zawsze, poprawił się, bo mu się przypomniało, jak szkopy zaprosiły profesorów z Uniwersytetu Jagiellońskiego na wykład, po czym zapakowali ich do bud i wywieźli, wpakowali do koncentraka. Co za problem zrobić małą gwiazdkę dla naiwnych, porozdawać prezenty, ale za pokwitowaniem? Eee – skrzywił się w myślach – *to by było za grubo szyte, ten z końca kolejki by od razu wiedział, czym to pachnie*. Lepiej po prostu coś rozdawać, zgromadzić ludzi i obstawić to szpiclami. Tajniacy wyłowiliby podejrzanych, doczepili ogon i później albo zawinęli, albo doszli jak po sznurku do kłębka, tam gdzie byłyby jakieś poważne frukta. Ale to sobie ułożył w głowie, jakby był z defensywy! W końcu robota śledczego jest niemal identyczna, tylko że cele inne. A teraz celem byli tacy jak on. Przeszedł na drugą stronę ulicy, tę, przy której był magazyn Wróblewskiego. Nie tylko dlatego, żeby się zorientować, co się tam dzieje i żeby minąć ludzi, którzy tarasowali chodnik i pół jezdni. Od strony tego zamieszania szła grupka chłopaków.

– Hej, kawalerka, co tam dają? – zapytał.

– A dasz pan papierosa? – Nicpoń, który był najstarszy w tej grupce, sprowadził rozmowę w kierunku handlowych negocjacji.

– A matka wie, że palisz?

– Matka nie żyje! – Wyraz twarzy świadczył raczej o reklamowej zagrywce niż o żalu za utraconą rodzicielką. – Sierotą jestem, oni też!

Pozostali, nieco zmieszani, z różnym refleksem, ale jednak pokiwali głowami.

– No to macie, sierotki – powiedział, wyciągając papierosa.

– Zasadniczo to ruską chałę, ale lepszy rydz niż nic! – Wyrostek zaśmiał się, wsadzając papierosa za ucho.

\*\*\*

– *Tęcza* ten film się nazywa i nie do końca taka chała, coś tam się dzieje, Ruskie na Niemcach się mszczą! – wtrącił chłopaczek w butach, które były dla niego przynajmniej o trzy numery za duże.

Wiedział już wszystko. Nowa władza, nowe filmy i głód rozrywki. Chłopcy się krygowali, narzekali, psioczyli, ale gdyby zaproponowali im jeszcze jeden seans, toby poszli. Bo co można było robić zimą, w wojennej Warszawie. Na pożegnanie z młodocianymi koneserami kina i tytoniu pstryknął palcami w rondo kapelusza i ruszył w kierunku Wileńskiej.

\*\*\*

Podchorąży Zdziarski z pogardą spojrział na tłum kłębiący się pod kinem. Jak łatwo kupić ludzi! Wystarczy wyświetlić sowiecki film, żeby gawiedź zapomniała o tym, że jest nowa okupacja. Ciekawe, czym kupują, zmiękczejają naród w jego rodzinnych stronach? Pewnie mirażem reformy rolnej, pod której przykrywką rozwiną sowieckie latyfundia – sowchozy i kołchozy, zabiorą bogatym, dadzą biednym, pobawią się w Robin Hooda, a jak omamią ludzi, to będą gorsi od szeryfa z Nottingham.

Patrzył na to wszystko z wyższością, nie potrafił schować honoru do kieszeni i spuścić z tonu. Bo tak mówią, że czasem honor trzeba schować do kieszeni, ale on tę kieszeń miał już przepakowaną. Wszystkie kieszenie, każdą jedną, bo próbował już iść na wewnętrzne ustępstwa, czuł, że gdyby te wszystkie honory, które poupychał po kieszeniach, były zwitkami banknotów, to byłby bogaczem. A gdyby był bogaczem, toby z tego kraju wyjechał. Tak już zaczął o Polsce myśleć – ten kraj! Kraj, gdzie rządzą Sowieci i ich pacholki. Nie tylko ciemny lud i for-

nale, którym nie powinien się dziwić. Nie tylko analfabeci, biedacy, wykluczeni i zaniedbani, ale także inteligenci, nauczyciele i akowcy. Słyszał o takich, ale do tej pory to nie był nikt, kogo znał osobiście, z kim razem walczył, z kim się przyjaźnił lub choćby kolegował. Za dużo przeszli, za dużo doświadczyli od Sowietów, by raz jeszcze się nabrać na słowo honoru radzieckiego oficera. Ktoś mu powiedział o Białym. Że widziano go jak wychodził z Urzędu Bezpieczeństwa w Lublinie, i to sam wychodził, jako wolny człowiek, a nie jako więzień. Biały... gospodarski syn, dobry podoficer, dzielny, z ambicjami. I właśnie wtedy pod kinem go zobaczył, jak się kręci w tłumie. Wyglądał dobrze, odżywiony, porządnie ubrany, w nowym palcie i w całych butach. Chciał do niego podejść, ale przypomniało mu się to, co o nim mówiono, więc postawił koniec swojego podziurawionego, podszytego wiatrem płaszcza i poszedł za nim. Biały skręcił w Wileńską, przeszedł na wschodnią stronę ulicy, tam gdzie był gmach dyrekcji PKP, tam gdzie się urzędowały wszystkie komunistyczne urzędy, w tym ten cały dęty niby-rząd. Poczuł w pierśiach nieprzyjemne ukłucie, kiedy zobaczył, jak Biały wchodzi do bocznej bramy, a strażnik zaszalutował mu jak staremu znajomemu. To znaczy, że wszystko, co mówiono o Białym, to prawda...

**17 stycznia 1945**  
**Warszawa**

Działa huczały coraz silniej, coraz częściej sowieckie samoloty przelatywały nad głowami, niebo było coraz jaśniejsze i głośniejsze od wybuchów, a Niemcy byli coraz cichsi. Stasiek czuł, że zaraz nastąpi koniec, że wejdą tu Sowietci, a on rozpocznie nowe życie. Tylko pod jakim nazwiskiem. I z kim? Cała rodzina z wyjątkiem Wicka zginęła w powstaniu, a co z nim, nie wia-

domo. Będzie go szukał, będzie wymyślał sobie nowe życie, zresztą nie tylko on. Pani doktorowa była zupełnie zagubiona, Krysia osowiała, a Kredka wkurzony, podminowany z jakimś dziwnym błyskiem w oku. W pobliżu przetaczały się niemieckie kolumny, które albo się wycofywały z miasta, albo ciągnęły na linie obrony. Po wschodzie słońca kanonada była cichsza, za to coraz głośniej grały kaemy, front był tuż-tuż.

– Dokąd idziesz? – zapytał Kredkę, który wziął szmajsera i wyszedł z piwnicy.

– Idę się rozejrzeć.

– Teraz?

– Teraz, i nic ci do tego. – Wciąż był elektryczny i nieemiły.

– To sobie idź – odpowiedział Stasiek.

Wytrzymał tak tylko pół minuty, wziął broń i poszedł za Kredką, bo nie podobało mu się jego zachowanie, coś się z nim stało po śmierci doktora, o coś się chyba pokłócili z Krysią, bo do tej pory jej nadskakiwał, a teraz mijał z daleka. Nagle usłyszał przeciągłą serię, to było tuż obok, wyjrzał z bramy, pośrodku ulicy stał Kredka, a u jego stóp leżał oficer SS. Rzęził, wypływała spod niego krew, a Kredka coś do niego mówił.

– Uciekaj! – krzyknął Stasiek.

Kredka popatrzył na niego, po czym znów mówił coś do Niemca. Nie śpieszył się, jakby to nie był środek zrujnowanej Warszawy, tylko plaża, i jakby nie rozmawiał z wykrwawiającym się oficerem SS, tylko ze znajomym, który opalał się, leżąc na piasku. Nagle huknął strzał, potem kolejny, seria. Kredka aż przykucnął, a w chwilę potem strzelił Niemcowi w głowę, po czym pobiegł w kierunku bramy, z której wyglądał Stasiek. Wbiegł do niej, ciężko dysząc.

– Dorwałem skurwysyna!

– Co ty najlepszego zrobiłeś, znajdą nas!

– Wszystko jedno, dorwałem skurwysyna i tyle!

Huknęły strzały, kule zagrzechotały w ścianę, Kredka wyskoczył zza niej i puścił serię z automatu.

– Oszalałeś!?

– Może, ale zrobiłem to! To był esesman, który rozwał ludzi, dowodził egzekucjami i dobijał rannych!

– Nie warto, kurwa, nie warto! – ryknął Stasiek. – Zapłacimy za to wszyscy, Krysia, doktorowa, ja!

– Nic nie zapłacicie, powiedz Krysi, co zrobiłem, spadaj! – powiedział Kredka i znów wystrzelił serię do Niemców. – No, spadaj stąd! – ryknął. – Odciągnę ich, nie bój się.

– Uciekniemy! – Stasiek nie wierzył w to, co mówił, ale bardzo chciał, żeby tak było.

– To moja sprawa, powiedz Krysi... – nie dokończył, najpierw rzucił granat, a kiedy ten eksplodował, wyskoczył i z wrzaskiem, non stop ładując ze szmajsera, przebiegł na drugą stronę ulicy. Wbiegł do wypalonej bramy i wymienił magazynek, potem podniósł głowę, uśmiechnął się i pomachał ręką na pożegnanie. Zagrzechotały kule. Stasiek ruszył przez zwały gruzów w kierunku kryjówki. Cały czas słyszał strzały, dwa razy wybuchł granat. Ilu było tych Niemców, na ile Kredce starczy amunicji? Palba oddalała się, nie tylko dlatego, że Stasiek cały czas się przemieszczał, Kredka musiał się wycofywać, ciągnąc za sobą Niemców.

Godzinę później byli tu już Polacy i Rosjanie, pani Reich i Krysia płakały, a on szukał po gruzach Kredki. Zdążyli go zabrać, zastrzelili i wpadł w rozpadlinę między gruzami? To nie skończyło się dobrze, dlaczego tak właśnie, tuż przed wyzwoleniem. *Przed wyzwoleniem* – uśmiechnął się w myślach, bo wyzwolili go ci, którzy uwięzili jego brata, na których czarnej liście byłby i on, gdyby wiedzieli o jego strzelaniu z patrolem na Pradze. I tak jest na jakiejś liście jako akowiec, strona Wisły niczego nie



zmieni. Nie miał dokumentów, teraz musiał znaleźć nowe. Na początek pozbył się broni i amunicji, był biednym, wystraszo-  
nym cywilem, który nie opuścił miasta po kapitulacji powsta-  
nia, któremu się przyglądał jako widz. Taka była jego wersja i  
jej się będzie trzymał, musi sobie tylko wymyślić jakieś nazwi-  
sko, najlepiej po kimś, kto nie żyje, w jego wieku, o czyjej rodzi-  
nie mógłby opowiedzieć. Wychodzi na to, że musi się stać ja-  
kimś zabitym kumplem, tylko że oni wszyscy byli w konspiracji.

## **Warszawa, między prawym a lewym brzegiem Wisły**

Przez zamarzną rzece szły duchy. Ich pochod poprzedziły  
nocna kanonada, bicie z dział i ryk katusz, a później narasta-  
jący odgłos strzelaniny, który dochodził zza Wisły. Jeszcze przed  
południem ruszyła podawana lotem błyskawicy plotka, a po po-  
łudniu zmaterializowała się na papierze. Na praskich ulicach  
rozdawany dodatek nadzwyczajny „Życia Warszawy”, którego  
nagłówek wołał *WARSZAWA WOLNA!*. Pod spodem był komuni-  
kat:

W środę 17 stycznia 1945 o godzinie 10 r. Armia Czerwona i  
Wojska Polskie wkroczyły od południa i północy do Warszawy.  
Na tyły wojsk niemieckich od zachodu uderzyły brygady pan-  
cerne. W mieście trwają walki zmierzające do zniszczenia od-  
osobnionych grup nieprzyjaciela. Przecięta została linia kole-  
jowa Warszawa–Łódź. Według niepotwierdzonych wiadomości  
dziś również zajęty został Kraków. Szczegóły w następnym wy-  
daniu.

Zrazu pojedynczo, jakby nieśmiało, później grupkami, a na-  
stępnie tyralierą ruszyły po lodzie bezkształtne sylwetki. Ich ob-  
raz rozmazywał się w drobinkach śniegu i dymach unoszących  
się znad ruin miasta. W siarczystym mrozie okutani w co kto  
miał, zbliżali się do swojego dawnego świata, który pewnie od-

szedł i nigdy nie wróci. Zostały po nim tragiczne resztki: gruzy, wypalone domy i groby. Nędzne szczątki tego, co było tam przed wojną. A z tego, co zostało, unosił się dym.

Jeszcze w nocy w opuszczonego przez Niemców trupa ponadmilionowego miasta leciały artyleryjskie pociski i smugi rakiet z katusz. To, co niedawno się dopaliło, znów zostało rozniecone, choć już nie z taką siłą jak w czasie powstania czy akcji burzenia. Dymy ciągnęły się po niebie, a ludzie-duchy ciągnęli po lodzie w kierunku rumowiska śmierci. Posuwali się w ciszy, mozolnie sunąc w kopnym śniegu, ślizgając się po zamarznętej rzece, ostrożnie, z niepokojem czekając na trzask oznaczający śmiertelną kąpiel. Nie było bezpiecznie, ale tędy najszybciej. Więc szli. Ryzykowali. A co mieli nie ryzykować, skoro przez ostatnie lata życie było jednym wielkim ryzykiem!

Pod Górą Kalwarią, gdzie wojsko poszło po lodzie, był on gruby, i to na tyle, że mogły po nim jechać samochody. W Warszawie lód kruszyły filary mostu, do tego jego grubość topniała od praskich ścieków. Może dlatego wojsko poszło z praskiego brzegu powyżej cytadeli i poniżej mostu Poniatowskiego. Wojsko poszło bokami, a cywile środkiem, wsłuchując się w palbę, która świadczyła o tym, że nie wszyscy Niemcy opuścili zrobione przez siebie cmentarzysko. Tylko od strony cytadeli odgłos był donośniejszy, ale i tak nie tak intensywny jak w czasie powstania. W końcu i tam strzały umilkły. Widocznie Niemcy poddali się albo uciekli.

Jeszcze trochę i wyprawa z prawego brzegu dotrze na lewy, będą po drugiej stronie, na Wybrzeżu Kościuszkowskim, tylko po to, by się przekonać, że to, co zobaczą, będzie gorsze od ich wyobrażeń. Ale nawet gdyby o tym wiedzieli, to nie zmieniliby zdania. Żyli, więc to, co niemożliwe, było dla nich osiągalne. Skoro ocaleli, skoro szli o własnych siłach, to byli szczęściarzami. Niektórzy wlekli się z całym dobytkiem, zawartym w to-

bołkach powieszonych na plecach, inni mieli go na sankach, jeszcze inni nieśli puste worki w nadziei, że obłowią się na cmentarzu jak hieny. Inni nie nieśli nic. Szli, żeby znaleźć bliższych albo ich groby. Im bliżej było, tym cel coraz bardziej się rozmywał. Nie widać było znajomych budynków i ulic. Tylko pagórki gruzów. Wiadomo było, gdzie jest aleja 3 Maja, gdzie plac Zamkowy. Granice wyznaczały zwalone do rzeki mosty, kikuty wieży zamkowej i Prudentiala.

\*\*\*

Portugalczyk był gotowy na ten dzień. W Warszawie jeszcze rozwalano i wyłapywano niemieckich niedobitków, a on już był w mieście, szybko nawiązał kontakt z czołówką, doprowadzono go do sztabu, gdzie spotkał się z oficerem wywiadu. Najpierw z młodym chłopakiem, porucznikiem, ale jak tylko zaczął mówić, kim jest i kogo zna, to sprowadzono radzieckiego kapitana w polskim mundurze. Nawet dobrze po polsku mówił i zgodził się, żeby go przerzucono na drugi brzeg, by mógł się spotkać z byłym szefem alowskiej dwójki, towarzyszem „Orką”. Orka, to znaczy podpułkownik Marian Spychalski, nie brał udziału w powstaniu, tylko był z wojskiem w Lublinie, gdzie dano mu kierowanie Sztabem Głównym Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego. Okazało się, że Portugalczyk nie był jednak na bieżąco – Orka nie tylko awansował z podpułkownika na pułkownika, ale dostał też nowe zadanie. Od września pułkownik Spychalski był prezydentem miasta stołecznego Warszawy, więc jako jeden z pierwszych znalazł się w wyzwolonym mieście. Spychalski miał nowe obowiązki, ale nie zaniedbywał starych spraw i towarzyszy broni. Spotkał się z Portugalczykiem.

– Chyba zacznę chodzić do kościoła! – Spychalski pokręcił głową na jego widok.

– A to z jakiej okazji? Jakieś działania operacyjne, a może jak towarzysz „Książd” będziesz chciał robić konkurencję Kościołowi i zaczniesz prowadzić swoje lekcje religii?

Prezydent Spychalski zaśmiał się, bo spodobał mu się żart, który przypominał czasy wojennej konspiracji. Jednym z członków Pierwszej Grupy Inicjatywnej, która została zrzucona w 1941 roku pod Wiązowną, był żyd Paweł Finder. Uznano, że będzie miał większe szanse, jeśli będzie chrześcijaninem, a o to postarał się szef siatki NKWD – Czesław Skoniecki, który uczył Findera pacierza. Enkawudzista uczy żyda pacierza – boki zrywać! Nic dziwnego, że Skoniecki dostał pseudonim Książd.

– Nie o to chodzi! – śmiał się dalej Spychalski. – Po prostu wiara w grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie i tę całą resztę! Myślałem, że cię pogrzebało na Starówce, razem z całym naszym sztabem!

– Było blisko, ocalałem ja i porucznik Konrad<sup>[21]</sup>, to zresztą on zorganizował spotkanie sztabu. Poprzedniej nocy jego chłopcy walczyli przy Mostowej i trochę przetrzebili Niemców. Nad ranem poszli poszukać wśród zabitych amunicji i broni. Traf chciał, że przy zwłokach oficera SS była mapa z zaznaczonymi pozycjami. Trzeba się było naradzić, co z tym fantem zrobić i wtedy zaczął się nalot, walnęła bomba i wszyscy pobiegli do schronu, ale ja i Konrad poszukaliśmy szczęścia na podwórku. I wtedy spadła kolejna, grzebiąc sztab. Konrad był cały, ja trafiłem do szpitala. Więcej szczęścia to miałem potem. Po pierwsze wyszedłem ze szpitala o własnych siłach, bo jakbym tam został, to zamordowaliby mnie Niemcy, po drugie udało mi się jako cywilowi wyjść z miasta. Niemcy...

– Wiem, wiem – przerwał mu Spychalski. – Niemcy szukali bolszewików i rozstrzeliwali ich.

– Nie tylko. Mogli mnie uznać za akowca, który nie chce iść do niewoli, i tak samo załatwić. Nie wszyscy ewakuowali się kana-

łami, część wmieszała się w kolumnę cywilną, ale nie każdy miał szczęście, ja akurat miałem.

– No i dobrze, bo jak by to było, żeby rozwalili cię jako członka AK! Ciebie, starego komunistę! – Spychalski poklepał po plecach Portugalczyka. – Cieszę się, że żyjesz, jak cholera się cieszę!

– Bo co? Bo jest jakaś robota do zrobienia?

– Zatrudniłbym cię w mieście, ale... Mam inne plany, poważne, bardzo poważne. – Orka się zasepił.

– Dam radę, nie miałem kontaktu z centralą, ale rozpracowałem taką grupę we Włochach, sikorszczaki, cały czas coś knuli, jeden z nich był tak charakterystyczny, rudy jak... – Portugalczyk nie dokończył, bo Orka przerwał mu ruchem dłoni, władczym gestem, jakiego nie miał jako oficer GL. Ale teraz Orka to pułkownik, prezydent miasta Marian Spychalski, wielka figura, pewnie wkrótce generał. Portugalczyk niezbyt przychylnie pomyślał o swoim towarzysz.

– Słuchaj... Ty możesz mieć poważny problem, większy, niż ci się wydaje.

– My wszyscy mamy problem, partia, dawne GL i AL... mogą nas pojechać, tak jak to zrobili z KPP, ogłoszą szpiegami, zlikwidują wierchuszkę, czyli teraz nas, i będzie pozamiatane, ale nie teraz. Teraz nie czas na walki frakcyjne ani na zaostrenie walki klas, bo teraz trzeba oczyścić Polskę z sanacyjnych złogów, zdusić sikorszczaków i rozgonić leśne bandy.

– Przede wszystkim to ty masz problem. – Spychalski zdawał się go nie słuchać, patrzył nie na niego, ale w jakiś oddalony punkt. – I to poważny problem, bo nasz radziecki towarzysz, agent Ahre, to znaczy major Smierszu Kolicki został zlikwidowany, nie widziałem jego ciała, ale wiem, że on i jego obstawa dostali parę kulek. – Teraz dopiero spojrzął na Portugalczyka. – A wiesz, kto to zrobił?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Twój stary znajomy, komisarz Rybski. Więc teraz wiesz, o co chodzi?

Orka więcej nie musiał tłumaczyć.

– Przeżył ktoś? – zapytał Portugalczyk.

– Przyjaciółka Koliczkiego. Ledwo co ją odratowali, ale ona nie ma z tym nic wspólnego. Najlepsza agentka NKWD wzięła ją pod lupę i zero, nul. Zresztą traktują ją jak wojenną żonę majora, a w zasadzie jak wojenną wdowę po nim. Borejsza się nią zajął i dał jej pracę.

– Borejsza?

– Jerzy Borejsza, ten literat od Klubów Demokratycznych, brat Różańskiego z bezpieki. Bo Różańskiego kojarzysz, kiedyś nazywał się Goldberg, Borejsza zresztą też. Nie kojarzysz? No tak, za długo siedziałeś w Hiszpanii. Ale poznasz, silna postać, były funkcjonariusz NKWD, a teraz w UB. W każdym razie wdowa na posadzie, a sprawie ukrecono łeb, jakby czekano, kiedy będzie można kogoś za ten zamach oskarżyć. Wygodne, prawda?

Portugalczyk nic nie powiedział, bo co miał mówić, przecież to była oczywista oczywistość! Brak odpowiedzialnego za likwidację Koliczkiego otwierał niczym nieograniczone możliwości! Można było zamykać akowców lub eneszetowców, można też było zrobić czystki w partii. To mogło być jak sprawa Kirowa, którego towarzysz Stalin odstrzelił, a później wskazał kilkudziesięciu winnych, akurat takich, których chciał się wtedy pozbyć.

– Nie ma winnych dziś, ale jutro można ich będzie wytypować – filozoficznie stwierdził po namyśle Portugalczyk.

– Albo nawet pojutrze – zachnął się Spychalski – a najlepiej pojutrze, żeby napisać wszystko od nowa i zrobić z Koliczkiego bohatera, a nie przegranego. Niby taki as ten nasz Ahre, a tak się dał załatwić.

– A jak się dał załatwić?

– Ta kobieta, Aleksandra Fuchs, wystawiła mu Rybskiego. Znała go, bo pracował razem z jej kochankiem, niejakim Strasburgerem. Podała mu go na tacy, a nasz radziecki towarzysz chciał go przewerbować, i to mimo przykrości, jaką mu ten Rybski wyrządził. – Portugalczyk zrobił zdziwioną minę, więc Spychalski wyjaśnił: – Tuż przed wybuchem powstania załatwił jego radiooperatorkę. Może dlatego zanim się spotkali, wzięli go w obroty chłopcy z UB. Mało go nie zatłukli i wtedy pojawił się Kolicki! Wjechał jak na białym koniu z samogonem i papierosami.

– Dobry i zły śledczy – zaśmiał się Portugalczyk.

– Ale z zaskakującym zakończeniem, bo Kolicki, urabiając go, stracił nad nim kontrolę. Papierosy, wódeczka, szczere rozmowy... Owszem, był z mocną obstawą, ale nawet wtedy nie trzyma się w kaburze broni! Rybski go zaskoczył, wyciągnął mu broń i załatwił go razem z obstawą i tą kobietą. Ona jakoś cudem przeżyła, a jeden z chłopaków z NKWD zmarł w ambulansie. No i mamy to, co mamy, czyli... święty spokój.

– Nie rozumiem. – Portugalczyk pokręcił głową. Spychalski był przed wojną nie tylko działaczem komunistycznym, lecz także uznanym architektem, nie słynął jednak z tak skomplikowanych konstrukcji, jaką budował w tej rozmowie. – Wyjaśnij mi!

– Pamiętasz akcję na Poznańskiej?

– Jak mógłbym nie pamiętać! Obstawiałem ją, przejęliśmy akowskie tajne archiwum, mamy dzięki temu sikorszczaków w akcji.

– Zgadza się, to archiwum Delegatury Rządu Na Kraj, a jeszcze dokładniej rzecz ujmując, to przy okazji nie tylko my sikorszczaków, ale i Moskwa miała nas w garści.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że tam były także nasze sprawy... – Spychalski ciężko westchnął. – Cała ta akcja, która robiona była z Niemcami, to coś, co w każdej chwili mogą nam wypomnieć i wykorzystać przeciwko nam, chociaż to były kontakty operacyjne Smierszu i jego agentura. W archiwum był też ślad różnych niewygodnych dla nas powiązań, więc ja wszystkiego do Moskwy nie zawiozłem, ale wiem, że te sprawy jeszcze mogą wypłynąć. AK miało duplikaty niektórych dokumentów, swoją dokumentację prowadził też Koliccki, ma na nas haki.

– Miał!

– To, co miał w pamięci, przepadło bezpowrotnie, ale miał też notes... Podobno przepadł, ale kto to wie. Niepokoi mnie ten Rybski, skoro zlikwidował radiooperatorkę, to może mieć i notes. – Spychalski zawiesił głos – ...przepadł mu w czasie powstania.

– I co teraz?

– Zrobimy tak: pójdziesz za moją rekomendacją do wywiadu wojskowego, to się teraz nazywa Kierownictwo Informacji Wojska Polskiego. Dostaniesz anioła stróża, bo wyższe szarże mamy z Moskwy, na to już ci nie poradzę, przycupniesz tam i będziesz sobie szukał tego Rybskiego. A jak nie jego, to brata, bo brata miał w AK, to sprawdzisz bliskich, znajomych, granatowych i każdego, kto ci wpadnie pod rękę. Tak zrobimy, pasuje?

Pasowało mu, bo co miało nie pasować.

– I jeszcze jedna sprawa. – Spychalski ściszył głos. – Nie mam kontroli nad Anatolem Fejginem, on trzyma rękę na papierach i jest zastępcą szefa wywiadu, czyli pułkownika Kożuszki. Kożuszko to mocna postać, ale Ukrainiec, nie bierze udziału w naszych sprawach, ma inne priorytety. Pewnie szefem byłby Koliccki, ale stało się, jak się stało, w sumie dobrze dla nas. Miał na nas haki i cholera wie, jak by nimi grał.

– Ale nie zagra!



Pożegnali się, a Portugalczyk pomyślał, że to dobrze, że zrewanżował się wtedy Rybskiemu. Dzięki temu policjant odstrzebił Kolickiego i towarzysze z Moskwy nie mają na nich haka. To znaczy mają, i to niejednego, ale żaden z nich nie jest tak wielki jak to, co miał w swoim notesie Kolicki. Współpraca z Gestapo to śmierć. Śmierć odłożona w czasie, a może na raty? Śmierć strzałem w tył głowy, tyle że nie od razu, ale po serii przesłuchań, śmierć w kopalni albo na wyrobie. Nikt z nich, ałowców, dąbrowszczaków, starych albo nowych komunistów, nie mógł się czuć bezpiecznie, bo trwała nieustanna walka klas, a jak może ona wyglądać, towarzysz Stalin pokazał całkiem niedawno. Na razie to wszystko zostało odroczone, ale nie tyczyło się to jego. W każdej chwili ktoś może mu wyciągnąć, że przeżył atak na bank Społem, w którym katem ałowców był zabójca majora Kolickiego, Wincenty Rybski. Musi go znaleźć, od tego zależy jego życie.

\*\*\*

W futbolu ważny jest timing – tak mówił trener z policyjnej drużyny piłkarskiej – nie możesz się wyrywać za wcześnie, bo spalisz, nie możesz podać za późno, bo inaczej wychodzący do piłki napastnik będzie na spalonym. Trzeba wszystko zgrać w czasie! Rybskiemu zależało na tym, żeby jak najszybciej być w Warszawie, ale nie mógł ruszyć za wcześnie, bo wszedłby w linię frontu, znalazł się na spalonym. Nie mógł też za późno, by nie dać się ubiec, musiał w sam raz, płynąc z falą ludności cywilnej, która kierowała się do ruin swojego miasta.

## **Lublin**

Wyzwolono Warszawę!

Co dalej?

Pojedzie tam? Chciałaby, ale się bała. Bała się widoku miasta, które Niemcy obrócili w gruzy na cztery raty, a jeszcze bardziej bała się, że dowie się prawdy o Rybskim. Strasznej prawdy, bo jakie miał szanse, żeby z tego wyjść? Jeszcze bardziej się bała, że zgubi się zupełnie, opuszczając wydawnictwo. Gdzie się podzieje? Nigdzie. Więc czekała na decyzję Borejszy. Co będzie, jeśli jednak przeniosą się z Lublina do Warszawy? A może jednak do Łodzi, mówiono, że Łódź cała! I Kraków też cały, ale to o Łodzi mówią, że ma zostać nową stolicą... Redaktor Kuryluk tak mówił, a on i Borejsza mieli zawsze sprawdzone informacje.

Przyszedł do nich urzędnik z resortu kultury, taki miły chłopiec, układny, delikatny wręcz. Niezwykle elegancki, niepasujący do tych czasów, do żadnych czasów, ale do tych w szczególności. Miała wrażenie, że go zna, a może po prostu się jej wydawało, i nie chodziło o niego, ale jakiś typ, grupę. Nie miała potrzeby klasyfikowania ludzi, wrzucania do szufladek, ale Leszek Pec był w tej siermiężnej, smutnej rzeczywistości jak okaz z innego świata. Nagle w jej głowie coś zaświtało, a później zabłysło i od tego czasu nie nazywała go w myślach inaczej jak Dorian Grey! Myślała o nim z troską, zastanawiała się, na ile jego rewolucyjność jest prawdziwa, a ile jest w niej ochronnej warstwy, która ma pozwolić mu przejść przez życie. Bystry, elokwentny zakochany w kinie, świetny rozmówca i, jak się okazało, gorący reformator, który już przed wojną należał do Stronnictwa Demokratycznego i działał w Klubach Demokratycznych. Może zatem tam go widziała?

Nie знаła za to człowieka, który się do nich przykleił, a którego trudno było, ot tak, po prostu zbyć. Typ zupełnie inny, macho, byk, krępy siłacz nazwiskiem Sawicki, pozornie przyciężki także intelektualnie, typ rzeźnika z lubelskiego zamku, ale jednak piekielnie inteligentny i przebiegły. Były alowiec, stary komunista, po moskiewskich szkoleniach, o którym mówiono, że

na przesłuchaniach potrafił być brutalny i błyskotliwy. Wzbudzał jej strach. Na wielu kobietach te jego prostackie zaloty robiły wrażenie, bo nie brakowało kobiet, wykształconych i niezależnych, które lgnęły do takich typów jak ćmy do płomienia świecy. Podobno Sawicki był w wydziale piątym, odpowiedzialnym za ochronę legalnych partii politycznych i społecznych przed infiltracją podziemia, ale przedstawiał się jako towarzysz partyjny z PPR, który „pracował na odcinku kultury”. Wpadał do redakcji towarzysko czy też na przespiegi? Czego chciał od Leszka i czemu ten chłopak był pod jego wpływem? Delikatny, inteligentny, a zbratany z gruboskórnym brutalem.

\*\*\*

Leszek Pec miał jakąś słabość do Sawickiego i zastanawiał się, z czego to wynika, że regularnie ze sobą przesiadują, piją wódkę i rozmawiają. Byli z dwóch różnych światów, ale jak to tłumaczył kapitan, „grali do jednej bramki”. Obaj byli w drużynie nowej Polski, choć obaj walczyli dla niej i za jej przyszłość na zupełnie różnych frontach. On chciał upowszechnić kulturę, wnieść ją pod strzechy, zakręcić korbą nowego, polskiego kinematografu. Nie ukrywał, że miał w tym i swój prywatny cel, bo kochał kino i chciał być jak najbliżej tej najważniejszej ze sztuk. A co osobistego było w tym, co robił kapitan? Wiedział, że front jego walki rządził się innymi prawami, był brutalny, wymagał siły, ale pytanie, które mu zadał tego pamiętnego wieczoru, kiedy opijano wyzwolenie Warszawy, zmroziło go.

– No, to jaka jest ta twoja tajemnica, o której za chwilę się dowie stary czekista, którego oddelegowano na kierunek kultury?  
– Usta Sawickiego zacisnęły się w niepokojącym uśmiechu, oczy się zmrużyły, a przez pozostawione szparki biło mrozące spojrzenie. – Powiesz mi, Leszku?

O co mu mogło chodzić? O rodzinę, o ojca piłsudczyka, o brata w AK, o którym nic nie wiedział, czy żyje, czy zginął w powstaniu, a może chodziło mu o... Nie, to niemożliwe, przecież to się tylko rozgrywało w jego głowie, nie wykraczało poza obserwacje i fascynacje, no i pewne incydenty, przelotne, nikomu nieznane, skąd on...

– Ludziom nie podoba się reforma walutowa – wystrzelił nagle Leszek.

– Taaak? – Sawicki uniósł w górę brwi.

– No tak... – odpowiedział niepewnym głosem Leszek.

– Środowiskom literackim, artystom i pracownikom urzędów państwowych nie podoba się reforma Rządu Tymczasowego? – Sawicki zmarszczył czoło, jakby był szczerze zatroskany i zdziwiony tym, że ludzie nie są zadowoleni z tego, że stracili na reformie niemal wszystkie oszczędności. – Opowiadaj, opowiadaj!

Sawicki rozparł się w krześle, zapalił papierosa, od czasu do czasu popijał kieliszek wódki, ale sam, żeby nie przerywać Leszkowi narracji. A ta była dla niego niezmiernie interesująca. W jego notesie pojawiały się kolejne nazwiska artystów, dziennikarzy, a nawet urzędników, którzy utyskiwali, że wprowadzona dziesiątego stycznia reforma pozwoliła na zachowanie jedynie pięciuset okupacyjnych złotych, że praktycznie zdelegalizowała waluty obce. Notes zapełniał się nazwiskami niewdzięczników i defetystów, którzy mając chleb i zajęcie podarowane im przez nowe władze, narzekali na postępowy i odważny ruch administracji państwowej.

**18 stycznia 1945**

**Warszawa**

Ta kupa gruzów była kiedyś kamienicą. I to dość elegancką, w której nawet w oficynie i na wyższych piętrach były ładne, w miarę przestronne mieszkania z wygodami. Może właśnie dlatego wzgórze z cegieł i betonu wyglądało jak wysypisko śmieci, które obsiadły ptaki. Ale to nie były ptaki. To ludzie chodzili po ruinie, szukając czegoś, co mogłoby się przydać. A przydać mogło się teraz wszystko i wszystko można było znaleźć w zrujnowanych domach. Miednice, sztucce, czasem nawet meble, a bywało, że i kosztowności. Jeśli był dostęp do piwnic, to zdarzały się też zapasy żywności, ale jednak najczęściej były to zbiorowe mogiły. Wszystko zależało od tego, czy dom padł ofiarą bombardowania czy też planowego wyburzenia. Bomby i krowy spadały na piwnice pełne ludzi, a wyburzeń dokonywano, gdy miasto było opustoszałe, choć zdarzały się wyjątki, Stasiek to i owo mu opowiedział. Nagle na gruzowisku zapanowało poruszenie.

– Poszli stąd, ale już! – Mężczyzna w kaszkiecie wymachiwał miotłą w kierunku chłopaków, którzy wyciągali z gruzów coś, co przypominało kawał blachy.

– Sam sobie pójdź – odpyskował mały piegus.

– Już ja ci dam, gówniarzu! – Miotła zatoczyła łuk i słomiana końcówka, która zwykle służy do zamiatania ulic, przejechała po czuprynie chłopaka. – Zjeżdżajcie do swojej kamienicy, to szaber jest, złodziejstwo!

Na ten krzyk i zamieszanie zwrócili uwagę pozostali poszukiwacze.

– To nasza kamienica i nasze rzeczy, uciekajcie stąd! – Do dozorczy, bo to na bank musiał być dozorca, dołączały się kolejne głosy. Chłopcy zrozumieli, że nie mają szans i jak niepyszni opuścili gruzowisko. Po chwili ich znalezisko zostało wyciągnięte, a komisja lokatorów kupy gruzu, która była kiedyś elegancką kamienicą zaczęła oceniać przedmiot.

– To taca do herbaty, jakby ją oddać do renowacji... – mówiła kobieta w trudnym do ustalenia wieku.

– A to pani jest, pani Malinowska? – zapytała inna kobieta, o której wieku zdecydowanie i bez obrazy można było powiedzieć „dojrzały”.

– Nie, ale chyba doktorostwa. Tak czy owak, trzeba wyciągnąć i jakoś zachować.

– A którego doktorostwa pani uważa, że to może być ta taca? – zainteresował się dozorca.

– No chyba Reichów!

– Ależ skąd! Oni się przeprowadzili do getta, z całym umeblowaniem, to mieszkanie było tych państwa, co się z nimi zamienili. Zresztą Reichowie już chyba nie wrócą, raz, że to już nie ten adres, a dwa to przecież, wiadomo... – zawiesił głos dozorca. Patrzył, jakby zobaczył ducha. I inni też zaczęli lustrować ją wzrokiem jak zjawę.

– Tak, to ja, Reich. Wróciłam. – Po policzkach popłynęły łzy, pani doktorowa zatoczyła się i byłaby upadła, ale Stasiek i Krysia ją podtrzymali.

\*\*\*

*Pierwszą od dawna noc w Warszawie* – pomyślał Rybski, budząc się rano. W Warszawie, bo Wincenty Rybski należał do tych, którzy to, co było po prawej stronie Wisły, nazywali Pragą, Grochowem, Saską Kępą, Kamionkiem i każdą inną dzielnicą lub przedmieściem, które tam były, ale nie Warszawą! Warszawa była tu, na lewym brzegu. Nocleg miał w jakiejś cudem ocalałej kamienicy w Alejach Jerozolimskich. Było wściekle zimno i ktoś rozpałił ognisko z resztek klepki i drzwi od sąsiedniego mieszkania.

– Spokojna głowa, tu mieszkali folksdojczy – uspokajał jeden z towarzyszy.

– Ale pewnie mieszkali, bo wcześniej wygnano właścicieli – zaprotestował inny.

– To idź pan narąbać drzewa albo najlepiej włącz pan centralne! – fuknęła kobieta, której kojbrzy zajęły prawie pół pokoju.

Sytuację uspokoiło puszczenie w obieg flaszki samogonu.

– Mocne, ale... czy się po tym wzrok nie zapsuje? – skrytykował trunek jeden z biesiadników.

– Jak się nie podoba, to ja za pana chętnie wypiję – zaśmiał się mężczyzna w furmańskim kożuchu, po czym dodał pod nosem: – Koneser się znalazł, hrabia Walgodechą!

Rybski nie włączał się w dyskusję. Ani o rąbaniu klepki i drzwi na opał, ani o jakości trunku. Pociągnął łyk dla rozgrzewki, faktycznie samogon był paskudny, ale myślami błędził gdzie indziej. Musi się wybrać do Wilanowa, bo tam był Stasiek. Tylko czy to ma sens? Przecież jego młodszy brat o ile już nie jest w Warszawie, to za chwilę będzie. Za dobrze go znał, żeby nie wiedzieć, że w try miga tu się znajdzie. Najlepiej zrobi, jeśli pójdzie na Starówkę, do Piwnicy Gdańskiej, kamienicy, w której Stasiek mieszkał z rodzicami i dziadkami.

Inną sprawą, która pochłaniała Rybskiego, było zadanie wyznaczone przez Jeżewskiego. Na razie totalna klapa, nie był w stanie odnaleźć ulic i adresów, ulice nie istniały, stały się zwałowiskami gruzów, wśród których leżały zamrożone zwłoki. Udało mu się dotrzeć tylko w jedno miejsce, a tam zastał pustą skrytkę. Ktoś był szybszy? Niemożliwe, żeby opróżniono ją teraz, bo wszystko było osmalone przez pożar. Będzie szukał dalej, a na razie pójdzie na Starówkę.

Wychylił się przez okno i spojrzał na morze gruzów, przez które przedzierali się wracający do miasta łachmaniarze. Jak i

gdzie ci wszyscy ludzie się podzieją, czy życie tutaj będzie jeszcze możliwe? Stał w oknie, palił skręta z machorki i zastanawiał się, czy nie jest czasem w środku jakiegoś filmu. Dziwnego filmu, w którym było już prawie wszystko, a teraz jeszcze sprawdzała się przepowiednia dziewczynki z Siekierek, której objawiła się Matka Boska i nakazała się modlić, bo jak nie, to czeka Warszawę wielka kara i ciężki krzyż. Mówiła też, że Syn jej się gniewa, bo się lud nie nawraca. A jemu się wydawało, że się nawraca. Ludzie modlili się po podwórkach, gdzie stały kapliczki, chodzili do kościoła i śluby kościelne brali. Jeden z takich ślubów nie ocalił chłopaków z AK i ich rodzin. Gestapo wygarnęło z kościoła na placu Trzech Krzyży dziesiątki osób. Pułapka w kościele? No tak się modlić? On się nie modlił, ale inni się modlili, a gniew i tak był. I potoki krwi, które przepowiadano już przed wojną. Sodoma i Gomora poszły z dymem, Warszawa i jej praska strona też. *Praga mniej. Bo się mocniej modliła? Pewnie tak* – pomyślał i aż go to rozbawiło. Prażka też święta nie była, a może była, bo wszyscy Żydzi poszli do getta, na lewy brzeg Wisły? Ale nie, Matka Boska dawała ultimatum już po likwidacji getta. Może dlatego nie został księdzem, bo nic z tego wszystkiego nie rozumiał, a nawet już dawno temu przestał chcieć rozumieć. A może dlatego przestał się bać? Wojna zabrała mu żonę i córeczkę, przyjaciół, miasto... Widział potoki krwi i ciałopalenie, przeszedł Wisłę prawie jak Jezus jezioro Genezaret, mało nie utonął, ale nie otrzymał żadnego chrztu, nie doznał oczyszczenia. Czuł się zbrukany, w zbrukany świecie, który zdawał się nie mieć przyszłości. Wszystko, co go czekało, to udział w czymś, co przypominało z grubsza połączenie rosyjskiej ruletki z grą w trzy karty, którą prowadzi doświadczony benklarz z Kercelaka. Szanse bliskie zeru, ale zawsze większe niż rendez-vous z plutonem egzekucyjnym. Chociaż to też byłby jakiś luksus w porównaniu z przesłuchaniem, którego celem jest zatłuczenie na śmierć. No to w sumie, panie Rybski, nie jest



aż tak źle! Są jakieś szanse, a do tego nie będzie walczył tylko o swoje życie. I nie jest sam, inni też przeżyli, farciarze, tyle że cholernie bezdomni!

– Co pan tak myślisz? – zapytał go współlokator. – Od myślenia głowa boli! Pan się pewnie zastanawiasz, czy my to wszystko odbudujemy? Jasne, że tak, na złość odbudujemy! Na złość Hyclerowi, wszystkim szkopom, Ruskim, co nie pomogli, i całemu światu, który nie kiwnął palcem, jak to parę lat temu można było ekspresowo zagasić. Napij się pan, na frasunek dobry trunek!

Napił się, a później dostał w kuchni polowej kawałek chleba i wypił chochlą zbożowej kawy. Tak pokrzepiony ruszył Marszałkowską w kierunku Starówki, próbował przejść przez Ogród Saski i plac Piłsudskiego, ale kiedy dochodził do skraju ogrodu, usłyszał ostre *Nielzja!*. Ostre, ale wypowiedziane kobiecym głosem. Zobaczył dziewczynę w wojskowej kufajce, walonkach i czapce uszance. Niewiele wystawało spod czapy, ale buzia była ładna, do tego spadały na nią kosmyki jasnych włosów.

– *Poczemu, gospodina?* – Dziewczyna drgnęła. – No to jak, *madame?* Przepuścicie? – Rybski wzbijał się na szczyty uprzejmości oraz znajomości języka Puszkina i Stalina. – *Domoj idu*, na Starówkę!

– *Nielzja!* – powtórzyła druga żołnierka, mniej atrakcyjna, może przez hełm, a może przez kufajkę, przez którą przypominała nieforemną kukłę, ale najważniejsze było to, że głos miała jeszcze bardziej stanowczy, a w dłoniach trzymała pepeszę. Kiedy ją przeładowała, uznał, że flirt z sowieckimi żołnierzkami może go uczynić bogatszym o parę ołowianych kulek. Machnął ręką i obszedł plac naokoło, przez ruiny, które go otaczały. Kiedyś stał tam pałac Saski i cerkiew, a dzisiaj wielkie ciężarówki i ciągniki gąsienicowe przytargały armaty przeciwlotnicze i re-

flektory. Idąc, zorientował się, że żołnierki były z obrony przeciwlotniczej.

Doszedł do placu Zamkowego, na którym nie było już ani zamku, ani kolumny Zygmunta. Król Zygmunt leżał na bruku, a zamek był kupą gruzów. Po placu kręcili się żołnierze, którzy wyglądali jak wycieczka skautów w środku dzikiej puszczy. To, co tu zobaczyli, przekroczyło ich oczekiwania. Nawet on, który widział Starówkę bombardowaną i paloną przez krowy i sztukasy, czuł się nieswojo, jak na innej planecie. I wszędzie trupy. Kto to wszystko uprzętnie i pochowa...

Przedarł się przez Świętojańską i rumowisko Rynku do Nowomiejskiej, a w końcu dotarł do Piwnicy Gdańskiej, a raczej do fragmentu, który po niej został. Po rozoraniu bombą kamienica wyglądała jak ostatni kawałek tortu, który wciąż się trzymał podłoża. Ze szczytowej ściany, która ocalała, wystawały resztki stropów i ścian działowych. Całość wyglądała z daleka jak mozaika. Rybski próbował rozpoznać mieszkania – po piętrach, po kolorach ścian, które znał z wizyt, po umiejscowieniu względem innych lokali. Patrzył na szczątki Starówki, na groby i nieoprzebane, często ponadpalane ciała. Czy tak wygląda piekło? Szybko sobie odpowiedział, że tak wygląda miejsce, przez które przeszło piekło. Wycofał się ze Starówki, zanim ruszyła wielka ewakuacja kanałami, ale był jeszcze, kiedy sztukasy kluczami jeden po drugim sadziły bomby. Widział, jak pociski raketowe palą domy i ludzi, był przy wybuchu czołgu. Z zadumy wyrwał go głos:

– Wicek, żyjesz!

Z ruin wybiegł Stasiek, doskoczyli do siebie i zaczęli się ścisnąć.

– Wiedziałem, że cię tu spotkam!

– A ty myślisz, że po co tu przyszedłem!? – odparł Stasiek.

– Idziesz z Wilanowa?

– Powiedzmy. – Młodszy brat Rybskiego wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A skąd?

– To długa historia.

– Jak długa?

– Tak długa, że opowiem ci ją, jak będziemy iść na Złotą.

– Na Złotą?

– Mam tam metę, wytłumaczę, posłuchaj!

I Stasiek opowiedział, jak z Wilanowa trafił na roboty, jak z nich uciekł, w jaki sposób poznał państwa Reichów, Krysię, Kredkę i rudego świrusa Liska, a na koniec, że dom pani Anny Reich ocalał, a ona poprosiła ich, żeby nie zostawiali jej samej. No to nie zostawili, mieszkają teraz u niej.

## **Warszawa, Praga**

Podchorąży Zdziarski stał w bramie przy ulicy Wileńskiej i wypatrywał. Patrzył na ludzi wychodzących z dawnego budynku Dyrekcji PKP i wiedział, że widzi czerwonych sługusów. Kto wychodził z tego gmachu, a był porządnym człowiekiem, ten się nie mógł uśmiechać, tymczasem wielu było z siebie zadowolonych – to ci, którzy przychodzili tam służbowo i dostawali pensje. A tam przecież nie pracowali przyzwoici ludzie, tylko kanałie. Zaczęli tu nawet przenosić ten cały PKWN, który niedawno dla picu nazwali Rządem Tymczasowym. Ludzie wierzyli w takie pierdoły, bo rząd to rząd, a na wojsku się jeszcze nie sparzyli. Pewnie pójdą jutro na tę defiladę na cmentarzu, okłaskiwać Bieruta i sowieckiego namiestnika. Za to już wszystko wiedzieli o milicji i bezpieczeństwie, a tu także mieścił się Stołeczny Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

To, że wśród funkcjonariuszy był kolega, towarzysz broni, bolało jak cholera, wprost niewyobrażalnie. Biały był chłopskim synem z ambicjami, chciał zrobić po wojnie maturę, a później kto wie... Pewnie mu dadzą szkołę oficerską, patent, dyplom i wszystko, co mogą dać swoim ludziom. Sprzedał się czy przstraszył, bo przecież nie był głupiutkim trzynastolatkiem, którego nakarmili, dali cukierków i przekabacili. Dosłownie przekabacili, bo przebrali, dali mundur sowiecki, zrobili z dobosza Rysia bolszewickiego janczara. Ale, że Biały, Janek Leszczyniak? To bolało. Mocno bolało, piekło. W końcu wyszedł i jak zwykle skręcił w lewo, w kierunku Targowej. Bliżej by miał przez wejście główne, ale zawsze wychodził bocznym, cholerny szpicel! Podchorąży Zdziarski poszedł za Białym trasą, do której w ciągu ostatnich kilkunastu dni się przyzwyczyił – Wileńską do Targowej, później Białostocką, Brzeską i Ząbkowską. Ponad dwadzieścia minut, aż zrobiło się prawie pół godziny, kiedy doszli pod bazylikę. Biały wspiął się po schodach i wszedł do środka. Robił tak codziennie, stała rutyna. Za którymś razem Zdziarski wszedł za nim i nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Biały się modlił! Cholera jasna, to się nie trzymało kupy, milicjant, komunistą i zdrajca w kościele. Po co? Był prowokatorem czy wydało mu się, że odkupi grzechy? Tego jeszcze podchorąży Zdziarski nie ustalił, ale był pewien, że Biały chodził do kościoła codziennie po pracy, z regularnością zegarka albo przedwojennego PKP.

## **Niemcy**

### **Stalag XI A Altengrabow**

Lisek był zły na siebie, choć to wszystko stało się przez tego typa, który go zaczepił przed meliną we Włochach. Kim był, czego chciał? Nikim z ich konspiracji, pewnie szwabskim pro-

wokatorem, który chciał go złowić na dobrego wujka. Tak robili, że zakładali kotły, potem przed nimi ostrzegali, wciągali do niby organizacji, a gdy ta już nieźle spuchła, to zawiązywali sieć. Lepszy wynik niż organizowanie kotła, bo ile taki kocioł można trzymać? Zamiast wiać, to coś go podkusiło i sprawdził, a raczej chciał sprawdzić, czy to była prawda. Była. Zdjęli go sto metrów od domu, a może po prostu to był zwykły patrol? Teraz to nieważne, ważne, że go nie rozstrzelali, że nie miał żadnych obciążających papierów, że wcześniej, gdy zobaczył majaczący na końcu ulicy patrol, to wyrzucił w krzaki pistolet. Potem była Francja-elegancja, dostał po pysku, raz z urzędu, a pewnie ze dwa razy w gratisie, za to, że jest rudy. Życie rudego takie jest. Legitkę AK oglądali, jakby to był złoty rubel. Najważniejsze, że nie byli z SS, starsze wojsko, zmęczone wojną, więc go po bożemu potraktowali. Znalazł się w obozie jenieckim, gdzieś w Niemczech, ale wśród swoich, mnóstwo chłopaków z powstania, wielu młodych jak on – Stalag XI A Altengrabow. Podobno najgorsze już było za nimi, bo od głodu poratowali ich jeńcy innych nacji, a do tego przestali młodocianych, takich jak on, wysyłać na roboty przymusowe. Żył, siedział i kwitnął, czekał na koniec wojny.

## **Prusy Wschodnie**

### **Obóz jeniecki Armii Czerwonej**

Podczas spaceru minął trójkę, która go interesowała. Wiedział, że nie ma im nic do powiedzenia, że najlepiej byłoby gdyby ich nie spotykał. Nie tego dnia, nie po tym, co się stało. Nie byli na kursie kolizyjnym, nie groziła mu rozmowa, bo przechodzili w przyzwoitej odległości, ale widział ich twarze. Patrzyli na niego, nie dało się nie zauważyć grymasu na gębie Müllera, a z ruchu warg odczytał mocno artykułowane *Arschloch!*

Tak, teraz był dla nich dupkiem, skończonym dupkiem, bo namawiał ich do ucieczki, a w nocy ten pomysł został przez Sowietów skompromitowany. Z jednego z baraków próbowało uciec kilkunastu więźniów, sforsowali druty, ale pod ścianą lasu wyszperał ich reflektor. Mocny, precyzyjny, niemiecki. Zaraz po tym gruchnęła seria. Długa, celna i mordercza. Ścięła wszystkich z wyjątkiem jednego uciekiniera, który dobiegł do lasu. Daleko nie uciekł, rozstrzelano go dziś rano, a jego koledzy albo zginęli na miejscu, albo zostali dobici.

– *Arschloch!* – usłyszał tym razem z bliska, bo ten skurwysyn Müller podbiegł do niego, żeby mieć pewność, że wie, co o nim myśli.

Nie odpowiedział mu nic, stał i się głupio uśmiechał, jakby chciał powiedzieć, że nie przypuszczał, że ucieczka z sowieckiego obozu może mieć taki właśnie finał.

– Feldwebel Müller, przepraszam pana – powiedział, jakby chodziło o jakiś drobiazg. Müller przystanął zdziwiony, a za chwilę zdziwił się jeszcze mocniej, bo otrzymał cios w szczękę, po którym padł na rozdeptany śnieg wymieszany z ziemią. Müller chciał wstać i rzucić się na niego, ale cios zrobił swoje. Feldwebel się zatoczył i ku rozczarowaniu sowieckich strażników, którzy obserwowali zajście z wieżyczek, nie doszło do dłuższej wymiany ciosów. Inni jeńcy ich rozdzielili, ale i tak nie uchroniło ich to przed tygodniem karceru.

## VI PRZEPROWADZKI

5 lutego 1945

**Warszawa, lewy brzeg, okolice ulic Solec i Wilanowskiej**

**W**incenty Rybski poderwał się zlany potem i ze łzami w oczach. To tylko sen. Był luty, powstanie upadło cztery miesiące temu. Leżał na posłaniu mieszkania Anny Reich przy Złotej. Tak, to tylko sen.

– Co jest? – zapytał go Stasiek.

– Śniło mi się, że jesteśmy na Wilanowskiej, ta chwila, kiedy Zyga Stolarczyk ze sobą skończył. Jak w filmie... Nie, nie jak w filmie, jakbym tam był, w środku.

– Ale już w porządku, co?

– Nie, absolutnie nie, młody. On tam leży, gdzieś w ruinach, ja wtedy nawet nie miałem czasu i głowy go przykryć. – Rybski ukrył twarz w dłoniach.

– A co miałeś zrobić? – pocieszał go Stasiek. – Przecież... – Chciał coś jeszcze dodać, ale ugryzł się w język.

– Przecież nie pochowałem żony i córki, matki i ojca, dziadków? To chciałeś powiedzieć?

– Nnnie... to znaczy tak – przyznał Stasiek. – Jutro go pochowamy, pomogę ci.

– Pomożesz?

– No pewnie, bo kto jak nie ja!

– A tobie, młody, to nic się nie śni?

– Raz, to, jak strzelają z czołgu w naszą redutę w wytwórni. Wskoczyłem wtedy za wcześniej, podmuch mnie rzucił o ścianę.

Stasiek spuścił na moment wzrok, a potem sięgnął do kieszeni, po papierosa, poczęstował brata, przypalił, zaciągnął się.

– Mam jeszcze jeden koszmar. Egzekucje widziałem. Raz na Grójeckiej, zaplątałem się tam, chociaż rzadko co miałem do załatwienia na Ochocie. Jak raz komplety akurat tam się odbywały i jak wracałem, Niemcy zamknęli ulicę i zaczęli ludzi zaganiać. Budy nadjechały, myślałem, że łapanka, ale nie. W tych budach żandarmi i więźniowie. Ustawili ich pod ścianą, dwadzieścia, trzydzieści osób, a nas docisnęli bliżej, żebyśmy na to patrzyli. Oni krzyczeli, jedni płakali, inni lżyli Niemców, inni wołali „Niech żyje Polska”, a ktoś próbował hymn zaintonować, ale nie zdążył, bo poszły salwy z erkaemów. Cisza była po tej salwie, oni leżeli, a oficer chodził i sprawdzał, czy nie ma kogoś do dobicia. Nie było, bo ich prawie na strzepy rozerwali, krew płynęła po chodniku... Jak budy odjechały, to ktoś kwiaty położył, ktoś świeczkę zapalił.

Wincenty Rybski słuchał i kiwał głową. Pamiętał załamanego mundurowego, który musiał wziąć udział w egzekucji i nie odważył się zaprotestować, bo wcześniej z jego oddziału, za odmowę wyciągnięto kilku i rozstrzelano. On miał szczęście, zasrane szczęście, bo jak mówił, nie wytypowano go do kulki w głowę, za to zrobiono z niego kata. Myślał, że to koniec opowiadania Staśka, ale młodszy brat zaciągnął się dymem papierosowym dymem i mówił dalej.

– To było straszne, bo pierwsze. Wstrząs to był. Ale to mi się nie śni, tylko ta druga egzekucja, wtedy już kneblowali i ubierali skazańców w papierowe worki po cemencie. Szli jak nieludzie, jak kukły, pokrępowani, zakneblowani, a oni, te skurwysyny, pruli jak do kukieł, krew tryskała na papier, oni walili się



na bruk. A szwaby rozgonili nas. Żadnych kwiatów, płaczów, won, *raus, schneller*. I to mi się śni. Ludzie w workach, bez twarzy, ale z oczami, bo te worki na twarze zachodziły. Oni bezradni, odczłowieczeni, my bezsilni, więc się ucieszyłem na to powstanie, czekałem na nie, żeby się mścić. I strzelałem do nich, ale nawet nie wiem, czy jakiegoś Niemca zabiłem. Pewnie zabiłem, ale żadnego tak, jakbym chciał, tak z metra, strzelałem w łeb, tak żeby skurwysyn skamlał. Widziałem za to naszych, dziesiątkami, setkami, wojsko i cywilów, płonących i porozrywanych, a naszej rodziny to nawet kawałka po tym wybuchu na Podwału nie znaleziono. Tyle z tego przyszło, że nas dorżnęli do końca, że ludzie, którzy się cieszyli na początku, później mówili do nas „Chciało wam się powalczyć i co macie z tego? Idźcie sobie stąd, zobaczcie, co zrobiliście”. Tak mówili. Powstanie miało trwać trzy, cztery dni, trwało dwa miesiące, a dla mnie i ciebie kolejne, nie wiadomo jak długo, pewnie do usranej śmierci.

– Kiedyś się z tego wyrwiemy – skłamał Wicek.

– Pewnie tak – powiedział z wielką pewnością jego młodszy brat, ale też w to nie wierzył.

O świecie poszli na róg Wilanowskiej i Solca, znaleźli w ruinach miejsce, w którym odebrał sobie życie Stolarczyk. Wynieśli jego zeszywniałe zwłoki z ruin, a Wincenty Rybski wziął łopatę i zaczął kopać. Po paru minutach doszedł do wniosku, że to robota głupiego, bo pewnie i tak będzie ekshumacja, więc znów Zygę wykopią i przeniosą do innej mogiły, więc po cholere mu takie korowody? A może poszukać jakiegoś wózka, przewieźć go jakoś na Bródno? Tam przecież leżały jego żona, córka i wnuczka. Zginęły w czasie oblężenia Warszawy we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Stolarczyk ocalał bo pełnił służbę, a one zginęły, bo żona pojechała do Śródmieścia do córki, która siedziała sama z dzieckiem. Gdyby były na Mokotowie, toby przeżyły... Cała rodzina zginęła, jego zięć pewnie też, bo był za-

wodowym podoficerem i podobno dostał się do ruskiej niewoli. Wrócił Stasiek, ciągnął za sobą jakąś dwukólkę.

– Skołowałem pojazd, zabieramy pana przodownika – zakomunikował.

– Starszego przodownika – poprawił go starszy brat.

– Starszego – powtórzył Stasiek i zaczął pakować zwłoki Zygmunta Stolarczyka na wózek. – Nie pomożesz mi?

– Pomogę, bo to mój przyjaciel był... Jest! – poprawił się natychmiast, patrząc na szczątki Zygi. – Dlatego nie będziemy go tak wieźć, trzeba go w coś zawinąć.

Zawinęli Zygę Stolarczyka w to, co znaleźli – w nadpalony dywan, który wyciągnęli z ruin. Po kilkuset metrach Wincenty Rybski nie wytrzymał, przystanął i zaczął się rozglądać.

– Co jest? – zapytał Stasiek.

– A to jest, że to źle wygląda, to mój przyjaciel jest!

Faktycznie, z dywanu wystawały stopy Stolarczyka, ale już po chwili były owinięte żołnierską pałatką, która została po jakimś berlingowcu. Ich trupy też wypełniały ulice, bo kiedy tu wylądowali, już nikt nie miał głowy do pogrzebów. Co innego na początku, kiedy celebrowano każdego zabitego, kopano groby, pakowano ich do trumien, stawiano ładne krzyże, a nawet oddawano salwy honorowe. Strzelec Poeta, ten pechowiec z Mazowieckiej, przy którego śmierci był Rybski, miał na początku powstania to wszystko oraz miejsce na cmentarzyku ukrytym na tyłach komendy powstania. A później... Byle jak zbite skrzynki, ledwo przypominające trumny, potem bez trumien, wreszcie nie było już komu grzebać zabitych. Było zimno, mroźno, ale niedługo słodkawy zapach i muchy opanują pobojuwisko, którym była Warszawa.

\*\*\*

Ciągnęli dwukólkę po lodzie, jakby to były sanie, a nie wózek, przeszli na drugi brzeg, żołnierze ich nie zaczepiali, raz jakiś służbista zajrzał, ale od razu odskoczył, bo szybko się zorientował, że to żaden szaber czy przewóz broni. Szli ponad trzy godziny, dotarli w południe, ksiądz pozwolił im na pogrzeb, załatwili trumnę, murarzy, zakryli Zyge Stolarczyka ciemną kapą, którą znalazł dla nich kościelny.

Jeszcze tego samego dnia starszy przodownik spoczął obok swoich żony, córki i wnuczki.

– Zginęli równo pięć lat po sobie – zauważył Stasiek.

– Faktycznie, Zyga odszedł dwudziestego trzeciego września, tak jak jego żona, córka i wnuczka... – Rybski się zamyślił. – One zginęły, jak Niemcy chcieli w święto Jom Kipur zrównać dzielnicę północną. Walili w synagogi, w Nalewki, ale naleciało ich tyłu, że posłali bomby także na dom, w którym mieszkała Jaskulska, tak po mężu nazywała się córka Zygi. Można powiedzieć, że przez pomyłkę zginęła dwudziestego trzeciego września, bo bez pomyłki zabiliby ją planowo parę dni później, kiedy rzucali bomby już na całe miasto i chyba ściągnęli wszystkie bombowce, jakie mieli. Tak mi Zyga tłumaczył – wyjaśnił bratu, a ten pokiwał głową, bo przeżył te wszystkie naloty na Starówce, która przylegała do dzielnicy żydowskiej. – Córka Zygi urodziła się... – spojrzał na tabliczkę – piątego sierpnia. To dobra data, żeby jakby co się spotkać, gdybyśmy się pogubili, to w razie czego pamiętaj! A teraz wracamy, znajdziemy jakiegoś przewoźnika i módlmy się, żeby nas nie złapali.

– Spokojna głowa, łapanki robią, ale ekshumacji jeszcze nie. – Stasiek się uśmiechnął.

Ich nazwiska były na liście zabitych, opisano nimi ciała, których nie można było zidentyfikować w trakcie ekshumacji, a Jeżewski załatwił papiery. Jeżewski... na razie nic dla niego nie

zrobił, wszystkie miejsca, w których miały być skrytki z dokumentami, były puste.

## **20 lutego 1945 Lublin**

Od nowego roku to, co było Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego, stało się Rządem Tymczasowym, przeniosło się do Warszawy. Ale nie od razu, kultura jak zwykle na końcu, i nie wszyscy urzędnicy naraz. Leszek Pec opuścił Lublin dopiero w lutym. Żałował trochę rozstania z miastem, najbardziej z redakcjami przy Krakowskim Przedmieściu, i rozmów o kinie, które prowadził z Zygmuntem Kałużyńskim oraz spotkań z Aleksandrą Fuchs. Starsza od niego o osiem lat robiła na nim wrażenie, bo znała cały świat przedwojennego kina, może niedoskonałego, momentami naiwnego i jarmarcznego, ale jednak szalenie popularnego i trafiającego do ludzi. Tak, to się ludziom podobało i trzeba z tego wyciągać wnioski, a nie tylko krytykować jak Kałużyński. Kino to sztuka może niedoskonała, ale najsilniej oddziałująca, hipnotyczna, i Pec też dawał się jej uwieść.

– Co taki zamyślony jesteś, o tej Żydówce myślisz? – domyślił się Sawicki. – Stara torba, a młode są, aktoreczki, uniwersytutki, panienki chętne, jędrne i wdzięczne, takie, co ty im nieba uchylisz, bo masz kawę, herbatę, bilety do kina, a one uchylą spódnicy. – Zaśmiał się rubasznie i poklepał go po karku. – A jak tam w ogóle z dziewczynami, jak ci z nimi idzie? Są jakieś czy tylko takie ciocie do towarzystwa, na herbatkę i ploteczki, jak ta panna Fuchs?

Leszek poczuł się niepewnie, bał się kolejnego pytania, takiego, na które nie potrafiłby odpowiedzieć, takiego, którym Sawicki chciałby go obnażyć, dlatego odetchnął z ulgą, gdy usłyszał:

– Coś ciekawego, jakieś pikantne szczegóły z życia artystów? Ktoś kogoś wyruchał w wychodku, a może nawet w sławojce, przez co całe zajście miało sanacyjny, może nawet faszystowski charakter? – Sawicki mówił to ze śmiertelną powagą, ale kąciki jego oczu się uśmiechały i Pec pomyślał, że nie podejrzewał go wcześniej o tak wyrafinowane poczucie humoru. – A może w tymże wychodku, a nawet sławojce – ciągnął dalej z powagą – ktoś napisał „precz z Sowietami”, a ty akurat wiesz kto, albo przynajmniej domyślasz się, czyj to charakter pisma? Jakieś sanacyjne ciągotki, ktoś ma leśnego w rodzinie i dlaczego jest to znany dyrygent albo aktoreczka? A może są w naszym rewolucyjnym, postępowym otoczeniu jakieś cioty? No, słucham wieści z wielkiego świata!

Leszek zaczął opowiadać, bo łatwiej jest mówić o innych, wyjawiać ich tajemnice, niż zdradzać swoje sekrety.

## **Prusy Wschodnie**

Duch zastanawiał się, co robić dalej, jak grać z trójką podejrzanych Niemców, jak się wyrwać z sowieckiego obozu, kiedy w odwiedziny do Sowietów przyjechali polscy towarzysze. Ich nadzorcy ogłosili ponowną zbiórkę, tym razem nie było lustracji, tylko tłumacz po otrzymaniu od komendantury jakichś instrukcji stanął przed szeregi jeńców i wydarł się na cały głos:

– Saperzy, wystąp!

Zaczął się przepychać.

– Dokąd, kurwa, saperem jesteś? – Müller dał mu sójkę w bok.

– Pierdol się, idioto – syknął mu do ucha, a w odpowiedzi Müller wbił się palcami w jego ramię, nie dając mu przejść. – Saper to fachowiec, dopiero potem żołnierz, nie rozwalą go, poza tym stoją tam Polacy.

– To co, mądralo? – Müller naprawdę był idiotą.

– To znaczy, że Polacy potrzebują saperów, a skoro tak, to w Polsce, a nie na Syberii!

Kiedy był już parę kroków przed szeregiem, z którego wyszło ledwie kilku żołnierzy, usłyszał kroki dochodzące dokładnie zza jego pleców. W miejscu wskazanym przez nadzorców zobaczył, że idą za nim Minge, Ast i Müller.

Lody puściły. Okazał się sprytniejszy od nich, dał im pole manewru, bo, tak jak przewidział, Polacy potrzebowali saperów do pracy w Polsce, więc przynajmniej na razie Syberia im nie grozi. Żaden z nich nie był saperem, ale najważniejsze, że kupili trochę czasu.

– Jak pan na to wpadł? – zapytał Minge. Słowo „pan” sugerowało, że nie wierzy w to, że jest podoficerem.

– Jestem Hauptsturmführerem, służyłem w policji...

– To zrozumiałe, ta dedukcja... – Minge się uśmiechnął i był to uśmiech, a nie uśmieszek.

– Ja o sobie powiedziałem, ale panowie nie muszą, jak pan słusznie zauważył... dedukcja.

Cała trójka milczała, może Müller by się pochwalił, ale Minge i Ast byli powściągliwi. Nie odnieśli się jednak do tego, co powiedział pierwszego dnia: mieliśmy tego samego szefa. Miał pewność, że tak, że był to stojący ponad policją i SS Heinrich Himmler.

Zapakowali ich do wagonów, wsiedli razem, a kiedy pociąg ruszył, zebrał ich wokół siebie i zapytał:

– Będę uciekał. Panowie ze mną czy mam poszukać chętnych?

– Skakał pan kiedyś z pociągu? – zapytał Minge.

– Nie, ale nigdy też nie rozbrajałem miny, a jak usłyszałem od Polaków, wiozą nas na pola minowe.

– Kurwa mać – jęknął Ast. – Wjebałeś nas w gówno!

– Gównno to byś poczuł na Syberii, z Polski do Niemiec jest bliżej niż zza Uralu. A po drugie pilnuj się, bo jestem Hauptsturmführerem!

– Ja, kurwa, też, więc uważaj!

– Spokój panowie! – Minge znów był rozjemcą, a po chwili szeptem dodał, patrząc na swoich kolegów: – Uciekamy, z obozu mieliśmy mniejsze szanse. Ma pan jakiś plan?

– Tak jest! – powiedział pewnym głosem, chociaż nie miał żadnego planu. Wiedział, że będzie musiał improwizować.

## **Niemcy Stalag X B Sandbostel**

Nie dało się. Nawet on, który potrafił pojawiać się i znikać jak prestidigitator, uznał, że z tego obozu się nie ucieknie, tym bardziej że wylądował na izbie chorych. Dostał coś do czytania, rozmawiał z innymi chłopakami o powstaniu, ale cały czas myślał o tym trefnym towarze, tych dokumentach z powstania, z którymi robił w Warszawie porządki. Miał nadzieję, że tu spotka kogoś z tych, którzy go wysyłali, porucznika Marka i pozostałych oficerów, których spotkał we Włochach. Szukał też człowieka o nazwisku Jeżewski i okazało się, że było tu dwóch Jeżewskich, ale żaden z nich nie zareagował na słowa „Mam pozdrowienia od stryjenki Szymiczkowej!”. To było hasło, na które właściwy Jeżewski miał odpowiedzieć „O, dziękuję, a co u kuzyna Tarczyńskiego?”. Ale żaden z nich tak nie odpowiedział i, jak to się mawiało u Liska na dzielnicy, dupa zbita. Zbita, blada i zmarznięta.

## **Warszawa, Praga**

Minęły dwa tygodnie i stali w miejscu. Gdyby tylko! Jeżewski ustalił, że było jeszcze gorzej! Złapał w końcu kontakt z konspiracją na drugim brzegu i dowiedział się, że wywiad AK wysyłał ludzi do Warszawy, żeby wobec tego, że Niemcy zaczęli równanie miasta z ziemią, zabezpieczyli papiery, przenieśli w nowe miejsca, ale żaden z kurierów nie wrócił. Wychodziło więc na to, że zginęli, ale wcześniej ukryli archiwa w nowych miejscach. Wiele rzeczy się mogło zmienić, bo Armię Krajową rozwiązano dziewiętnastego stycznia, a w niecały miesiąc później w Jałcie Stalin zblatował Churchilla i Roosevelta. Anglicy i Amerykanie zgodzili się oddać Ruskim wschód Polski w zamian na jakiejś ziemi na zachodzie, ale wiadomo, że w rzeczywistości godzili się na dużo więcej. Jeżewski mówił, że rząd w Londynie protestował, że nazwał to wszystko nowym rozbiorem Polski, ale sam na koniec dodał, że to pisanie na Berdyczów. Oni dalej robili swoje, bo nie mieli innego wyjścia.

Rybski szedł właśnie do Jeżewskiego po nowe instrukcje i zółd. Był dzięki temu w domu jakiś pieniądz, zwłaszcza że jego brat Stasiek łapał dorywcze prace, więc nie było bardzo źle, tylko zwyczajnie, jak to w Warszawie zimą 1945 roku – po prostu źle. Tylko źle, bo mogło być gorzej, jeśli się wpadło w ręce UB lub NKWD. Działali pełną parą, robili obławę, ludzie ginęli bez wieści albo odnajdywali się w obozie rembertowskim, który od grudnia działał w dawnym Pocisku. Hale fabryczne, cały teren, baraki, wszystko to było obozem, który otoczono drutami i wysokimi drewnianymi wieżyczkami. Tysiące Polaków, nie tylko akowców, lecz także granatowych i podejrzanych o kolaborację, siedziało tam z Niemcami i z Sowiecami, którzy przeszli na stronę faszystów. A ilu było na Namysłowskiej, ilu po mniejszych więzieniach, aresztach i katowniach? Ci chłopcy nie mieli z tym nic wspólnego. Chcieli bić Niemców, chcieli przeżyć, a teraz byli traktowani jak wrogowie. Rybski przekonał się o tym, idąc od Wisły Kępną w kierunku Targowej. Kiedy doszedł do



rogu, zobaczył wojskową ekipę plakatującą mury. Naklejali kolorowe płachty, a kiedy poszli dalej, przed zalepioną ścianą zebrała się grupka ludzi. Szeptali, nikt nie mówił głośno, bo dwóch facetów w płaszczach, którzy wyglądali na szpicli, przyglądało się im, zupełnie nie przejmując się tym, że na odległość bije od nich Urzędem Bezpieczeństwa. *Ciekawość to pierwszy stopień do piekła* – pomyślał Rybski, ale podszedł, bo w końcu bardziej nienaturalne byłoby, gdyby minął zbiegowisko szerokim łukiem. Na plakacie był napis „OLBRZYM I ZAPLUTY KARZEŁ REAKCJI”, olbrzymem był kościuszkowiec z pepeszą, a karłem jakaś cherlawa miniaturka z szyldem AK.

– Nie pieprzą się w tańcu – usłyszał szept.

– Pewnie, bo co się mieli pieprzyć, skoro w Jałcie Sowieci i komuniści dostali do aliantów wolną rękę! – Na tyle ktoś się odważył, inni milczeli.

On też nie miał ochoty komentować, odwrócił się i zaczął przechodzić na drugą stronę Targowej i wtedy nadjechał willys, jeden z wielu amerykańskich samochodów, które służyły w armii oraz w bezpiece. Mały, pokryty zieloną farbą pojazd, kiedy był wypełniony ludźmi, wyglądał jak sanki na kuligu. Łokcie, czasem nogi, broń i co tam się dało wystawić na zewnątrz były za burtami gazika. Przednia szyba była położona, pewnie jak w wielu samochodach potłuczona, więc żeby coś widzieć, kierowca zdecydował się marznąć. To dlatego Rybskiemu wystarczył ułamek sekundy, by rozpoznać człowieka, który siedział koło szofera. Wtedy w furazerce i mundurze, dzisiaj w skórzanej kurtce i kaszkiecie, z czystą, a nie zasypaną pyłem twarzą, ale to był on! Portugalczyk! Był kiedyś w GL, później w AL, a teraz? Nie miał na sobie munduru, a zatem nie wojsko. Bezpieka czy milicja, a może partyjny sekretarz, kto wie, może i minister? Kierowca był po wojskowemu, ale Wicek nie zauważył, czy miał biało-czerwoną opaskę milicjanta. Nieważne. Ważne, że Portu-

galczyk, jeśli pracował w bezpiece lub milicji, powinien doskonale wiedzieć, że były komisarz policji Wincenty Rybski jest poszukiwany. Był pewien, że już się nigdy nie spotkają, bo Portugalczyka widział ostatnim razem przy Freta, obok sztabu AL, a przecież parę dni później padła tam bomba, sądził więc, że ten stary, przedwojenny komunista musiał tam być. Ale najwidoczniej był gdzie indziej, a teraz mknął gazikiem przez Targową.

Ich spojrzenia się skrzyżowały, Rybski nie czekał, co będzie dalej, odwrócił się i szybkim krokiem skierował się do sklepu. Szybko, ale nie biegiem, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Na próżno, bo Portugalczykowi też wystarczyła chwila, by go rozpoznać. I to mimo zupełnie innego wyglądu niż wtedy na Starówce. Coś krzyknął, później zapiszczały hamulce, rozległ się klakson, wrzaski po rusku, a później pisk opon i wycie silnika. Musieli zawrócić, miał więc przewagę. Znał ten sklep, przebiegł przez zaplecze i wyskoczył na podwórko, zastanawiał się co dalej, czy przebijać się do Brzeskiej, czy do bazaru. Na bazarze będą milicjanci i tajniacy, bo zawsze się kręcili, ale nie znają jego rysopisu, nie muszą nawet wiedzieć, że trwa pościg. Nagle rozległy się gwizdki, a więc wiedzą, wiedzą, że milicja i ubecja ścigają, a ktoś ucieka, tylko nie wiadomo kto! Było zimno, ale musiał się pozbyć płaszcza, ściągnął go w biegu, na podwórku stał kosz na śmieci, wrzuci go tam, ubrany w samą marynarkę nie będzie budził sensacji, ludzie wyskakiwali czasem do sklepu czy na bazar lżej ubrani, żeby biegusiem załatwić sprawunki. Ważne, że nie będzie uciekinierem w płaszczu, bo takiego wskazał swoim ludziom Portugalczyk. Przecież żaden z nich nie zdążył go zauważyć, to niemożliwe, a jeśli nawet, to tylko z tyłu i każdy z nich mógł zapamiętać tylko płaszcz. I kapelusz! Jego też się pozbędzie! Ale co dalej, co robi Portugalczyk, a raczej jak on jako gliniarz pokierowałby zaimprovizowaną obławą?

\*\*\*

Podchorąży Zdziarski miał swój plan, o którym w organizacji nie wiedzieli, to była akcja na własną rękę, którą uznano by nie tylko za niesubordynację, lecz także samosąd. Nie przejmował się, tylko robił swoje, pracował nad zdrajcą z AK, kapralem Białym. Miał jego rozkład dnia w małym palcu i wysledził, że mieszka na Otwockiej, tuż przy fabryczce. Tego dnia zdecydował się, że to zrobi. Zrobi, ale nie dzisiaj, bo dzisiaj czekało go pierwsze konspiracyjne spotkanie, na którym miał poznać swojego dowódcę. Był z Zamojszczyzny, studiował we Lwowie, więc zanim go sprawdzili, trochę to trwało, ale teraz ma dołączyć do większej grupy. Wtedy zaproponuje zdjęcie Białego! Albo lepiej nie, najpierw się zorientuje, czy takie akcje są organizowane, delikatnie to wybada, bo jak nie, to zrobi to sam, na własną rękę. Czy da radę? Przyjaciel. Kolega ze szkoły powszechnej. Byli w tym samym oddziale, razem walczyli i właśnie dlatego go załatwi, bo to zdrajca, a on, podchorąży Gustaw uważał, że z komunistami i zdrajcami trzeba ostro.

Stanął po drugiej stronie ulicy i patrzył. Czekał. Ale nie wytrzymał i wszedł do kościoła, a tam Biały klęczał przy konfesjonale. *No dobrze, toś się wypowiedział przed śmiercią, zdrajco* – pomyślał Zdziarski i w ten sposób niespodziewanie dla siebie podjął decyzję, że nie będzie nikogo o nic pytać. Załatwi go, bo ileż to roboty, a później, oczywiście po sprawdzeniu, czy nikt go nie śledzi, pójdzie na konspiracyjne spotkanie. Ścisnął nóż, który miał w kieszeni, wyszedł z bazyliki i przyczał się z lewej strony od wyjścia. Biały, wychodząc ze świątyni, skreśli w prawo, wtedy zajdzie go od tyłu i załatwi tak, jak się w partyzantce likwidowało chachołów i szkopów.

\*\*\*

Portugalczyk miał wiele spraw na głowie, ale każdego dnia myślał o Rybskim. Czy żyje, a jeśli żyje, to gdzie się ukrywa, czy jest

na lewym, a może na prawym brzegu Wisły, a może nie ma go w Warszawie? Były przecież prawdziwe dzikie pola, poniemieckie tereny, na które wkraczały sowieckie i polskie wojska, a tam... Tam to nawet akowcy potrafili opanować komisariaty milicji, ale przecież robili to także na terenach przedwrześniowej Polski. Akowców były dziesiątki tysięcy, więc byli wszędzie – w wojsku, w milicji, administracji. Wszystkich nie posadzą, bo z rodzinami i współpracownikami to będzie z milion ludzi! Przecież nawet radzieccy towarzysze nie wyeliminowali wszystkich białogwardzistów, co więcej, stary carski wywiad zasilił sowieckie służby! Ale Rybski w żadne szeregi już nie wstąpi, Kolicki był ostatnim, który mu złożył taką propozycję, innych nie będzie! Rybski uratował mu życie, a potem on Rybskiemu, są kwita, więc musi go upolować. Żadnego sądu, procesu, zamieszania. Z pewnością Rybski był tego świadomy i na jego miejscu zrobiłby tak samo, ale pewnie nie będą mieli okazji o tym porozmawiać.

I w tym momencie zobaczył go! Ich spojrzenia się skrzyżowały, on też go rozpoznał! On jechał willysem, a Rybski przechodził przez Targową, zaskoczyło go to do tego stopnia, że zamiast dać rozkaz kierowcy, krzyknął do niego:

– Rybski! Rybski stój!

Kierowca zwolnił, ale jechał dalej, nie wiedząc, o co chodzi.

– Hamuj, Witczak!

Kierowca nacisnął na hamulec i auto stanęło pośrodku ulicy, a jadąca za nim ciężarówka z krasnoarmiejcami o mało nie wpakowała im się w tył. Posypały się piętrowe, wielokrotnie złożone, soczyste przekleństwa. Najczęściej powtarzały się słowa „bładź”, „suka” i „swołocz”. Portugalczyk chciał wyskoczyć z auta, ale zrozumiał swój błąd.

– Zawracaj i za nim!

– Za kim? – zapytał kierowca.

– Do tej bramy. – Wskazał na sklep w kamienicy obok bazaru. Rybski wskoczył do środka, a Portugalczyk zdał sobie sprawę, że komenda „za nim” nic nie mówiła jego ludziom. – Jest w jasnym płaszczu, średniego wzrostu, w czarnym kapeluszu, idę z Kowalczykiem, a wy na Brzeską, po przeciwnej stronie!

Willys wjechał na chodnik, rozpraszając przechodniów, żołnierza Portugalczyk wysłał bramą, sam wskoczył do sklepu, spotkali się na dziedzińcu. Pusto, tylko jakieś dzieciaki, ale przez bramę w oficynie zobaczył Rybskiego. Był daleko, ale uciekinier lekko utykał, dojdą go, muszą! Ruszył biegiem razem z Kowalczykiem.

– Daj w powietrze!

Poszła seria. Rybski stanął i podniósł ręce do góry. Miał go rąbnąć w trakcie ucieczki, nie przewidział, że się podda, tego nie było w planie, więc jednak porozmawiają! Podbiegł do niego, złapał za ramiona i obrócił go. Rybski miał o paręnaście lat więcej, długą brodę i wcale nie był do siebie podobny.

\*\*\*

Rybski zobaczył, że na podwórzu stoi smętny pijany dziad trzymający pustą flaszkę, jeden z tych, którzy podchodzą i mówią „niech pan wesprze bezrobotnego, panie inżynierze”. Postanowił go wesprzeć bez żadnych próśb, wsadził mu w dłoń zwitek banknotów, ściągnął z niego dziurawe palto, dał mu swój płaszcz oraz kapelusz i zakomenderował:

– Idź na Brzeską albo na bazar i nie wracaj bez flaszki!

Pomógł mu włożyć płaszcz i pchnął go w kierunku oficyny, tamten coś zabełkotał, ocenił ilość floty, która zapewniała picie, i to nie solo, ale w kompanii, przez parę dobrych dni. Pijak parł przed siebie z mocnym postanowieniem kupna flaszki, ale bez zamiaru powrotu do frajera, który tak hojnie go uposażył.

Oddalał się najszybciej, jak mógł, na ile pozwalała mu kulawa noga, Rybski zaś wskoczył do klatki schodowej, pokazując dzieciakom palcem, by były cicho, i szepnął:

– Psy idą. – Mrugnął okiem.

Ledwie wszedł do sieni, usłyszał tupot podkutych butów, a w chwilę później serię. Wtedy ruszył w kierunku Targowej, po minucie kroczył już w tłumie prażan, był ocalony!

\*\*\*

Podchorąży Zdziarski siedział przywiązany do krzesła i pewnie gdyby nie te więzy, to osunąłby się na podłogę. Mały, ale byk, tak mówili o Białym. Silny i zdecydowany, dobry materiał na ubeka, ale niedaleko od ubecji wylądował, bo w milicji. Podporucznik, kurwa jego mać! Bez matury! Ale przecież nie matura, lecz chęć szczerą robi z ciebie oficera. Musiał mieć chęci, musiał być oddany, musiał być niezłą kurwą, skoro z AK błyskawicznie wprowadził się na nowe, oficerskie salony. Od kiedy z nimi był, ilu sypnął, czemu go nie zaprowadził na komisariat, tylko trzymał tu, w jakimś mieszkaniu? A przede wszystkim czemu on nie pociągnął go nożem? Kiedy Biały się wypowiedział, wyszedł z kościoła i zaczął schodzić po wielkich schodach bazyliki, podchorąży doskoczył z nożem, ale Biały jak jakiś nie-toperz, nie widząc, wyczuł go, odwrócił się, wykręcił rękę z nożem, a później zadał kilka nokautujących ciosów. Jeszcze mu się od nich kręciło w głowie. Od tych ciosów i tej szmaty, którą zakneblował mu usta. Biały podszedł do niego, chwycił palcami, które śmierdziały tytoniem, za koniuszek szmaty i spojrzał pytająco.

– Wyciągnę ją, żeby podchorąży Gustaw mógł normalnie oddychać – powiedział z troską i ciepłym, przyjacielskim głosem, ale w chwilę później dodał: – Tylko bez popisów, bo ci przyjebię, zrozumiałeś, kolego Zdziarski?

Pierwsza część była partyzancka i oficjalna zarazem, bo z szacunkiem dla szarży, a druga przypominała, że las to był, ale teraz są w Warszawie, gdzie panicz Zdziarski jest jeńcem milicjanta Leszczyńskiego. Biały wyciągnął knebel i podsunął kubek z wodą, podchorąży Gustaw łąpczywie wypił i popatrzył z kpiącym, panickim uśmiechem.

– Miałeś szczęście, Biały, już cię prawie miałem!

– No prawie, prawie... – Teraz Biały kpił, i to na całego. – Żadne szczęście, eleganciku z bożej łaski! Trzeba upaść na głowę, żeby paradować w oficerkach, panny na nie wyrywasz? Pewnie tak, ale zwracasz uwagę, milicja lubi takich legitymować, a UB przesłuchiwać. A i skradać się trudno. Ostatnie kroki zrobiłeś szybko, z przytupem, więc usłyszałem podkute podešwy i to tyle na temat szczęścia. Kapujesz? – zakończył po warszawsku, jakby chciał pokazać, że się tu zagnieździł i to on jest tu paniczem, a nie Gustaw.

– Sprzedałeś się, gnoju! – wycedził.

– Gustaw... – odpowiedział podchorążemu z politowaniem w głosie.

– Tak, towarzyszu Biały! – Podchorąży hardo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Daj spokój! – Biały poklepał go po ramieniu.

– Bo co, wezwiesz kolegów?

– Gdybym nie znał twojej matki, tobym powiedział „zamknij się, skurwysynu”, ale to dobra kobieta, szanuję ją, i to bardzo.

– W przeciwieństwie do twojej, bo wychowała zdrajcę!

To było o krok za daleko. Gustaw albo zapomniał, albo specjalnie tak powiedział, bo matka Białego zginęła w 1942 roku w czasie niemieckiej wywózki. Pięść zawisała w powietrzu, ale nie poleciała na dół. Zamiast tego błysnął nóż, który Biały wyciągnął z kieszeni. Potnie go jego własnym nożem, nożem, którym

miał wykończyć zdrajcę. Biały zamiast poderżnąć gardło albo wbić ostrze w serce, wprawnymi ruchami rozciął więzy.

– A teraz posłuchaj mnie uważnie, bez żadnego niepotrzebnego dogadywania. Wysłuchasz?

Gustaw kiwnął głową, a Biały uciął kromkę chleba i postawił na stół butelkę wódki. Zanosilo się na długą rozmowę.

## **Warszawa, Praga, ulica Stalowa**

Jeżewski lubił herbatę i zawsze starał się dbać o to, by mieć jej pod dostatkiem, i to najlepszego sortu. Dziś też ją miał. Prawdziwą, angielską, aromatyczną, niepasującą do przydziałowego jedzenia na kartki, ale znakomicie uzupełniającą się z wykwintnymi produktami z bazarów. Jak ktoś mimo biedy, reformy walutowej i fatalnych zarobków miał pieniądze, to na Różycu, przy Stalowej albo na Marszałkowskiej mógł kupić dosłownie wszystko.

– Będę miał dla pana nowe zadanie – powiedział Jeżewski, nalewając herbatę. – Niestety, związane to będzie z przeprowadzką. Mamy jeszcze jedno miejsce, gdzie mogą być ukryte nasze dokumenty, więc sprawa jest delikatna. Będzie pan musiał się wyprowadzić z tej wygodnej kamienicy przy Złotej i przenieść się na Hożą, do kamienicy Sukertów, ale nie pod numer pierwszy, tylko pod jeden A. W tej zrujnowanej części jest mieszkanie, bardzo duże, ale przepołowione przez bombę. Ma pan tam miejsce w służbówce, za dziurawą kuchnią i przed urwaną klatką schodową. Będzie pan tam mieszkał, póki nie znajdzie pan skrytki, pełnej lub pustej. Zamurowane, przykryte tapetą. Cały ambaras polega na tym, że to jest na kompletnie zniszczonym piętrze, mam więc nadzieję, że nie ma pan lęku wysokości.



Rybski pokiwał głową, miał lęk wysokości, ale nic nie powiedział, tylko upił jak gdyby nigdy nic łyk herbaty.

– A jak się tam wprowadzę, moja legitymacja policji państwowej już nic nie znaczy, zresztą ją zgubiłem.

– Bardzo zabawne, wprost wyborne, panie komisarzu, ale zupełnie niepotrzebne. Czy ja nie jestem zorganizowany? Żołd, papiery, jak trzeba broń, zawsze wszystko jest zorganizowane – westchnął Jeżewski i podał Rybskiemu dokumenty. – Oto pański przydział na mieszkanie.

Rybski spojrział w papiery.

– Obywatel Rafał Santorski... Tak to się jeszcze nie nazywałem.

– Ale już się pan nazywa. Proszę, oto reszta dokumentów i życzę miłego mieszkania, spotykamy się za tydzień, panie komisarzu.

## **Warszawa, Praga, ulica Inżynierska**

Rozległo się pukanie, takie jak trzeba, we właściwym rytmie. Spojrzeli po sobie, bo brakowało jednej osoby, tego nowego, podchorążaka z Zamojszczyzny. Myśleli, że nie przyjdzie, bali się nawet, że miał wpadkę, bo do tej pory nikomu aż takie, półtoragodzinne, spóźnienia się nie zdarzały.

– Kto? – zapytała Sosenska, która była gospodynią spotkania.

– Ja na lekcję muzyki.

– Lekcje muzyki są tylko w poniedziałki.

– Ale ja nie na pianino, tylko na mandolinę.

Hasło się zgadzało, ale na wszelki wypadek zastosowali wszelkie środki bezpieczeństwa, jeden z chłopaków gwałtownie otworzył drzwi, a porucznik i kapral Ryś wycelowali broń. W drzwiach stał wysoki blondyn, który mimo mroźnej, zimowej

pogody i cienkiej, jesiennej kurtki był spocony, jakby dopiero co zszedł z bieżni. Efektu dopełniał ciężki oddech, który starał się uspokoić.

– Podchorąży Gustaw – przedstawił się lekko zmieszany, bo powitanie było dość niezwykle, a po opuszczeniu broni miał teraz wycelowanych w siebie kilka par oczu.

– To on, potwierdzam – powiedział jeden uczestników spotkania.

– Przepraszam, spóźniłem się, panie poruczniku – powiedział na chybił trafił w kierunku mężczyzny, którego wytypował na starszego stopniem. Oddech był już spokojniejszy, już nie jak po wyczerpującym biegu, ale po lekkim truchcie.

– Porozmawiamy o tym, ale w węższym gronie – powiedział młody mężczyzna. – Ja tu dowodzę, nasz czas minął, rozchodzicie się zgodnie z planem, a my zostajemy. – Wskazał podchorążemu krzesło.

Usiadł i czekał, aż się wszyscy rozejdą, wychodzili pojedynczo i parami w parominutowych odstępach. Kiedy za Sosną i jednym z chłopaków zamknęły się drzwi, zostali sami.

– Dlaczego się pan spóźnił? Wielkość miasta pana poraża? – wypalił porucznik, który nie był już w stanie tłumić irytacji.

– Ta uwaga była zbyt uczynna i niestosowna, wychowałem się w małej miejscowości, ale studiowałem we Lwowie!

– Może i moja uwaga była niestosowna, ale pańskie zachowanie niedopuszczalne!

– To zależy.

– Słucham?

– To zależy, panie poruczniku, jaki był powód mojego spóźnienia.

Porucznik pochodził z rodziny sympatyzującej z PPS-em i nie przepadał za ziemianami, a zwłaszcza za młodymi ziemianami,

którzy na studiach zasilali korporacje akademickie. *Jaśnie Pa-  
nicz Dupek herbu Psi Ogon* – pomyślał sobie o podchorążym, a  
potem zastanowił się, czy powiedzieć mu do wiwatu już teraz,  
czy poczekać, aż wytłumaczy się jakąś bzdurą.

– Słucham pana – powiedział z lekkim uśmiechem. – Proszę  
bardzo, bo jestem ciekaw, co stało na pańskiej drodze!

– Powiem panu, chociaż sędzę, że to sprawa dla kogoś o wyż-  
szej szarzy.

Porucznik pomyślał, że należy się temu prowincjonalnemu  
dupkowi jakaś fachowa lekcja boksu, ale dał sobie spokój, wy-  
słucha do końca. Podchorąży zaczął mówić, a porucznik słuchał  
tego z coraz większym zdziwieniem, przerażeniem i zacieka-  
wieniem.

## **Warszawa, ulica Hoża 1 A**

Dopiero przed samą bramą skojarzył, że zna ten adres. Przywo-  
ływał nie najlepsze wspomnienia, bo Wicek miał tu trochę kło-  
potów. To było w czasie powstania, przez te parę dni, kiedy szu-  
kali z Zygą szpicli, których im wystawił jeden folksdojcz. Trafił  
wtedy do tej kamienicy i kiedy się zorientował, że karmią tu  
wojsko, to wyjął opaskę, którą dostał w sztabie wraz z przepust-  
kami. Stanął w kolejce po zupe, wziął porcję i usiadł jak inni  
przy prowizorycznym stole z cegieł i desek. Kiedy kończył, zo-  
baczył, jak w jego kierunku zbliżała się grupa wojskowych z  
żółtymi opaskami na rękach. To było oznaczenie powstańczej  
żandarmerii, z którą szedł mocno podekscytowany cywil. By na-  
dążyć za młodszymi, podbiegał i prawie podskakiwał, cały czas  
coś tłumacząc. Wyprzedził ich i wskazał ręką na Rybskiego,  
przygotowali broń, po czym szybko ją opuścili, po tym jak Ryb-  
ski pokazał swoje dokumenty. Dowódca żandarmów zaśmiał  
się, salutując w jego stronę i tłumacząc cywilowi:

– To nasz człowiek, panie komendancie.

– Wasz... – powiedział ze smutkiem w głosie komendant kamienicy Ignacy Wojciechowski.

Bardzo wnikliwy i pilny, bardzo nieufny był ten komendant, wolałby go nie spotykać, bo mógłby go zdekonspirować. Znając swoje szczęście, pewnie otworzy mu właśnie Wojciechowski!

Niespodzianka, w drzwiach stał zupełnie ktoś inny, niski, łyśawy osobnik w kamizelce, z metrem krawieckim wiszącym na szyi.

– Jerzy Lason, krawiec męski – przedstawił się, zaglądając w dokumenty. – No wchodź pan, jak mus, to mus, ale przez to, że się pan tu sprowadziłeś, to luźniej nie będzie.

– Może się zrobi luźniej, ale nie od razu! Mariański, Lesław Mariański, inżynier budownictwa – przedstawił się dziarski mężczyzna w średnim wieku, który musiał przyjść chwilę przed Rybskim.

– A to jakim cudem? Ktoś się ma zamiar przenieść na tamten świat? – zarzął Lason. – Na tę intencję będziemy pić, panie inżynierze? – Krawiec wypatrzył flaszkę, którą wyciągnął z teczki inżynier.

– Dostałem pracę! – powiedział fundator wódki. – W zawodzie! – dodał z dumą. – To na tę okoliczność ten skromny zakup, choć wypadaloby koniakiem!

– Daj pan spokój! – Lason machnął ręką. – Po koniaku mnie się odbija, zgagę mam, a wódka czysta, przezroczysta, zdrowa i kaloryczna. Cukier krzepi, wódka lepiej! – zaśmiał się i szybko ustawił na stole naczynia nadające się do picia wódki. – Kieliszki dwa, z różnych parafii, kubek, filiżanka, a jeszcze ktoś wparuje, to słoik obtoknę! Bida straszna, ale kultura musi być, z flaszki ciągnąć nie będziemy. – Lason był w swoim żywiole. – Szwagier! Ej, Tolek, zapodaj ten kawałek kielbasy, co go dzisiaj przywiozłeś. Nie bądź kutwa, okazja jest!

Z korytarza wyłoniła się tykowata postać. Szwagier łyknął okiem na przybyszów i butelkę, po czym udał się na swój kraniec mieszkania, jakby szedł za konduktem.

– Mówi pan, panie inżynierze, że w zawodzie, a gdzie, jeśli to nie tajemnica państwowa, ta robota?

– W BOS-iu – powiedział z dumą inżynier.

– O bosiu... – zaśmiał się Lasoń. – To znaczy tak detalicznie gdzie? Bo tak z nazwy to jakby w kurii biskupiej, no bo pan to raczej z tych wziętych fachowców, więc nie na byle jakiej parafii, prawda?

– W BOS-iu, to znaczy w BOS, Biurze Odbudowy Stolicy przy Chocimskiej – wyjaśnił inżynier.

– No to jednak niedaleko od kurii – strapił się Lasoń. – Robota taka więcej sakralno-modlitewna...

– Czemu? – zdziwił się inżynier.

– Panie, a jak to wszystko odbudować, kim i kiedy! Już się mówi, że mają stolicę do miasta Łodzi przeflancować! Ten skrót, bez urazy, panie inżynierze, to on oznacza Boże Odbuduj Stolicę! Więc nic z tego nie będzie, Bóg skrewił w trzydziestym dziewiątym i konsekwentnie wyraża swoje dezęteresmą!

– Jurek! – krzyknęła pani Lasoniowa. – Nie bluźnij! Gdyby Boga nie było, tobyśmy tej wojny nie przeżyli!

– No to pod Bożę, co nas ocaliła, i posadę pana inżyniera, a szanowny pan nowy lokator też się pewnie napije!

Rybski pomyślał, że Lasoń najwyraźniej nie boi się ani Boga, ani żony.

Inżynier się uśmiechnął i wyciągnął z teczki bochenek chleba.

– Dzisiejsza wypłata – wyjaśnił.

– To jedz pan! – zaśmiał się Lasoń, po czym gwizdnął na palcach. – E, szwagier, ty się z tą kielbasą wleciesz jak Niemiec spod Stalingradu!

– Nie trzeba, ja już jadłem, wydali nam dzisiaj po talerzu gorącej zupy i... talon na buty!

– Talon na buty! – Lason pokręcił głową z uznaniem. – Toś pan hrabia, a nie inżynier!

– I tak, i nie, bo jako że mam najgorsze buty, to mnie rzucili do projektów, a koledzy, co mają buty w porządku, poszli szacować straty.

– No to pod te nowe buty! – zaproponował szwagier Lasonia – To pan teraz leguralny hrabia będziesz.

– W walonkach? Bo pewnie walonki dostanę, żebym mógł prowadzić inwentaryzację.

– Ale ja o mieszkaniu, bo pan inżynier mówi, że jakieś widoki na lokal będą.

– Na domek!

– No opowiadasz pan! – zdumiał się Lason.

– Ponad czterysta domków drewnianych jedzie do Warszawy. Rosjanie nam dają, z fińskich reparacji wojennych!

– Jezus Maria, to tak będzie Warszawa wyglądać – jęknęła Lasoniowa. – Chałupy w mieście staną?

– Nie wzywaj imienia Pana Boga twego nadaremnie, kobieto! – ofuknął ją mąż. – Szanowni rodzice z wioski spod Grójca, tak jak i szwagier tu obecny, a ona sceny robi. A teraz na drugą nóżkę! – zarządził Lason.

Pierwszy wieczór pod nowym adresem był dla Rybskiego miłym zaskoczeniem, a jeszcze miłszym pojawienie się pani Alicji, kolejnej mieszkanki rozbitego bombą mieszkania przy Hożej 1 A, wtedy jednak coś go podkusiło i zapytał:

– Przepraszam, a czy wciąż tu mieszka pan Ignacy Wojciechowski? Był komendantem kamienicy w czasie powstania.

– Znamy, znamy – odpowiedział Lason. – Ale pan Ignacy już tu nie mieszka.

*I chwała Bogu!* – pomyślał Rybski.

– Przeprowadził się?

– Tak, niedaleko stąd. Jak to pański znajomy, to możesz pan go odwiedzić, ma kwaterę na placu Trzech Krzyży. Jak pan chcesz, to pana jutro zaprowadzę.

Jerzy Lasoń rozlał kolejkę, a Rybskiemu zrobiło się głupio, że się tak w duchu ucieszył z przeprowadzki Wojciechowskiego.

## **Warszawa, kasyno wojskowe**

Leszek Pec miał nadzieję, że „Odrodzenie”, Czytelnik i cała literacka gromadka Borejszy przeniosą się do Warszawy, a tymczasem wylądowali w Krakowie, za to w stolicy był Sawicki. Zaciągnął go na wódkę do wojskowego kasyna, bo tam czekał na niego przyjaciel z czasów przedwojennej działalności kapitan Portugalczyk. Tak o nim mówił Sawicki i zachwalał jego bohaterstwo podczas wojny domowej w Hiszpanii, partyzanckie przygody w Polsce i udział w powstaniu.

– Jedni są od strzelania, a drudzy od pisania – śmiał się, klepiąc Leszka po karku. – Różne są drogi budowy naszej ojczyzny! A ty, Leszek, też zuch, nie byle kto, bo urzędnik, chłopak jak malowany, lewa ręka samego ministra!

– Chyba prawa? – zdziwił się Portugalczyk.

– Lewa, bo prawą minister, jak każdy normalny człowiek, sobie konia wali – zarechotał Sawicki.

Było to rubaszne, koszarowe, ale w końcu siedzieli w kasynie wojskowym, a on jeden nigdy nie nosił munduru, był tu tylko gościem, więc też się śmiał i też pił wódkę jak oni, i dał się poklepywać Sawickiemu. Nie protestował, nie tylko ze strachu, lecz także po prostu się do tego przyzwyczaił. W końcu nawet to polubił, bo nie ma co ukrywać – był pod wpływem zwierzęcego

magnetyzmu Sawickiego. W końcu to dzięki tym wszystkim wódeczkom, spotkaniom wiedział, co naprawdę się dzieje, znał plotki, zagrożenia i układ sił.

– Ty ze mną dobrze żyj, to nic ci się nie stanie! – powtarzał Sawicki i Leszek czasem myślał, że to dobra rada, a czasem, że groźba.

Tego wieczoru popili naprawdę tego i w końcu najpierw jego głowa zaczęła opadać, a później, nie wiadomo kiedy, ułożył się na stoliku i zasnął. Obudziła go rozmowa, chciał dalej spać, ale zorientował się, że to o nim.

– To fajny chłopak, ale zupełnie niezorientowany. – Sawicki był wyraźnie rozbawiony. – Wie, jak lepic artystów, jest w tym dobry jak sam Borejsza, ale to idealista bez przeszkolenia i doświadczenia, brak u naszego Leszka strategicznego myślenia, ze wszystkim idzie na żywioł. – Nie przestawał się śmiać, aż nagle spoważniał. – Naiwny, poczciwy, ale może przez to autentyczny, taki jak rubelek w złocie, którego można obejrzyć z każdej strony i ugryźć, a on dalej będzie prawdziwy! Szczerozłoty, niepokalany! – Sawicki poklepał się po udach i pokręcił głową. – Wiesz, że on naprawdę nie wie, że ta jego SD to pepeerowska agenda? – Śmiał się, nalewając wódkę do szklanek. – Rzymowski, jego szef, i ten Chwistek, co zmarł, ten artysta-matematyk, to tylko poputcziki! Poputcziki w wianuszku towarzyszy z PPR: Wende, Chajn, Rabanowski nie dadzą się wykoleić temu pociągowi! Ale co ja ci będę opowiadał! Ty wszystko wiesz. Ale pewnie nawet ty nie wiesz, że Chajn dalej ma legitymację PPR i uczestniczy w naradach! W takich zamkniętych, takich więcej nieoficjalnych, ale bardzo ważnych. Towarzysz Chajn realizuje zadania partyjne w Stronnictwie.

– Nie inaczej, od początku, od przedwojnia staraliśmy się tam posyłać naszych ludzi, nie było cię w Polsce, w Hiszpanii się biłeś, to ci wyjaśnię, że najpierw Komintern...



– ...Komintern stworzył Front Ludowy, żebyśmy wchłonęli socjalistów. Jak mam nie wiedzieć, skoro o to chodziło w Hiszpanii!

Sawicki machnął ręką.

– Ja wiem, że wiesz, ale Hiszpania to Hiszpania, a w Polsce to jak Komintern rozwiązał KPP, to partyjni inteligenci podwiesili się pod Kluby Demokratyczne. Na przykład ten Borejsza, co robi teraz wielką karierę, major Borejsza – uśmiechnął się – kiedyś w KPP, później w Klubach Demokratycznych, a dzisiaj bezpartyjny towarzysz. No i rozwijamy tę działalność, my, znaczy się UB i partia, mamy wszędzie swoich informatorów i ogarniamy te niezależne, spontaniczne bałagany. Przejęliśmy ten klub zawiedzionych piłsudczyków, miękkich inteligentów i demokratycznych lekkoduchów. I wiesz, co ci powiem? Byczo jest! Czują się potrzebni, niezależni, mają swoją publikę, i jest wsio w pariadkie! Niech śnią, że jadą sobie wagonem podczepionym do własnej lokomotywy i do tego po własnych torach, no czasami po naszych, szerszych, radzieckich, tak żeby przyspieszyć, dla doraźnych celów, ale że jak trzeba, to sobie wajchą przełożą zwrotnicę i pojedą, jak będą chcieli. Gównno! Pojadą tam, dokąd będziemy chcieli, ich wagonik jest w naszym czerwonym eszelonie i jedzie tam, gdzie zechce tego PPR, a oni nigdy nie będą maszynistami tego składu, to poputczyki. Głowę ma słabą, paniczek, po ojcu piłsudczyku, zbuntowany mięczak, ale pożyteczny, bo on zaufanie budzi, mówią przy nim, zwierzają się i skarżą, a on to potem wszystko jak na spowiedzi! Aż notatnik puchnie – zaśmiał się Sawicki. – Miększon taki, ale lubię go, słabość mam do niego, *charoszyj malczik*, coś się jeszcze z niego ulepi.

*A więc to tak – pomyślał Pec. Tak to wszystko wygląda. Nie mógł zasnąć, więc udawał jeszcze z godzinę, aż Sawicki i Portugalczyk skończyli pić.*

## 21 marca 1945

### Kraków, Wielopole 1

Mówiono, że władze partyjne i państwowe będą w Łodzi, plotkowano, że to będzie nowa stolica, ale wygrała koncepcja, że Warszawa zostanie odbudowana. Wszystkie ministerstwa, cały rząd – bo teraz to już nie były resorty w PKWN, tylko ministerstwa w Rządzie Tymczasowym. Tak zdecydowano w ostatnim dniu 1944 roku, ale wielu wciąż mówiło PKWN. I Bezpieczeństwo cały czas jest resortem, a nie ministerstwem, bo prawie nikt inaczej o nich nie mówi.

A co z „Odrodzeniem”? W końcu zdecydowano – Przyboś, Kruczkowski, Putrament, Bieńkowski, Kuryluk i prezes Borejsza przenoszą się do Krakowa, a ona razem z nimi, choć już nie w „Odrodzeniu”, ale w „Dzienniku Polskim”. I tak trafiła do gmachu Pałacu Prasy na Wielopolu, gdzie przed wojną byli IKC i magnat prasowy Marian Dąbrowski. Mówią, że Borejsza ma takie same plany, że Czytelnik ma być równie mocny, co wydawnictwo Dąbrowskiego. Może i tak będzie.

Na razie czuła coś, co nie dane było jej przez ostatnie lata – bezpieczeństwo. Zapomniała o nim przez ostatnich pięć lat, które ją ciężko doświadczyły, niemal zmiażdżyły i odmieniły. W sierpniu 1939 roku szykowałą się na swoje dwudzieste dziewiąte urodziny, czuła się wciąż dziewczyną, bawiła się i cieszyła życiem majątnej dziedziczki. Teraz miała trzydzieści cztery lata, ale tyle tylko na papierze, bo w rzeczywistości znacznie więcej. Przeszła piekło, w którym straciła albo zgubiła wszystkich, których kochała. Czuła się starą, zmęczoną kobietą, którą ktoś przygarnął i dał jej szansę. Powoli odżywała, dowiadywała się, że jest komuś potrzebna, dochodziło do niej, że przeszła ze świata w świat, w jakieś nowe stworzenie. Telefonował do niej ten sympatyczny urzędnik z ministerstwa, Pec, który anonso-

wał się z wizytą. Nie przyjeżdżał oczywiście specjalnie dla niej, tylko w służbowych sprawach, ale miło się jej zrobiło, że pamiętał.

## **Warszawa, ulica Hoża 1 A**

Rybski starał się zostawać w mieszkaniu sam i kiedy nikt nie patrzył, obstukiwał ściany i robił wycieczki do sąsiednich lokali. Nie było to łatwe, bo żyli jak na bocianim gnieździe, do tego na kupie i rzadko kiedy się zdarzało, by nikt mu nie przeszkadzał. Po pięć, dziesięć minut – tyle miały jego szychty, bo zawsze ktoś siedział w mieszkaniu. W końcu były dwie gospodynie domowe i krawiec, który miał w mieszkaniu swój warsztat. Najmniej czasu spędzali przy Hożej inżynier i pani Ala, która, jak się przekonał kolejnego wieczoru, miała bardzo daleko do pracy. Ściemniało się, a jej jeszcze nie było.

– Może wyjdę po panią Alę, z której strony będzie szła? – zaoferował się Rybski.

– Od Powiśla, przez Ludną i Książęcą chyba, ale lepiej, szanowny panie, się po ciemku nie plątać, bo jeszcze pan usłyszy „kup pan cegłę” – zaśmiał się szwagier Lasonia, Żmudziński.

Rybski wiedział, co to znaczy: po zmroku w odludnych miejscach wychodził z ruin albo krzaków typ, który trzymał w ręku cegłę i grzecznie proponował: kup pan cegłę! Kto nie kupił albo się targował, a ceną był portfel, kończył z rozbitą głową. Po każdej nocy przybywało trupów.

– Wyjdę jej naprzeciw, bo to chyba ten czas. – Rybski spojrział na zegarek i wstał od stołu. – Pójdzie któryś z panów ze mną?

Inżynier też jeszcze nie wrócił, ale miał z pracy niedaleko, bo z Mokotowskiej, Lason wciąż szył, więc wychodziło na to, że może liczyć tylko na Żmudzińskiego.

– Panie, daj pan spokój, mnie lumbago męczy. – Żmudziński zrobił zboląłą minę.

– A ja myślałem, że pana po szwabskiej kuli rwie.

Rybski chciał być złośliwy, ale Żmudziński podszedł do jego słów na poważnie.

– Plecy mię bolą, plecy, panie kochany. – Poglądził się po okolicach nerek, ostrożnie, jakby przed chwilą go ktoś wybatożył. – Odłamkiem to ja o tu, popatrz pan, o tu dostałem! – Podwinął koszulę i zaprezentował bliznę, jakich każdy chłopak uczący się jeździć na rowerze i grający w piłkę ma pełno na kolanach, łokciach i piszczelach. – Pierdyknęło tak, że myślałem, że już po mnie! – Pokręcił głową, patrząc z troską na bliznę.

– Rozumiem... – Rybski powstrzymał się od mocniejszego komentarza. Wstał, zdjął z gwoździa kapotę i rozejrzał się po pomieszczeniu. Jego wzrok padł na tłuczek do mięsa. Podszedł do parapetu, który pełnił rolę blatu kuchennego, i wziął narzędzie w rękę. Zważył w dłoni, jakby był ułanem, który ma wybrać szablę do szarży. Leżał dobrze, solidny, choć mógłby mieć grubszy uchwyt. Jeszcze lepszy byłby rewolwer, ale na bezrybiu i rak ryba.

– Co pan robi? – zainteresował się szwagier Lasonia.

– Przymierzam się do klepania kotletów, panie Żmudziński.

– Panie, to tłuczek żony jest! – zaprotestował znad maszyny do szycia Lasoń.

– Niech pana o to głowa nie boli – powiedział Rybski, chowając tłuczek do kieszeni. Okręcił się szalikiem, wcisnął na głowę kapelusz i wyszedł.

– Ale nie zgub pan, bo to jeszcze po teściowej!

Rybski machnął ręką i wyszedł. Dwadzieścia minut później był już na Powiślu, tam przez gruzy miała iść od rzeki pani Ala. Zrobiło się zupełnie ciemno i nawet on poczuł się niepewnie.

– Kup pan cegłę... – jak na zawołanie usłyszał dość piskliwy, niepasujący do takiej sytuacji głos.

Oferent był szczerowatym łebkiem, góra piętnastoletnim, ale pozującym na starszego niż jest. Żuł zapałkę i czuł się silny, bo na pewno w ruinach czaili się jego koledzy.

– Mogę ci dać cukierka, tylko na twoją własną odpowiedzialność. Słodki, na cukrze, zęby niszczy, więc lepiej nie mów matce.

– Matkę mnie Niemcy zabili! – Chłopak wypluł zapałkę. Chyba nie żartował, bo oczy mu płonęły, ale Rybski nie miał zamiaru żałować go bardziej, niż na to zasługiwał, tysiące chłopaków straciło matki, ale nie każdy musi być zbrojcem.

– No to bardzo mi przykro, w ramach przeprosin dostaniesz dwa.

– Ty się, łobuzie, z sieroty nie nabijaj! – Typ podobny do szczurka, ale starszy i większy, wyszedł z mroku. – Kupuj cegłę i już cię nie ma!

– Mam własną, więc nie jestem zainteresowany – powiedział Rybski, schylając się po kawałek cegły, leżący na stercie gruzu. – Pazerny nie jestem, pół cegły mi wystarczy.

– To ty taki, kurwa twoja mać, jesteś? Ty pyskata franco!

W rękę starszego bandziora błysnął nóż, a młodszy szykował się do rzutu cegłą. Zrobiło się groźnie, ale doświadczenie uczyło Rybskiego, że to, co się wie i co widać, nie jest jeszcze tak złe, jak to, co niespodziewanie może spaść z zupełnie innej strony. Odwrócił się, jakby miał uciekać, ale tak naprawdę zrobił zwrot, żeby zaatakować. Był pewien, że tych dwóch to tylko pierwszy rzut, że na pewno jest jeszcze ktoś, kto albo udaremni ucieczkę, albo zada cios w plecy, jeśli napadnięty będzie chciał stawiać opór. Tak było, to znaczy było jeszcze gorzej, niż się spodziewał. Naprzeciwko siebie miał dwóch typów, z których jeden trzymał w ręku pistolet, a drugi gazrurkę. To jednak bandyta z bronią

był bardziej zaskoczony, kiedy Rybski uderzył tłuczkiem w dłoń, która trzymała pistolet. Bandzior się wydarł, wypuścił pistolet i skulił się, wtedy dostał w głowę połówką cegły. Teraz przyszła pora na drugiego, który wciąż jeszcze był w szoku po tym, co spotkało jego kumpla. Nim zdążył wykonać pchnięcie, cios tłuczka trafił go w nadgarstek. Rozległ się trzask, tego nie trzeba było poprawiać, przynajmniej na razie. Kolejny ruch rozpiął Rybskiemu większy ze szczurków: bandzior w wełnianej czapce rzucił się po leżący na ziemi pistolet. Nie zdążył go podnieść, patrząc spode łba, zobaczył tylko, jak tłuczek zbliża się do jego głowy. I był to ostatni obraz, który zobaczył w życiu. Tłuczek po teściowej Lasonia rozwalil mu czaszkę, trysnęła krew. W sekundę zrobiło się pusto. Szczeniak i ten z pogruchotanym nadgarstkiem zwiali, został zamroczony cegłą posiadacz pistoletu i ten, któremu nic już nie pomoże. Rybski się rozejrzał tak na wszelki wypadek, czy kiedy się schyli po broń, nie będzie jakiejś niespodzianki. Wziął pistolet, niemieckiego walthera, i wtedy usłyszał:

– Panie Rafale! Czy to pan?

Kilkanaście metrów od poboju stała kobieta.

– Tak, to ja. – Grzecznie uchylił kapelusza. – Wyszedłem po panią, pani Alicjo!

– Mój Boże, tyle o tym słyszałam, ale... wie pan, całą okupację przeżyłam bez draśnięcia, ja... – mimo że byli na pustkowiu, rozejrzała się na boki – ja byłam kurierką, łączniczką, a w czasie powstania sanitariuszką. Niemcy o mało nas nie rozstrzelali, bombardowanie było, szpital ocalał, ale bomba trafiła dwa domy dalej. Myślałam, że już wszystko, co złe, przeżyłam, a to, co się stało... Ja wszystko widziałam, gdyby nie pan...

– Drobiazg – powiedział Rybski, który rewidował nieboszczyka i nieprzytomnego. Z zadowoleniem stwierdził, że obaj mieli pieniądze, ale zmartwiło go, że ten od pistoletu nie miał

przy sobie ani dodatkowego magazynka, ani nabojów. Pistolet wsadził do kieszeni, podobnie jak sprężynowiec, który podniósł z ziemi, a banknoty podzielił między siebie i panią Alę.

– No nie wiem, nie wiem, panie Rafale. – Kobieta miała opory, żeby wziąć pieniądze.

– Pani się nie krępuje. Przecież jeśli ktoś ich znajdzie, to zabierze, milicja też zabierze.

– No tak...

– Córeczka potrzebuje, prawda?

– Tak, prawda.

– Idziemy, bo może to nie ostatni sprzedawcy cegieł na tej trasie.

– Gdzie pan służył? – zapytała po chwili milczenia.

– U hrabiego Krasickiego.

– Słucham?

– U hrabiego Krasickiego, jako stangret. – Zauważywszy bezgraniczne zdziwienie, które malowało się na twarzy pani Ali, dodał: – Najpierw jako stangret, a później, kiedy pan hrabia kupił automobil, byłem szoferem!

– Pan sobie ze mnie robi żarty. – Pani Ala spojrzała na Rybskiego.

– Gdzieżbym śmiał!

– Pan nie jest zwykłym kierowcą, widziałam, co pan z nimi zrobił!

– Byle kto nie mógł być kierowcą pana hrabiego, wymagania były bardzo wysokie!

– Panie Rafale!

– Mówię, co trzeba – powiedział ze spokojem Rybski. – Mówię to, co pani powinna o mnie wiedzieć.

Podobała mu się ta kobieta i tylko żałował, że za każdym razem, kiedy się do niego zwracała po imieniu, to miał wrażenie, jakby chodziło o kogoś innego. Wincenty Rybski wciąż nie mógł się przyzwyczaić do tego, że jest teraz Rafałem Santorskim.

Kiedy weszli do domu, inżynier już był, a Żmudziński powitał ich słowami:

– No i co, udane ksiuty byli?

– A o tłuczek szwagierki pan się nie pyta?

– No właśnie, a co z tłuczkiem? – zainteresowała się Helena Lason.

– Bardzo dobry, naprawdę prima sort narzędzie – powiedział, oddając tłuczek. – Całe szczęście, że się nie przydał, bo bym się wybrudził.

– Co pan opowiada?! – obruszyła się Lasoniowa.

– Jak pani ostatnio schabowe klepała, to pani nie umyła i we krwi jest – wyjaśnił Rybski.

– A to cholera jedna! – wykrzyknęła Lasoniowa, patrząc na Żmudzińskiego. – To twoja Irka klepała, a ona nigdy po sobie nie sprząta.

Helena Lason ruszyła w kierunku pokoju, który dzieliła z mężem, siostrą i szwagrem.

– No to będzie awanturka – podsumował zakończenie wieczoru Lason, na chwilę tylko odrywając wzrok od maszyny do szycia.

## **Gdzieś między Prusami Wschodnimi a Brandenburgią**

Przy każdym postoju – a było ich wiele, pociąg włókł się niemiłosiernie, nic dziwnego, przecież pierwszeństwo miały wojskowe eszelony – Müller palił się do wysiadania. Powstrzymy-



wał go, tłumacząc, że pociąg musi być w biegu, bo wtedy eskorta ich łatwiej wystrzela. Kłócili się o to, aż sprawy wziął w swoje ręce Minge.

– Müller, *Herr* Hauptsturmführer, plan będzie mój!

I zrobili, jak chciał, chociaż przeszły go ciarki po plecach, kiedy przedstawił swoją propozycję. Propozycję? Rozkaz! Rozkaz wydany przez podoficera, bo do takiego stopnia się przyznawał.

Kiedy stali pod semaforem przy jakimś lesie, Müller, który już wcześniej agitował innych żołnierzy, razem z kapralem lotnictwa i grupą ugadanych ludzi otworzyli drzwi. Musieli coś wcześniej poluzować, a poza tym użyli siły dziesiątek rąk, była to dobrze zaplanowana, przeprowadzona z niemiecką precyzją akcja. Zrobili to, gdy pociąg ruszał spod semafora, kiedy rozpędzał się, ale jego bieg nie był jeszcze zabójczy dla wyskakujących, a tych było kilkudziesięciu. Puścili się biegiem do lasu, strażnicy byli kompletnie zaskoczeni, minęło trochę czasu, zanim rozległy się pierwsze strzały karabinowe oraz terkot broni maszynowej.

Wtedy wraz z Mingem i Astem wyciągnęli z podłogi dwie deski, nad którymi pracowali przez niemal dwa dni, dziura była na tyle duża, że przecisnęli się przez nią w kolejności Minge, on, Ast i Müller. Ten do ostatniej chwili stał przy drzwiach, jakby był dowódcą drużyny spadochroniarzy, którą wysyła do skoku z samolotu. Tu było podobnie, skakali w czarną otchłań jak w nocne niebo, po czym ustalali kurs na las. Biegło ich kilkudziesięciu przy ryku dopingu jeńców z pozostałych wagonów i narastającym terkocie karabinów maszynowych. Z każdą sekundą ogień eskorty był coraz skuteczniejszy, bardziej morderczy. Wagon ze strażą także dokonał desantu, ruszyli w pogoń za zbiegami, których grupa topniała w gęstym ogniu jak śnieg w ostrym, wiosennym słońcu. Tymczasem oni czołgali się pod po-

ciągłem, który już wyhamował, po czym wyskoczyli na drugą stronę torów. Nikt się nią nie interesował, bo plan Mingego zakładał, że cała uwaga skupi się na uciekinierach, którzy wyskoczą z wagonu, tak jak chłopcy wyskakują ze szkolnych schodów, kiedy tylko rozlegnie się dzwonek na pauzę. Chłopców może co najwyżej skrzyczeć nauczyciel. Tu nikt na nikogo nie krzyczał, tu pruto, z czego się dało, wysyłając za zbiegami ołowianą chmurę.

Kiedy eskorta kończyła pościg i liczyła trupy oraz nielicznych uciekinierów, którym udało się uciec, ich piątka – bo dołączył do nich jeszcze żołnierz Wehrmachtu, szeregowiec ze Śląska nazwiskiem Kowol – dotarła do opuszczonych zabudowań. Byli w Rzeszy, poznali to po ceglanym domu, meblach i książkach. Ale gdzie? Prusy Wschodnie? Pomorze, Śląsk? A może już Brandenburgia? Jak daleko doszli Sowieci? Najważniejsze, że udało im się znaleźć cywilne ubrania. Nic wyszukanego, ale teraz będą mieli jakieś szanse.

## VII SKARB

26 marca 1945

**Warszawa, Krakowskie Przedmieście**

**W**arszawa należy do nich. Teraz to oni są jej bohaterami, herosami takimi jak kiedyś piłsudczycy z fraków<sup>[22]</sup>, Legionów i Polskiej Organizacji Wojskowej. Pomnik Peowiaka stał między Zachętą a pałacem Kronenberga i przedstawiał umierającego nagiego wojownika z mieczem w dłoni. Portugalczykowi się nawet podobał, ale Tuwimowi nie. Poeta napisał wierszyk kpiący z monumentu, który wykonał artysta Wittig:

*Przed „Zachętą” spoczywa biedny paralityk.  
Broń nas, Boże, od takich istot choro-wittyg.*

Oni też będą mieli swoje pomniki, a na razie mają piękny pogrzeb. Zwłoki sztabowców, którzy zginęli na Freta, odkopano i pochowano na Krakowskim Przedmieściu. Przybyły tłumy gapiów, czterech sowieckich generałów, ministrowie, premier Osóbka-Morawski, a przemawiał prezydent Bierut. On też rzucił pierwszą łopatę ziemi, później zrobili to także inni, Portugalczyk też sypnął, ale nie był pewien, czy były to trumny jego towarzyszy. Może były tam ich kości, a może nie, bo później Niemcy wszystko puścili z dymem. Nieważne, liczy się, że to ich miasto, w którym rządzą i są honorowani. Piękny symbol, grób alowców na Krakowskim Przedmieściu, na skwerze Hoovera. Pewnie niedługo utrzyma się ta nazwa, sam skwer też się zmieni, zgromadzeni goście mówili, że ma tu stanąć wielki pomnik. Na pewno większy od pomnika Peowiaka i dłużej postoi,

a później zrobi się porządek z Kościołem. Na razie jest szopka, w której bierze udział nie tylko towarzysz Bierut, lecz także jeden z najbardziej zaufanych ludzi Stalina, Bułganin. Kiedy oglądał zdjęcia zrobione w Lublinie piętnastego sierpnia, to śmiał się do rozpuku. Jak gdyby nigdy nic obchodzono z wielką pompą przedwojenne święto państwowe ustanowione na dwie arcyburżuazyjne okoliczności – rocznicę Bitwy Warszawskiej i Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Komedia z udziałem pełnomocnika rządu radzieckiego przy PKWN! Jedenastego listopada też świętowano i się modlono, a za miesiąc będzie się czciło trzeci maja. Szopka, naprawdę szopka, ale ciemny lud to kupi. I nie tylko ciemny lud, inteligencja też. Niech kupują, niech biorą i jedzą z tego wszyscy. Amen!

## **1 kwietnia 1945** **Warszawa, Hoża 1 A**

Huknęło raz i drugi. A później jeszcze raz, tak na początek, bo później kanonada jak co roku w Wielką Niedzielę, żeby Chrystus zmartwychwstał z pompą, żeby nikt czasem tego nie przegapił. Rybski pomyślał, że tej tradycji nie zmieniły ani bombardowania w 1939, ani płonące getto w czterdziestym trzecim, ani też powstanie, podczas którego fajerwerki trwały nieprzerwanie przez dwa miesiące. Ale wyrosło nowe pokolenie rezurekcyjnych artylerzystów, a poza tym jak tu nie strzelać, skoro jest czym? W gruzach wciąż poniewierała się broń, po piwnicach można było znaleźć granaty, a niewybuchów bomb i pocisków artyleryjskich *skolko ugodno!* W Skaryszaku podczas rozbrajania niewypałów nastąpiła eksplozja, dwóch chłopaków zginęło, czterech zostało ciężko rannych, a mimo to – a może właśnie dlatego, że wszystko było niebezpieczne, zakazane – każdy chło-

pak chciał się przyłączyć do kanonady. W końcu sam taki był. I Stasiak też.

Rybski miał nadzieję, że u niego przy Hożej wszyscy pójną na rezurekcję. Nie poszedł nikt, a potem współlokatorzy zaczęli się kręcić, ale oczywiście gdy wyszli Lasoniowie ze Żmudzińskimi, to zostali pani Ala i inżynier. Inżynier i inżynierowa oraz ich syn, bo rodzina dojechała do Mariańskiego. Teraz było jeszcze trudniej, ale warował, liczył na to, że mieszkanie opustoszeje. Inżynierostwo wyszli na spacer w Aleje, więc została już tylko pani Ala. Właśnie i ona opuściła mieszkanie, kiedy w drzwiach stanęli Lasoniowie i Żmudzińscy. Nie było ich trzy godziny, to pewnie szybko nie wyjdą. Rybski zarzucił płaszcz, zdjął z gwoźdździa kapelusz i wyszedł się przejść.

Nie wiedział, czemu tak wybrał, jak to się stało, że jak magnes przyciągał go kościół Świętego Aleksandra. Był zrujnowany, okaleczony, ale dolny kościół ocalał. Wicek zszedł i ogarnął go mrok, z którego rozległy się słowa modlitwy.

*Aniele Boży, strózu mój,  
Ty zawsze przy mnie stój,  
Rano, wieczór, we dnie, w nocy  
Bądź mi zawsze ku pomocy,  
Strzeż duszy, ciała mego  
Zaprowadź mnie do żywota wiecznego  
Amen!*

Chłopiec, który klęczał, zakończył modlitwę, przeżegnał się i wycofał do wyjścia. Rybski pomyślał, że nawet jeśli Boga nie było, to był jednak Anioł Stróż, i że ten jego Anioł Stróż to za nim nie stał, tylko biegał. Niezły był z niego atleta, bo nie dał mu się utopiść, zginąć od bandyckiej kuli, bomby albo miny. Nie zatłukli go na przesłuchaniu ani nie rozstrzelali, nie poczęstowali żadnym cukierkiem śmierci ani kieliszkiem nagłego zgonu.

Arcykozak był z tego Anioła Stróża, inni takich nie mieli, jego rodzina i reszta nieszczęśników, którą rozerwał czołg na Starówce, ich sąsiedzi, którzy wyparowali po wybuchu krowy, i ci, którzy zginęli pod bombami. Ci rozstrzelani w lasach i na publicznych egzekucjach, no i wysłani do obozów. Oni nie mieli takich Aniołów Stróżów, a zwłaszcza Żydzi mieli felernych, bo nie ocalili ich przed gettem, wywózką i śmiercią w obozach. Zatem nie było sprawiedliwości na tym świecie, a Bóg, albo też jego funkcjonariusz, nie miał dla wszystkich czasu i siły.

Ale ludzie dalej się modlili.

Modlili się, dziękując.

Ale za co?

Za zrównane z ziemią miasto, za śmierć setek tysięcy? Jakie to ocalenie?! To fuszerka, skoro w objawieniach było o morzu krwi. I Bóg stoi po stronie bolszewików? Bo nie przeszkodził Sowietom w zamknięciu tak na samą Wielkanoc szesnastu przywódców Polski podziemnej<sup>[23]</sup>. Bóg tak robi? Inaczej sobie wyobrażał Boga, na pewno nie jako frajera, który dobrotliwie odpuszcza grzechy największym skurwysynom, i nie jako kierownika Niebiańskiej Kasy Oszczędności, który za złoto i ofiary oferuje najlepsze odpusty, ale przede wszystkim nie wyobrażał go sobie jako mściwego króla, który zamiast rządzić każdego dnia, pochyla się nad światem i jeśli mu się coś nie podoba, wali błyskawicą.

Anioł Stróż chronił go przed kulami i nożami bandytów, szwabskimi oprawcami, bombami i wodą. Żyją on i inni, którzy przetrwali nie dlatego, że byli święci, tylko dlatego, że byli bezwzględni, szybcy, zdrowi i mieli kupę szczęścia. Czemu Bóg walił na oślep, dlaczego tylu grzeszników się uchowało, a dlaczego nie miały szczęścia dziewice, niemowlęta i pocziwiny?

Strasburger, który się interesował historią starożytną, i Jung, który znał się na wszystkim, dyskutowali kiedyś, że greccy i

rzymscy bogowie byli jak ludzie, tylko więcej mogli, więc kiedy się zdenerwowali, to byli okrutni. A przecież nasz jedyny Bóg był miłosierny, przynajmniej tak mówili księża, więc czemu właśnie tak? Dlatego nie wierzył już teraz w Boga, tylko w Anioła Stróża, bo musiał być jakiś powód, dla którego żył. Chyba że Bóg jednak istniał i patrzył na ziemię jak na film w kinematografie, a Rybski nie wiedzieć czemu był bohaterem, którego chciał oglądać. Nie był gwiazdą, ale trzymał się w tej historii tylko dlatego, że miał dobrego impresaria, czyli Anioła Stróża.

Tak to sobie wszystko wyjaśnił, stojąc w dolnym kościele na placu Trzech Krzyży. Poznał prawdę i nie poczuł przy tym nic szczególnego, na pewno nie doznał łaski nawrócenia, jakby to powiedział ksiądz. Miał już wyjść, ale dla porządku jeszcze się przeżegnał i wtedy ktoś dotknął jego ramienia. Spojrzał za siebie, w półmroku rozpoznał po sutannie i bielejącej koloratce, że to ksiądz.

– Może przystąpisz, synu, do spowiedzi? – zapytał kapłan. – Spowiedź święta, wyznanie grzechów oczyszcza, otworzą serce i duszę.

– Ja już jestem oczyszczony, proszę księdza – odpowiedział i chciał opuścić kryptę pod gruzowiskiem.

– Wróć tu, synu, wyspowiadaj się, bo trzeba wierzyć, bo dobrze jest wierzyć – łagodnym głosem pożegnał go ksiądz.

*Dobrze nie wierzyć w nic* – odpowiedział w myślach Rybski, a w oczy uderzyły go promienie słońca, znów był na powierzchni, która przypominała nie ziemię, tylko piekło, w którym ktoś próbował prowadzić doraźny remont. Dzisiaj Wielkanoc, więc krzątanina w gruzach ustała. Oddalał się od kościoła.

## **Wielkopolska, okolice Piły**

Rozdzwoniły się dzwony, Wielkanoc zastała ich w Wartheland<sup>[24]</sup>, a dokładnie w Schneidemühl. Czyli byli w Rzeszy, byłej Rzeszy, bo od spotkanych Niemców, którzy nie zdążyli albo nie chcieli się wycofać z wojskiem, dowiedzieli się, że to teraz Polska. Pełno było sowieckiego i polskiego wojska, pod którego osłoną Polacy instalowali swoją administrację.

Wszyscy byli w szoku, ale Minge jakby był na to przygotowany, twarz mu drgnęła, ale zaraz się opanował.

– Stało się tak, jak zapowiadano: Amerykanie, Żydzi i Sowietci dogadali się w Jałcie, Polska i Sowietci podzielą Prusy Wschodnie, Polacy zaś w całości dostaną Pomorze i wszystko do Odry.

– A Śląsk? – zapytał ten piąty, szeregowiec, Ślązak Wilhelm Kowol.

– Też polski, ale to tylko chwilowo, rozumiesz? – burknął Müller.

– Trzeba na niego uważać, to ze świeżego naboru, kiedy brano także polskich renegatów. Ostatnia kategoria z folklisty, na której, takie jest moje prywatne zdanie, nie mieli prawa się znaleźć. – Tak o Kowolu, kiedy nie było go z nimi, mówił Stubaf Minge. – Działa mi na nerwy, ale jest użyteczny, bo mówi po polsku.

Tak, tak! Sturmbannführer Minge, bo za plecami Kowola grali już w otwarte karty, podczas ucieczki powiedzieli trochę o sobie. Wszyscy służyli w Sicherheitsdienst – Służbie Bezpieczeństwa Reichsführera SS. Trafił, że byli esesmanami, ale okazało się, że przy okazji byli kimś więcej, bo pracowali w SD, która zajmowała się wywiadem i kontrwywiadem. Stubaf Minge był szefem ich komórki, Hauptsturmführer Ast jego prawą ręką, Hauptscharführer Müller ich gorylem. To tyle, ile zostało z kilkunastoosobowego zespołu, którego działalność była co najmniej tajna, tak jak nieprzenikniona dla ludzi z zewnątrz była cała SD. W którym departamencie mogli być? W krajowym, za-



granicznym, światopoglądowym? A może byli w Abwehrze, którą latem zeszłego roku, po aresztowaniu kontradmirała Canarisa wziął w końcu pod swoje skrzydła Reichsführer Himmler? Jeśli tak, to stawiałby na Wydział II – *Sabotage und Sonderraufgaben*<sup>[25]</sup>.

## **Niemcy Stalag XI A Altengrabow**

Pierwsze takie święta, ale chyba i ostatnie. Pierwsze w zupełnej niewoli, bo nawet w okupowanej Warszawie siedziało się jednak we własnym mieszkaniu. I tu, i tam było na kupie i biednie, to akurat nie stanowiło. Lisek pochodził z biednej rodziny, więc była ich czwórka w jednej izbie, a z jedzeniem to się wymiatało do ostatniego okruszka. Najbardziej doskwierały mu siedzenie na tyłku i nuda, brak ruchu był jak wyrok. W Warszawie potrafił puścić się nocą po ulicach, mając gdzieś godzinę policyjną, ale tutaj? Tutaj nie dało rady. Może by i spróbował, ale musiał przecież wrócić i odnaleźć oficerów, którzy zlecili mu zadanie. W obozie wszyscy czekali na wyzwolenie, i to konkretnie przez zachodnich aliantów, bo każdy czuł mores przed Ruskimi. Większość mówiła, że nie ma powrotu, że trzeba będzie iść na zachód, bo w Polsce nie będzie dla nich miejsca. Lisek też by poszedł, ale nie mógł. Czekał na to, żeby wrócić do Warszawy, choć nie miał już tam żadnej rodziny.

## **Kraków, Planty**

Biły dzwony, czuło się święta, nawet ona, chociaż nie była katoliczką. Nawet jako Żydówki nie obchodziło jej święto Pesach, ale atmosfera i trochę słońca. Ci, którzy byli w Warszawie, mówili,

że tam są nie tylko ruiny, ale wciąż zalegają trupy, że jeśli nawet gdzieś wyzbierają zwłoki, to pozostają płytkie mogiły, z których prowadzone są ekshumacje.

Do drzwi jej pokoiku ktoś zapukał, wyrywając z myśli, które stawały się coraz mroczniejsze. Kto to może być? Czy ten ktoś przynosi dobrą czy złą informację, aurę mroczną czy jaśniejącą, wiosenną? Otworzyła i od razu się uśmiechnęła, w drzwiach stał Leszek Pec.

– Miło cię widzieć!

Poszli na planty, spacerowali, przysiedli na ławce. Miło rozmawiali, o kinie, sztuce, książkach, o podróżach, które ona zdążyła odbyć, a on ledwie tylko napoczął świata, bo wybuchła wojna. Pyszna, cudowna rozmowa! Leszek był takim wdzięcznym rozmówcą, tak dobrze się przy nim czuła, bo z nimi zawsze dobrze się czuła. On chciał to chyba jej powiedzieć, jakby wytłumaczyć się, że ich znajomość nigdy nie może się stać związkiem, że...

– Ja wszystko wiem, Leszku, ja cię doskonale rozumiem, nie musisz mi nic tłumaczyć. – Położyła swoją dłoń na jego dłoni.

– Ale ja... – spłonił się.

– Wiem, wszystko wiem i może nawet potrafiłabym ci pomóc.

– Ale jak?

– Wyjdź za mnie! Nie można przecież przez życie iść samotnie, wracać do pustego domu, jeść w samotności. Trzeba mieć z kim rozmawiać, nawet jeśli śpi się w oddzielnych łóżkach. Dojrzałam do tego, do takiego wyboru, takiego życia.

– Naprawdę?

– Tak! Zastanów się nad tym, możemy sobie pomóc.

– A pani... to znaczy czy ty, Olu, nikogo nie masz?

– Może mam, a może nie mam, jakie to ma znaczenie, będziemy żyć jak Boyowie.

– Jak Boyowie... – Wiedział, co miała na myśli. Boyowie, czyli Boy-Żeleński i Krzywicka mieli innych małżonków, Zofię i Jerzego, nie byli małżeństwem, ale żyli ze sobą, tworząc przy tym związek otwarty i szanując swoich małżonków.

– Nie będziesz zazdrosny, jeśli któryś z nich się pojawi?

– Któryś z nich? – zdziwił się Leszek.

– Tak, któryś z nich, znają się, ale nie wiedzą o sobie, ja nawet nie wiem, czy żyją, ale myślę o nich, kocham ich, ciebie też kocham, Leszku, ale inaczej.

Ucałował jej dłoń w wielkim wzruszeniu, jakiego nie czuł nigdy przedtem, i skarcił się w myślach za to, że składając pocałunek, obejrzał się za chłopakiem, który przechodził obok ich ławki.

– Opowiesz mi o nich? – zapytał.

– Opowiem, oczywiście, że tak!

To była niezwykła opowieść o losach Aleksandry Fuchs i jej niezwykłych mężczyznach, Kornelu Strasburgerze i Wincentym Rybskim, obaj pochodzili ze Starówki, obaj byli policjantami. To wszystko było niezwykle, jak jakiś przygodowy film, to spotkanie i rozmowa na Plantach także, ale o takich sprawach filmów nie kręcą nawet w najbardziej postępowym kraju świata. A zwłaszcza tam.

**2 kwietnia 1945**  
**Poniedziałek Wielkanocny**  
**Warszawa, ulica Marszałkowska**

Śmigus-dyngus i prima aprilis tego samego dnia, a do tego trzecie święto, bo otworzyli pierwsze po tej stronie Wisły kino. W ruinach ocalał przedwojenny Imperial, który przemianowano na Polonię. Mieli pójść z panią Alą, bo inżynier dostał z BOS-u

bilety, umówili się na miejscu na godzinę przed seansem i wielki błąd! Nie przyszło kilkaset osób. Były ich tysiące.

Szukał Ali, ale to przypominało szukanie igły w stogu siana. Falujący tłum był gęsty, nie można się było przebić do kina na odległość stu merów, nawet mając silne, twarde łokcie. Od razu zrozumiał, że takie zbiegowisko mogło, powinno wręcz, sprowadzić tajniaków, ale przede wszystkim to był raj dla kieszonkowców, więc wbił ręce do kieszeni, żeby nic z nich nie wyparowało. Defilady, procesje, kondukty, pokazy, mecze i wyścigi, tramwaje i dworce. Tu było wszystko co trzeba, żeby długopalcy doliniarze mogli niczym magicy przenosić portfele z kieszeni do kieszeni. I jak raz zobaczył jednego z nich – Pianistę. To był wielki fachowiec, jeden z lepszych w tej profesji. Natura obdarzyła go smukłymi dłońmi z długim palcami, a kiedy je oparł o blat stołu, to wyglądały jak dłonie pianisty, który szykuje się do koncertu. Ale ksywkę Pianista dostał nie tylko dlatego. Potrafił, jak każdy dobry doliniarz, elegancko się ubrać, a jego aparycja była niezwykle artystyczna. Stać go było na płaszcz, szale i lakerki, włos miał dłuższy, zaczesany do tyłu. Gdyby miał orli nos, toby pewnie mówiono o nim Chopin. Ale nie miał orlego nosa, tylko zwykły, lekko okrągły, niepasujący do artystycznej postawy Pianisty. Dziś z tamtej pozy niewiele zostało. Płaszcz był połatany, buty zdarte, a czapka nijak nadająca się do opery czy filharmonii. W tym zestawie nos już nie był lekko okrągły, lecz kulfoniasty, do tego czerwony od mrozu lub alkoholu. Zupełnie inny niż ostatnim razem, kiedy mieli wątpliwą przyjemność wpaść na siebie.

Rybski umówił się sam ze sobą, że go nie widzi, że ma inne zmartwienia na głowie, że nie jest już glina, ale kiedy zobaczył, jak przystawia się do jakiejś pary, jak wsuwa rękę do kieszeni... Podskoczył błyskawicznie i złapał go za rękę.

– Pianista, kurwa twoja mać...

Ten spojrział na niego i jakby się uspokoił.

– Myślałem, że to nasza kochana Mylicja Obywatelska, a to tylko przechodzony, sanacyjny pies. – To nie wróżyło nic dobrego, Rybski odskoczył, ale złodziej zaczął się drzeć: – Ludzie-eeee, zdrajca szwabski, gestapowiec, łapaj łobuza!

Nagle wokół niego zrobiło się pusto, tak jakby Mojżesz uderzył laską i rozstąpiło się morze. Ale tylko na moment, bo potem Mojżesz uderzył laską po raz drugi, i to dubeltowo, kiedy ze skał połała się woda. Ludzki potok, w którym były też mundury, ruszył w jego kierunku, zachęcany jazgotem jak z syreny przeciwlotniczej.

– Konfident gestapowski, kapuś, morderca!

Rybski był pewien, że Pianista drze się, lewą ręką wskazując na niego, a prawą wyciągając frajerom portfele z kieszeni.

Wicek minął jakiegoś chłopaka w mundurze, potem odtrącił jakąś rękę, która próbowała go pochwycić, ktoś oberwał mu guzik z płaszcza, a jakaś kobieta o mało nie wydrapała mu oczu, paznokieć wbił mu się w policzek nieco poniżej lewego oka. Polowanie z nagonką zaczęło się na dobre, bo kto nie zapolowałby na gestapowskiego konfidenta! Wpadł do bramy, modląc się, by na podwórzu nie było milicyjnego gazika. Nie było, bo być nie mogło, brama prowadziła nie na podwórko, lecz na gruzowisko, z którego wystawały resztki oficyny. Zaczął się na nie wspinać, uciekając przed kilkunastoma łowczymi. Czuł ich oddechy na plecach, byli tuż, a płuca ogarniał ogień, za chwilę pękną i wyleje się z nich lawa. Podniósł połówkę cegły, zważył ją w ręku, odwrócił się i rzucił prosto w głowę pierwszego z brzegu myśliwego. Dopiero kiedy leciała w dół, zobaczył, że to może szesnastoletni chłopak, apasz z charakterem w nogach, który wysforował się przed ścigających go ludzi. Cegła trafiła go w głowę, z miejsca zalał się krwią i padł na gruz. Rybski chwycił następną i stał jak jaskiniowiec czekający na kolejną ofiarę. Ale chętnych

nie było, stanęli przerażeni tym, co się stało, widokiem nieprzytomnego chłopaka, z którego rozbitej głowy buchała krew. Rybski powoli wchodził na ruiny mansardy, a ci którzy go ścigali, pochyliłi się nad chłopcem.

– Morderca! – krzyknął ktoś.

– Morderca – zawtórował tłum.

Przed chwilą nie miał sił, przed chwilą myślał o tym, by podejść do tego chłopaka, ale teraz miał i siły, i nową zachętę do ucieczki. Teraz był mordercą, już nie takim z wykrzyzanego pod kinem komunikatu, lecz takim, którego widziano w akcji.

– Łapać go! – rozległ się okrzyk, a za chwilę poleciała seria.

Nawet nie patrzył, kto strzela, przeskoczył przez dziurę w stropie, przebiegł przez jakieś resztki mieszkania, ze szczątków balkonu zeskoczył na drugie podwórko. Przewrócił się i boleśnie przekoziołkował po ceglach i gruzie. Najważniejsze, że kostki i kolana całe, że mógł biec dalej. Tylko dwie przecznice i będzie u siebie, bezpieczny, ale i pozbawiony przez jakiś czas możliwości ruchu. To wszystko stało się niedaleko mieszkania, nie daj Boże ktoś go widział, ktoś rozpozna go na ulicy. Z drugiej strony ilu w tym tłumie było mieszkańców tych okolic, a ilu amatorów kina, którzy ściągnęli pod Polonię z całej Warszawy, a pewnie i z okolic? Tym się będzie martwił później, najpierw musi dotrzeć na miejsce, zamelinować się i zająć tym, co najważniejsze – szukaniem dokumentów. Niebawem, ale mieszkanie było puste, to była ta chwila i wtedy weszła Ala.

– Widziałam cię...

– A ja ciebie nie, bilety przepadły, ale trudno. – Miał nadzieję, że chodzi jej tylko o kino.

– Gonili cię... Dlaczego?

– Pomyłka. Wzięto mnie za kogoś innego. – Uśmiechnął się przepraszająco, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że codzien-

nie w Warszawie tłum goni kogoś, bo przez pomyłkę ten ktoś został wzięty za konfidenta Gestapo. Ot, takie niewinne, może nawet zabawne nieporozumienie towarzyskie.

– On żyje.

– Ach tak? – powiedział od niechcenia, ale jednak poczuł ulgę.

– I nie będzie kaleką – dodała.

– To bardzo dobrze. – Odetchnął ciężko i ukrył twarz w dłoniach.

– Ja cię rozumiem – powiedziała.

– Czyżby? – Podniósł głowę i spojrzał na nią.

– Ogolili mnie...

– Ciebie?

– Tak, mnie.

Nie wiedział jak, choć chciał pytać. Kto i za co. Chciał pytać, choć chyba znał odpowiedzi, ale może powinien z grzeczności, że uważa, że to nie tak, jakby się mogło wydawać, że przecież to się zdarzało, ale przecież nie ona, że to niemożliwe.

– Miałam chłopaka Ślązaka. W zasadzie Polaka ze Śląska. Kochałam go i on mnie. Ale miał mundur, był lotnikiem, kapral z Okęcia, tam służył. Przypadkiem go spotkałam na ulicy. Zaczepił mnie, ale go zbyłam. Nie narzucał się, ale okazało się, że mnie śledził. Za tydzień miał przepustkę i czekał pod domem. Uparty był. Tym mnie ujął, tą upartością, ale nie nachalną, taką... taką dobrą, bo to dobry chłopak był, ten mój Ecik... Ecik to znaczy Edward, tak na Śląsku mówią. Wzięli go na sam koniec, jak już wszystkich brali, nawet tych, których uznawali za renegatów. Dobry mechanik, więc go tu sprowadzili. To była miłość, ale zakazana. Może byłoby i gorzej, ale... byłam w konspiracji, uratowali mnie, ale usunęli z szeregów, poszłam pracować do szpitala, żeby się jakoś przydać.

Słuchał jej i współczuł, ale z drugiej strony myślał o tym, że nie przeszuka teraz mieszkania i że został zdekonspirowany. Może jej powiedzieć, poprosić, żeby wyszła, może... Zaplotła mu ręce na szyi i przywarła wargami do jego ust.

– Wrócą dopiero wieczorem, wszyscy.

Nie potrafił jej teraz powiedzieć, że to świetnie, bo w końcu przeszuka mieszkanie, nie potrafił tego powiedzieć przede wszystkim sobie. Teraz on ją pocałował, a później przygwoździł ją do ściany, teraz już było za późno na cokolwiek innego.

– Co zrobiłeś, kim jesteś? – zapytała go po wszystkim.

– Późno pytasz.

– Być może, ale poczułam, że coś nas łączy, uczucie, jakim nas obdarzyła tłuszczą, niedobre, złe, zawistne.

– Ale nie wiesz, czy w moim przypadku nie jest zasłużone.

– Nie wiem. Powiesz mi to?

Milczał. Powiedzieć jej prawdę, część prawdy czy zmyślić coś? Ale co? Najlepiej zacząć od prawdy, a później sztukować do niej nowe elementy.

– Rozpoznałem złodzieja. Kieszonkowiec, zawodowy bandyta. Elegancik, ale bandyta. Kiedyś byłem...

– Policjantem?

– Tak, byłem policjantem. Ale to było w innym życiu, tyle że to życie nie jest się w stanie ode mnie odkleić. Wszystko, co było dobre, przepadło, a wszystko, co złe, niewygodne i niebezpieczne, nie chce mnie opuścić.

– A co było dobrego?

– Normalne życie, rodzina, żona, córeczka... – Zawiesił głos, ale ona bała się spytać, co się z nimi stało. Zamiast mówić dalej, sięgnął po papierosa, zapalił, zaciągnął się i spojrzał gdzieś w dal, jakby szukał zaginionych obrazów ze swojej przeszłości. – A



później kobieta, którą kochałem, choć nie powinienem, śmierć bliskich na Starówce, wtedy kiedy wybuchł czołg.

– Czołg pułapka?

– Nie, czołg nieporozumienie, bo to wyjątkowo nie była robota Niemców.

– Nie? A co się stało? Bo wszyscy mówią, że to Niemcy.

– Nieważne kto, ważne, że Niemcy rzucali bomby, puszczały krowy, zakopywali i palili ludzi żywcem. Setkami, tysiącami. Cała Starówka to była pułapka, a nie tylko Podwale i Kilińskiego... – Znów się zaciągnął i dodał: – Górny Czerniaków też był pułapką, tam straciłem przyjaciela.

Przed oczyma stanęły mu ostatnie chwile życia Zygi Stolarczyka i poczuł, że się rozkleja, wtedy ona zapytała, jakby go chciała rozsypać na kawałki:

– Został ci ktoś bliski?

Chciał powiedzieć, że brat, ale ugryzł się w język. Przecież nie było już Staśka Rybskiego, tylko nieznany mu Wiktor Rzewuski, którego zostawił w mieszkaniu pani Reich. Wziął to imię i nazwisko, bo Wiktor Rzewuski nie był w AK, był chłopakiem, który mieszkał na Starówce i nie zdążył się zaplątać w konspirację. Chłopak przystąpił do powstania na ochotnika i zginął, cała jego rodzina również.

– Nie wiem, czy ktoś mi został, ale ty jesteś mi bliska – wyszło z niego niespodziewanie, tak po prostu, bez liczenia na jakikolwiek efekt, bez myślenia o konsekwencjach.

Wtuliła się w niego i już wiedział, że jest jej, że go nie puści, że nie odejdzie od niej, ot tak, po prostu. Że to nie miłośćka, wybryk, przygodny romans. Ale czy to aby na pewno była jakaś przyszłość? To było dziś i jutro, pewnie miłe, przydatne, pasujące im obojgu, ale co będzie później? Później może już nie być nic. Zatem *carpe diem*, jak mawiał Strasburger, który lubił łaciń-

skie sentencje. Ale kiedy to było? Wieki temu, kiedy jeszcze Strasburger się nimi popisywał, ale skończył z tym i z żartami, bo Jung znał łacinę perfektnie, a on, cwaniak ze Starówki, znał lepsze kawały. Teraz i on stracił dowcip, nic wesołego nie przychodziło mu do głowy i nawet najtęższy komiczny umysł po dniu takim jak ten niczego by nie wymyślił. Nie zauważył, kiedy usnął.

## **Warszawa, ulica Marszałkowska**

Życie przy Marszałkowskiej kwitło w wyrastających jak grzyby po deszczu lokalach i lokalikach. Często stały one na pokrytych gruzem piwnicach, które kryły ciała zasypanych w czasie bombardowania mieszkańców, ale przecież całe miasto było jednym wielkim cmentarzem. Mając do wyboru zostać kolejnym elementem nekropolii albo ją znów zmienić w miasto, tylko z cokolwiek większą liczbą grobów na ulicach, warszawiacy wybrali to drugie.

Władek Ciechaniak przeciągnął się na krześle. Lokal nieco jechał stęchlizną, bo w końcu była to suterena, ale stół, choć krzywy, wyposażony był jak trzeba. Nie ma to jak dobrze zjeść i popić. Popić i zagryźć. Ale czasem coś wchodzi między wódkę a zakąskę. Coś albo ktoś. Pojawił się nie wiadomo skąd, dosiadł się do funkcjonariusza UB, komiwojażer szarpany, i się powołuje, jeszcze chwila moment, straci cierpliwość i go pogoni.

– A skąd mam wiedzieć, że jesteś tym, kim jesteś, że jesteś tak umocowany, jak mówisz, e?

– A to znasz? – Typ rozpiął koszulę, rozchełstał ją i zaczął grzebać. W końcu zdjął złoty łańcuszek z medalikiem i mu podał. – Założ, teraz jest twój, chyba że nie chcesz, ale nie sądzę, co nie?

Władek nie był szczególnie religijny, można powiedzieć, że jego religijność była bardziej zabobonem, zbiorem przyzwyczajęń i symboli. Religia była jak polityka, trzeba było z nią być, jak z każdą instytucją, która się w życiu przydaje. Wziął do ręki łańcuszek, spojrzął na medalik, a później na człowieka, który mu zawrócił głowę. Patrzył już nie jak na intruza, ale jak na kogoś niemal równego sobie, niemniej wciąż z ostrożnością.

– Medalik znam.

– Trudno, żebyś nie znał. – Łykowaty typ, który wyglądał jak komiwojażer, był nadmiernie pewny siebie.

– Ale czy ty na pewno znasz właściciela, a może znasz z tego, że mu wpakowałeś kulkę? – Powiedział to z takim przekonaniem, że zacisnął dłoń na pistolecie, który miał w kieszeni kurtki.

Tamten jakby o tym wiedział, bo się nieco odchylił do tyłu, uśmiechnął i uniósł dłonie do góry.

– Kulkę to ja wpakowałem, Świerszczyku mój, niejedną, ale dla niego, a nie w niego. Maniek to teraz obywatel przewodniczący, a ja wiceprzewodniczący. Kumaszu, Świerszczu?

Kumał. Bez dwóch zdań, bo tylko jedna osoba tak do niego mówiła, ta sama, do której należał łańcuszek z medalikiem. Ciechaniak spuścił z tonu, wiedział, że ma do czynienia z człowiekiem poważnym, kimś ważniejszym w hierarchii od szeregowego funkcjonariusza UB, a nawet od brata szefa bandy.

– Widzę, że cię przekonałem, a teraz posłuchaj!

I zaczął swoją gadkę, a Ciechaniak im dłużej patrzył na twarz komiwojażera, tym bardziej był pewien, że jego towarem jest śmierć, i że ją nie tylko oferuje i przyjmuje na nią zamówienia, lecz także natychmiast może dokonać realizacji. Nawet dla kogoś takiego jak Władek Ciechaniak jego oczy były złe, przerażające, a cmentarny zapach, który wydobywał się z jego wąskich

ust, i blizna na policzku upewniały go, że dobrze być z nim po tej samej stronie.

– Tak że teraz rozumiesz, że szmugiel, dziwki, bimber, krojenie frajerów, a nawet praca w UB to nie jest żadne halo. Rozumiesz?

Władek rozumiał, co miał nie rozumieć, w końcu facet wyglądający jak komiwojażer był silnym człowiekiem, ale służył jeszcze mocniejszemu, a ten jak raz był jego bratem. Łańcuszek Mańka wisiał już na jego szyi, a głowę wypełniały marzenia o bogactwie i władzy, jakiej bracia Ciechaniakowie nie mieli nawet w Warszawie.

\*\*\*

W sąsiedztwie Baru Restauracyjnego Luks, w którym Władek Ciechaniak oblewał śmigus-dyngus i w którym prawa ręka jego brata przekazał mu instrukcję, było Cafe Fogg. Tam poszli z Alą, bo pomyślał, że coś im się od życia należy, że po tym, co się stało w południe, trzeba jakoś udanie spędzić ich pierwszy wieczór, zwłaszcza że mieszkanie przy Hożej zapełniło się nie tylko stałymi lokatorami, lecz także świątecznymi gośćmi. Lokal Miecysława Foggga to był prawdziwy, warszawski luks, a nie spelunka o tej nazwie. To zaproszenie zrobiło na Ali wrażenie, a jeszcze większe koncert Foggga, który śpiewał przy akompaniamencie pianina. *Czy i jego będą ścigać?* – pomyślał Rybski. W końcu był w AK, strzelał, a potem śpiewał dla żołnierzy i cywilów. Na razie wszystko poza wyglądem lokalu było po staremu, śpiewak był elegancko ubrany, jego głos brzmiał pięknie, a w niedzielę transmitowano stąd *Podwieczorek przy mikrofonie!* To wszystko w mieście bez prądu, bo dopiero szykowano start elektrowni na Powiślu. Mieli już wychodzić, kiedy niespodziewanie gospodarz lokalu, który przechadzał się między stolikami, pochylił się nad Rybskim.

– Witam państwa, jest mi niezmiernie miło, że spędzili państwo czas w mojej kawiarni, Czy my się, proszę szanownego pana, przypadkiem nie znamy? – zapytał Fogg.

– Ja pana oczywiście znam. – Rybski się uśmiechnął, bo tyśiące, jeśli nie miliony wiedziały, kim jest Fogg. – A pan...

– Niech zgadnę, był pan u podchorążego Pawła w patrolu megafonowym. – Zamyślił się, po czym szybko sobie odpowiedział: – Nnnie, stanowczo nie, pana przełożony musiał być kimś wyższym rangą – uśmiechnął się – bo pan jest oficerem, prawda?

Rybski przytaknął skłonieniem głowy, ale w głowie kłębiły się sprzeczne myśli, pierwszą była taka, że Fogg, sam Mieczysław Fogg go skojarzył, podszedł, zaszczycił rozmową, a Ala patrzyła na to z zachwytem, tyle że właśnie się dekonspirował. Fogg tego nie wyczuł, widocznie malujące się na twarzy Ali zadowolenie i podziw sprawiły, że postanowił jeszcze mocniej zbudować pozycję mężczyzny, którego nazwisko już sobie przypomniał.

– Tak, ależ tak, to pan! – Po czym zdał sobie sprawę, że bycie sobą, nie musi być wcale dobre i bezpieczne. Pochylił się jeszcze mocniej i szepnął: – Służył pan policji państwowej?

Rybski potwierdził ruchem głowy.

– Wicek, chłopak z Podwala! – Te słowa wypowiedział już głośno i z takim namaszczeniem, jakby chodziło o Chłopaka z Sosnowca, po czym przysiadł się do nich i zapytał: – Czy ma pan jakieś wieści od mojego przyjaciela Kornela?

– Niestety nie, wiem tylko, że ewakuował się za granicę.

– Tak, to wiem, ale gdyby były jakieś wieści o nim, to proszę tu przyjść i powiedzieć.

Fogg się pożegnał, a Ala popatrzyła na Rybskiego.

– Ależ ty masz znajomości!

– Nie ja, mój były szef.

– Kornel...

– Tak, Kornel.

– A ty nie jesteś Rafał, tylko...

– Nie ucz się, proszę, tego imienia, nie przyzwyczajaj się do niego, bo kiedyś tak możesz do mnie powiedzieć przy tych, dla których jestem Rafałem Santorskim.

Przytaknęła ruchem głowy i ścisnęła go za dłonie.

– Dobrze, masz rację – odpowiedziała, a po chwili dodała: – Ale chyba mógłbyś mi bardziej zaufać, jeśli... – urwała, bo nie wiedziała, co jeśli, bo nie miała pojęcia, czym się może zajmować Wincenty-Rafał. – To możesz na mnie liczyć, we wszystkim pomogę, dochowam tajemnicy. Ja ci zawdzięczam życie... – I znów poczuła, że weszła na mieliznę, ale szybko obrała właściwy kurs. – Ale to dzisiaj, to nie dlatego, że ci się chciałam zrewanżować.

– Ani przez chwilę tak nie myślałem, Alu – powiedział, patrząc jej w oczy, ale myślał nie tylko o tym, że uprawiali dziś miłość, lecz także o tym, że ma w mieszkaniu przy Hożej 1 A sojuszniczkę, która pomoże mu w poszukiwaniu skrytki.

## **5 kwietnia 1944** **Warszawa, Żoliborz, ulica Słowackiego**

Major Nałęcz nie mógł w to uwierzyć, i to dubeltowo! Jak ludzie, którzy przeszli przez wojnę jako konspiratorzy, mogli się złapać na coś takiego?! Przecież to sowiecki podstęp! Rozumiał, że mógł w to uwierzyć ten podchorąży z Zamojszczyzny, bo w końcu rozpracował go kolega ze szkoły powszechnej i partyzantki, ale że porucznik Marek się w to wciągnął?! Że założył jakąś obserwację, że zbadał tego Białego i uznał, że podchorąży Gustaw nadal ma się z nim zadawać. To było pierwsze, w co nie mógł uwierzyć i co go wyprowadzało z równowagi. A drugie to

bezczelność Sowietów i ich polskich współników. Jakie oni mają o nas wyobrażenie! Mają nas za nic, za dyletantów, łatwowiernych dyletantów!

– Wciąż pan się bije z myślami – głos Jeżewskiego wyrwał go z nerwowej zadumy – i pewnie pan uważa, że to grubymi nićmi szyte.

– Po pierwsze nie tak grubymi, po drugie nie sądzę, by to było szyte, choć Sowietci nie takie rzeczy robili. Ja tylko jestem za likwidacją Białego! – odpowiedział stanowczym głosem Nałęcz.

– A ja, za dalszą pracą nad nim. Skoro oni potrafili latami inwigilować Sztab Generalny, a później Armię Krajową, to my możemy mieć u nich porucznika MO.

– Czy to warte ryzyka?

– Wszystko jest teraz wielkim ryzykiem, a człowiek w MO, oczywiście byłoby lepiej gdyby w UB, zwiększa nasze szanse na przeżycie. Pije wódkę z ubekami i partyjnymi, na razie to, co przekazał podchorążemu jest więcej niż interesujące, zatem idziemy dalej.

– Skoro taka jest pańska decyzja... – Nałęcz nie był przekonany do pomysłu Jeżewskiego.

– Tak, taka jest moja decyzja, jeśli pan sobie życzy, to może ją pan otrzymać na piśmie.

Major Nałęcz nic nie odpowiedział, bo Jeżewskiego awansowano na pułkownika i on teraz decydował.

– A teraz przejdźmy do sprawy archiwum... – zmienił temat pułkownik.

– Gdyby któryś z naszych ludzi powrócił i zdał raport, zostałby pan pułkownik natychmiastowo poinformowany. O skrytce przy Hożej w pierwszej kolejności!

## **Warszawa, ulica Karowa 14-16**

### **Komenda Główna MO**

Generał Józwiak grzmiał, wymachiwał rękami. „Gdyby towarzysz komendant główny miał węs jak towarzysz Bierut, toby wyglądał jak artysta Chaplin” – szeptali co odważniejsi i tylko w zaufanym gronie kolegów z partyzantki albo dąbrowszczaków. Ale nawet między najbliższymi kumplami z Komendy Głównej MO nie było odważnego, który precyzowałby, że chodziło o jedną, szczególną rolę wielkiego komika, o kreację w politycznie zaangażowanym i bardzo dobrze postrzeganym przez Komintern filmie *Dyktator*. Nikt nie ośmieliłby się zasłużonego towarzysza, jedną z najważniejszych osób w państwie porównać do Adolfa Hitlera, choć komendant główny Milicji Obywatelskiej kipiał na nasiadówkach niczym wódz Trzeciej Rzeszy. Towarzysza Józwiaka wprost rozpieierała energia w kontaktach zarówno z podwładnymi, jak i z ministrami, deputowanymi do Rady Narodowej oraz towarzyszami partyjnymi. Sytuacja MO była krytyczna, i to pod każdym względem – od ludzkiego, po organizacyjny i operacyjny. Do służby trafiał element przypadkowy, często o wątpliwym kręgosłupie moralnym i ideologicznym. Zbieranina, wśród której nie brakowało osobników fizycznie i umysłowo niedostosowanych do tej służby, a wielu z tych, którzy, a i owszem, wiedzieli, co i jak, okazywało się przedwojennymi policjantami, akowcami albo szabrownikami. Mili-cjanci, niekompetentni, niedożywieni, niedozbrojeni i podle opłacani, nie byli w stanie sprostać stawianym przed nimi wyzwaniom.

Franiczek Józwiak wiele widział, bo był przedwojennym kapralem, który dorobił się belek na pagonie, służąc w piłsudczykowskiej Polskiej Organizacji Wojskowej i Legionach oraz Wojsku Polskim broniącym się przed bolszewikami, i już jako członek Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii był świadkiem



wielkiej wojny ojczyźnianej. W bólach współtworzył Gwardię Ludową i był jej komendantem, ale to, co się działo w kierowanej przez niego Milicji Obywatelskiej, przekraczało wszelkie granice.

Urząd Bezpieczeństwa działał jak w zegarku, Główny Zarząd Informacji Wojskowej także. Gorzej Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, bo notowano dezercje. Grupy operacyjne, które szły za frontem i organizowały komendy i komisariaty, szybko stopniały, wytraciły impet, a w szeregi milicji weszli funkcjonariusze miejscowych służb, samozwańcych milicji i straży, robotniczych, obywatelskich, fabrycznych, polskich i chadeckich, w których był element nie tylko niewyrobiony politycznie, lecz także wrogo nastawiony do nowej władzy. A do tego zwykli złodzieje i bandyci, którzy bezkarnie kradli. I rządzili, psia ich mać, jak u siebie, jakby nie zauważyli, że jest PKWN, że to PPR i dawna AL mają tworzyć administrację. W Skarżysku posunęli się do tego, że zastrzelili wojewodę, tak jak się kończy z pospolitym bandytą. Skurwysyny! A kadr brakowało. Wszystkiego brakowało, a grupy operacyjne wyczerpywały swoje siły, bo zakładający nowe placówki milicjanci nie szli dalej za frontem, a do tego im dalej na zachód, tym coraz mniej swojej partyzantki i struktur partyjnych.

A właśnie zaczęło się forsowanie Odry, potem zajmowanie kolejnych dużych miejscowości. W lutym zajęto Piłę, dwudziestego siódmego lutego wbito pierwszy słup graniczny na Odrze, Wrocław broni się, ale podobnie jak Szczecin padnie, zaraz całe Ziemie Odzyskane będą pod naszą administracją, a Milicja Obywatelska nie daje sobie rady! Gdyby mógł ją do czegoś porównać, to tylko do Armii Czerwonej w okresie czystek i lata 1941 roku. Ale robotniczo-chłopska armia odrodziła się jednak i wygrała wojnę, a przełomowe momenty działy się nie tylko pod Moskwą, w oblężonym Leningradzie, pod Stalingradem i na

Łuku Kurskim, lecz także za linią frontu, w lasach, na bagnach i we wsiach, w których operowały oddziały partyzanckie. Partyzanckie z nazwy, ze sposobu działania, ale tak naprawdę były to oddziały NKWD, silne kadrowo, świetnie uzbrojone i nieustraszone w boju. Dlatego spodobał mu się pomysł milicyjnych specgrup, które miały przywrócić porządek na terenach, gdzie władza ludowa się nie przyjęła.

## **6 kwietnia 1945** **Warszawa, Hoża 1 A**

Rybski miał wrażenie, że dom jest pod obserwacją, że jacyś ludzie się kręcą, jakby mieli tu coś trefnego do załatwienia. I to akurat dzisiaj, kiedy mieli być z Alą przez pół dnia i całą noc sami – Lasoniowie i Żmudzińscy wyjechali pod Grójec na ślub i wesele, a inżynierostwo wybrali się do architekta z BOS-u, który miał domek przy linii otwockiej. I tym razem nie chodziło tylko o to, by się w niekrepujący sposób pokochać, ale by opukać i ostukać mieszkanie. Żeby poszło szybciej, ściągnął do pomocy Staśka i pożyczył od dozorczy drabinę. Wicek Rybski sprawdzał ściany pod sufitem, Ala i Stasiak zajęli się zaś dołem. Zastanawiali się, kiedy sąsiedzi narobią rabanu, ale na razie nikt się nie wtrącał, wychodziło na to, że po pracy cała kamienica albo gdzieś pojechała, albo przynajmniej ludzie poszli na spacer. Rybski co chwila wyglądał przez okno i od czasu do czasu rzucała mu się w oczy podejrzana sylwetka. Zamiast szukać skrytki, otworzył tę, którą zrobił dwa tygodnie temu. Trzymał w niej pistolet zabrany bandycie, który brał udział w napadzie na Alę.

Dalej szukali i nic nie znaleźli, została już tylko jego służbówka i przedziurawiona kuchnia. Żeby przebadać przewód wentylacyjny nad kuchnią, musiał postawić drabinę na sztorc i

zawisnąć nad przepaścią. Klął na czym świat stoi, bo chwilę wcześniej Stasiek się urwał, był umówiony z jakąś panną do kina.

– Wicek, dasz radę? – zapytała Ala.

– Mów do mnie tamtym imieniem, bo się kiedyś przy nich wysypiesz, a Lasoniowa ma tak długi język, że cała Warszawa będzie wiedziała następnego dnia, bo ona opowie połowie, a drugiej mąż jej siostry Tolek.

W tym momencie, po uderzeniu młotka ściana wydała inny odgłos.

– To tutaj!

Ala podała mu dłuto i zaczął kuć. Po paru minutach miał w ręku żelazną kasetkę.

– Ciekawe, co tu jest – zastanawiała się Ala.

– To nie nasza sprawa – uciął sucho.

– Rafciu... na pewno potrafisz, ty wszystko potrafisz – powiedziała mu szeptem. – Słyszałeś, twój kotek wymruczał właściwe imię!

Próbowała go namówić różnymi sposobami, ale skończyło się na tym, że zaczęli się kochać. Spali przytuleni do siebie, kiedy Rybskiego obudził jakiś chrobot. Zdążył tylko założyć majtki i ruszył do drzwi, te uchyliły się błyskawicznie i do środka weszło dwóch mężczyzn, Jeden ruszył w lewo, drugi w prawo, prosto na Rybskiego. Zdążył tylko zerwać ze ściany żelazną wazę i rzucić się z nią na napastnika, w ten sposób zablokował uderzenie gazrurką i zepchnął go w stronę kompana, ten z kolei miał w ręku coś, co przypominało pistolet. Wpadł na nich z impetem, obaj przewrócili się, gubiąc gazrurkę i pistolet, a Rybski wbiegł do salonu, gdzie na stoliku, obok kasetki leżał jego pistolet.

– Poddajcie się! – zakomenderował. – Łapy w górę, a ty nie sięgaj po gnata.

Niechętnie podnieśli ręce w górę.

– Masz naszą własność – powiedział niższy, który szedł na niego z gazrurką.

Przyjrzał im się i nie miał wątpliwości – była to stara, przedwojenna recydywa, z którą nie pójdzie łatwo, bo obaj łakomym wzrokiem spoglądali na kasetkę. Wicek miał tylko cztery naboje i spodziewał się, że musi być jeszcze jeden typek, na świecy, który może się tu w każdej chwili zaplątać. Wziął kasetkę za uchwyt i z uśmiechem ruszył w kierunku bandyty.

– Skoro to panów, to ja najmocniej przepraszam.

Bandzior postąpił o krok, powoli opuszczając ręce i wtedy Rybski wyjechał mu kasetką prosto w środek twarzy, była solidna i kanciasta, więc rozległo się chrupnięcie oznaczające trzask łamanego nosa i wybijanych zębów. Wtedy drugi z kompanów próbował sięgnąć po leżący na podłodze rewolwer, ale Rybski użył swojego, bijąc go kolbą w skroń. Dwa ciężkie nokauty, tylko co dalej?

– Ala, podaj mi spodnie! – krzyknął.

Zakładając spodnie, myślał, co by było, gdyby musiał strzelać, wtedy zbudziłby całą kamienicę, może nawet ściągnąłby tu milicję.

– Przynieś mi sznur do bielizny – komenderował. – A teraz pomóż mi ich wiązać.

Bandyci zostali związani jak baleron, mimo to Rybski nie mógł sobie pozwolić na luksus zaśnięcia. To byli groźni wyrokowcy, kiedy leżeli nieprzytomni obejrzał ich i zobaczył tatuaże, jakie robili sobie nie marynarze, tylko pensjonariusze więzień ciężkich.

– Rafciu, zerwijmy z tym wszystkim, zabierzmy tę kasetkę i jedźmy stąd – zaproponowała Ala.

– Przecież to nie jest nasze, a poza tym to, co tam jest, może się okazać bez wartości. Dla nas bez wartości, ale dla właściciela...

– Tam jest złoto, nie czujesz, że jest ciężka?

– Alu!

– Nie bądź głupi, nie poświęcaj się dla innych, zrób coś dla siebie.

– Nie łamię umów. Aniołem nie jestem, ale jeżeli na coś się pisałem, to nie odstąpię.

– Nie bądź głupi, zasługujesz na to!

– Na co?

– Nawet nie wiesz na co, nikt nie wie, oni sami nie wiedzą. I się nie dowiedzą! Na nic nie liczą, wiedzą, że może coś jest, a ciebie wysłali jak chłopca na posyłki. Myślisz, że ktoś to doceni? Nie bądź głupi, żyj dla siebie!

Nie odpowiedział nic, zapalił papierosa i usiadł na krześle w samych tylko spodniach, bo nic więcej nie zdążył na siebie włożyć. Patrzyła na niego, czekała na jakąś reakcję, a on siedział i palił, strzepując popiół na ziemię.

W końcu Ala się odezwała.

– I co dalej?

– Dalej to jak się skończy zaciemnienie, wezmę tę kasetkę i pojedę ją oddać, a potem zobaczymy.

– A oni?

– Jak ich nie rozwiązesz, to nic ci nie zrobią, zresztą też będziesz mogła wyjść z domu, rób, co chcesz – powiedział znużonym głosem.

Dla pewności Rybski zawlókł ich w różne kąty mieszkania i wzmocnił sznury paskami, które znalazł w rzeczach współlokatorów. Nie miał oporów, bo Żmudzińscy wszystkim podbierali, co się dało, nawet korzystali z cudzych ręczników. Zostawił Alę samą i pojechał do Jeżewskiego, ale najpierw zajrzał do Staśka i u niego zostawił kasetkę, bo o świcie, przy małym ruchu, wojsko albo milicja mogłyby przy przekraczaniu rzeki zrobić rewizję.

Trochę czasu zajęło, zanim dojechał na Pragę, Jeżewski zebrał obstawę i przeprawili się z powrotem na lewy brzeg.

Ali nie było w domu, gdzieś wyszła, nie miał ochoty się z nią spotykać, patrzyłaby na niego z wyrzutem, z pretensją, że mogli sobie ułożyć życie. Tymczasem bandziory się ocknęły, więc szybko przystąpili do rozmowy.

– Czego tu szukaliście? – zapytał jeden z ludzi Jeżewskiego.

– Jak to czego? Nie wiecie co macie? – beczelnie odpowiedział wyższy typ.

– Nie pyskuj, gadaj! – Na zachętę poszedł cios w ucho.

Drugi był rozmowniejszy.

– W Pruszkowie byliśmy, w Dulagu<sup>[26]</sup> jak wszyscy, nie? No i tam dogorywał jeden taki, bredził coś o bezcennych rzeczach, o papierach mających wartość jak złoto. Jasne było, że o dolary chodzi, bo dolar ma pokrycie w złocie. Morfinę skołowałem i podałem mu, żeby się rozkręcił. No i powiedział, gdzie szukać, adres, miejscówka i tak dalej. Co ja, frajer jestem, miałbym nie skorzystać? Jak tylko wróciłem z robót, bo nas na roboty wywieźli, to postanowiłem to sobie zorganizować.

– Jesteś frajer, i to ciężki – powiedział ochroniarz Jeżewskiego.

– Bez morałów, nie bądź ksiądz i puść nas, nieporozumienie towarzyskie zaszło i tyle, zdarza się – wtrącił się drugi bandyta.

– No tak, zdarza się – przytaknął Jeżewski. – Kapitan Karaś, tak się nazywał ten, co dogorywał w Dulagu.

– Niezmiernie mi przykro. – Wyższy bandzior uśmiechnął się bezczelnie. – Wojna.

– Tak, wojna i wojenne prawo – powiedział Jeżewski, wyszedł z pokoju, w którym prowadzono rozmowę i podszedł do okna wychodzącego na ulicę, wyjrzał i przyjrzał się dwóm kilkunoletnim chłopcom, którzy czujnie wpatrywali się w okno kamienicy. Pomachali sobie rękami.

– Gotowi? – zwrócił się do swojej obstawy Jeżewski.

– Gotowi! – Obaj ochroniarze wyciągnęli broń.

– Coś pan! – ryknął niższy bandzior, a wyższy niemo poruszał ustami.

Rozległy się odgłosy puszcanych petard, strzelały jedna za drugą, aż drżały szyby na całej Hożej, wtedy także rozległy się dwa strzały. Jeżewski dał znać chłopcom, a ci odpalili na pożegnanie największą petardę i śmiejąc się, wbiegli w Mokotowską.

– Trzeba było? – zapytał Rybski.

– Trzeba było. Wydaliby nas, a przede wszystkim kapitan Karaś nie był sam, udusili sanitariuszkę, która przy nim była. Zwłokami się zajmujemy, ale niech pan się stąd wyprowadzi, tak na wszelki wypadek.

Wyprowadzić się z miejsca, w którym mieszkała Ala, trochę przykro, ale może znajdzie coś nowego, Jeżewski pomoże. Tymczasem ludzie Jeżewskiego otworzyli drzwi tragarzom, którzy przynieśli skrzynie. Mieli w nich wynieść zwłoki. Mimo niedzieli pod kamienicą przy Hożej stał wóz meblowy zaprzężony w gniadego konia. Rybski poszedł do swojej służbówki i tam na posłaniu znalazł zwiniętą kartkę, otworzył ją i przeczytał:

*Powiedziałeś: rób, co chcesz, więc robię.*

*Jadę na Śląsk, szukać Ecika, wierzę, że wróci.*

*Ala.*

Po posprzątaniu mieszkania pojechali do Staśka po kasetkę i otworzyli ją. To, co miało im ustawić życie, było zapisaną drobnym maczkiem listą żołnierzy AK, którym w tym rejonie wydano legitymacje. Wtedy miały im dać prawa kombatanckie i miejsce w stalagu albo oflagu, a nie na robotach, a dzisiaj mogły być biletem na Syberię. Złota nie było, kasetka miała grube ścianki i sama w sobie była ciężka.

Poszedł na Zachodni, ale pociąg na Śląsk już odszedł, spóźnił się o godzinę. To wszystko nie miało sensu, ale mógłby się chociaż pożegnać, chyba zrobił się sentymentalny.

## **Polska, gdzieś między Piłą a Wrocławiem**

Szli na południe, bo tam zdaniem Mingego dołączą do oddziałów, które jeszcze stawiają opór Armii Czerwonej. Czemu nie do Berlina? Bo musieliby przejść przez Odrę, bliżej jest Wrocław, który już w sierpniu ogłoszono twierdzą. Z każdym kilometrem dowiadywał się o nich coraz więcej.

Minge, Ast i Müller mieli imponujące kariery. Zaczynali od koordynowania i wykonywania najbrudniejszej roboty, jaką było aresztowanie, a następnie wymordowanie Ślązaków, którzy opowiedzieli się za Polską. Zaraz po wkroczeniu do Katowic zaczęły się czystki i egzekucje, ale to była tylko przygrywka do tego, co działo się rok później.

Minge nie afiszował się z tym przy Kowolu, którego tolerował z konieczności. W końcu w każdej chwili mógł go poświęcić, jak współtowarzyszy z wagonu kolejowego. Był mu potrzebny, bo znał polski, czuł do niego wstręt, ale taktycznie starał się być uprzejmy, bo teraz od tego renegata zależało jego życie. Nadal był zwykłym podoficerem Wehrmachtu, choć wydawało się, że



Kowol wie swoje, ale udaje głupiego. Nie było innego wyjścia, grali przed sobą, szli na kompromisy, bo byli od siebie zależni.

Dalsza część szlaku morderczo-bojowego Minge i spółki także nie nadawała się dla uszu Ślązaka. W 1940 roku przerzucano ich do Francji, była to naturalna kolej rzeczy, bo Minge był Alzacyjny, który pochodził ze Strasburga. Po wielkiej wojnie i haniebnym wersalskim pokoju jego rodzina przeprowadziła się do Niemiec. Nie od razu, ale po czasie, który wystarczył na to, by perfekcyjnie władał francuskim i zdążył znienawidzić Republikę za to, że odebrała pradawne niemieckie ziemie. Wyrównał sobie wszystko zimą na przełomie roku 1941 i 1942, kiedy to przystąpiono do akcji *Nacht und Nebel*.

– *Nacht und Nebel, niemand gleich*<sup>[27]</sup> – zanucił Minge, diabolicznie się uśmiechając. – Lubisz Wagnera?

Musiał lubić, bo każdy szanujący się Niemiec z aspiracjami musiał znać ulubionego kompozytora Führera.

– Oczywiście – powiedział, żując skórkę chleba, która była ich dzisiejszą kolacją. – To przecież ze Złota Renu, to partia karła Alberyka. Alberyk i jego magiczny hełm!

– Brawo, zaimponowałeś mi! – niemal wykrzyknął Minge. – Nie spodziewałem się tego po policjancie, proszę, proszę. – Poklepał go po ramieniu.

– Po oficerze policji – sprostował. – Nie będę ci wmawiał, że wachmistrz, nawet w Kripo, zna na wyrywki Wagnera, tak jakbym żądał tego od twojego Müllera.

– O nie! Nie, nie, nie! – ożywił się Sturmbannführer Minge. – Hauptscharführer Müller był koneserem muzyki Richarda Wagnera. Czy ty wiesz, że ten skurwysyn uwielbiał przesłuchiwać przy dźwiękach opery? Ależ on kochał *Cwał Walkirii*!

Urwał, bo wrócił Kowol. Ale reszty nie musiał już opowiadać, bo Duch doskonale wiedział, czym były dekret oraz akcja Noc i mgła. W grudniu Keitel<sup>[28]</sup> podpisał tajny dekret, który miał re-

alizować plan Hitlera. Polegał on na aresztowaniu i wysłaniu do obozów antyfaszystów i konspiratorów z Europy Zachodniej. W ten sposób chciano sobie zabezpieczyć spokój na tyłach przed kolejnym uderzeniem, tym razem na wschód i Bałkany. Ludzie, tak jak wagnerowski karzeł Alberyk, mieli się rozpływać we mgle, a odnajdować w obozach koncentracyjnych. Niemiecka precyzja i organizacja oraz nazistowska bezwzględność. Sturm-bannführer Oskar Minge był dumny, że był częścią tej morderczej maszyny.

## VIII PIEKŁO I NIEBO

**24 kwietnia 1945 roku**  
**Okolice Puław, Sachalin, przysiółek wsi Cezaryn**

**S**tali na leśnej polanie opodal przysiółka Sachalin i palili papierosy, wspólnie, razem, berlingowcy w polowych rogiatywkach i Sowietci w furażerkach. Wszyscy z peemami i granatami, ponad trzydziestu ludzi uzbrojonych po zęby. Niektórzy mieli po dwie pepesze i dodatkowe pistolety, była też skrzynia z bronią i amunicją, a w niej steny, szmajsery i parabelki, czyli to, co odebrano leśnej bandzie. Radziecki leutnant dał sygnał i zapakowali się do potężnych, amerykańskich studebakerów. Wśród wsiadających wyróżniało się sześciu, którzy byli ubrani w mocno nieregulaminowe polskie mundury. Nie dość, że dowolnie łączyły się one z niemieckimi i cywilnymi elementami wyposażenia, to na dodatek byli brudni jak może być brudne przegrane wojsko.

– Major Igołka *gatow?* – spytał leutnant, a sowiecki major dał znać ręką, że tak i wsiadł do ciężarówki. – *Nu, rebiata, pajechali!* – krzyknął leutnant, stojąc na progu szoferki studebakera i machnął ręką w kierunku drugiego, bliźniaczego pojazdu, po czym dodał po polsku: – *Jedziemy chłopcy!*

Siedzący w drugiej szoferce major spojrzął na zegarek, dochodziło pół do trzeciej po południu, wszystko o czasie i dokładnie, bo przecież leutnant był przed wojną urzędnikiem pocztowym. Złożony z dwóch pojazdów konwój pędził leśną drogą, bo na miejscu mieli być za pół godziny. Potężne koła amerykańskich olbrzymów z łatwością radziły sobie z nierównościami naj-

pierw leśnych duktów, a później polnych dróg. Po kilkunastu minutach dojechali do szosy na Puławy, która też nie była żadną porządną drogą, minęli Wronów, wszystko szło jak trzeba, czyli *wsio w pariadkie*.

Siedzący na pakach ludzie podskakiwali, obijali się o burty, ale co tam – w końcu byli połączoną we wspólnej akcji elitą NKWD i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, specgrupą operacyjną, która miała zrobić porządek z trzęsącą województwem lubelskim bandą Orlika. Ich bezkarność zdenerwowała ważnych ludzi w Lublinie i Warszawie, więc ustalono, że stworzy się niemal partyzancki oddział specjalny, złożony z żołnierzy polskich i radzieckich, a dowodzony, rzecz jasna, przez sowieckiego majora. Było to oczywiste, bo przecież niemal wszyscy wyżsi oficerowie w Ludowym Wojsku Polskim przyjechali z Rosji. Porucznicy, kapitanowie, owszem, byli Polakami, ale od majora wzwyż przeważali oficerowie Armii Czerwonej. Niekiedy nawet urodzeni w Polsce, czasem mieli dziadków Polaków, ale często nic ich z Polską nie łączyło i z trudem mówili w języku swoich żołnierzy. Ważne było, żeby kapitanowie i porucznicy zrozumieli. Akurat major, leutnant i jego zastępca mówili po polsku doskonale, aż dziwne, że ich nie awansowano i nie wysłano do polskiego wojska, by służyli jako Polacy. Widocznie najbardziej potrzebni byli tam, gdzie służyli teraz, gdzie sprawdzali się doskonale. Dopiero co rozbili jedną z mniejszych band należących do grupy Orlika i konwojowali jeńców do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Puławach. Ci na miejscu się zdziwią, bo nie byli przygotowani na nowy półów. Wszystko przeprowadzono tajnie, bo jakżeby inaczej, skoro leutnant wiedział to, czego nie wiedzieli towarzysze z puławskiego UB. A nie wiedzieli, że dwóch cywilnych pracowników urzędu pracuje dla Referatu II Inspektoratu Delegatury Sił Zbrojnych Puławy. DSZ? Szto eta? Eta prosta Armia Krajowa, która się niby to rozwiązała, ale walczyła dalej. Macki dawnej

AK sięgały daleko, więc wszystko miało być niespodzianką, żeby nie poszedł cynk. Przyjmą ich z otwartymi ramionami, bo wiadomo, że język to podstawa walki z partyzantką i podziemiem. Z szczęściu na pewno ktoś się złamie i wyśpiewa co trzeba. Adresy, kontakty, punkty zborne, leśne bunkry. Reszta pójdzie jak po maśle!

Z każdą minutą było bliżej, ciężarówki wjechały do miasta, w którym wciąż było widać ślady ciężkich walk, które toczyły się tu w 1944 roku. Miasto nadal wyglądało jak strefa przyfrontowa – regularne oddziały sowieckiej piechoty, jak w każdym powiatowym mieście kompania NKWD, lubelskie wojsko i KBW, UB i milicja. Razem jakieś trzy tysiące ludzi, jeśli by wliczyć w to rekonwalescentów i tabory. Włączyli się w gęstniejący ruch, bo popołudniami główne ulice Puław zapełniały się gazikami, ciężarówkami i wozami pancernymi grup operacyjnych, które po wykonanej w terenie robocie wracały do koszar. Pozdrawiali się, machali do siebie rękami. Było miło, choć na pewno nie tym szczęściu, którzy nie mieli ochoty nikogo pozdrawiać.

W końcu zajechali pod piętrowy budynek Urzędu Bezpieczeństwa, który wyglądał jak mała twierdza otoczona murem, z zasiekami z drutu kolczastego i wartownikami patrolującymi wjazd i wejście. Wzmocnione workami z piaskiem okna piętrowego urzędu były stanowiskami strzeleckimi, gniazdami karabinów maszynowych. Wjechali za wysoki mur, bo radzieckie studebakery stanowiły najlepszą przepustkę i dopiero przed samym wejściem do budynku doszło do formalności. Strażnicy i oficerowie, którzy wyszli z budynku, chcieli wiedzieć, kto i kogo prowadzi, choć wydawało się, że wszystko jest jasne, bo z pierwszej ciężarówki wyskoczyło kilkunastu ludzi w mundurach LWP, którzy kopniakami i szturchańcami pognali w kierunku wejścia szczęściu mocno wystraszonych brudasów w obdartych mundurach.

– Ruszać się, skurwysyny, ręce za głowę, no już, kurwa, już! – warknął polski sierżant, popychając kolbą jednego jeńców.

– *Nu dawaj, dawaj* – ponaglał ich sowiecki major i dał jednemu z jeńców soczystego kopa w pośladki.

Rozbawiło to oficera KBW z oddziału, który osłaniał siedzibę UB. Porucznik podszedł w ich stronę lekko rozkołysanym krokiem.

– *Zdraw, towarzysze!* – Był Polakiem, ale pozwolił sobie na odrobinę bezpośredniości, widząc jedynie leutnanta. Po chwili, wychwyciwszy wzrokiem idącego za nim majora, usztywnił się i zasalutował.

– Spec grupa operacyjna KBW wspierana przez nas i pod naszym dowództwem – wyjaśnił leutnant i najwyraźniej zadowolilo to porucznika. Wtedy z budynku wyszedł kapitan NKWD, który przyglądał się rodakom z uwagą, jakby czegoś szukał.

– *Kto eta?* – zapytał.

– Banda Orlika – odpowiedział mu sowiecki major.

– A wy kto?

– Ja major Igołka! Specgrupa enkawede i KBW!

Sowiecki oficer uśmiechnął się, ale nagle przystanął. Igołka? *Kakij czort!* Do tego major, a majorów nie jest w tej okolicy tylu, żeby ich wszystkich nie znać!

– *Kamandir! Pojdite sa mnoj!* – rozkazał, mimo że był niższy stopniem, a do reszty powiedział: – *Ostalnyje ostanutsja zdies!*

Konwojenci i jeńcy nie zatrzymali się jednak, a zza majora wyłonił się inny, który miał w ręku kolta. Sowiecki oficer wiedział już, że dziwny akcent, który usłyszał w słowach „Ja major Igołka! Specgrupa enkawede i KBW!”, nazwisko majora i zupełnie nieznaną, mieszaną specgrupą były więcej niż podejrzane. Nie zdążył wyciągnąć nagana z kabury, bo kule z kolta pozbaWiły go życia. Strażnicy opuścili broń, za to w rękach jeńców po-

jawiły się steny i szmajtery, z tyłu budynku inna grupa obezwładniła zaś strażnika, który prowadził ją do latryny. Trwała zażarta walka. Ubecy i Sowieci z NKWD bronili się na piętrze, ale piwnice i parter były opanowane przez leśnych, którzy łomami wyważali drzwi do cel. Kilka minut później zaskoczonym więźniom zasalutował sowiecki leutnant.

– Major Orlik, Delegatura Sił Zbrojnych, są panowie wolni!

Więźniowie zostali wypuszczeni z cel, ale wolni jeszcze nie byli. W budynku i wokół niego trwała walka. Wymiana ognia była ostra, na górze wciąż bronili się ubecy, żołnierze KBW i Sowieci. Z piętra i dachu szedł ogień z peemów i kaemów, kule waliły w ściany, świstały przeraźliwie i rykoszetowały. Kilku ludzi Orlika ciągnęło w kierunku ciężarówek rannego w brzuch kaprała Longinusa<sup>[29]</sup>. Ratowali kolegę, narażając życie, ale na szczęście ogień z karabinu maszynowego szedł jednak na oślep, bo leśni nie dawali obrońcom ubeckiego urzędu chwili wytchnienia. Więźniowie rozbiegli się, uciekli w kierunku miasta, wykorzystując bezradność ubeków. Obie strony – atakujący i obrońcy – szachowały się, kładąc na siebie ciężki ogień broni maszynowej, ale czas pracował tylko dla tych drugich. Niedaleko były koszary i inne posterunki, prawie trzy tysiące ludzi, w tym kompania NKWD. Drzwi urzędu były pod ostrzałem, do obrońców dołączyli się Sowieci, którzy zaczęli pruć z cekaemu ustawionego na dachu swoich koszar. W środku było jeszcze kilkunastu więźniów i grupka żołnierzy Orlika. Sytuacja z patowej przechodziła w dramatyczną. Kapralowi Nieczui, który ostrzeliwał ubeków i Sowieców, zaciął się erkaem. Do budynku, nie bacząc na ogień i niebezpieczeństwo znalezienia się w śmiertelnej pułapce, wrócił porucznik Świt. Wyciągnął zawleczkę, zamachnął się i rzucił grantem. Rozległy się huk i przerażający krzyk. Rzut był celny, zatem odskok!

Wskoczyli do studebakerów, które ruszyły przez bramę. Po ciężarówkach szły kule, walili obrońcy urzędu i Sowieci z koszar. Jedna z serii poszła po brezentowej budzie, kapral Żaba<sup>[30]</sup> zginął, a dwóch leśnych i dwaj więźniowie zostali ranni. Stojący na stopniach studebakera kapral Igołka trzymał fason, wciąż ubrany w mundur sowieckiego majora machał pepeszą w kierunku koszar. Ogień na chwilę ustał, ale nie wiadomo było, czy dlatego, że obsługa cekaemu zobaczyła radziecki mundur, czy bała się trafić odsiecz, która jechała z koszar. Igołka kazał kierowcy zwolnić i kiedy mijali się z pierwszym autem sowieckiego konwoju, wydarł się:

– *Tawariszczi! Poliaki naszych bjut!*

Studebakery wyrwały w kierunku wyjazdu z miasta, a Sowieci zaczęli okładać ogniem budynek Urzędu Bezpieczeństwa. Po kilkunastu sekundach strzały umilkły. Sowieci się zorientowali, że ładują w sojuszników, teraz ruszy pościg. Kierowcy pędzili na złamanie karku, bezpieczna odległość była tuż, wtedy odezwały się moździerze, z koszar poszła salwa, na szczęście ładowali na ślepo, kolejna też nie trafiła, przed następną byli już w lesie.

W bazie zrobili bilans akcji: uwolnili ponad stu więźniów, zabili około dziesięciu ludzi wroga, wyrwali się z okrążenia, w które sami wjechali. Mieli jednego zabitego, jednego ciężko ranego i kilku lżej, którzy nawet w połowych warunkach powinni szybko dojść do siebie.

– Dobra robota, kapralu! – Orlik uściśnął dłoń Igołce.

– Dobra, ale Longinus nie przeżyje – odpowiedział kapral ściszym głosem.

– Wiem o tym, ale umrze wolny. Nawet miesiąc na wolności się liczy, dla niego na pewno.

Igołka pokiwał głową. Kapral Feliks Tymoszuł był z nimi ledwie miesiąc, dołączył do nich po tym, jak uciekł z obozu NKWD



w Skrobowie.

– Też bym tak wolał – powiedział Igołka. – Mogę już chyba zdjąć ten ruski mundur? – zapytał.

– Możesz, ale nie wychodź z wprawy, pewnie jeszcze nieraz się przyda.

Igołka zasalutował po polsku, dwoma palcami do ruskiej czapki, i uśmiechnął się, bo wiedział, że po tej akcji będą robić następne – jak zginąć, to na wolności.

**29 kwietnia 1945**

### **Warszawa, gdzieś na Ochocie, mieszkanie konspiracyjne**

Nie wyglądali na wojskowych, raczej na urzędników albo nauczycieli. Nawet pułkownik Radosław wyglądał jak księgowy, który referuje coś członkom spółdzielni lub dyrekcji przedsiębiorstwa, tymczasem w powstaniu dowodził jednym z najsilniejszych zgrupowań, które nazwano jego imieniem. Był to nie lada honor, bo miał pod sobą same doborowe oddziały, złożone z kedywiaków i akowców z Wołynia, niektóre z nich jeszcze przed powstaniem były już legendą. Teraz Radosław nią był, później został delegatem na Obszar Centralny Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, a więc jedną z najważniejszych osób w konspiracji. Chociaż przeszedł ze swoimi ludźmi przez Wolę, Starówkę i Czerniaków, chociaż walczyli jak diabły i wciąż, mimo strat i przewagi Niemców, stanowili zwartą grupę, teraz czuł, że jego możliwości jako dowódcy się wyczerpują, że może trzeba poszukać kontaktu i ustalić warunki kapitulacji. Ratować, co i kogo się da? Pięknie się bili w powstaniu, ale wytracili połowę najlepszych ludzi, a gdyby wtedy nie ruszyli, jaki byłby bilans wojskowy, polityczny i ludzki? Stało się to w marcu, kiedy na początku miesiąca Sowieci zupełnie przypadkowo zatrzymali

generała Nila, a niespełna trzy tygodnie później aresztowali szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Powinien, ale nie mógł ich odbić, sowiecka przewaga była zbyt wielka, a do tego czuł, że są spenetrowani przez wrogi wywiad. Szesnastu natychmiast wywieziono do Moskwy, ale Nila chciał uwolnić.

Skończyło się na planach i smutnej konstatacji, że w Warszawie i okolicach nie było uzbrojonych i zorganizowanych ludzi, by zaatakować obóz NKWD w Rembertowie. Centrum Polski zostało oddane Sowiecom, walczyła partyzantka na Lubelszczyźnie, tam były lasy, a oddziałów nie wykrywali udział w powstaniu. NSZ-owcy z okolic Mińska i Siedlec chcieli pokazać, że się da, ale po rozpoznaniu spasowali. Obóz chcieli też zaatakować ludzie z dawnego Obwodu AK Mińsk Mazowiecki, zgłosili gotowość, bo zamierzali odbić swojego kolegę, podporucznika Kozuska. Szaleństwo, ale skoro udało się oddziałowi Orlika...

## **Dolny Śląsk**

Ten Müller to bandyta i skurwysyn, ale i doskonały żołnierz. Kiedy zbliżali się do Wohlau<sup>[31]</sup>, wpadli na ruski patrol, Ast dostał serię, a Müller został ranny. Nie mógłby dalej iść, bo seria poszła po nogach, został więc i osłaniał ich ucieczkę. Dzięki niemu żyli i szli dalej, już tylko we trójkę i z coraz większym trudem. Ale stawali się jednością, zbliżały ich do siebie każdy przebyty kilometr, każda kolejna, brawurowa ucieczka, każdy cudem zdobyty i łapczywie zjedzony posiłek. Każdy dzień zbliżał ich do siebie, jak pewnie zbliżał tych, którzy wspólnie marzli i walczyli w okopach Stalingradu. Zbliżał Ducha i Mingego, bo przecież Ślązak Kowol był tylko szeregowcem. Historie opowiedane przez esesmana czyniły go z każdym kolejnym ich rozdziałem coraz większym herosem, kimś z epickich oper Wa-

gnera. Duch musiał przyznać, że dokonania tego rzeźnika były imponujące i wymagające nie tylko morderczego instynktu, lecz także odwagi. Chełpił się swoimi osiągnięciami, a najbardziej dumny był ze wstąpienia do Dywizji Brandenburg, elity niemieckiego wojska, której żołnierze, najlepiej wyszkoleni i wyposażeni w całej Rzeszy, realizowali zadania wyznaczone przez Abwehrę.

– Byli doskonali, choć to nie było SS, ale latem czterdziestego czwartego, tak jak cała Abwehra, także i oddziały Brandenburg znalazły się we właściwych rękach.

I na tym urwał, jak prawdziwy Niemiec, który mówiąc o życiorysie Wagnera, dochodzi do momentu, w którym mężem jego matki zostaje aktor Ludwig Gayer, Żyd z pochodzenia, a jak twierdzili inni Żydzi, komuniści i liberałowie, także ojciec wielkiego Richarda. O takich rzeczach się nie tylko nie mówi, lecz także nie myśli, podobnie jak o tym, czym zajmowała się Dywizja Brandenburg i jej oddziały. Akcje na tyłach, sabotaż, kompanie i bataliony złożone z Niemców wychowanych w innych krajach, cudzoziemskie zespoły bojowe, specjalne oddziały złożone z alpinistów i narciarzy, wreszcie słynni Fallschirmjäger, którzy posłużyli zazdrosnemu SS jako wzorzec do stworzenia oddziałów Ottona Skorzenego. Czym się mogli zajmować teraz, kiedy wszystko szło w rozsypkę? Obroną najważniejszych odcinków, sabotażem, wyciąganiem z opresji grubych ryb, tak jak to Skorzeny zrobił z Mussolinim? Wszystkim, co było ważne dla upadających Niemiec, wszystkim, także tym, co nie mieściło się w granicach zdrowego rozsądku. On najlepiej wiedział, że za niemieckim porządkiem i precyzją kryło się szaleństwo napędzane przez zemstę, manię wielkości, legendy oraz narkotyki. Na narkotykach się trochę znał i miał wrażenie, że Minge jest na głodzie.

## Niemcy Stalag XI A Altengrabow

W kwietniu było jasne, że to koniec hitlersynów, że Sowieci i alianci miażdżą ich, pętla się zaciska. Wydawało się, że Niemcy już robią w portki, ale okazało się, że jednak potrafią jeszcze zdążyć do kibla. Dwudziestego piątego kwietnia alianci dokonali zrzutu skoczków, żeby wyzwolić ich obóz, z tym że wszystko poszło nie tak i zamiast wziąć stalag, sami dostali się do niewoli. Ich dowódca zachował się jednak przytomnie, nie położył uszu po sobie. Wezwał komendanta obozu pułkownika Ochernala i przemówili mu do rozumu. Nawiązano łączność z alianckim sztabem. Trzeciego maja, w święto narodowe, do obozu zajechało ze sto amerykańskich pojazdów, wielkie ciężarówki i ambulansy medyczne. Ciężarówki przywiozły racje żywnościowe i miały ewakuować jeńców. Każdy żywił nadzieję, że zaraz się stąd wyrwie, opuści to straszne miejsce. Trwał radosny karnawał, który obserwowało kilkudziesięciu korespondentów wojennych. Cykali fotki, robili notatki, kręcili filmy. Po prostu Ameryka! Ruszyły pierwsze transporty na zachód. Oczywiście najpierw zapakowali się Amerykanie i Francuzi, których spadochroniarze mieli wyzwalać obóz, no i, rzecz jasna, Brytyjczycy, a po nich Belgowie. Oni mieli pierwszeństwo, reszta czekała. Dlaczego ewakuować? Bo szli Sowieci.

## Warszawa

W końcu Warszawa! Jechała z nadzieją, ale i ze ściśniętym gardłem. Co tam zobaczy, czy kogoś spotka, czy miasto rzeczywiście jest zniszczone, tak jak mówią i pokazują na filmach? Wyjeżdżała z Warszawy w listopadzie, słyszała wybuchy, widziała unoszące się dymy, wiedziała, że Niemcy wysadzają domy, ale

czy możliwe, by z resztą miasta zrobili to samo co z gettem? No i Rybski. Czy żyje? Czy jest zdrow? Ostatni obraz, jaki jej utkwił w pamięci, to słaniający się na nogach, obszarpany Rybski, który uciekał w głąb parku Skaryszewskiego. Na pewno wtedy uciekł, ale co dalej? Strasburger, Rybski... czy któryś z nich żyje? Czy się spotkają? Jaką ma przyszłość, czy istnieje dla niej inny świat poza Wielopolem? Zakorzeniła się tu. Wsiąkła w Kraków i namawiała Leszka, żeby załatwił sobie tu pracę. W końcu był w ministerstwie, dobrze znał Rzymowskiego, razem by sobie dali radę, ułożyli życie, czekając na coś, co nigdy nie przyjdzie, na swoich mężczyzn. Ale jej mężczyźni pewnie nie żyli, a ci jego – tak jak on – nie mieli prawa żyć.

Do Warszawy pojechała z krakowską delegacją na otwarcie wystawy w Muzeum Narodowym. *Warszawa oskarża*, taką jej dano nazwę, a ekspozycję przygotowało Biuro Odbudowy Stolicy. Wcześniej w Romie odbyło się posiedzenie Krajowej Rady, na które miało zdążyć kilku lubelskich oficjeli, więc musieli wyruszyć nocą. Pociąg włókł się niemiłosiernie, ale atmosfera była dość wesoła, trochę wódki, ktoś miał jakieś słodyczne, było ciasno, ale swojsko.

Kiedy dojechali na Dworzec Zachodni, przesiedli się w ciężarówkę, które miały ich obwieźć po mieście. Poczuli ukłucie w sercu, kiedy w morzu ruin zobaczyła samotną wieżę kościoła z Nowolipek. Ola doskonale go znała. Trudno było Żydówce nie znać jedyne go katolickiego kościoła, który stał w getcie. Cały czas urzędowali tam dwaj księża Polacy oraz Andrzej Marek, żyd który się ochrzcił, ale nie przestał być Żydem. Marek tworzył filmy i sztuki w jidysz, a w kościele urządził teatr. Takich miejsc się nie zapomina. Ciężarówka dojechała na plac Zamkowy, pod ruiny zamku i szczątki kolumny Zygmunta. Z wysokości skarpy było widać pozostałości mostu Kierbedzia. Jego pierwsze przęsło stało jak jakieś molo albo pomost, reszta leżała

w rzece. Najbardziej ze zwałów lodu i śniegu wystawało półokrągłe przęsło, jedno z dwóch dosztukowanych przez Niemców po wysadzeniu mostu przez Rosjan w 1915 roku. A teraz to pewnie jakiś inżynier z Moskwy przyjedzie go odbudowywać. Oby z takim zapałem, z jakim jego rodacy urządzają po swemu Polskę. I oby lepiej niż oni!

Weszła w jakiś letarg, z którego wyrwał ją Leszek. On też był na otwarciu wystawy, przyjechał prosto z kościoła. Zaskoczyło ją to, mówił przecież, że jest antyklerykałem i ateistą, ale okazało się, że musiał być u karmelitów, bo tam sprawowano oficjalną trzeciomajową mszę, na którą przyszły władze z prezydentem Bierutem na czele. Leszek był jakiś sztywny, oficjalny, jakby sparaliżowany obecnością tego buhaja Sawickiego. Ten aparatczyk dziwnie się uśmiechał na jej widok, rzucał półsłówkami, pewnie Leszek powiedział mu, że chcą wziąć ślub. Kiedy Sawicki zostawił ich samych, Leszek ścisnął ją za dłoń i powiedział:

– Nie mogę wyjechać z Warszawy, nie puszczą mnie.

Czuła, że to Sawicki go nie puszczal, ale nie rozumiała dlaczego. Wróciła do Krakowa przepełniona smutkiem i nie wiedziała, czy to zasługa dziwnego zachowania Leszka, czy też tego, co zobaczyła w Warszawie.

\*\*\*

*Chyba to wszystko zagasiłem – pomyślał Sawicki. Wybiłem mu to białe, nieperspektywiczne małżeństwo z głowy. Chciał się, durak, do Krakowa wybierać, jak mi tutaj jest potrzebny. Tu są pierwszorzędni aktorzy, literaci, tu się toczyć będzie życie, a on by mu pierdoły z Czytelnika podsyłał. Czytelnik to Borejsza, Borejsza to Benjamin Goldberg, a jego brat to Józef Goldberg, czyli Różański, figura w resorcie! Musiałby się z chujem na głowy zamienić, żeby się w takie rzeczy bawić. Ma człowieka w minister-*

stwie, zastraszonego, zblatowanego jak należy, więc nic mu tutaj Lesio nie będzie zmieniać.

Jak go docisnął, to mu jeszcze powiedział, że Aleksandra Fuchs miała przed wojną faceta, który był ważniakiem w policji, a za okupacji zamienił go na wachcie jego dawny podwładny. No pikantne, ale na co mu to? Lepiej niech opowiada o nastrojach w ministerstwie, w teatrach, wśród literatów, o tym, kto z kim, żeby potem można było jak on do niego zagadać do delikwenta „opowie mi pan o swojej tajemnicy?”. Tak z głupia frant rzucić, a zainteresowany opowie o wszystkim innym. To oczywiście niejedyny temat, bo ludzie mają wiele do ukrycia, a chodzi o to, że jeśli już wiemy, co ukrywają, to trzeba ich tak pokierować, żebyśmy poznali sekrety innych, dowiedzieć się czegoś nowego, a jak już się zbierze cały temat, to wtedy coś z tym można zrobić. Załatwi mu jakąś sekretarkę, taką, która wyjdzie za niego za męża, a z nim, Sawickim, będzie sobie dogadzać, żeby jej się w małżeństwie nie nudziło. Bardzo mu się ten pomysł spodobał, trzeba będzie zorganizować, ten, no... szukał tego burżuazyjnego słowa z imperialistycznego kina, które mu niedawno powiedział Lesio. O! ma – to casting! Więc robi casting na sekretarkę dla pana starszego referenta Peca. A może wkrótce prezesa czy dyrektora? Trzeba go gdzieś w jakimś teatrze czy innej centrali obsadzić, ale za jakiś czas, jak zasłuży, i z głową, żeby on, Włodek Sawicki, miał coś z tego i rozwijał swoją siatkę.

**9 maja 1945**

**Warszawa**

Nie bądź frajer, mówili, zostań z nami, Amerykanie werbują!

Werbowali.

Dawali mundur.

Karmili.

Dawali żołąd.

No i można było dalej służyć w wojsku! Wojna się jeszcze nie skończyła, bo kto poznał Sowietów, ten wiedział, że na tym nie poprzestaną. Na pewno będzie ciąg dalszy, musi być! Nadciągali ludzie z Polski i mówili, co się dzieje. A działa się jak za Niemca! Łapanki, egzekucje, więzienia, przesłuchania, obozy i wywózki. Niby jakaś amnestia była, ale po tym, co się zdarzało wcześniej, to nie było mowy, żeby wierzyć w takie banialuki!

Rodzina wyginęła, miasto spalone, rządzą Ruskie i ich polscy wspólnicy, nie ma więc po co wracać. Po stokroć lepiej było tutaj, w Reichu, w służbie amerykańskiej. Służbie jak marzenie!

Bo co fajniejszego od pilnowania szkopów? Rozwalanie szkopów, najchętniej tych z SS, a dla urozmaicenia z Ukraińcami i Ruskami, którzy u nich służyli – tak mówił sierżant Wilk. Rodzinę mu na Woli wymordowali, a na Starówce i Powiślu rozwalili kumpli i sanitariuszki. Granaty wrzucali do piwnic i strzelali do rannych, skurwysyny. Ale o rozwalaniu, o rewanzu nie było mowy. Niemców mieli tylko pilnować i nie zanosilo się, żeby doszło do czegoś takiego, co zrobili Amerykanie w jednym z obozów. Podobno kiedy wyzwolili koncentrak w Dachau, kiedy zobaczyli więźniów i popalone ciała, to wywlekli szkopów, dawaj ich pod ścianę i jechali, póki ktoś ich z samej góry nie zatrzymał. Nie mówiło się o tym, ale jeden chłopak, który był Żydem, dopytał jakiegoś Żyda, który był Amerykaninem, a ten mu powiedział. Ponad pół tysiąca wachmanów rozwalili! I dobrze! Podobno ten oficer, co to zarządził, był.. Indianinem! Od tego czasu amerykańskie wojsko pilnowało, żeby nie było powtórki.

Teraz „inteligentni”, znaczy się oficerowie z Intelligence, czyli wywiadu, przesłuchiwali jeńców i szukali wśród nich zbrodniarzy. Co dziesiąty spokojnie się kwalifikował, żeby takim go



uznać, a wśród esesmanów to każdy. I każdy Ruski i Ukrainiec. Mówiło się, że Niemcy to im się jeszcze przydadzą, jakby wojna miała ze Związkiem Radzieckim wybuchnąć. Nie Amerykanie mówili, ale nasi. Mogliby się wzajemnie pozabijać i byłoby gites, z tym że ci Ruscy i Ukraińcy, którzy byli w alianckiej niewoli, to już byli w trumnach, a w zasadzie dołach z wapnem. Amerykanie wydali ich Stalinowi, a wiadomo już, co ten z nimi zrobił. Tak czy owak, byli jeńcy do pilnowania, czyli coś, o czym się marzyło przez całą okupację, a na co pod koniec powstania straciło się nadzieję. Fajne mundury, na nogi solidne saperki, do jedzenia wołowe konserwy, do tego peemy i karabiny, amunicja, dach nad głową. No i najważniejsze, Niemcy za drutami, czyli żyć nie umierać! Tylko że on miał sprawę do załatwienia. Kole-dzy chcieli na siłę go zatrzymać, podstępem. Ale jakiś oficer go zobaczył i powiedział, że on na leczenie do Włoch się kwalifi-kuje, a on na to, że uprzejmie dziękuje, bo ma akuratnie tam, we Włochach właśnie, wojskową sprawę do załatwienia, ale nie dodał, że Włochy, te włoskie, gdzie się miał leczyć, mu nie pa-sują, bo jemu pilno było do tych Włoch pod Warszawą. Więc ru-szył sam, na rympał, jak to tylko on potrafił, najpierw z jakimiś Ruskimi ciężarówką do Berlina. Pół dnia się tłukł, ale było warto, pięknie się patrzyło na te dymiące ruiny, szwabskie trupy i kolumny jeńców. Złapał kontakt z polskim wojskiem, na-wet chłopaków z powstania spotkał i oni mu pomogli, gdzieś go skitrali z jakimś transportem i tylko mówili, że jakby co, to z żadnej niewoli, broń Boże nic o AK, tylko że z robót wraca do domu. No i się udało – piechotą, ciężarówkami, na dachu wa-gonu, furą, a w końcu wagonem towarowym dojechać do War-szawy. Kiedy wysiadał na Zachodniej, zaczęła się kanonada. Nikt nie wiedział dlaczego, ale szybko się okazało – Niemcy pod-pisali kapitulację! „Koniec wojny!” – krzyczeli ludzie, rzucając się sobie w objęcia, ale dla Liska wojna nadal trwała, musiał za-kończyć swoją misję.

## 15 maja 1945 Dolny Śląsk

Minęli bokiem Wrocław, chociaż to miał być ich cel, i stało się to, zanim padła Festung Breslau i zanim skapitulowała Rzesza. Duch miał wrażenie, że od początku Minge sterował w innym kierunku, o ile w ogóle miał jakiś plan, bo z dnia na dzień stawał się coraz bardziej nerwowy i nieobliczalny. Na leśnym postoju, kiedy wysłał Kowola po jedzenie, wycedził:

– Dalej idziemy bez niego! Zlikwidujemy tego renegata, kiedy nie będzie nam potrzebny. I ty to zrobisz, w końcu jesteś młodszy stopniem – zaśmiał się, ale Duch zrozumiał, że to nie był żart. Trzeba było coś z tym zrobić, zakończyć ten dryf w kierunku Dolnego Śląska. Nie zlikwiduje Kowola, o nie! Żeby się nie zdekonspirować, robił wiele rzeczy, złych i bardzo złych, ale tego człowieka by nie zabił. To nie był jeden z wielu Niemców, nawet nie był jednym ze Ślązaków, którzy bez żalu przyjęli na swojej ziemi zmianę flagi polskiej na niemiecką. Ojciec Kowola walczył w trzecim powstaniu śląskim, a powołano go do wojska nie tylko siłą, lecz także wtedy, kiedy musiano brać takich jak on, czyli renegatów, którzy nie dawali nadziei na to, że kiedykolwiek staną się oddanymi obywatelami Trzeciej Rzeszy. Pod nieobecność Minge rozmawiał z nim najpierw po niemiecku, a kiedy się bardziej otworzył, po polsku.

Kiedy Kowol wrócił, a Minge się najadł i poszedł za potrzebą, Duch nachylił się do Ślązaka i szepnął mu do ucha:

– Wiluś, to dzisiaj!

Minge wrócił, a wtedy oddalił się Duch.

– Gdzie byłeś? – krzyknął na odchodne i po chwili dodał: – Żebyśmy nie nasrał na twoje gówno!

– Ha, ha, ha, dobry koszarowy dowcip, ha, ha, ha. – Minge był rozbawiony. – Idź w lewo i zrób ze sto kroków, żebyśmy nie sły-

szał twojej muzyki!

Duch nie zrobił stu kroków, zaczął się i czekał. Czy będzie tak, jak się umówili?

Kowol siedział i patrzył w ziemię, jakby nie mógł się zdecydować, w końcu wstał, ale z powrotem usiadł.

– Przestań się wiercić – burknął Minge.

– Chyba mogę sobie pochodzić, co w tym złego?

– Gefreiter Kowol! – ryknął Minge.

Kowol patrzył na niego obojętnym wzrokiem i zrobił krok w kierunku Minge.

– Wojna się skończyła, nie jesteśmy oddziałem, jesteśmy uciekinierami.

– Cooo?!

– *Hitler kaputt!!!*

Minge ruszył w kierunku szeregowego Kowola.

– Stul pysk, renegacie, jestem oficerem!

– Mam to w dupie!

Minge zamachnął się, chcąc wymierzyć Kowolowi policzek, ale Ślżzak skoczył w jego kierunku z nożem. Minge chciał być szybszy. Nie zdążył, ostrze wbiło mu się w brzuch, oficer złapał nóż, ale nie miał siły go wyciągnąć. Leżał z nożem w brzuchu, a Wilhelm Kowol stał nad nim i patrzył, jakby zdumiony tym, co się stało, jakby to nie on zrobił. Wtedy z krzaków wybiegł Duch, Kowol zaczął uciekać, obaj zniknęli z oczu Mingemu, który zwiąjał się z bólu i przyciskał ręce do brzucha. Do jego uszu dobiegł krzyk Kowola, a później Ducha:

– Podniosłeś rękę na oficera, polska świnió!

Po chwili Minge zobaczył nad sobą jego twarz.

– Sprowadzę pomoc, lepiej nie wyciągać noża... Miałeś rację trzeba go było zlikwidować.

– Za późno – wycharczał Minge. – Ale poderżnąłeś mu gardło?

– Nie, wsadziłem nóż w serce.

– To nie jest proste, to nie jest proste... musisz być dobry!

– A teraz zostawię cię na chwilę, sprowadzę pomoc.

– Nie pierdol, obaj dobrze wiemy, że z tego nie wyjdę, nie ma szans. My frontowcy i praktycy doskonale to wiemy. Tyle akcji, tyle lat i zarznął mnie jakiś szeregowy, i to w Rzeszy, a nie na Kaukazie albo pod Moskwą, zabił mnie skurwysyn, a jeszcze tyle miałem do zrobienia.

– Zrobiłeś więcej niż inni, dostałeś Krzyż Żelazny, odznaczał cię Führer!

– Ale nie dokończyłem misji – głos Mingego zanikał – zawiodłem.

Esesman wyciągnął zakrwawioną rękę do Ducha.

– Dokończysz?

– Ale co?

Minge słabł, odchodził.

– Jak się naprawdę nazywasz, jak masz na imię?

– Tomas.

– Słuchaj, Tomas, słuchaj...

Duch pochylił się nad nim i słuchał, kiedy Minge skończył, jego głowa opadła, a oczy zaszyły mgłą, Duch odwrócił się i machnął ręką, z krzaków wyszedł Kowol.

– I co? – zapytał po polsku.

– Nic mi nie powiedział, same brednie, ale tak czy owak, należało się temu skurwysynowi.

Kowol milczał, przysiadł i patrzył na trupa.

– Nigdy wcześniej nikogo nie zabiłeś?

– Nie miałem zamiaru, zgarnęli mnie, nie chciałem się bić, miałem szczęście się poddać, ale okazało się, że Sowietom nie ro-

zumieją, że wzięli mnie na siłę.

– Ruszaj, idziemy.

– Dokąd?

– Ty na Śląsk, a ja... do domu! Jesteśmy Polakami, którzy wracają z robót przymusowych. Przez jakiś czas będziemy szli razem, nauczę cię, co masz mówić.

– Kim ty jesteś?

– Kimś, kto chce przeżyć wojnę.

– Wojna się skończyła.

– Czyżby? Uciekamy, nie chcemy zostać więźniami, a dzisiaj zabiłeś człowieka, zatem?

– Kim jesteś? – powtórzył pytanie Kowol.

– Ja już sam nie wiem, kim jestem. Jestem duchem.

## **Warszawa, ulica Cyryła i Metodego 4 Stołeczny Urząd Bezpieczeństwa**

Czym to może szeregowy funkcjonariusz Ciechaniak Władysław zawracać głowę z samego rana, zastanawiał się porucznik Czerwik i błyskawicznie dostał odpowiedź.

– Chciałem prosić o przeniesienie.

– A co, źle ci tutaj?

– No dobrze, całkiem klawo, ale...

– Słyszałem, że na Ziemiach Odzyskanych dają domy, że funkcjonariuszy potrzebują.

– To prawda, szczerą prawdą, Ciechaniak, ale... – Porucznik spojrzał na niego z czymś co, mogło być nawet rodzajem troski.

– Czy wy wiecie, że owszem, awans, dom, możliwości, ale... – Znów zawiesił głos. – Tam nie jest lekko.

– A gdzie jest lekko, w Lubelskiem? Tam bandy są, nawet KBW nie daje rady.

– Ale tam to mniej więcej wszystko jasne. Leśni, NKWD, KBW, my... no i milicja. Bałagan, ale jakoś się go ogarnia. Jeszcze łatwiej w Warszawie. A tam? – Pokręcił głową. – Tam na razie bida i prywatnie powiem, że ryzyko jak psia mać. Werwolf. Słyszałeś? Nie słyszałeś. Niemieckie bandy, esesmani, gestapowcy, całe sfory pochowane po lasach. Dzieje się tam.

Wydawało się, że porucznik skończył, ale jakby po zastanowieniu pociągnął swoją mowę.

– Bogactwa tam są. Poniemieckie złoto, kosztowności, większe niż tu, u nas w Polsce centralnej po Żydach, ale... – Patrzył mu w oczy z powagą i skupieniem. – W zupełnym zaufaniu ci powiem, że słyszałem, że nasi szemrani gorsi niż akowcy z lasów. Bo te bogactwa i tajemnice to sprawiają, że tam jest gorąco. I nasi sojusznicy z Armii Czerwonej też tam dokazują. Wielka tam jest konkurencja, ale z drugiej strony dach nad głową, meble i różne luksusy. Tam gorączka złota jak na jakimś westernie, tyle ci powiem, młody.

– No to mnie obywatel porucznik przekonał – Ciechaniak wyszczerzył zęby w uśmiechu – bo ja cholerycznie wprost westerny lubię. – Zrobił kilka ruchów markujących strzelanie z koltów.

– Pif-paf, pif-paf – odpowiedział na to porucznik i dodał z uśmiechem: – Kozak z ciebie, ale, kurwa, uważaj, żebyś stamtąd w trumnie nie wrócił.

– Czyli mnie pan porucznik puści i zaopiniuje?

– Jasna sprawa, dam ci referencje jak hrabia Potocki najlepszemu guwernerowi!

Ciechaniak nie wiedział, że porucznik potrafi być taki dowcipny i elokwentny. Nie wiedział też, że w trakcie rozmowy zastanawiał się, jak to wszystko rozegrać. Bo z jednej strony Cie-

chaniak był ostry i bezwzględny, a z drugiej ta jego rodzina... Dobrze mieć na kogoś haka, ale czy te haki nie były zbyt oczywiste? Brat przedwojenny bandyta, cała rodzina bandyci, ale w końcu to samo mówiła sanacja o wielu towarzyszach. Przed wojną w więzieniu siedzieć – żaden wstyd. Nawet coś, czym się można pochwalić. Ale ostatnio wyszło małe szydło z worka. Okazało się, że jego kuzyn Ardaniec poszedł na ochotnika do policji i skończył szkołę SS w Rabce. W sumie nikt nie powinien odpowiadać za rodzinę, bo na przykład mówi się, że brat komendanta MO Józwiaka u Andersa jest, ale... Nie wiadomo, co i kto kiedyś wyciągnie. Ten Ardaniec nie dożył końca wojny, więc posprzątany, ale lepiej nie mieć problemów jakby co. Na razie to on nieoficjalnie o tym Ardańcu wie, więc niech sobie Ciechaniak jedzie na te Ziemie Odzyskane. Na Dolny Śląsk się uparł. W MO sierżanta dostanie i obejmie posterunek. No jest to jakiś awans, a do tego służbowe mieszkanie, mebelki, zastawa, wszystko w jakości, o jakiej tu może pomarzyć wyższy oficer albo minister. *Tisze jediesz, dalsze budiesz*. Od radzieckich towarzyszy warto się uczyć – pomyślał Czarnik.

## **17 maja 1945** **Podkowa Leśna, Warszawa**

Po wydobyciu skrytki i wyjeździe Ali zapanowała pustka. Jeżewski nie miał dla niego nic, jakieś drobiazgi. Wpadał czasem do Staśka, który utrzymywał się z handlu. Kursował z towarem, bo w Warszawie brakowało wszystkiego, zupełnie jak za Niemca. Zabrał się z nim do Podkowy Leśnej, żeby pomóc i żeby tak po prostu ruszyć cztery litery. Gospodarz, niejaki Ćwierkacz, był przedwojennym gliną i był pod dobrą datą. Rozpoznał Rybskiego, poczęstował boczkiem i bimbrem.

– No to... na trzecią nóżkę. – Przewodnik Ćwierkacz się uśmiechnął.

Boczek smakował wybornie, a pod bimber szwagra Ćwierkacza to już była czysta poezja, ale Rybski gestem odmówił następnej kolejki.

– To już by było na czwartą!

– Musowo, bo na trzech łapach kulawo – zaśmiał się Ćwierkacz.

– Nie możemy się rozsiadać, komu w drogę... – Stasiek zaczął się podnosić od stołu, ale Ćwierkacz natychmiast do niego podskoczył, szybko i z gracją, jakby nie miał nadwagi, położył mu ciężką, pulchną dłoń na ramieniu i ciepłym basem obwieścił:

– Te, no, panie młody, tu starszy wiekiem i szarżą decyduje. – I zwrócił się do Rybskiego: – Panie kochany, to tylko przystaweczki! Obiadek zaraz będzie – spojrzął na zegarek – a w sumie to już prawie, taka więc kolacyjka niż obiadek.

– No właśnie, kolacyjka to już wieczór, dzień dłuższy, więc chociaż słońce świeci, to jednak prawie wieczór, więc powrót do Warszawy to już nie idzie migiem jak przed wojną.

– A jak to nie? – Ćwierkacz uniósł w górę brwi. – No co pan opowiada!

– Przed wojną to ekadka chodziła prawie na Marszałkowską, a teraz?

– Nie wie pan? Ekadka ma od jutra działać! W należyтым porządku, jak przed wojną. Śmigniecie panowie w try miga na skrzyżowanie Nowogrodzkiej i Poznańskiej, jutro wznawiają kursy, będzie po staremu. Proszę zostać, wypijemy trochę wódki, opijemy mój geszefcik, powspominamy dobre czasy. U nas jak u Pana Boga za piecem, oczywiście jeśli nie liczyć tych czerwonych antychrystów. To jak, panie komisarzu? – Ćwier-



kacz uśmiechnął się kusząco, splatając przy tym dłonie na swoim okazałym brzuchu.

Skusił się. Bo co miał się nie skusić, chociaż tego nie planował. Ale co tu było do planowania? W tych czasach luksusu nikt nie planuje, nie bierze pod uwagę. A to, co mu proponowano, to były nie lada jakie luksusy! Wygodnie i czysto, bez zapachu spalenizny, bez natknięcia się na zwłoki lub ekipę ekshumacyjną. Noc spokojna, czysta, opita i poprzedzona kolacyjką.

– A wie pan, jak rano ptaszki śpiewają! – Ćwierkacz sam wyglądał jak ptaszysko, a mówiąc, przekrzywił głowę.

– Przekonał mnie pan!

Stasiek coś mruknął pod nosem, ale Ćwierkacz go ofuknął, a starszy brat zignorował.

– A co miałem nie przekonać, to jest tak, jakbym panu proponował wygrany los na loterii! Takim propozycjom się nie odmawia!

Rano wsiedli do kolejki i Rybskiemu przypomniało się śledztwo w sprawie morderstwa w kolejce EKD, które prowadzili przed wojną. To znaczy Strasburger i Stolarczyk prowadzili, a on i Jung się uczyli. Morderca wbił nóż w serce, i to tak, że przy okazji przyszpilił do ofiary gazetę, w której był artykuł poświęcony jego triumfowi. To był literat, który podpisał kontrakt z wytwórnią filmową, mieli kręcić film o Legii Cudzoziemskiej, mieli się ścigać z projektem Ossendowskiego i Bodo. Zawiała to była sprawa, w trakcie której jeździli i latali po Polsce i Europie. Lwów, Bukareszt, Krynica... A później sanatorium policyjne w Zakopanem! Tak to się wszystko skończyło. Ile to już lat? Dwanaście. Dwanaście lat, z czego blisko połowa to wojna, powstanie i teraz ten nie do końca określony stan, ni to zabór, ni to okupacja, nowe Królestwo Polskie, tak to klarował ten nauczyciel historii, Sowiński. I miał rację, jest jak za Konstantego – polski sejm, rząd, policja, wojsko... Wtedy ludziom się to podobało,

większość nie była za powstaniem listopadowym, a i teraz pewnie też by tak było. Wyczerpanie wojną i to, że każdy dzień był lepszy, na przykład ta kolejka, która jak dawniej jechała do Warszawy. Ludzie będą musieli pójść na kompromis, bo ile można? Tacy jak on, ścigani i szczuci, muszą walczyć, o ile tę ciągłą ucieczkę można nazwać walką. Trzeba to wszystko przeczekać, jak się czekało w piwnicy na koniec nalotu, a potem wyjść na ulicę i próbować szczęścia. Ale na pewno nie teraz. Co by zrobił gdyby miał wybór? Nie wiedział. Ćwierkacz też nie wiedział, jak to będzie. Jak prawie każdy chciał dożyć jako tako kolejnego dnia i móc spokojnie patrzeć sobie w twarz, przeglądając się w lustrze. Balansowanie na linie dla jednych, a dla drugich – z dnia na dzień coraz liczniejszych – dołączenie się do obozu władzy.

Stukot kolejki ukołysał go do snu. Jeszcze przed granicami Warszawy, przed przystankami na Rakowcu i Szczęśliwicach głowa mu opadła i obudził się dopiero na Nowogrodzkiej. Ze snu wyrwały go gwar oraz szarpnięcie za ramię.

– Wicek, końcowy przystanek, już Nowogrodzka! – Stasiek ciągnął go za rękaw. – Bierz kojbrzy i wysiadamy, tyle narodu czeka, że jak się szybko nie wyskoczy, to nas wepchną z powrotem do środka i znów na Pruszków i Grodzisk pojedziemy!

Wstał, wziął paki i wysiadł, spojrzął na zegarek. Z czasem krucho, bo miał umówione spotkanie z Jeżewskim.

– Gdzie masz ten towar odstawić?

– Do lokali na Marszałkowskiej, bliżej Widoku.

– No dobrze, to mamy po drodze.

Skierowali się Nowogrodzką w kierunku Marszałkowskiej, nadkładali w ten sposób drogi, ale tak było rozsądniej. Pójście najkrótszą i najszybszą trasą byłoby pchaniem się w najbardziej obstawiony przez bezpieczeniaków fragment Warszawy. W

hotelu Polonia mieszkali notable i zagraniczni przedstawiciele, więc jego okolice należały do najpilniej strzeżonych w mieście.

Roznieśli towar i kiedy już się rozeszli, Stasiek poszedł w kierunku Złotej, a Rybski szukał rikszy, która by go podwiozła nad Wisłę, nagle ktoś runął na niego, wepchnął go do bramy zburzonej kamienicy i zamachnął się ręką uzbrojoną w nóż. Wicek odbił ją i kopniakiem odrzucił przeciwnika, ten zatrzymał się na ścianie.

– Znów się spotykamy, skurwysynu! Zabiłeś mojego szwagra!

Poznał go, bo trudno było nie poznać człowieka, który już raz usiłował go załatwić. To był Bronisław Wojnicki, dawny glina i sierżant Polskiego Korpusu Bezpieczeństwa, który nie potrafił przyjąć do wiadomości, że narzeczony jego siostry, kapral Granatowej Policji, Adolf Wąski, był bandziorem i szmalcownikiem. Wąskiego oraz bandę Koguta z którą współpracował spotkała zasłużona kara, ale nie było co tłumaczyć, trzeba było się bronić.

– Najlepiej byłoby cię odstawić do Urzędu Bezpieczeństwa, ale sam cię wypatroszę, sam cię skończę!

Dał mu kosę w udo, nóż nie wbił się jednak w środek nogi, lecz zrobił cięcie, Rybski się zatoczył i brocząc krwią, wypadł na ulicę. Nie mógł uciekać, musiał walczyć, przechodnie się rozstąpili i zaczęli wzywać milicję. Od strony placu Pięciu Rogów zbliżał się patrol. Usłyszeli krzyki i przyśpieszyli, dali ostrzegawczą serię z pepeszy i wtedy Wojnicki popełnił błąd – zamarł na moment, a Rybski ostatkiem sił kopnął go w krocze. Wojnicki zgiął się i wtedy otrzymał zamachowego na szczękę, wypuścił nóż i padł a na ziemię.

– Milicja Obywatelska, spokój, bo będę strzelał! – darł się dowódca patrolu, który był o jakieś dwadzieścia metrów od nich.

Rybski chciał spasować, ale Wojnicki zamierzał sięgnąć po nóż, więc wybił się ze zdrowej nogi i runął na niego. Zwarli się

w amoku. Wicek szybciej złapał za nóż i wbił go Wojnickiemu pod pachę. Ten jęknął i wybałuszył oczy, a Rybski poczuł tępy ból w potylicy. Zanim stracił przytomność, zdał sobie sprawę, że musiał dostać kolbą milicyjnego karabinu.

Do życia przywrócił go kubeł zimnej wody. Wicek był przywiązany do krzesła. Skrępowane ręce, rozbita przez milicjanta głowa i przecięte nożem Wojnickiego udo bolały jak cholera. Szybko uświadomił sobie, że to nie koniec bólu, że będzie jeszcze gorzej.

– Sprawa prosta jak drut – powiedział do niego chłopak w mundurze z dystynkcjami porucznika.

– To się okaże.

Zamiast odpowiedzi był strzał w policzek.

– Nie pyskuj! Kim jesteś i dlaczego to zrobiłeś?

– Rafał Santorski się nazywam, rozpoznałem w nim granatowego policjanta, niejakiego Wojnickiego i próbowałem go zatrzymać.

– A to ciekawe, bardzo ciekawe, bo on przed śmiercią mówił dokładnie to samo.

– No bardzo ciekawe, a co jeszcze powiedział, panie poruczniku?

Twarz młodego oficera wykrzywiła się w uśmiechu pełnym złości. Rybski zrozumiał, że popełnił błąd, że powiedział przesłuchującemu coś, czego mówić nie powinien.

– Ja tu, kurwa wasza mać, zadaję pytania! – ryknął i uderzył Rybskiego w twarz z taką siłą, że ten poleciał wraz z krzesłem w tył i uderzył głową o podłogę. Trzask, ciemność, szum i cisza.

## **Warszawa, róg Marszałkowskiej i Widok**

Stasiek widział to wszystko z odległości kilkudziesięciu metrów: jak Wicek rzuca się na jakiegoś typa, jak chwilę się szamoczą, jak milicjant bije brata w głowę kolbą karabinu. Zaczął biec, ale się zatrzymał. Stchórzył? Cholera, stchórzył, bo się ich wystraszył, trzech uzbrojonych gości, którzy nie wahali się użyć broni. Zaczęło się właśnie od tego, że minutę po rozstaniu z Wickiem, kiedy jeszcze rozmawiał z kierownikiem baru, do którego dostarczył zaopatrzenie, usłyszał strzały. Poleciał zobaczyć, co się stało, bo miał złe przeczucia. Od samego początku, gdy się zasiedzieli w Podkowie Leśnej, czuł niepokój, ale martwił się o to, czy im nie skonfiskują towaru i czy się nie spóźni. Teraz już wiedział, że gdyby tylko o to chodziło, toby było dobrze. W sumie dobrze, że stchórzył, bo nie dałby rady, a tak... A tak jest wolny, ale nic więcej. Nie miał kontaktu z podziemiem, w milicji nikogo nie znał, jak go szukać? I jako kto? Nie może się zgłosić jako brat, przecież i on ma lewe nazwisko, bo oficjalnie obaj są na liście poległych.

\*\*\*

Lisek słyszał serię – ktoś pociągnął z automatu w okolicach Wiodoku albo w Alejach. Ale się tym nie interesował, bo miał inne zadania, miał misję, którą musiał dokończyć. Szukał od tygodnia i nic. On, Lisek, który potrafił znaleźć każdego i dotrzeć wszędzie! Ale teraz był bezradny. Właściciel domu we Włochach, gdzie się mieścił lokal konspiracyjny, nie wrócił z wywózki, więc musi szukać porucznika Marka. Ale gdzie? Pierwszy raz zobaczył go w powstaniu, bo wcześniej nic ich nie łączyło. Porucznik był w Gieesach<sup>[32]</sup>, a on, Lisek, nie był nawet strzelcem, tylko służył w Bojowych Szkołach. Nie mógł więc pójść po adresach konspiracyjnych z tamtych czasów, musiał odtworzyć każdy szczegół, przypomnieć sobie każde zdanie, słowo, które usłyszał od porucznika w trakcie powstania. Adres,

szkoła, studia, ulubione miejsca, narzeczona... Narzeczona! Ala, nazywała się Ala i była sanitariuszką, studiowała polonistykę... Tego był pewien, tego porucznik nie był w stanie ukryć, była u niego parę razy, on chodził do niej na przepustki, rozmawiał o niej ze swoimi kolegami. Ala... Pseudonim czy imię? A on? Co wie o nim samym? Studiował na politechnice, miał ojca inżyniera architekta. Matka? Matka się o niego martwiła. Każda się martwiła, o ile żyła. Jego być może przeżyła, mieszkała na Żoliborzu. To nie Wola, Ochota, Starówka, tam więcej ludzi przeżyło. Tylko gdzie jej tam szukać? Kogo? Matki oficera AK, pani inżynierowej, której mąż jest... jest, a może był, oficerem rezerwy, jest w Armii Andersa, a może zginął w Katyniu? Porucznik nie zwierzał mu się, wiele o ojcu nie opowiadał, pewne było, że walczył w 1939 roku, że był za granicą. Mało, takich na Żoliborzu było wielu. Co studiował porucznik? Cholera, nie wiedział, pamiętał tylko, że o studiach rozmawiał z podchorążym Sokratesem.

– Rudyyyy! – wydarł się szef, znaczy się są jakieś stoliki do sprzątnięcia albo towar do rozładowania.

Dostał cholerną robotę w kawiarni, której już miał po dziurki w nosie. Przynieś, podaj, pozamiataj... Wszystko na rozkaz grubasa, który dekował się w czasie powstania. A on, kapral Lisek odznaczony Krzyżem Walecznych, śmiga jak chłopiec na posyłki. Był wycieńczony, ale trzeba robić, za „dziękuję” się nic nie kupuje, a on jest podoficerem AK i żebrać nie będzie, swój honor ma, z czegoś musi żyć. Więc dymał u tego wyzyskiwacza, bo o robotę było trudno, a poza tym godziny pracy pasowały i miał kąt do spania. Cały czas szukał porucznika Marka albo któregoś z oficerów, którzy go wysłali z misją. Musi im zameldować, że wykonał zadanie, ale materiały ukrył w zupełnie innym miejscu. Tamte wskazane przez majora Nałęczą były zrównane z ziemią i zasypane tonami gruzu. Tylko jak ich znaleźć? Nie spo-

tkał nawet nikogo ze swojego oddziału. Chłopaki pewnie jeszcze wracają z niewoli albo bryknęli na zachód, albo... Ponad połowa stanu zginęła, to było pewne. Jechał między stolikami na szczocie do pary z szufelką i nagle usłyszał znajome szwabskie nazwisko.

– Heidegger...

Spojrzał na ludzi przy stoliku – młodzi, to znaczy starsi od niego, ale tacy w wieku porucznika Marka. Wsłuchał się w rozmowę i usłyszał kolejne niemieckie nazwisko, które już kiedyś słyszał: Leibnitz...

*Wilhelm Leibniz!* – dopowiedział w myślach imię. A co dalej?

– Nietzsche? Ale przecież on miał wpływ na Hitlera, nakręcił to wszystko.

– *Że Übermensch?*

– Oczywiście, że tak! A ciekawe, co sądzisz o Heglu.

Nie usłyszał odpowiedzi, bo ciężarówka przyjechała z hukiem, trąbiąc przy tym niemiłosiernie.

Ale więcej mu nie było trzeba, bo to musieli być jacyś koledzy jego porucznika. Przecież porucznik Marek ze swoim zastępcą podchorążym Sokratesem często o nich rozmawiali. Nie pytał, ale to pewnie jacyś gestapowcy, których namierzyli. To jego ostatnia szansa, ruszył w kierunku stolika.

Kwadrans później Lisek wbiegał na teren uniwersytetu. Pobiegł tam po awanturze z szefem, który powiedział mu, że nie ma się już po co pokazywać. W dupie z nim! Jeśli znajdzie porucznika, to on na pewno coś wymyśli.

Zwolnił, nie tylko dlatego, że wpasowywał się na poważną posesję, ale także dlatego, że nie miał siły. Biegł jak szalony, więc minął bramę, jakby to były ostatnie metry maratonu. Rozglądał się, bo był tu pierwszy raz, nie miał tu wcześniej żadnego inte-

resu, bo i po co. Żeby studiować, trzeba mieć maturę. Dużą maturę, a on nie miał małej!

– Czego kawaler szuka? – zapytał jakiś starszy facet, wążacz w maciejówce, ni to cieć, ni to strażnik.

– Szukam swojego porucznika z powstania. – Lisek uznał, że nie ma co ściemniać i bajerować, bo pewnie dużo ludzi tak się szuka. – Filozofem jest!

– A ten porucznik to był student czy profesor?

– Student.

– Student... – Wążacz się zamyślił. – Łatwiej znaleźć profesora, bo profesorów bezapelacyjnie mniej niż studentów, ale tak czy owak, idź, kawalerze, do BUW-u.

– Do buwu?

– Do Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, to ten gmach na końcu alei. – Wskazał prostokątny budynek. – Tam urzędują władze, tam się można rozeznać. A jak już idziesz, kawalerze, to zanieś wiadro z wodą. Ktoś doniósł tylko do bramy, a woda potrzebna, wodociągi i studnia nie działają, a skarpa pod Pałacem Kazimierzowskim zaminowana, więc nie ma jak stamtąd czerpać wody. Donosić trzeba, to jedyne dobre donoszenie – zaśmiał się. – Bierz i nieś, kawalerze, dobre wkupne będzie!

Trudno, co zrobić – czuł się słabo, ale przecież nie jest słabakiem. Wziął w ręce wiadra, ale nagle zobaczył, że na dziedzińcu stoją radzieckie ciężarówki, a żołnierze wyciągają coś z wykopanych w ziemi dołów. Kurtka na wacie, trupy!

– A co tu ruscy rozkopują? – zapytał dozorca.

– Ekshumacyjka, szanowany panie przyszły studencie.

– Tu jakieś walki były?

– No były, o gabinet przyrodniczy, zaatakowali tyralierą, o mało profesor nie zginął. Starał się im wytłumaczyć, że formalina z preparatów niezdrowa do picia, ale oni na to, że mu łeb



rozwałą, żeby nie kłamał, bo wiedzą, że to spiryt, a o spiryt im się rozchodziło. Profesor pobiegł do ich oficera, młodziaka takiego, a on tylko machnął ręką, że to starzy frontowcy, więc wiedzą, co robią. Mnie się widzi, że to był szczawik po szkółce i się ich najzwyczajniej bał. W każdym bądź razie, one, te Ruskie, wypili pod chleb i tuszonkę tę formalinę i kipli. Nie od razu, trochę się swołocz pomęczyła. Dobrze, że profesor uprzedził tego dowódcę, powiedział, co i jak, więc nie było, żeśmy ich otruli. Spisali bumagę, że pagibli w boju, zakopali, a teraz pakują w snowowe jesionki i na cmentarz – skończył opowieść dozorca i dodał: – A woda kawalerze?

Chcąc nie chcąc, poszedł do studni, nabrał wody i... poczuł, że się przeliczył. Napelnione wiadra swoje ważyły, a on był drobnej budowy, do tego wycieńczony. Ale przecież nie będzie robił scen, twardy jest. Kapral Wojska Polskiego odznaczony Krzyżem Walecznych. Byłoby niehonorowo mówić o swojej słabości, poza tym nie będzie chodził na raty, szkoda czasu. Szarpnął wielkie wiadra i poszedł w kierunku biblioteki.

Ledwie doszedł, miał mroczki przed oczami, odłożył wiadro i oparł się o ścianę. Usłyszał rozmowę, która się toczyła w pokoju. Nie podsłuchiwał, po prostu nie miał siły pójść dalej.

– Panie profesorze – mówił damski głos – znów z Krakowa list nadszedł, ponaglenie...

– W sprawie maszyny do pisania? – odezwał się mężczyzna.

– W końcu na parę miesięcy pożyczyci, a już ponad pół roku minęło, no i co im mam odpisać?

– Że pan profesor ich serdecznie przeprosza, ale to wciąż jedyna maszyna do pisania w naszym sekretariacie.

Lisek poczuł, że mu się kręci w głowie, wtedy ktoś klepnął go w ramię.

– Halo, a szanowny pan czego tu sobie życzy?

Jak przez mgłę zobaczył, że zbliża się do niego kilku młodych mężczyzn, nie zdążył nic powiedzieć, stracił przytomność, ale kiedy się ocknął, usłyszał znajomy głos:

– Lisek? Lisek!

**18 maja 1945**  
**Warszawa, ulica Cyryla i Metodego 4**  
**Stołeczny Urząd Bezpieczeństwa**

Mgła i szum. Wytężał wzrok, ale z trudem przebijał się przez mroczną chmurę.

– O, otworzył oczy – powiedział ktoś, ale nie wiedział, czy stał blisko, czy daleko. Daleko chyba. A może nie tak daleko? Bo zaczęły się nad nim pochylać sylwetki. Mgła się rozrzedzała, zaczęła rozróżniać szczegóły. Twarz z wąsami i głos, który dobiegał już z całkiem bliska.

– Solidnieś pan przypalantował, ale makówka cała!

– Do wesela się zagoi – dodał ktoś. – Jeszcze pan zatańczysz!

– Chyba że ruska kapela zagra. – Ten głos dobiegł z tyłu.

Podniósł się i rozejrzał. Był w celi, przez okno wpadało wieczorne światło, leżał na dechach, pod głową miał swoją marynarkę, którą ktoś mu troskliwie podłożył. Było duszno, panował półmrok.

– Gdzie jestem?

– Na Cyryla i Metodego, lekko nie jest, bo wiesz pan, Cyryl jak Cyryl, a te metody... – zażartował ktoś, ale nikt się nie śmiał.

Po jakimś czasie ktoś się do niego przepchnął i wyszeptał:

– To ja, Jeżewski, złapano pana w kotle?

– W kotle?

– Milicja weszła do lokalu na Stalowej, zabrali mnie o świcie, bałem się, że pana też zatrzymają i niestety...

– Nie, nie, ja z zupełnie innego powodu, rozpoznano mnie na ulicy, broniłem się tak, że zabiłem. Nie wiem, co ten skurwysyn im przed śmiercią powiedział, ale pewnie, że jestem byłym granatowym, nie wiem tylko, czy coś więcej, czy z nazwiskiem. Nie byłoby tego wszystkiego, gdybym nie szedł o tej porze Wido-kiem, a szedłem, bo dopiero dzisiaj wróciłem z Podkowy Leśnej. Zachciało mi się zasiąść przy stole, jaki ostatnio widziałem w przedwojenne święta. A pan?

– Ja? – zaśmiał się Jeżewski. – Za handel dolarami, ktoś wysypał, że miałem walutę. I tylko trochę dolarów miałem w mieszkaniu, nic więcej, czysto. Nie wiedzą, kim jestem, wpadliśmy przez pomyłkę, jak generał Nil. Zatrzymali kogoś, kto im się nie podobał i zamknęli. Pewnie i nas oddadzą do obozu NKWD w Rembertowie i tam zdecydują, co dalej.

Przerwali, bo wywołano kogoś na przesłuchanie.

## **Warszawa, Mokotów**

Ocucili go, nakarmili kanapką ze smalcem. Ciekawe, bo Lisek myślał, że jak uniwerek, profesory i studenciaki, to ę-ą, bułkę przez bibułkę, a tu konkretne jedzenie dostał. Porucznik Marek zabrał go do mieszkania na Mokotowie i zamelinował w jakimś kącie, bo chociaż lokal był fest, taki, że na rowerze można by jeździć, to mieszkały tu i mama, i ciotka, i kuzyniaków ze dwie familie. Normalka w Warszawie, ale i tak luksus w porównaniu do szmat, które tworzyły na zapleczu knajpy jego barłóg.

– Przynajmniej miałem blisko do pacy. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– O pracę się nie martw, coś skołujemy. Wykąp się, dam ci swoje ubranie, czyste, choć trochę duże, potem cię podkarmimy i opowiesz, co się działo. No i jak mnie znalazłeś.

To był łańcuszek. Ogniwo po ogniwie. Porucznik Marek był zdziwiony, w jaki sposób do niego dotarł. Ale w końcu sam go polecał! Wiedział, że jest dobry, nie przypuszczał jednak, że aż tak. Dobrze, że nie powiedział porucznikowi, że chciał go szukać przez dziewczynę, przez sanitariuszkę. Zabili ją Niemcy. I nie powiedział, że gdyby nie wizyta w kawiarni, toby go nigdy nie znalazł.

– Ale żeś wiedział, kim są Heidegger, Leibnitz i Nietzsche! – Pokręcił głową. – Ho, ho! Bo miałem taki śmieszny przypadek, że ktoś się mnie spytał „a kto to? Gestapowcy których sprzątnęłeś?”.

Pewnie, że tak myślał, ale nie musiał się tym chwalić. W tej kawiarni usłyszał nazwisko Heidegger, potem następne i jeszcze jedno, po czym wystartował śmiało do gości i zapytał „kim oni są? Bo mój dowódca w konspiracji, rozmawiał o nich z kolegą”. Tamci się zaśmiali i powiedzieli, że niemieccy filozofowie. A skoro filozofowie, to jasne było, że porucznik to filozof! Na uniwerku pomogli mu. Jak zemdłał, to się okazało, że jeden ze studenciaków ma kolegę z filozofii. No i poszło jak po nitce do kłębka! A ten kolega, to był podchorąży, ten podchorąży, który wpadał do porucznika na gadki. No i od razu się dowiedział, dlaczego porucznik był Marek. Bo był taki cesarz rzymski Marek Aureliusz. Był z niego i generał, i filozof, czyli jak raz, porucznik! Teraz porucznik nie był już Markiem, bo nie był nigdy w AK, jasna sprawa, że nie był! Tak jak i on nie był od momentu, kiedy przekroczył granicę między Amerykanami a Ruskami.

– Chciałem iść do lasu, ale profesor Manteuffel mnie zatrzymał.

– Manteuffel? – zdziwił się Lisek, bo trudne niemieckie nazwisko.

– Tak, profesor Tadeusz Manteuffel powiedział, ale nie osobiście do mnie, tylko do pracowników naukowych, „Teraz nie będziemy robić żadnej partyzantki, tylko uniwersytet!”. No to robimy. I będziemy robić tak długo, póki nas nie zdekonspirują.

– Czyli znakiem tego, pan porucznik choć nie w lesie, to jednak w konspiracji! – ucieszył się Lisek.

## **Kraków, Wielopole 1**

Wróciła z Warszawy i miała wszystkiego dość. Nie potrafiła przyłożyć się do pracy, machinalnie wykonywała swoje obowiązki, była wciąż załamana obrazem miasta i dziwnym chłodem Leszka. Do tego wezwał ją Borejsza i spodziewała się po tej rozmowie najgorszego. Może ją zwolni? Miałby powód, bo straciła entuzjazm, opuściła się w pracy, a tu konkurencja większa niż w Lublinie, pewnie byłoby parę równie dobrych, a może i lepszych na jej miejsce.

– Widzę, że jest pani osowiała, bez entuzjazmu – zaczął Borejsza – ale można coś z tym zrobić. Do tej pory potrzebowaliśmy przede wszystkim artystów, tych uznanych, z nazwiskami, ale i młodych, prężnych, spoza wszystkich koterii i grup. Pani nie jesteście artystką, ale planujemy na dwa ruchy do przodu, ja wiem, że będziemy się rozwijać: i Czytelnik, i pani. Na razie pani potencjał się marnował, ale ja nie zapomniałem o tym reportażu z Palestyny. To, co pani napisała, głęboko zapadło mi w pamięć i myślę, że powinna pani pisać takie reportaże z Polski. Odkrywać ją dla czytelników, jak odkryła pani Palestynę, jeździć w teren, opisywać rzeczywistość i... odrodzenie.

Była oszołomiona, a Borejsza przeszedł do konkretów. Miał dla niej temat: kiedy szesnastego stycznia Armia Czerwona zajęła Ostrowiec Świętokrzyski, dowódcy miejscowej Armii Krajowej zorganizowali milicję porządkową. Mieli zapewniać bezpieczeństwo obywatelom miasta, tymczasem w skryty sposób przejęli nad Ostrowcem władzę. Na ulicy Bałtowskiej przebywał Janek – kapitan Armii Ludowej Jan Foremniak. Musieli wiedzieć, że był kimś ważniejszym niż kapitanem AL, dowiedzieli się jakoś – co wskazuje na to, że londyńczycy mają swoich szpiegów – że Janek otrzymał nominację na wojewodę kieleckiego. Nie objął urzędu, bo napadnięto go w mieszkaniu, skrytobójcze strzały pozbawiły wojewodę Foremniaka przytomności. Błyskawicznie zabrano go do szpitala, gdzie trafił na stół operacyjny. Lekarze stwierdzili, że dostał trzy postrzały – pod serce, w żołądek, i w wątrobę. Zmarł mimo wysiłków lekarzy.

– Bardzo interesuje ta historia – mocno podkreślił Borejsza. – Chciałbym ją opisać w prasie, uczynić z wojewody Foremniaka symbol naszych czasów. To niezwykła postać, przedwojenny komunista, prześladowany przez sanację, odsiedział wyrok w Rawiczu. Po wybuchu wojny znalazł się w Związku Radzieckim, tam zgłosił się na ochotnika do walki, ale nie poszedł na front, przerzucono go do Polski, na niemieckie tyły. Później partyzantka, walka, a na koniec, kiedy miał pracować dla wolnej, niepodległej Polski, dosięgły go skrytobójcze strzały! Niezwykłe, prawda? – Popatrzył na nią i dodał: – To wielka szansa na opowiedzenie niezwykłej historii, na stworzenie bohatera naszych czasów, na... literacki debiut! Tak, tak, są na to szanse, zrobisz to Aleksandro?

**Warszawa, Cmentarz Czerniakowski**

Na Cmentarzu Czerniakowskim stało trzech mężczyzn. Mieli kwiaty, świeczki, czyli wyglądali jak ludzie, którzy odwiedzają groby bliskich. I fakt, stali nad grobem dziadków tego w środku, ale jeden z nich wyróżniał się tym, że miał płaszcz. Przyglądało im się bacznie dwóch mężczyzn, którzy stali w stosownej od nich odległości, tak żeby widzieć to, co się dzieje przy cmentarnej bramie.

– Doskonałe miejsce, panie kapralu – powiedział porucznik do Liska.

– No nie najgorsze – odpowiedział Lisek i dalej kopał saperką, którą przewiózł pod płaszczem porucznik Marek.

– Z ilu skrytek pan powyciągał materiały? – zapytał Nałęcz. Lisek nie był już dla niego główniarzem, którego wymyślił sobie porucznik Marek.

– No ze wszystkich, jakie miałem oczyścić. Jakbym ja ich nie oczyścił, toby się sfajczyły. Te miejsca wyznaczone na nowe schowki też poszły z dymem, więc musiałem coś wymyślić, no i wymyśliłem. Koleżka, którego poznałem w ruinach, niejaki Stasiek, opowiadał, że z tej strony ludzie wpasowywali się do Warszawy, więc pomyślałem, że tak jak on wszedł, tak ja wyjdę. No i wyszedłem – powiedział z dumą. – Tylko był lekki feler, bo później przez Sadybę naokrągło musiałem zaiwaniać na Włochy, a tam... mogiła.

Nałęcz pokiwał głową, bo wiedział, że Jeżewski posłał na poszukiwania Rybskiego. Daremny trud, a teraz obaj są w Rembertowie, pewnie wywiozą ich na wschód, tak jak to zrobili z generałem Nilem, którego wysłali obozu pracy. Pewnie i oni pojedą jego śladem.

**20 maja 1945**  
**Rembertów, obóz NKWD**

Stłukli go na Wilczej, a potem wzięli się za niego na Cyryla i Metodego. Przypomniały mu się Działdowo i Pawiak, obsługa tej samej klasy, okrutnie fachowa, ale po raz kolejny zbajerowana. Nie wypierał się, że jest granatowym policjantem, wszedł w skórę przodownika Krzysztofa Ferańskiego, z którym dorwali podczas cyrkowego spektaklu kieszonkowca Pianistę. Ferańskiemu nie zaszkodzi, bo nie żył, jak wszyscy funkcjonariusze z XXII komisariatu przy Wolskiej.

Rybskiemu nikt nie mówił, dokąd jedzie. Nie wiedział, gdzie był, ale się domyślał. Rembertów, dawna wytwórnia amunicji.

– Kapitan Branicki, jestem starszym w tym plutonie – przedstawił mu się mężczyzna, którego przed wojną każdy policyjny patrol zakwalifikowałby jako włóczęgę. Był niedogolony, ubrany w strzępy odzieży, ale starał się trzymać fason, jego głos był silny i dźwięczny mimo poważnych ubytków w uzębieniu.

– W plutonie?

– Podzielili nas na plutony po pięćdziesiąt osób w każdym, a ja jestem w naszym najstarszy stopniem – wyjaśnił.

– Chyba że byłbym majorem... – powiedział Rybski, a wśród więźniów dało się słyszeć szmerek poruszenia – albo pułkownikiem – dokończył, rozglądając się za wolną pryczą. Wtedy poczuł, że miękną mu nogi i zaczął się osuwać na betonową podłogę.

– Kimkolwiek by pan był, to na razie nadaje się pan tylko do leżenia i wypoczynku – rzucił ktoś, biorąc Rybskiego pod ramię.

– Doktor Janicki, weterynarz, jeśli by się pan pytał o specjalność lekarską, i kawalerzysta, jeśli by pana interesowało, co może robić w obozie weterynarz.

– Panowie, a czy jest Jeżewski? Piotr Jeżewski – zapytał Rybski, którego współwięźniowie układali troskliwie na posłanie.

– Pytał o pana, spróbuje do nas przyjść, bo wie pan, tu nie Europejski ani Bristol – dowcipkował mężczyzna, który przykrył



go kocem. – Jutro obowiązkowo na izbę chorych.

Obudził się po paru godzinach.

– Długo z nami nie pobędzie, następny, który tu zostanie na zawsze – powiedział ktoś, czyj głos określiłby miłym barytonem, gdyby nie to, że ów człowiek szykował go na cmentarz.

– Nie mów pan hop, panie radco – odpowiedział mu osobnik, którego głos, mimo że chropawy, momentami przypominający darcie żelaznym łomem po trotuarze, wydał mu się nad wyraz sympatyczny. – Czasem pewniaki padają w derbach na ostatnim wirażu albo i na prostej, a wygrywają fuksy!

Tak, to był ten głos, ale jeszcze bardziej chropawy przez kilka ciężkich, wojennych lat, wycieńczenie, wódkę i pewnie jak u wszystkich tu przebywających ustawiony nie przez próby w chórze, lecz przez przesłuchania na ubecji i w NKWD. Niemczycki, ksywka Folbut, czasem nazywany Anglikiem, dobrze, że go nigdy nie posadził! Farmazony, hazard to nie była jego domena, jego interesowały grubsze kradzieże i zabójstwa, w końcu ścigał za najcięższe zbrodnie i kradzieże. Nie chciał otwierać oczu, ale usłyszał jakieś poruszenie. Zobaczył tylko, jak więźniowie ciasno otaczają jedno z posłań.

– No to się pomyliłem – usłyszał głos Folbuta.

– Niestety miałem rację – odpowiedział mu baryton. – Doktor Janicki stwierdził zgon, to już druga osoba w tym tygodniu.

– Do tej pory trzymaliśmy się dobrze – westchnął Folbut. – Teraz będziemy mieli serię, bo ten tu, nowy, to raczej długo nie pociągnie. Nie postawiłbym na niego, bo byłyby to pieniądze na siano.

Pieniądze na siano w żargonie bywalców wyścigów oznaczały pieniądze stracone, a Folbut bez dwóch zdań mówił o nim. Jakby na potwierdzenie słów machera, który rządził torem na Polu Mokotowskim, znów stracił przytomność.

Obudziła go kanonada, serie z broni automatycznej, wybuchy granatów i krzyki po rosyjsku i po polsku.

Kule zagruchotały o barak, a po chwili drzwi zostały wyłamane.

– Wychodźcie, jesteście wolni!

Nikt się nie ruszył.

– Pośpieszcie się, mamy mało czasu!

– To prowokacja. – Jeden z więźniów próbował zatrzymać innych.

Po chwili jednak większość się ruszyła, Rybski próbował się podnieść, ale ledwie doszedł do drzwi, stanął przy nim Folbut i wziął go pod ramię.

– Połóż się pan, to się nie przewrócisz.

Posłuchał, położył się i wsłuchiwał w kanonadę. Folbut odszedł od niego i poszedł do wyjścia, nie wyszedł jednak i nie pobiegł z innymi, tylko patrzył na to, co się działo na zewnątrz. Po chwili wrócił i powiedział:

– Zwolniły się dobre miejscówki i koce. – I położył się na posłaniu.

– Nie ucieka pan?

– A dokąd, do lasu? Nie te lata, za stary jestem.

– A pan? – zapytał mężczyznę, który mimo pobytu w obozie wyglądał na silnego i wysportowanego.

– Ja mam rodzinę, siedzę tu pod swoim nazwiskiem, nie chcę na nich ściągnąć zemsty, wystarczy, że mnie tu trzymają – wyjaśnił. – Gdybym tu był na konspiracyjne nazwisko, to co innego.

Kanonada trwała ponad kwadrans, aż ucichła. Rybski opadł na posłanie, taka okazja więcej się nie trafi.

Jeszcze w nocy liczone zbiegów i zabitych Rosjan. Uciekło pół tysiąca, więźniów, a strażników zginęło kilkunastu. Szybko jed-

nak liczenie przestało być takie przyjemne, zaczęto doprowadzanie do obozu pochwyconych uciekinierów. Bito ich, kopniakami i kolbami zapędzono do osobnego baraku i tam torturowano bez żadnej litości. Krzyki męczonych roznosiły się po obozie, później słyhać było salwy, a czasem doprowadzano kolejnych pojmanych.

## **2 czerwca 1945** **Warszawa, Smolna 10**

Duch wyglądał przez okno i patrzył zamyślony, na jego twarzy malował się lekki uśmiech.

– Czy jest coś, co w dzisiejszych czasach pozwala optymistycznie patrzeć na te zgliszcza? – zapytał Jeżewski. – Czy są jakieś dobre widoki na przyszłość?

– Co pozwala zachować optymizm? Pańska ucieczka z Rembertowa. Przyznam, że niełatwo było pana odnaleźć, na szczęście siatka nie została rozbita, w końcu był pan wrogiem władzy, który tylko handlował dolarami. A co do widoku z okna, to ja mam z niego pierwszorzędnny widok na przeszłość, kończyłem Zamoyskiego, matura w dwudziestym ósmym!

– Maj... – rozmarzył się Jeżewski. – Ja też, ale u Górskiego.

– Jeślibyśmy zdawali w tym roku, tobyśmy to robili w tym samym budynku, teraz przy Smolnej i Zamoyski, i gościnnie Górski.

– A oficjalnie to Święty Wojciech.

Pośmiali się przez moment, ale szybko skupili się na sprawach konspiracyjnych.

– Pańska misja poniosła fiasko i odniosła wielkie zwycięstwo.

– Czy zwycięstwo, to się okaże, po pierwsze nie mam pewności, czy Sturmbannführer Minge nie opowiadał bajek albo czy

cel jego podróży był jeszcze aktualny.

– O to drugie bym się nie martwił, bo Sowieci weszli do Waldenburga ósmego, a do Kłodzka dziewiątego maja, a Praga skapitulowała dopiero jedenastego maja. Na Dolnym Śląsku i po drugiej stronie granicy trzymali się najdłużej.

– Potrzebny jest silny, sprawny oddział...

– Wiem, wiem! Ale jest pewien pomysł, zaraz przyjdzie major Nałęcz i zreferuje nasz stan posiadania. W wyniku pewnych, dość niecodziennych, zdarzeń mamy szansę wysłać tam silny zespół, który przeprowadzi rozpoznanie, a pan, jak rozumiem, wyruszy wtedy, gdy będzie miał pan całkowitą pewność co do losów swojego przyjaciela.

– Skoro się panu udało, to i jemu też powinno.

– Pokłada pan wielką wiarę w swojego przyjaciela.

– A pan nie? Pracował pan z nim.

Jeżewski zacisnął usta, kiedy widział Wincentego Rybskiego po raz ostatni, wyglądał bardzo źle, a do tego nie leżał w szpitalu, tylko na posłaniu rozłożonym na betonowej podłodze baraku w Rembertowie. Miał mniej szczęścia niż on, ale więcej niż ci, których pochwycono i zamęczono za udział w ucieczce. Żał mu było Wincentego Rybskiego, bo najpierw kazał mu szukać po gruzach dokumentów. Okazało się, że kurier wyczyścił skrytki, a potem z powodu niemieckich wyburzeń i podpałów, ukrył wszystko na cmentarzu. Dobrze choć tyle, że nie zaliczył przy tej jałowej robocie wpadki. Modlił się za niego, bo był człowiekiem wierzącym, ale czy Bóg go wysłucha? W kwestii Polski był głuchy na jego prośby, a może po prostu trzeba ma dać trochę czasu i pogodzić się z tym, że nie jesteśmy narodem wybranym, bo ostatnio nawet Żydzi nim nie są.

## **Warszawa, Ratuszowa 11**

### **Toledo – Więzienie karno-śledcze nr III**

Parę takich miejsc zwiedził: dom pod Czarną Chorągwią i obóz w Działdowie, Pawiak, ubecka melina na Saskiej Kępie, Wilcza, Cyryla i Metodego, i w końcu Rembertów, gdzie był tylko świadkiem jak mordowano innych. A teraz Toledo. Tu też wpadł na boczny tor, czyli miał sobie spokojnie zgnić jako szeregowy granatowy policjant. Gnił, patrzył i słuchał. Obok wieszano i rozstrzeliwano, po sowiecku, polskimi rękami i z niemiecką dokładnością. Egzekucje odbywały się w poniedziałki i piątki, między czwartą a piątą rano, Polaków rozstrzeliwano, Niemców i folksdojczów wieszano. W strzelaniu specjalizował się naczelnik więzienia Jerzy Szymonowicz, osobiście strzelał w tył głowy, a wieszanie pozostawiał swojemu personelowi. Jeśli się żyło o piątej rano w poniedziałek, to była niemal gwarancja, że się dożyje do piątkowego świtu. Niemal, bo między pierwszym a piątym dniem tygodnia śledczy mogli zakatować na śmierć. Strach przed śmiercią był dla Rybskiego strachem przed krótką chwilą, gorszy był lęk przed torturami. Bał się, że w końcu uznają go za ważnego, zastosują szufladę, wychłoszczą po twarzy, wyrwą paznokcie, zmiążdżą jądra, a na koniec rozwalą albo powieszą. Ominęła go trumna, do której wsadzano opornych badanych. Tak, badanych, bo tu, tak jak na Gestapo, badano. Trumna była betonowa i pakowali w nią nagiego więźnia, żeby skruszał i zechciał mówić. Jego takie indywidualne atrakcje ominęły, ćwiczone go tylko w grupie, która zażywała rozkoszy stania nago na betonie. Ciekawe, czy te skurwysyny się zakładały, kto i po ilu godzinach padnie.

**3 lipca 1945**  
**Warszawa**

Stasiek szukał brata, a trafił na Liska. Nie mógł znaleźć Wicka, bo szukał go pod konspiracyjnym nazwiskiem Rafał Santorski, nie mógł więc wiedzieć, że podczas przesłuchania przedstawił się jako były granatowy policjant Krzysztof Ferański i jako Ferański siedział w Rembertowie, a później w Toledo. A Lisek, jak to on, odnalazł się sam i zaproponował wejście do konspiracyjnej grupy. Musiał mu odmówić, bo chciał zostać w Warszawie, wierzył w to, że Wicek gdzieś tu jest. Czuł, że tu jest, a pani Reich i Krysia doradziły mu, że skoro tak czuje, to niech donikąd nie wyjeżdża. Cały czas mieszkał na Złotej, pani Reich nie miała wiadomości o synu, Krysia o narzeczonym z Zośki, a Stasiek o bracie.

### **Warszawa, ulica Karowa 14-16 Komenda Główna MO**

Porucznik Jan Leszczyniak nie był zwykłym funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej – był człowiekiem poleconym przez radzieckich towarzyszy, a radzieckim towarzyszom się nie odmawia, nie dyskutuje z nimi, chyba że jest się radzieckim towarzyszem, który został skierowany do pracy w polskich organach ścigania. Ale jak raz kapitan Urbaś był Polakiem, więc musiał wysłuchać Leszczyniaka, bo skoro on coś proponował, to było tak, jakby proponowali radzieccy towarzysze. Ten Leszczyniak to była postać, gieroj! Polecał go major NKWD i inni towarzysze z oddziału partyzanckiego imienia Aleksandra Newskiego. Miał plecy. Ale skoro go tak polecali i miał takie plecy, to czemu nie poszedł do Urzędu Bezpieczeństwa? Taki gieroj, a nie jest członkiem PPR. I nie służył w Gwardii Ludowej. Tyle mu się udało ustalić. Ki czort? I ten jego pomysł, żeby zorganizować specgrupę, oddział uderzeniowy, który gasiłby pożary na Ziemiach

Odzyskanych. Co to za pomysł? Ale ten Leszczyński miał plecy, więc Urbaś zapytał komendanta głównego, generała Józwiaka.

– Specgrupa? Do wprowadzania porządku na Ziemiach Odzyskanych, do walki z podziemiem, bandytyzmem i Werwolfem? – Towarzysz Witold się ożywił. – A kim jest ten Leszczyński?

– Jest porucznikiem, polecali go towarzysze z NKWD!

– Ach, to ten! – Generał Józwiak pokręcił głową. – Od razu wiadać, bo wiecie, Urbaś, ja też o tym myślałem i szukałem kogoś, kto podejmie się tak odpowiedzialnego zadania. Niech robi, niech działa! I wy działajcie, Urbaś, działajcie, działajcie!

Urbasiowi wydawało się, że ma problem z głowy, ale to był dopiero początek, bo kiedy zapytał Leszczyńskiego, skąd weźmie ludzi, to powiedział, że sam ich wybierze, a w zasadzie już wybrał, tylko jeszcze nie zostali przyjęci do milicji.

„Działajcie, Urbaś, działajcie!” – kapitan miał w głowie głos generała Józwiaka.

Chciał tej specgrupy, to ją będzie miał! Zadzwoił do kadr, żeby zorganizowali im spotkanie z oficerem politycznym, no bo że gieroje, to wiadomo, skoro to ludzie poleceni przez Leszczyńskiego, ale tak czy owak, trzeba sprawdzić, czy mają odpowiedni światopogląd.

## **12 lipca 1945**

### **Warszawa**

Stasiek stał na chodniku i patrzył na widowisko, którego nie chciał i nie powinien oglądać. To, co widział, było przerażające, ale jednocześnie przykuwające wzrok. Powinien stamtąd prysnąć, bo częścią tego spektaklu było kilkudziesięciu uzbrojonych po zęby żołdaków NKWD. Prowadzili oni kilkuset wycieńczonych, oberwanych więźniów, z których większość miała na

sobie strzępy mundurów. Szli na Towarową, a może na Zachodnią, tak się można było domyślać, pędzili ich do wagonów, pewnie do Wronek albo Rawicza, stamtąd przychodziły informacje o akowcach odsiadujących długoletnie wyroki. Zatem tam, a nie na wschód, nie na Syberię. Krzyczeli swoje nazwiska, adresy bliskich, prosili o chleb. Ruscy nie dawali do nich dojść, ale nie zabraniali rzucać jedzenia. Szybko zebrał się tłum, który stał na skraju ulicy i podążał za tą tragiczną kolumną. Niektórzy notowali, ktoś kogoś rozpoznał, a Stasiek wypatrywał brata. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle, że go nie wypatrzył. Gdyby zobaczył Wicka, toby oznaczało, że jest w drodze do ciężkiego kryminału, ale znaczyłoby to też, że żyje. Nie był tego pewien, ale wiedział, że od tego, by być w tej kolumnie, oddzielała go bardzo cienka linia. Poszedł kilka kroków w pochodzie, który kroczył za więźniami, ale nagle poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Powinien się szarpnąć, uciec, ale ogarnął go jakiś bezwład. Odwrócił się i poszedł prosto na Żoliborz, do Liska i porucznika. Przez pewien czas myślał, że się to jakoś poukłada, z Londynu przyjechał premier Mikołajczyk, powstał Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, tłum ludzi, a w nim także on, wiwatował przed siedzibą rządu na Targowej, ale nic z tego nie wynikało. Mydlenie oczu i tyle. Jego brat siedział, o ile w ogóle żył, w Moskwie skazano przywódców Polskiego Państwa Podziemnego<sup>[33]</sup>. Podjął decyzję – trzeba wiać. Jak najdalej stąd.

## **Warszawa, ulica Karowa 14-16**

### **Komenda Główna MO**

Porucznik Banaszekiewicz miał zlustrować kandydatów do milicji, w zasadzie to już byli przyjęci, ale to do niego należało ostatecznie słowo, to on miał sprawdzić, czy czują dziejową odpowiedzialność, wykazują czujność klasową i gotowi są realizować



zadania czynników partyjnych i państwowych, przy czym czynniki partyjne, to, rzecz oczywista, władze Polskiej Partii Robotniczej.

– Dlaczego chcecie wstąpić do milicji, Nowacki? – zapytał porucznik stojącego przed nim Staśka.

– Bo trzeba porządek zrobić, napady, kradzieże, źle się dzieje, panie poruczniku.

– No, nie pierdolcie!

– Myśli pan porucznik, że wszędzie tak bezpiecznie jak tu, na Cyryla i Metodego?

– Nie pierdolcie takich komunałów, przyznajcie się, że lepiej na ochotnika iść do milicji, niż pójść do woja – zaśmiał się nieprzyjemnie. – I wybijcie sobie z głowy tego pana! Wam się wszystkim, kurwa, wydaje, że sanacja jest. Sanacja się w Zaleszczykach i Kutach skończyła. Poszli w pizdu i nie wrócą, rozumiecie?

– To jak mam mówić?

– Jak chcecie: towarzyszu, obywatelu...

– Tak jest, panie, eeee, towarzyszu poruczniku!

– Towarzyszu! – zaśmiał się porucznik. – Widzę, że mamy kandydata do PPR, ha, ha, ha, ha! W dupę zebrałeś w powstaniu, ale przeżyłeś. I już nie przegrasz, jeśli się przyłączysz do robotniczo-chłopskich organów!

– Tak jest, obywatelu poruczniku!

– No, i tak mi mów, bo ja jeszcze legitymacji PPR nie mam, ale już niedługo... – Zadowolony porucznik klasnął w dłonie. – Następny! Jak mu tam?

– Dzięciołowski!

– No to dawać mi tego Dzięcioła czy jak mu tam!

Do pokoju wszedł kolejny kandydat na milicjanta, zdjął czapkę i porucznik zobaczył coś niezwykłego.

– Oooo! To jednak nie Dziecioł, a jakiś lis! Rudy lis, rudy rydz – ucieszył się.

– Melduję, obywatelu poruczniku, że może być i Lis! – odpowiedział mu Lisek. – Ale raczej nie Rydz, bo Rydze się z sanacją skończyły!

– No brawo, to się nazywa kandydat na milicjanta! Młody, a już czujny i wyrobiony klasowo. Czytać potraficie?

– I czytać, i pisać!

Porucznik Banaszkiewicz był szczęśliwy, bo takich kandydatów do milicji – wykształconych, świadomych klasowo i wyrobionych politycznie – dawno nie miał. Ci dwaj pierwsi, trochę starsi, to nawet byli po maturze, więc pewnie szybko do szkoły oficerskiej pójdą. Tak po prawdzie to nigdy nie miał takich ludzi do zweryfikowania. Podobno mają jechać ci dzielni, młodzi junacy zaprowadzać porządki tam, gdzie nikt ich jeszcze nie zaprowadził. Zazdrościł im tej pracy w terenie, ale w końcu to, co robił na linii społeczno-wychowawczej w stolicy, też było ważne, a może i najważniejsze. Tak, z pewnością najważniejsze, bo tu była stolica, tu były ministerstwo i inne instytucje z mnóstwem szczebli kariery, po których można się będzie pięć dla dobra partii i ojczyzny.

\*\*\*

Biały, Marek, Gustaw, Lisek i Stasiek siedzieli na gruzach i pili wódkę. Nie żeby się upić, ale tak towarzysko, symbolicznie, pod papieroska.

– Towarzysze milicjanci – Biały upił łyk ze smukłej flaszki i puścił ją w koło, zaczynając od Gustawa – zrobiliście doskonałe wrażenie!

– Niezła szopka! – zaśmiał się Stasiek.

– Boki zrywać – dodał Lisek.

– Tak trzeba było, bez tego teatru i obecności oficera politycznego nic się nie da zrobić. Ale daliśmy radę, obywatele milicjanci!

Pośmiali się, pociągnęli po łyku wódki, zaciągnęli się dymem papierosowym, ale z czasem wesołość ustąpiła skupieniu i powadze. Za kilka dni mają wyjechać na Ziemię Odzyskane, które Gustaw, mający za sobą maturę i dwa lata studiów, określił jako terra incognita.

**27 lipca 1945**  
**Warszawa, Ratuszowa 11**  
**Toledo – Więzienie karno-śledcze nr III**

Padł na apelu, ale nie zaliczył trumny. Pobili go, ale nie wyrwali paznokci, a najważniejsze, że go nie powiesili ani nie strzelili w tył głowy. Żył i się cieszył, a najbardziej, kiedy go skazali za bycie granatowym. Kiedy poinformowali go, że starszy przodownik Krzysztof Ferański dostał pięć lat więzienia, to czuł się, jakby wygrał los na loterii. Pięć lat wojny, pięć więzienia, razem dycha – i jeśli to wszystko przeżyje, to będzie wolny. Pewnie tak wolny jak za okupacji albo wtedy, kiedy się ukrywał po wejściu Ruskich. Wszystko się okaże, bo przecież może być tak, że ich wywiozą jak Żydów do obozu i gdzieś zagazują albo rozstrzelają. Obawy pojawiły się w nocy z dwudziestego piątego na dwudziesty szósty lipca. W celach na jego piętrze zarządzono pobudkę, kazano się spakować i wysłano – czego wcześniej nie było – do łaźni. Naczelnikowi nie chodziło jednak o higienę, ale o strzyżenie więźniów. Każdemu wygolono przez środek głowy pasek, pojawiła się więc nadzieja, że jednak ich nie rozwalą, bo po co by się bawili w strzyżenie. Potem dali się opłukać i znów zagonili do cel, a kolejnej nocy robili po celach rewizje, spędzali na apele, lżyli i bili, ale nie katowali. Rybski pomyślał, że ich

osłabiają, szykują do transportu. I tak było – rano niewyspanych i ledwie żywych wyprowadzono na dziedziniec. W poranym, lipcowym słońcu ustawili ich w ósemki, ktoś dostał cynk, że to będzie transport do więzienia we Wronkach. Po nieprzebranej nocy stali na dziedzińcu i mogli się tylko cieszyć, że to nie zima czy deszczowa jesień. Po trzech godzinach zajechały ciężarówki, w których była eskorta.

– Maniek! – szepnął sąsiad Rybskiego. – Maniek!

– Jaki Maniek? Bądź pan cicho! Zbiją i pana, i nas za te hałasy.

– Maniek, człowiek z mojego oddziału, z partyzantki, no on przecież, o ten na wprost nas, pięć kroków, no nie patrzy się na nas.

Żołnierz uciekał wzrokiem, tak jak wielu innych, a po szeregach szeptano imiona znajomych z AK, którzy dzisiaj stali po drugiej stronie. Duża część zebranych na dziedzińcu więźniów służyła w wołyńskiej i poleskiej dywizji AK, oni wylądowali w Toledo, a ich koledzy trafili do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Po godzinie kazali im wsiadać do ciężarówek, a o pół do pierwszej ruszyli. Kierowcy i konwojenci, z którymi dało się gadać, mówili, że pojedą na Dworzec Wschodni. Jechali Targową, a przechodnie szybko się zorientowali, skąd i kogo wiozą, krzyczano i pozdrawiano ich. Później poszli do pociągu, skład był długi, a oni wypełnili tylko kilka wagonów, reszta wiozła powietrze. Kiedy się pakowali do środka, to na sąsiednim torze stanął pociąg z Siedlec, którym kobiety jechały na handel z kojbrami jedzenia. W chwili gdy uświadomiły sobie, kto ma jechać sąsiednim pociągiem, od razu zaczęły im podawać chleb, masło, sery, wędliny i bimber. Rybski podobnie jak inni więźniowie rzucił się na jedzenie. Zanim pociąg ruszył, ich zaciśnięte podczas pobytu w Toledo żołądki były napełnione jedzeniem. Po suchym chlebie i wodnistych, śmierdzących zupach był to posiłek niczym u Bukieta albo w Europejskim.

## Warszawa, róg Oczki i Chałubińskiego Siedziba Kierownictwa Informacji WP

Portugalczyk chciał już iść do domu, wziąć kąpiel, wypić kieli-szek nalewki, wyciągnąć się w czystej pościeli – ot, burżuazyjne nawyki. Poprzeglądał jeszcze jakieś walające się na biurku papiery i pomyślał, że to dobry moment, żeby zrobić porządek. Ech, wojsko to nie bank czy urząd, w którym dyrektor lub kierownik mógł sobie zatrudnić pomoc biurową, tak to się przed wojną nazywało. A on był właśnie kimś takim w Głównym Zarządzie Informacji Wojskowej i wiedział, że koledzy, którzy zrzucili mundury i zaczęli pracować w ministerstwach i partyjnych komitetach, mogli liczyć na takie miłe wsparcie.

Pomoc biurowa albo, jak się inaczej mówi, sekretarka... Rozmarzył się i pomyślał o porządku w papierach, kawie i herbacie, równych szwach na pończochach, które oblekały smukłe nogi, o granatowej, biurowej spódnicy, która opinałaby zgrabny tyłeczek, o białej bluzce, która skrywała jędrne piersi... A buzia? Rozległo się pukanie i zdążył zakończyć proces tworzenia idealnej pomocy biurowej. W drzwiach ukazała się pryszczata twarz chorążego Stefczyka. Kurwa, prawie mu stanął, a tu w drzwiach ten chłystek!

– Obywatelu kapitanie – zaskrzeczał – dzwonią z dyżurki, że jakiś towarzysz radziecki do obywatela kapitana idzie!

*Ki czort? – pomyślał. Znajomy czy nieznajomy, kłopoty czy wprost przeciwnie?*

W drzwiach stanął rosły oficer o oliwkowej skórze, równie dobrze ten kruczowłosy mężczyzna mógł nosić mundur włoski lub hiszpański. Miał jednak na sobie uniform NKWD, co nie znającemu go dawało odpowiedź, że jest Gruzinem lub Ormianinem. Zasalutowali sobie jak trzeba, ale zaraz potem enkawudzista śpiewanie zawołał:

– *Zdraw.*

– *Zdraw, Sarkis Siergiejewicz!* – odpowiedział na powitanie dziarskiego majora NKWD.

– *Kak diela?*

– *Spasiba, prawilno! A szto u was, kakije to nowyje uspiewi?*

– *Wsio w pariadkie, a mozet i bolsze cziem, tak kak u nas bylo waskriesienije!* – To mówiąc, wyjął ze swojej raportówki butelkę koniaku. – *A jesli bylo waskriesienije* – zauważywszy minę Portugalczyka, uniósł dwa palce w górę niczym pop albo Jezus na ikonie i natchnionym głosem powiedział: – *to nam, towariszcz Partugaliec, nam nada eta otpraznowat'! Smatri, Ararat, Churchill skazał w Jaltie Stalinu: idi w pizdiec z francuzkimi koniakami, eto nastojaszczij i moj izliublennyj!*

– *Jebiosz, Sergio! Jebiosz, tawariszcz Italianiec!* – Widząc koniak i słuchając przemowy majora, Portugalczyk wiedział, że teraz szarża i konwenanse poszły na bok, teraz będą pić weterani z Hiszpanii, przeszedł więc na jego pseudonim z wojny domowej, ponieważ brano go tam za włoskiego komunistę.

– *Nu kak?* – zaśmiał się major, nalewając koniak. – *Ararat łuczszje wsiech!*

– *Jebiosz drug druga, tawariszcz kamiendant!*

– *Nu, tak jebiom wmiestie.* – Major wychylił kieliszek.

– *Nastojaszczij!* – pochwalił Portugalczyk, a major, jakby tylko na to czekał, szybko napełnił kieliszki.

Wypili i zanosilo się na więcej, więc Portugalczyk wyjął z szuflady biurka konserwę.

– *Amerykańska!* – zareklamował zakąskę. – *Ja skazał, szto ty jebiosz o waskriesienii, nie ab Araratie!*

– *Tuszonka amierikanskaja, Ararat armianskij, a waskriesienije sowietskoje! Posłuszaj skazki, towariszcz Partugaliec!*

I posłuchał, a słuchając, nie mógł uwierzyć. Musiał wyglądać jak dzieciak, który pierwszy jest w kinie i ogląda film przygodowy, bo na koniec Sergio powiedział:

– *Takie skazki tolka o Isusie Christosie i gierojach Sawieckawa Sajuz!*

Armeński koniak szybko zniknął w ich gardłach, później nie było już tak elegancko, bo pili bimber. I nie było też tak wesoło jak na wstępie. Sergio bawił się wyśmienicie, a Portugalczyk tylko grał, bo jego myśli były pochłonięte tym, co się może wkrótce stać.

Sergio dał mu cynk, że nadciąga zmiana personalna, która pewnie wszystko wywróci do góry nogami, jeśli nie dzisiaj, to jutro albo za parę lat. Wiedział, czym to pachnie, bo przerabiali walki frakcyjne, sprzątnięcie towarzysza Nowotki, a później Mołojców. Zrobiło się gorąco, bo przecież to właśnie Apostoł, czyli Bolek Mołojec<sup>[34]</sup> ściągnął go do Warszawy. Siedział we Francji, pracował z francuskimi komunistami, aż tu nagle, w środku wojny pojawia się dowódca brygady Dąbrowskiego i mówi, że trzeba jechać do Polski, bo się odrodziła Komunistyczna Partia Polski. A czemu się musiała odradzać? Bo przed wojną towarzysz Stalin stopniowo zaczął tracić zaufanie albo ktoś na ten brak zaufania zaczął ostro pracować. Jeśli defensywa i Dwójka, to był to majstersztyk – w 1931 roku rozstrzelano w Moskwie Wojewódzkiego, a w dwa lata później Czeszejko-Sochacki popełnił na Łubiance samobójstwo. Dwaj wspólni towarzysze, posłowie KPP na sejm! A to było preludium. Prawdziwy cios nastąpił na początku 1938 roku. W „Kommunistischem Internacjonalie” umieszczono artykuł mówiący o tym, że partia była od początku niczym innym jak „piłsudczykowsko-peowiacką” agenturą. To był koniec, to był znak, że Komintern, a co za tym idzie Stalin uważają KPP za organizację zdradziecką i agenturalną. Dobrze, że nie był wtedy w Moskwie

na szkoleniu, pewnie by nie wrócił, rozstrzelaliby go albo w najlepszym razie wywieźli do łagru. Wielu radzieckich towarzyszy, którzy wrócili z Hiszpanii, zostało straconych bądź wylądowało w obozie. Jak przeżył Sergio? Jakoś przeżył, widocznie to on zamykał, rozstrzeliwał i wysyłał do łagrów, dlatego choć go lubił, to zdawał sobie sprawę, że w razie czego towarzysz Włoch postawiłby go przed plutonem egzekucyjnym albo strzelił w potylicę. W końcu Sergio był prawdziwym czekistą!

Jeśli chce przeżyć, to musi dorwać Wincentego Rybskiego.



## IX ŻYCIE PO ŻYCIU

**Noc z 27 na 28 lipca 1945  
Okolice Dębłina**

**P**ociąg ruszył o czternastej i włókł się okrutnie, często przystawał. Jechali od wielu godzin i kompletnie stracili orientację.

– Moim zdaniem nie wiozą nas do Wronek, bo wtedy byśmy już dawno przejechali Wisłę po prowizorycznym moście przy cytadeli. Na wschód nas pewnie wiozą.

– To może już jesteśmy w granicach Związku Sowieckiego – zażartował ktoś pośepnie.

– W starych czy w nowych granicach ten Związek Sowiecki? – zapytał inny.

– W nowych, ma się rozumieć, aż tyle nie jedziemy! Ale do Brześcia w sześć godzin można dojechać, nawet z tyłoma przystankami.

– To jak w nowych, to jesteśmy na terenie Rzeczypospolitej, żadna Jałta ani Sowietci tego nie zmienią! – huknął ktoś z mroku. – Nie ma żadnych nowych granic Związku Sowieckiego, są tymczasowe wyznaczone przez okupanta. Tymczasowe, rozumie pan?!

– My tego nie odwrócimy. – Pośepny i smutny się ożywił. – Chyba że będzie trzecia wojna światowa.

– Już jest – prychnął ten stanowczy. – To jasne, że Sowietci będą chcieli światowej rewolucji, że znów wszystko wybuchnie

na Bałkanach. Na razie tymczasowi sojusznicy są zajęci wojną z Japonią, ale niech tylko skończą...

– Tymczasowi sojusznicy mówi pan... – Poępny i smutny stał się sceptyczny. – Otóż ci tymczasowi sojusznicy tymczasowo postanowili, żeby zupełnie na amen wysiedlić Polaków ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej, a Niemców wypchnąć za Odrę, nas nie wiadomo gdzie. Ładna mi tymczasowość!

– Jestem majorem, a pan?! – stanowczemu najwyraźniej zabrakło nie tylko argumentów, ale i cierpliwości.

– A ja doktorem praw – odpowiedział mu ze spokojem adwersarz.

– Tory w marnym stanie, pod semaforem zawsze stoimy, bo inne transporty są pilniejsze, poza tym most przy cytadeli oszczędzają, jak mogą, więc takim nieśpiesznym transportem nie obciążaliby niepotrzebnie konstrukcji. – Ktoś o monotonym głosie nauczyciela, który prowadzi już ostatnią tego dnia lekcję, postanowił zapanować nad wagonem, w którym nieuchronnie mogło dojść do awantury. – My już jesteśmy spisani na straty, wszystko jedno, czy będziemy w obozie, w więzieniu, na Kamczatce czy w wagonie. Na moje oko nie ujechaliśmy stu kilometrów, do Bugu sporo nam brakuje, a jeszcze więcej do prawdziwej granicy Związku Sowieckiego.

– Jeśli wiozą nas do wyrębu lasu albo pracy w kopalni, to nie jest wszystko jedno – włączył się do rozmowy ktoś głosem tak obojętnym, że można było go podejrzewać o chęć wywołania efektu komicznego. Ale nikt się nie zaśmiał, zapadła cisza, rozmowa pod kolejnym semaforem nikomu nie poprawiła nastroju.

Szybko się okazało, że wloką się przez Polskę, bo mijali miejscowości na Mazowszu, a wszędzie tam, gdzie przystanęli, i na dworcach byli ludzie, mogli liczyć na nowe wałówki i słowa otuchy, odwzajemniali się więc, śpiewając powstańcze i party-

zanckie piosenki. W końcu już po zmroku dojechali do Dęblina. Tam stanęli na dłużej, więc eskorta zakręciła okienka drutem kolczastym i sprawdziła, czy nie dadzą rady otworzyć drzwi od środka. W tym czasie kolejarze sprawdzali pociąg i szeptali, że mają być gotowi, że tej nocy będą wolni. Czekali, że ktoś zaatakuje stację, że zostaną odbici, ale na próżno. Postój się przeciągał. W końcu ruszyli, pociąg przekroczył Wisłę, jechał, jakby pełną mocą kotła lokomotywa chciała wciągnąć skład pod stromą górę. Ten i ów zasnął, ale większość była na nogach, kiedy pociąg stanął. W górę szły rakiety sygnalizacyjne, a za chwilę poszła seria z pistoletu maszynowego, potem kolejna i okrzyki:

– Wojsko Polskie, poddajcie się, kto się podda, puszczaamy wolno!

Po paru strzałach sprawa była załatwiona, partyzanci zaczęli otwierać wagony.

– Jesteście wolni, wychodźcie, panowie! – rozległ się najpierw pojedynczy głos, po czym dołączył do niego cały chór.

– Porucznik Świt, z oddziału Orlika, Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj! – przedstawił się z wysokości konia młody mężczyzna w furazerce. – Tu panuje Wojsko Polskie, są panowie wolni!

– Gdzie jesteście? Gdzie jesteście? – odzywały się kolejne głosy.

– W Bąkowcu! – odpowiedział dowódca.

– W Bąkowcu koło Kozienic? – Ktoś był dociekliwy i wiedział coś więcej o miejscu, w którym ich uwolniono.

– Tak, w Bąkowcu koło Kozienic, daleko panowie nie ujechali!

– W tym Bąkowcu, w tym Bąkowcu. – Major Leszczyński nie mógł się nadziwić.

Rybskiemu coś ta nazwa mówiła, biły dzwony, ale za cholere nie wiedział, w którym kościele. Napad, rabunek, zabójstwo? Ja-

kaś sprawa kryminalna, ale był policjantem, więc wszystko mu się z tymi tematami kojarzyło. Zresztą nie tylko jemu.

– Piękny skok, prawie dwa miliony koron – powiedział z uznaniem młody porucznik, któremu leśni podali manierkę z czymś krzepiącym, bo po łyku się skrzywił, ale natychmiast wziął następnego.

– Eks Bąkowicki! – dodał ktoś i Rybski już wiedział. To był eks, czyli akcja ekspropriacyjna, skok na austriacki konwój wojskowy, który w tym samym miejscu zrobiła Polska Organizacja Wojskowa.

– Panowie, rozdzielamy się, trzeba się szybko stąd oddalić, bo przyjadą wszyscy, milicja, Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wojsko z Dębina i Sowici. Rannych i chorych umieścimy po wsiach, na kwaterach, kto z panów chce się do nas przyłączyć, zapraszamy, kto chce się rozproszyć, pomożemy! Proponuję zrobić odskok do dalej położonych wiosek, tam na kwaterach dojdziecie do siebie i jak załatwimy ubrania i dokumenty, pomożemy w dalszej drodze.

Zrobiło się lekkie zamieszanie, które szybko uporządkował młody oficer, pojawiły się furmanki, które miały rozwieźć uwolnionych. Rybski dostał zastrzyk adrenaliny, chciał iść z partyzantami, ale nagle ruszył w stronę stacji, jakiś głos mówił mu, że ma iść swoją drogą, do Warszawy. Anioł Stróż? Zaśmiał się w myślach, to ten typ, co pakuje go w kłopoty, a później ratuje. Tak, stanowczo jego Anioł Stróż był strażakiem podpalczem.

**28 lipca 1945**

**Warszawa, róg Oczki i Chałubińskiego  
Siedziba Kierownictwa Informacji WP**

Portugalczyk miał kaca jak się patrzy, bo Sergio mało wypić nie potrafi, a ilekolwiek by wypił, to i tak wygląda jak jakiś włoski amant. Świeżutki, elegancki, pełen życia, jeden z tych, co mogą prawić morały, że pić to trzeba umieć. Ten cholerny Ormiaszka umiał. Portugalczyk też, ale nie aż tak bardzo, do klasy śniadego towarzysza dużo mu brakowało, więc był ledwie żywy i chyba mniej od alkoholu, a bardziej od myśli, która go prześladowała. Gdy był już bardzo pijany, to bełkotał coś o życiu pozagrobowym, i że dialektyka, a przecież jest ateistą, ale Sergio przyniósł wieść o zmartwychwstaniu.

– Chuj z tym – powiedział pod nosem i wyciągnął z biurka flaszkę czystej. Wypił leczniczą kolejkę i myślał o następnej, kiedy otworzyły się drzwi, ktoś wszedł bez pukania, jak do stoły. Proletariusze, chłopci, aktyw, ale, kurwa, puka się! Już się szykował, żeby opieprzyć gościa, kiedy w drzwiach zobaczył Władka Sawickiego.

– No, tak z rana, towarzyszu majorze? – oburzył się człowiek, który potrafił oliwić cały dzień.

– A ty będziesz tak pieprzył od samego rana czy pomożesz mi rozwiązać problem?

– Pomóc ci skończyć flaszkę? Proszę bardzo, przychodzę z bratnią pomocą.

– To wiem, że w tym temacie mogę na ciebie liczyć. Na ciebie i na miliony rodaków, ludzi pracy z miast i wsi, na postępową inteligencję, a nawet – zrobił pauzę na rozlanie wódki do kieliszków – na element wrogi. Bandyci z lasu i sanacyjno-londyńska banda też pije! Wszyscy piją, jak jest okazja.

– A jaka jest? – zapytał Sawicki, wznosząc kieliszek do góry.

– Ano taka – Portugalczyk wlał wódkę do gardła – że mi się dupa pali. – Jakby dla podkreślenia powagi sytuacji schował butelkę do biurka.

– No i ja mam zastój na froncie walki z faszyzmem i sanacją w świecie kultury i sztuki, same pierdoły, nic nowego.

– A może jednak? Ty i Czytelnikiem się po partyjnej linii zajmowałeś.

– Ot, tak delikatnie, bo nie będę zaglądał do królestwa brata towarzysza Różańskiego, no i nie będę węszył w firmie, gdzie w Radzie Nadzorczej są towarzysze prezydent Bierut i towarzysz premier Osóbka-Morawski. No chyba bym się z chujem na głowy zamienił!

– Może by to było ciekawe – zażartował Portugalczyk, ale szybko przeszedł do konkretów: – Mam tam do przyjrzenia się taką panią towarzyszkę, Aleksandrę Fuchs, bym ją przesłuchał, ale się raban robi, a paru rzeczy bym się chciał dowiedzieć, a ty tam masz takiego swojego człowieka, no tego młodego, miękkiego.

– A mianowicie? – Sawicki rozparł się w krześle.

– Powiem ci coś, o czym się nie mówi. Ta Fuchs była świadkiem, jak pewien były granatowy rozwalil oficera Smierszu, który chciał go zwerbować.

– Dlaczego ja o tym wcześniej nie wiedziałem? – Sawicki poderwał się z krzesła. – Ty mi, kurwa, mów takie rzeczy, partyjny aktyw musi wiedzieć!

– Bo co?

– Bo temu mojemu agencikowi Fuchs powiedziała, że miała w czasie okupacji kochanka, nazywał się Rybski i był granatowy.

Portugalczyk poczuł, że krew uderza mu do głowy.

## **Bąkowiec–Radom–Warszawa**

Rybski poszedł w kierunku stacji. Kiedy już ją zobaczył, zdał sobie sprawę, że z daleka widać kim jest, bo na głowie miał wygo-

lony pasek. Spotkał kolejarza i uznał, że można mu zaufać, przecież ci z Dęblińca o wszystkim wiedzieli, więc i ci tutaj muszą być w konspiracji. Poprosił o pomoc, a kolejarz po chwili zastanowienia odpowiedział:

– Pani bufetowa pana przenocuje, a jutro dosiadzie się pan do transportu z przesiedleńcami ze Wschodu, może wtedy pan pojechać na Dolny Śląsk, czy nawet pod granice na Odrze, albo po prostu wysiąść w Radomiu.

– Jeden do Radomia poproszę, ze zniżką – zażartował.

– No to na miejscu trzeba poszukać majstra Lasoty i powiedzieć mu „semafor w górę”, a on zapyta „na którym torze?”, a pan na to „na wszystkich w Polsce”.

– Zawsze tak wolno jadą transporty z więźniami? – zapytał z głupia frant.

– Pędzić nie pędzą, ale wy jechaliście wyjątkowo powoli, wszędzie, gdzie się da, was zwalniali, bo leśni musieli się zebrać. To wielka akcja była, chłopcy od Orlika aż z drugiego brzegu przyплыnęli. Mnóstwo ludzi było zmobilizowanych, parę setek. Aha, i czekaj pan, chodźmy do mnie na stację, to pana ogolę i jakąś czapkę dam.

Poszło fachowo, z ciepłą wodą i mydłem, z dobrze naostrzoną brzytwą.

Przespał się u bufetowej, najwyraźniej mocno zaangażowanej w konspirację, i o świcie był gotowy do dalszej drogi. Zawia-dowca stacji był uprzedzony o wyjątkowym gościu i miał dla niego prezent.

– To stary kombinezon, cały w smarach, ale lepsze to niż pana rzeczy, a poza tym... na kolejarza pan będzie bardziej wyglądać. Taki w za czystym to byłby przebieraniec.

Na stację wjechał skład złożony z bydłowych wagonów, dosłownie, bo wieziono w nich cały dobytek włącznie ze zwierzę-

tami gospodarskimi, to było czuć i słycać.

– Podwieziecie kolejarza? Do Radomia tylko, godzinka, półto-  
rej – zapytał zawiadowca ludzi, którzy wyszli na chwilę z wago-  
nów, żeby pooddychać świeżym powietrzem.

– Kolejarz to mógłby chyba w lokomotywie? – nieufnie spytał  
starszy, wąsaty mężczyzna w maciejówce.

– W lokomotywie to jego niedoszły teść siedzi, delikatna  
sprawa! – odpowiedział natychmiast zawiadowca, jakby czekał  
na takie pytanie.

– A jeśli sprawy się mają tak, jak pan zawiadowca mówi, to  
wsiadaj pan, jest jeszcze miejsce!

Zapakował się z kresowiakami, a kiedy pociąg ruszył, zaczęli  
rozmawiać o tym, co było po siedemnastym września, o wywóz-  
kach i aresztowaniach, że w pierwszej chwili, jak Niemcy we-  
szli, to się nawet ucieszyli, ale okazało się, że to taka sama za-  
raza, a teraz muszą iść w poniewierkę.

– W poniewierkę, ale się nie ukrywacie.

– Są tacy, co się ukrywają, leśni jak nie poszli do wojska, to po-  
szli pod ścianę albo na zsyłkę, wielu dalej w oddziałach – żalili  
się kresowiacy.

*Przyznać się czy nie?* – zastanawiał się i wtedy z głębi wagonu  
przyszedł sędziwy, ale dobrze trzymający się mężczyzna, łysy  
jak on, z orlim nosem i przenikliwym spojrzeniem.

– Gdzie pan kolega robi, przy obróbce czy przy odprzegach?

– Przy obróbce – odpowiedział Rybski, czując, że się poci.

– A jaka tam u was na stacji jest moc przepustowa?

– Teraz to zależy, wojna była, pociągi nie jeżdżą jak dawniej,  
wcześniej w Rykach pracowałem, w Bąkowcu nowy jestem.

– I w Bąkowcu, powiadasz, przy obróbce robisz? – zaśmiał się  
ciekawski kresowiak. – Ale parowozowni i warsztatów to ja na  
tej stacji nie widziałem. Jak już masz pan mówić, że coś na kolei



robisz, to wybierz pan większą stację, gdzie jest jakaś remiza, lokomotywownia, warsztaty. Taką dobrą radę daję, tak na przyszłość.

– A to pan nie kolejarz? – zainteresował się wąsacz w maciejówce.

– Kolejarz, z Radomia – powiedział Rybski, a ciekawski pokiwał głową.

– Bolesław Stępniewski – przedstawił się. – Byłem zawiadowcą stacji, na szczęście odszedłem na emeryturę, bo zawiadowców Sowietów nie traktowali za dobrze. Z panem też się nie cackano. – Popatrzył na niego, przysuwając się na odległość paru centymetrów.

– Nie cackano się. – Rybski uznał, że nie ma co udawać.

– Pan... – emerytowany zawiadowca zbliżył się do jego ucha tak blisko, że niemal trącał je wargami – z tego transportu? – Wicek pokiwał głową. – To pan nie możesz być sobą.

– Nie powinienem.

– Coś z tym trzeba zrobić. – Wąsacz w maciejówce przymknął oczy, jakby miał zapaść w sen. Po chwili pokryte gęstą siatką zmarszczek powieki podniosły się do góry, a na twarzy pojawił się uśmiech. – Już wiem!

Zanurzył się w głąb wagonu wrócił z ogorzałym przysadzistym człowiekiem w kapeluszu.

– Nu, na jednej ze stacji śmy zostawili Kaźmirza, nie dowieźli my go – zaciągnął starszy mężczyzna w kufajce – nu ali dokumenty, wszystkie bumagi mamy. Jakby ogolić, ale bez wąsów, a te wąsy troszku zapuścić, włoski troszku odrosną, no i wykapany Kaźmirz! Nu masz pan i się ucz co trzeba, tylko godzinka już tylko do tego pańskiego Radomia.

– A to pan musi w tym Radomiu wysiadać? – włączyła się kobieta siedząca obok wąsacza. – Toż niech z nami na Ziemi Odzy-

skani pojedzi! Do nas, do Nowych Stołpyczek, bo tak wieś nazwiemy. Kawalerów mało, nie będzie komu pracować, a dziewczyn u nas... I młodych, i wdów, same akuratne, robotne i ładne!

– Może pojedę. – Rybski się uśmiechnął, bo się domyślił, do czego pije kobieta. Tak na oko to była rodzina, ten wąsacz będący sołtysem wsi wpakowanej do wagonów, jego żona i trzy córki, które ciekawie zerkały na Rybskiego. – Kto wie, kto wie... Troszkę odmłodziłem – zwrócił się do wąsacza. – Kazimierz Kokeszko lat dwadzieścia dwa...

– Oj tam, się temu zaradzi!

– A jak?

– No wszystkie dokumenty z błędami – zaśmiał się. – Nu patrz pani tutaj, Kosarewicz Władysław urodzony w roku tysiąc dziewięćset czternastym! A jak raz dziesięć lat starszy!

Rybski raz jeszcze spojrzał w papiery i na zdjęcie młodego człowieka. Wymęczona twarz, nieogolony, zapadnięte oczy. Mógł mieć równie dobrze i dwadzieścia dwa i czterdzieści dwa lata. Wojna, obozy, zsyłki rzeźbiły twarze, jakby wszyscy mieli wyglądać jak aktorzy z filmów o Draculi i monstrum Frankenstein. Béla Lugosi wyglądałby w tym świecie pociesznie. Jaki film musieliby nakręcić, żeby był straszny i poruszający? Filmy z aktorami nie miały szans przy tym, co pokazywały kroniki.

Kolejarz wszedł w głąb wagonu. Nie było go z pięć minut, wrócił i dał ręką znak, by poszedł za nim. Ostrożnie, by nikogo nie nadepnąć, Rybski poszedł za starym kolejarzem.

– Szukam majstra Lasoty.

– To znalazłeś.

– Semafor w górę.

– Na którym torze?

– Na wszystkich w Polsce.

– Dokąd? – spytał Nowacki, częstując go papierosem. – Bo jak do Krakowa, to mamy trochę czasu, ale jeśli na Warszawę, to zaraz odchodzi towarowy z zaufaną obsadą. Musimy się pośpieszyć, bo bałagan jest, ale pociąg musi pójść o swojej porze, oczywiście o ile to możliwe.

Zdażył i zapakował się do lokomotywy, która pociągnęła skład w kierunku Warszawy. Po południu był na miejscu. Kiedy pociąg wtaczał się na Dworzec Zachodni, minął się ze składem towarowym, który właśnie nabierał rozpędu, w otwartych drzwiach mignęły mu postacie z bronią, cywile, ale jakby jechali na wojnę, a jeden z nich był podobny do Staśka, ale to chyba niemożliwe, żeby to był on.

## **Warszawa, Szczęśliwice, Dworzec Zachodni**

Koła zaczęły miarowo stukać po szynach, za chwilę ich rytm stanie się usypiający, ale na razie wszystko było przygodą, początkiem podróży, która zamieni się w nudną, parodniową przeprawę. Naprzeciwko Staśka siedział porucznik Leszczyński, ale wszyscy mówili na niego Biały. Był ich formalnym dowódcą i z wielką pieczołowitością czyścił automat, którego Staśka nazwy nie znał.

– Magazynek wyjęty, nabój też poza komorą, nie zabiję cię – zaśmiał się. – Za długo się w to bawię, prawie pół życia, i za wiele widziałem w wojsku i partyzantce takich numerów, żeby nie być ostrożnym.

Biały trochę z tą połówką życia przesadził, ale na pewno czas spędzony z bronią był dla Staśka wyjątkowy. On strzelił pierwszy raz dopiero w powstaniu, a Biały strzelał już od paru lat, przez całą partyzantkę.

– Co to za peem, niemiecki?

– Włoski. Beretta, dobrze bije.

– Lepiej niż szmajser?

– Broń lepsza pod każdym względem, niezawodna, mocna, celna. Lepsza nawet niż sowiecki pepees. Lekka, poręczna, bo pepeszka fajna, ale ciężka i się czasem zacina.

Fajny był ten Leszczyniak, pierwszy chłopak ze wsi, z którym się zakolegował, inny niż pochodzący z jego stron panicz podchorąży. Gustaw był ziemianinem i zadzierał nosa, którego bezpardonowo ucierał mu Lisek. To był rudy czort, a nie Lisek, więc czasem iskrzyło, ale wszystko szybko zagaszał porucznik Marek, który był prawdziwym dowódcą. Formalnie tworzyli specgrupę Milicji Obywatelskiej, która jechała robić porządki na nowych, zachodnich kresach Polski, a tak naprawdę byli oddziałem wydzielonym Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. Mieli dokumenty, które robiły na wszystkich wrażenie, nawet na ubekach, ale jak to będzie z NKWD, tego nie wiedzieli. Zobaczy się. Tak czy owak, ich milicyjnym dowódcą był porucznik Biały, jego zastępcą sierżant Marek, a reszta – włącznie z jaśniepanem podchorążym Gustawem – szeregowcami. W praktyce dowodził porucznik Marek, bo to on stał wyżej w konspiracyjnej hierarchii. Gdyby dowódcą był Gustaw, to nie ujechaliby kilometra bez awantury, bo Gustaw czuł się lepszy od Białego. Porucznik Marek był równym gościem, za którym Lisek poszedłby w ogień, Stasiak czuł, że on też. Marek był świetnym dowódcą, chociaż tak najbardziej to chciałby, żeby nim został Wicek.

\*\*\*

Rybski wysiadł na Zachodniej, stamtąd musiał iść na piechotę. Dokąd? Do kogo? Na Złotą, gdzie u doktorowej Reichowej mieszkał Stasiak? Czy on tam jeszcze mieszka? Pewnie tak, więc ruszył wzdłuż torów w kierunku Śródmieścia. Dobrze, że było lato, dobrze, że większość ludzi była biedna i obszarpana, do-

brze, że wszędzie ktoś pracował, przy gruzach, przy wstawianiu okien i drzwi. Dobrze dla niego, bo w swoim wybrudzonym smarami kombinezonie wtapiał się w otoczenie. Ludzi było więcej niż w maju, więcej uprzątniętych ulic, zresztą Ochota nie była tak zniszczona jak Śródmieście czy Starówka i Powiśle Czerniakowskie. Zbliżał się w kierunku placu Narutowicza i miał dalej iść Jerozolimskimi, ale nagle zmienił zdanie. Skręcił w Wawelską i wziął kurs na Pole Mokotowskie. Raz się żyje!

## Kraków, Kazimierz

Ola, jak tego chciał Borejsza, pojechała do Skarżyska i rozmawiała z ludźmi, po czym napisała szkic reportażu.

Opowiedziała tę historię, taką jaka była, pisała po odbyciu dziesiątek rozmów z miejscowymi. Z tymi, którzy się nie bali mówić o tym, co się zdarzyło szesnastego stycznia, bo wielu się bało, nie chciało mówić, zwłaszcza na ten temat. Na początku 1945 roku akowcy utworzyli milicję, samoobronę, bo wojsko, jak to wojsko... Tak, nawet Armia Czerwona kradła i gwałciła, przecież wszyscy o tym wiedzą, choć o tym się nie pisze, czasem tylko ludzie mówią o tym, że doszło do jakichś mniej lub bardziej strasznych rzeczy, że czasem jakiś *kamandir* potrafił za gwałt albo morderstwo rozstrzelać żołdatów, którzy się tego dopuścili, a czasem oberwało się milicjantom, że wchodzili między wódkę a zakąskę.

W Ostrowcu Armia Czerwona nie była problemem, ale pojawili się polscy bandyci. Bo bandyci zawsze się pojawiają, kiedy nie ma władzy, kiedy jest czas między odejściem jednych a przyjściem drugich. Akowcy urządzili więc milicję, żeby obronić mieszkańców przed złodziejami i bandytami. Swoimi i przyjezdnymi, którzy zwęszyli możliwość szybkiego wzbogacenia się. Kiedy radziecka kolumna ciągnęła w zwartym szyku przez

główną ulicę miasta, ktoś napadł na mieszkanie Kaczmarków przy ulicy Bałtowskiej. Ruszył tam nieuzbrojony patrol, który rozbroił bandycką czujkę. Z pistoletem zabranym bandycie weszli do mieszkania, a tam doszło do strzelaniny. Dowódca patrolu był lepszym strzelcem od bandyty, który dostał trzy kulki. Strażacy, w których remizie znajdowała się komenda akowskiej milicji, zawieźli go do szpitala, a tam wykrwawił się na stole operacyjnym, bo kule trafiły pod serce, w żołądek i wątrobę. Później zrobiło się zamieszanie, kiedy się okazało, że to oficer Armii Ludowej, partyzant i do tego wojewoda i dowódca partyzancki Gwardii Ludowej, towarzysz Foremniak. „Wojewoda bandytą? Przed wojną nie do pomyślenia” – tak to komentowali ludzie i mówili, że Bohun, ten chłopak, akowiec, który go postrzelił, to prawdziwy bohater i do czego to doszło, że ledwie Niemcy odeszli, a taki bandytyzm, że to wstyd wielki dla nowej władzy, a teraz z tego, który ratował, zrobiono bandytę i ścigają go po całej okolicy. Wszyscy wiedzieli, że Bohun to plutonowy Stanisław Kosicki, że nie ma dwudziestu lat, że to harcerz. Ktoś nawet powiedział, że nie był stąd, że we Francji się Staszek urodził. Syn oficera, w Warszawie i Toruniu się wychowywał, a do Ostrowca zjechali w 1942 roku, jak ich wysiedlili z wcielonego do Rzeszy Pomorza, bo nie chcieli folkslisty podpisać. A teraz ukrywa się jak przed Niemcami, do czego to doszło!

Borejsza nie był z tego zadowolony. Nie krzyczał, ale i nie był miły. Mówił, że nie są jakimś londyńskim pismem propagandowym. Że tutaj nie uprawia się sanacyjnej i londyńskiej propagandy, że jak się jej nie podoba to, co robią, to niech sobie idzie pisać gdzie indziej, droga wolna! I powiedział, że dała się omanić, oszukać, zmanipulować i że więcej się po niej spodziewał, rozczarował się jej postawą i nie mógł uwierzyć, że za dach nad głową, jedzenie i możliwość tworzenia nowej Polski dostał taki rewanż. Chciał jej dać szansę, do tego namówił go Kuryluk, że mogłaby mieć wielki literacki debiut, w którym rozliczyłaby

tamtą Polskę, przenicowała ją niczym Żeromski w *Popiołach* wojny napoleońskiej. Mógł być z tych nowych Popiołów prawdziwy diament nowej literatury. I będzie. Ale żaden debiut, znajdzie jakiegoś doświadczonego literata, kogoś, kto przejrzał na oczy, kto zrozumiał, co się dzieje, kto wykorzysta szansę. Tak się z nią pożegnał.

W redakcji poczuła wokół siebie jakąś pustkę. Posiedziała chwilę i poszła na Kazimierz, na swoją kwaterę, tam położyła się i długo myślała, co będzie dalej. Kiedy zasnęła, zbudziło ją pukanie do drzwi.

– Otwierać! Urząd Bezpieczeństwa! – usłyszała.

A więc to tak, taki będzie tego wszystkiego koniec. O bracie Borejszy, funkcjonariuszu sekcji śledczej resortu Bezpieczeństwa Publicznego, Józefie Różańskim, dużo usłyszała i nie były to dobre rzeczy.

Nie rozumiała, czemu ją zatrzymali i dlaczego nie zabrali jej na Montelupich. To miejsce cieszyło się złą sławą. Mówiono, w co nie chciała wierzyć, w co nie wierzył nikt z redakcji, że na Montelupich dzieją się takie rzeczy. Takie, czyli takie same jak na lubelskim zamku. Ulica plotkuje, wrogowie polityczni ubarwiają, a z bandytów robią patriotów, wyolbrzymiają to, co się dzieje podczas badań – tłumaczył Leszek, kiedy go ostatnio spotkała – bo jak rozmawiać z bandytami, jak z dziećmi z ochronki? Ale ona widziała, jak wyglądał Rybski po przesłuchaniu przez funkcjonariusza UB. A teraz ją aresztowali i pierwsze, co poczuła, kiedy wyjechali z Krakowa, to ulga, że to nie Montelupich. Ale szybko zastąpiła ją niepewność, a z każdym przebytym kilometrem narastał strach, że jedzie do Warszawy, i że nie chodzi o artykuł i prawdę o wojewodzie Foremniaku, tylko złapali Rybskiego, zamęczyli go i wiedzą o tym, że to ona zastrzeliła Koliczkiego.

## Warszawa, Mokotów, ulica Szustra

M jak Mokotów, M jak Mira. Poznał ją w czasie powstania, kiedy dano mu zadanie eskortowania sędziego z Wojskowego Sądu Specjalnego. Wynurzył się z kanału, a potem poznał ją, piękną, elegancką, samotną. To u niej spędził jedyną piękną powstańczą noc, podjęła go w swoim mieszkaniu, poszła zrobić kawę, a kiedy przyszła z parującą filiżanką, ubrana była tylko w futro. Nagle przypomniał sobie o niej i jej zapragnął. *Tak, raz się żyje* – pomyślał, kiedy do niej zapukał.

– Wicek?

– Tak, to ja, Miro.

Wciąż mimo tego, co się działo i co zapewne wcześniej przeszła jak wszyscy w tym mieście, była piękna i pociągająca, ale powitanie nie było zbyt entuzjastyczne. Niepotrzebnie tu przyzeglował po to, by narobić sobie apetytu i obejść się smakiem.

– Nie miałem dokąd iść – skłamał.

– Nie mieszkam sama – powiedziała stanowczym głosem.

Już miał wychodzić, ale zatrzymała go.

– Szwagier u mnie mieszka, ale dzisiaj nie wróci na noc – oznajmiła, po czym dodała: – Weź kąpiel, przecież nie pragnę cię aż tak bardzo, żeby pójść do łóżka z takim brudasem.

– Nie musimy iść do łóżka – powiedział Rybski, podchodząc do niej i delikatnie zadzierając sukienkę.

Dała się przez moment popieścić, jęknęła cicho, ale po chwili stanowczym ruchem popchnęła go w kierunku łazienki.

– Moja tolerancja na bród staje się coraz bardziej otwarta, ale idź, proszę, do wanny, wszystko co trzeba znajdziesz w łazience. Czekam... a gdybyś liczył na coś specjalnego, to nie mam już tego futra.



– Możesz na mnie czekać bez futra, tak nawet będzie lepiej – odpowiedział Rybski, lustrując ją wzrokiem. To była niezwykle piękna kobieta, więc absolutnie szczerze dodał: – Cokolwiek się stanie, będzie dla mnie specjalne, niczego innego się po tym wieczorze nie spodziewam.

*Chyba nieźle jak na chłopaka ze Starówki* – pomyślał i poszedł do łazienki.

\*\*\*

Podróż trwała całą noc i okazało się, że nie wzięli jej do żadnego aresztu, tylko do piwnicy jakiejś willi. Znowu przypomniał się jej niedokończony dom na Saskiej Kępie, w którym trzymano porwane dziewczęta. Czego od niej chcą? Jeśliby pochwytili Rybskiego i wydusili z niego, co naprawdę zaszło w parku Skaryszewskim, to byłaby już pobita, siedziała w celi i czekała na egzekucję.

Drzwi się otworzyły, pojawił się w nich wysoki mężczyzna, żaden z tych, którzy ją zatrzymywali i konwojowali.

– Co ja tu robię?! – krzyknęła. – Dlaczego mnie porwano? Nie jesteście z Urzędu Bezpieczeństwa!

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Mówili, że jesteś sprytna. Kobieta, która zawróciła w głowie Rybskiemu, nie może być zwykłą kozą.

A jednak Rybski. Mają go?

– To, co się z tobą stanie, zależy tylko i wyłącznie od Rybskiego. To znaczy na pewnym etapie, do pewnego momentu, bo może się okazać tak, że sceduje ten problem na towarzysza Koliczkiego.

Kim są, czego chcą, co znaczą słowa o Koliczkiem?!

## 29 lipca 1945 Kraków, Wielopole 1

W Domu Prasy mieli w południe szczególnego gościa, odwiedził ich pułkownik Wojska Polskiego. Wsiewołod Kolicki nie był zapowiedziany, przyjechał prosto z lotniska i tylko na chwilę, bo jeszcze tego samego dnia miał być w Warszawie. Do Warszawy przez Kraków? Ale w końcu to był ktoś! I nie wypadało nawet dociekać dokładnie kto, wypytywać, bo przyjechał na Krakowskie Przedmieście gazikiem z dwoma radzieckimi żołnierzami. Że jest wyjątkowym człowiekiem, świadczyła Złota Gwiazda Bohatera Związku Radzieckiego na polskim mundurze. Do tego barretki, wśród których wyróżniały się dwie czerwone ze złotymi końcówkami. Też nie było co, bo Order Lenina, przyznawany najlepszym jako osobne odznaczenie. Gościć kogoś takiego było zaszczytem, który skończył się dość szybko. Kolicki dał do zrozumienia, że chce rozmawiać tylko z kierownictwem i dlatego przeszli do gabinetu Borejszy.

– Co się stało z Aleksandrą Fuchs?

– Tego nie wiemy. – Borejsza rozłożył ręce. – Powinna być dzisiaj w pracy, nie stawiała się, więc poszła tam jedna z koleżanek, ale nikogo nie zastała, a współlokatorka widziała ją, jak wsiadała do auta w towarzystwie dwóch mężczyzn, a później pojawiło się kolejne auto, ale...

– Tak, wiem, co było wczoraj, to byli ludzie z NKWD, sam ich wysłałem.

– Co właściwie się stało? – zapytał Kuryluk.

– To ja zadaję pytania. – Bohater Związku Radzieckiego jakby zszedł z pomnika, ale zachowywał twardość spiżu, a w jego ciepłym barytonie pojawiły się metaliczne opiłki. – Pracowała u was, tak?

Zapanowało milczenie.

– Tak czy nie, pytam się! *Możet'e prosta skazat' mne?* – zapytał po rosyjsku, co było dla nich sygnałem, że żarty się skończyły, o ile były jakieś żarty w tej rozmowie.

– Tak, Aleksandra Fuchs pracowała u nas od listopada ubiegłego roku, przyjechała tu prosto ze szpitala, gdzie leżała po ciężkim postrzale, jakiego doznała podczas zamachu na radzieckiego oficera, sprawcą był funkcjonariusz polskiego Kripo, bodaj... – Borejsza się zastanowił.

– Rybski – odpowiedział Kuryluk.

– Tak, Wincenty Rybski – podchwycił Borejsza. – Ten bandyta postrzelił trzech czerwonoarmistów i Aleksandrę. Jeden z żołnierzy z obstawy zginął na miejscu, drugi zmarł w szpitalu, w tym samym szpitalu byli oboje, ten biedny sierżant Armii Czerwonej i ona.

– Ona przeżyła? – Kolicki zadał dziwaczne wprost pytanie.

– Nnno tak. – Borejszę rzadko co i kto mogło przyprawić o niepewność, ale taka chwila właśnie nastąpiła.

– A ten oficer?

– Oficer... Aleksandra Fuchs mówiła, że dostał postrzał w głowę... – Borejsza zawiesił głos, bo dostrzegł, że zaczesane na bok włosy zasłaniają bliznę na głowie, bliznę, jakiej nie oglądało się zbyt często. Takich blizn, w takim miejscu nie było, bo były to rany, które albo postrzelonego zabijały, albo czyniły go ludzkim warzywem. Teraz przypomniał sobie nazwisko i zmarł... Kolicki! Ale Kolicki był tutaj, w mundurze Wojska Polskiego, z dystynkcjami pułkownika na pagonach, ze Złotą Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego i blizną, którą częściowo odsłoniły włosy, które musiał poruszyć podmuch wiatru. Redaktor Kuryluk przymknął okno, jakby się bał, że kolejny podmuch odsłoni całą bliznę, która zdawała się sięgać w głąb czaszki aż do mózgu.

– Kontynuujcie, słucham – zachęcił pułkownik i zauważywszy w oczach Borejszy i Kuryluka pytanie „od czego zacząć”, dodał:  
– A jak to się stało, że do was trafiła, bo chyba nie po znajomości z tym policjantem?

Żarcik. Niewinny lecz bolesny, odpowiedź wziął na siebie Kuryluk.

– Poznaliśmy ją przed wojną, kiedy organizowaliśmy Kluby Demokratyczne, Komintern to aprobował... – zaczął, a pułkownik Kolicki uniósł w górę brwi, jakby chciał powiedzieć *intieriesna, intieriesna...* – Aleksandra Fuchs pochodziła z bogatej, żydowskiej rodziny, zasymilowanej, niereligijnej.

– Z takiej jak Jerzy Abrahamowicz? – zwrócił się do Borejszy. I znów Kolicki przypomniał, kto tu rządzi.

– Można tak powiedzieć, pułkowniku. – Borejsza poczuł się w obowiązku odpowiedzieć i choć zrobił to mocnym głosem i był starym komunistą, to nie czuł się pewnie.

Pułkownik zadał sobie trud, by sprawdzić, że jego brat, Józef Różański pracuje w UB, a ich ojciec miał na imię Abraham. Zatem wiedział też, że kiedyś na nazwisko miał jak ojciec – Goldberg, a na imię Beniamin. Wiedział z pewnością wszystko, niemal wszystko: że była jeszcze siostra Judyta, że rodzice się rozwiedli, że matka Anna z domu Różańska była rzeźbiarką i automobilistką, która jako jedna z pierwszych kobiet w Polsce miała prawo jazdy. *I co jeszcze mógł wiedzieć i czego nie wiedział, a był ciekawy? I jak to się stało, że przeżył i co naprawdę zaszło wtedy w parku Skaryszewskim, czemu panowała taka cisza?* – myślał Borejsza, konstruując jednocześnie ciąg dalszy opowieści o Aleksandrze Fuchs.

– To była, to jest – poprawił się – wyemancypowana kobieta, studiowała sztuki piękne, jeździła automobilem... – Borejsza czuł, że Kolicki i tak wie, jak było!

– Zupełnie jak wasza matka Anna!

Borejsza się nie zatrzymywał, mówił dalej.

– Związała się z policjantem z urzędu śledczego, ale nie z defensywy, z komisarzem Strasburgerem. Nie był naszym człowiekiem, bliżej mu było do PPS, ale z pewnością nie był związany z sanacją. Wystąpił z policji, mówiła, że także z powodów politycznych. Po jego powrocie z Hiszpanii, był tam na wojnie, zaczęli razem chodzić do Klubu Demokratycznego, więc znałem ich z widzenia, bo byłem, jak zapewne wiecie, jednym z animatorów tego przedsięwzięcia.

Kolicki z trudem powstrzymał się od jakiejś reakcji, bo w czasie wojny nie miał o tym pojęcia. Zwierzyła mu się z tego, że Strasburger wyjechał z Warszawy z polskim złotem, ale nic nie mówiła, że wcześniej był w Hiszpanii!

Tymczasem opowieść o Aleksandrze Fuchs kontynuował Karol Kuryluk.

– Ja poznałem ją lepiej – powiedział to, jakby chciał wziąć na siebie odpowiedzialność. – Zgłosiła się do mnie jako do redaktora naczelnego „Sygnałów”. Powiedziała wprost, że wie o naszych kłopotach finansowych, że w związku z tym nie będzie brała wygórowanej stawki, ale zależy jej, żeby reportaż z Palestyny był obszerny. To było bardzo dobre, wręcz znakomite, z lewicową wrażliwością i pazurem. Rokowała bardzo dobrze.

– Ten reportaż z Palestyny był faktycznie dobry, dlatego kiedy dowiedziałem się, że leży w szpitalu na Pradze, to odwiedziłem ją, żeby porozmawiać, bo wydała mi się dobrą osobą dla wzmocnienia zespołu redakcyjnego. Akurat ją wypisywano i z miejsca, zamiast się tułać po Warszawie, pojechała do Lublina. Dobrze się spisywała, wspomagała dział listów, była pilna, oddana, coraz bardziej odpowiedzialna ideologicznie... – Tu zrobił pauzę, jakby się szykował do skoku do wody. – Rokowała nadzieje, wielkie nadzieje, widziałem w niej osobę, która może stworzyć wartościowy, literacki debiut. Posłaliśmy ją do

Ostrowca Świętokrzyskiego, gdzie zbrojne podziemie popełniło zbrodnię. Zastrzelono towarzysza Foremniaka, ałowca, oficera, który był w drodze do Kielc, gdzie miał objąć urząd wojewody. Mocna historia o bohaterze naszych czasów, a tymczasem Aleksandra napisała tekst z którego wynikało, że Foremniak był rabusiem, a akowcy bohaterami!

– To był dla nas cios – wszedł mu w zdanie Kuryluk. – Jak kubek zimnej wody. Mieliśmy się naradzić, co zrobić, zastanowić się, czy ona rokuje jeszcze jakieś nadzieje, tymczasem zniknęła. Przepadła jak kamień w wodę.

– Nie szukaliście jej?

– Zdawało się że wyjechała, że pojęła, że to nie dla niej... – Kuryluk bardziej się zastanowił, niż stwierdził. – To było kilkanaście godzin temu!

To już nie było dla Kolicznego ważne, Borejsza i Kuryluk nie wiedzieli, z kim i dokąd wyjechała. Jego ludzie się spóźnili i on się spóźnił. Więcej czasu nie ma, musi lecieć do Warszawy, tam ma pracę, ciężką pracę przy tworzeniu polskiego wywiadu wojskowego. Jego wywiadu, już on wie, jak to wszystko ułożyć i pokierować, choćby z tylnego siedzenia.

Bohater Związku Radzieckiego pułkownik Wsiewołod Koliccki wyszedł, nie ściskając serdecznie dłoni, jak to robił na powitanie, tylko zasalutował, z tym że nie po radziecku, całą dłonią, ale po polsku, dwoma palcami do daszka rogatywki, która jak ulał pasowała do jego głowy. Borejsza pomyślał, że salutował tak, jak mówił i wyglądał – jak stuprocentowy polski oficer, taki z przedwrześniowej armii, jak Berling i Rola-Żymierski. Nie wiedział jednak, że równie dobrze leżał na Kolicckim mundur niemiecki i że pozdrawiał salutem rzymskim i krzyczał *Heil Hitler* lepiej niż niejeden oficer SS.

## **Warszawa, Ochota**

### **Mieszkanie operacyjne Kierownictwa Informacji WP**

Wiadomości rozchodziły się szybko. Portugalczyk wiedział już, że niedługo po tym, jak uprowadzono Aleksandrę Fuchs, pojawiła się jeszcze jedna ekipa. Kto? Tego nie wiedział, natomiast było wiadomo, że pułkownik Kolicki jest w Polsce, oficjalnie jako doradca pułkownika Kozuszki. Piotr Kozuszko był Ukraińcem, który grał Polaka, miał długi staż, najdłuższy z możliwych, bo zakładał informację wojskową jeszcze w Dywizji Kościuszkowskiej, rósł wraz z Wojskiem Polskim, I i II Armią oraz organizacją wywiadu. Albo w Rosji, albo przy wojsku, kiedy Kolicki był w Polsce i poznawał niuanse partyjnej polityki. Bo inna się już praktycznie nie liczyła, cokolwiek sikorszczaki i Londyn by zrobili, to wygrana była po stronie PPR, która będzie partią władzy, rozstawiającą po kątach swoje sojusznicze przystawki. Walka wewnątrz partii jest zatem najważniejsza, a Kolicki może mieć na nią decydujący wpływ. Dla kogo gra? Dla Berii, który prowadzi własną politykę, omijając Stalina, czy dla kogoś z dworu generalissimusa? A może sam ma wielkie ambicje? Zostanie Polakiem na całego i rozepchnie się tutaj łokciami. A dzięki swojej wiedzy na temat tego, co GL, a później AL robiła w Polsce, te łokcie ma twarde i ostre. Może odpalić niejedną bombę, która zmieni partyjną scenę, a może nawet zdelegalizuje partię. Przecież Komintern z rozkazu Stalina już to kiedyś zrobił.

Czy jego przyjazd miał coś wspólnego z uwolnieniem przez Sierowa szefa przedwojennych faszystów Piaseckiego?<sup>[35]</sup> Dochodziły głosy, że Sierow jest nim zafascynowany, że widzi w nim przyszłość, ale zdawało się, że to tylko plotki, w które nikt rozsądny nie powinien wierzyć. A tymczasem nastąpiło to, co on sam by uznał za plotkę, gdyby nie przeczytał. Bolesław Piasecki, który powinien już dawno leżeć z przestrzeloną po czeki-

stowski głową, napisał manifest, w którym łączył się z programem Rządu Tymczasowego. Używał zwrotów „wielka idea”, „bezkrwawa rewolucja”, radykalizm społeczny, władza chłopów i robotników. Ktoś chyba umyślił sobie, że można szachować takimi Piaseckimi starych towarzyszy. Wie, czym to wszystko śmierdziało, zdawał sobie sprawę, że to może być wiśzący nad nimi miecz, ale nie Damoklesa, tylko Stalina lub tego, kto rozgrywa Polskę swoje miejsce w radzieckiej polityce. Zaostrenie walki klasowej i walki frakcyjnej – to się kończy czystkami, które potrafią być ostre i krwawe jak rewolucje. Mogły być nawet końcem świata. Przecież doskonale wiedział, jak działa NKWD. Widział to na własne oczy w Hiszpanii, słyszał o czystkach w Moskwie.

Portugalczyk postanowił się ukryć przed Kolickim, którego oficjalnie jeszcze nie było. Jako samodzielny oficer wywiadu uciekł, delegując się wraz z grupą operacyjną do przeprowadzenia tajnych działań w terenie.

## **Warszawa, ulica Złota 32**

Ta noc była piękna, warta grzechu, jakim było zostawienie wszystkich spraw. Kawa, śniadanie i ubranie, które dostał od Miry. Czy widzieli się ostatni raz? Być może, ale pożegnali się, jakby wychodził do pracy i miał wrócić wieczorem.

Udał się na Złotą, żeby spotkać się ze Staśkiem i poprosić go o pomoc w skołowaniu nowych dokumentów. Zapukał do drzwi Anny Reich. Po chwili gospodyni otworzyła mu i niemal rzuciła się w ramiona, ale zaraz jakby skurczyła się w sobie i powiedziała:

– Stasiek tak się o pana martwił, tak czekał, a wczoraj wyjechał! Minęli się panowie.



Rybski był na siebie wściekły, namiętność okazała się ważniejsza od własnego brata!

– O której wyjechał?

– Wyszedł z domu w południe, był z kimś umówiony.

Odetchnął z ulgą, w południe był jeszcze w Radomiu. Ale w takim razie może to jego widział na Warszawie Zachodniej, tylko co tam robił, dlaczego w kilkusobowej kompanii, w cywilnym ubraniu i z bronią podróżował pociągiem jakby nigdy nic?

– Zostawił dla pana informację... – Pani Reich poszła do pokoju i zza tapety wyciągnęła karteczkę.

Przeczytał i wiedział, co dalej robić, na kartce był spis miejsc, w których urzędował Jeżewski, wraz z dniami tygodnia, do których były przypisane lokale. Najbliższe było anonsowane na drugiego sierpnia w lokalu przy Smolnej.

– Jeszcze to!

Pani Reich podała mu dokumenty.

Co za chłopak, pomyślał o wszystkim! Skoro ma papiery, to wpadnie do Kosiorka, zobaczy, co u niego. Tak jak w lutym szedł od Wisły Kępną, ale tym razem nie wpadł na Targowej na Portugalczyka. Mogło być znacznie gorzej, bo o mało nie rozjechał go tramwaj.

– Uważaj, gdzie leziesz, baranie, jak pragnę Boga jedyne! Chomąto ze wsi przyjechało i się pod tramwaj pcha! – ryknął motorniczy. Normalnie odwinąłby mu się jakąś wiązanką, ale zamiast tego stał i patrzył na wagon, który zatrzymał się tuż przed nim.

– Od kiedy znów jeżdżą tramwaje? – zapytał, zamiast odpłacić się za chomąto ze wsi.

– Od dwudziestego czerwca, pan żeś z choinki się urwał czy jak?

– Nie, z obozu.

– To ja szanownego pana przepraszam, wsiadaj pan. – Tramwajarz się uśmiechnął i dał znak konduktorowi, żeby nie kasał pasażera, którego przed chwilą o mało nie przejechał. – Linia numer jeden, od Kawęczyńskiej do Wiatracznej, ale są jeszcze cztery inne! – powiedział z dumą. – Wielki świat mamy teraz na Pradze, wielki świat – zaśmiał się, po czym dodał: – Linie to linie, pies ich trącał, ale ile fajnych dziewczyn i chłopaków przez ten czas przepadło...

Opowiadał o tym Kosiorkowi, który ucieszył się, że Wicek żyje i nakarmił go solidnie.

– Żebyś pan nie odwalił kity, to musisz się pan solidnie odżywiać, bo ten tramwajarz miał rację, stanowczo za dużo fajnych dziewczyn i chłopaków przepadło, a z pana fajny chłopak, panie komisarzy!

## **Częstochowa, bocznicą kolejową**

Pociąg jechał powoli, leniwie kołysząc do snu. Bycza podróż, mieli pół wagonu dla siebie i swoich gratów. Dużo świeżej słomy, koce, więc jechało się luksusowo. Podchorąży powiedział nawet, że wygodniej niż slipingiem! W Częstochowie zatrzymali się na dłużej. Podszedł milicyjny patrol i dowódca, sierżant, sprawdził ich papiery. Zasalutował i już miał odchodzić, choć paliła go ciekawość, kim są, dokąd i po co jadą, kiedy coś podkuślił Staśka i rzucił do niego:

– Przyjemnie tu, można powiedzieć, że święty spokój, jak to w świętym mieście, Najjaśniejsza Paniienka was ustrzegła.

– Żartujesz czy może na wagarach z seminarium? – Na twarzy milicjanta z Częstochowy malował się grymas niezadowolenia.

Podszedł do niego jakby chciał się bić, ale przecież chyba nie będzie się bić.

– No, że tak bardziej sympatycznie tutaj – polubownie bąknął Lisek.

– Co ty pierdolisz, młody!? Jak jesteś taki mądry, to wysiądź z tego wagonu i chodź pilnować porządku, chodź jeden z drugim napięprzać się z Ruskimi! Napadają, kradną, gwałcą, mordują. Rozumiesz jeden z drugim, kurwa wasza mać? Kobiety gwałcą, towar ze sklepów wynoszą, rozboje, napaści z bronią, strzelaniny!

Rozumieli, ale tylko tyle, że sierżant był wkurzony, że był gotów wypłacić im potężną pięścią, za wszystkie poniżenia i porażki, których doznał od Sowietów. Każdy by zapytał, dlaczego tak jest, bo w Warszawie Ruscy tylko akowców i podejrzanych politycznie, a i owszem, aresztują i katują, ale że kobiety, sklepy, rozboje... Bywało, ale nie na taką skalę.

– Pewnie wam po głowach chodzi, żeby mnie zapytać, czemu tak się dajemy? – Popatrzył na nich, a oni milczeli, mimo że mieli ochotę zapytać. – To wam, kurwa, powiem: bo nie możemy być wszędzie. I nie każdy za marne grosze podłoży Ruskim łeb. Mało nas jest, dobrze, że ciepło, ale buty marne, broń marna, żarcie jak dla świń – popatrzył z zazdrością na ich broń i wcale przyzwoite ubrania – a robota niebezpieczna. Nie starcza ludzi na patrole, więc kobiety z pracy wieczorem to zaganiamy jak owce i jak psy pasterskie prowadzimy, żeby jakiś giejroj nie wyskoczył. Wystarczy, że się zbiorą w dziesięć i razem idą, więc trzech łebków nie wyskoczy o tak, po prostu, ale jak idzie sama... Okradną i zgwałcą, a czasem i zabiją. Każdego dnia po parę spraw ciężkiego kalibru, a ich naczałstwo się tylko śmieje, a z kolei nasze obsrane. Zostajecie? – Uśmiechnął się krzywo.

– Mam rozkaz dowieźć ich na Ziemię Odzyskane. – Porucznik wybawił ich z niezręcznej sytuacji. – Tam nie ma nikogo.

Zawiadowca gwizdnął, parowóz odpowiedział kłębami pary, szarpnęło wagonami i odjechali z Częstochowy.

## **1 sierpnia 1945**

### **Warszawa, Powązki**

### **Okolice Cmentarza Wojskowego**

Na Powązki ciągnęły tłumy. Nie kursowały tramwaje, ciężarówki próbowały zastąpić autobusy, nieliczne dorożki, riksze i furmanki wiozły żałobny tłum.

Portugalczyk był tam razem ze swoimi ludźmi, licząc na to, że wypatrzą jeśli nie Rybskiego, to kogoś, kto mógłby ich do niego doprowadzić.

Wincentego Rybskiego nie spotkali, ale wytypowali kilku oficerów, którzy pracowali dla Korpusu Bezpieczeństwa i akowskiej Dwójki. Dali im ogon i czekali.

### **Warszawa, ulica Marszałkowska**

Rybskiego nie wyhaczyli, bo postanowił uczcić rocznicę powstania w Barze Restauracyjnym Luks przy Marszałkowskiej. Na cmentarz wybierze się za parę dni i będzie to Bródno. Odwiedzi grób córki Zygi Stolarczyka, bo będą jej urodziny, a Zyga nie przyjdzie, bo już tam jest. Całą rodziną tam są, z żoną i wnuczką. A który cmentarz miałby wybrać dzisiaj? Dla niego było jasne, że Powązki będą obstawione, bo tam za powstańcami ściągnie i cała ubecja – rozmawiał o tym z Jeżewskim, który powiedział, że spasuje, bo nie chce się zdekonspirować. Ani przed ubecją, ani przed kolegami z podziemia. Im mniej ludzi o nim wie, tym

lepiej. Jutro mają się spotkać w szerszym gronie, coś tam dla niego mają. A teraz święto na cmentarzu, bo tu wszędzie jest cmentarz. Jeszcze nie wszystkie ciała zebrane, rozkładają się w zakamarkach i na gruzowiskach, a w piwnicach zasypanych domów są prawdziwe kopalnie trupów. Gdziekolwiek się człowiek obejrzy – groby, krzyże.

Wicek wybrał bar Luks, bo oferował znakomity widok na miasto i szczątki dworca głównego. Zamówił pięćdziesiątkę wódki i zamierzał ją uderzyć w gardło jednym haustem.

– Za pamięć, za dusze, za nas! – usłyszał, obrócił się i zobaczył pana Romana, barmana, który pracował kiedyś w Warsie i Sawie, lokalu Mańka Ciechaniaka.

– I za naszych Aniołów Stróżów, żeby za nami nadążali! – odpowiedział Rybski i wypili, po czym się przywitali.

– Pan nie za barem? – zdziwił się Rybski.

– A pan nie w milicji? – zażartował mistrz sztuki barmańskiej.  
– Pani pozwoli dwie kolejeczki na mój koszt!

– Niech pan opowiada! – rzucił Rybski.

– Pan komisarz toby tylko przesłuchiwał – powiedział z powagą, jakby z wyrzutem, ale oczy mu się śmiały. – A co jam do opowiadania?! Przeżyłem, pogonili mnie do Pruszkowa, potem wywieźli na wioskę pod Krakowem i tam się zrobiło nieklawo, bo miejscowi nas nie chcieli i może byśmy z głodu powyzdychali, ale leśni przyszli i przemówili im do rozumu. Nie roztyłem się tam – faktycznie wyglądał jak szkielet – ale i nie wykonałem zejścia śmiertelnego. Jak tylko weszli Ruskie, a potem nasi, to pojechałem do biura repatriacyjnego. Przypadkiem tam trafiłem, po prostu jakiegoś urzędu szukałem, akurat tam mnie przyjęli. Jak usłyszeli, że chcę się z jakimś transportem do Warszawy zabrać, to urzędnik się za głowę złapał, przyszła jeszcze panna z Czerwonego Krzyża i razem mnie przekonywali, że nie ma do czego wracać, że gruzy, jeden wielki cmentarz, że nie ma

Warszawy. No i posłuchałem, ale po pół roku pękłem i oto jestem!

– Dawno pan wrócił?

– Wczoraj!

– I chcesz pan płacić za moją wódkę? – oburzył się Rybski. – Nie ma mowy! Wraca pan z jakiejś wioski pod Krakowem i mi stawia?

– A czemu nie? Jak pan ma obiekcje, że mnie nie stać, to uprzejmie pana informuję, że dostałem akonto, i to całkiem przyzwoity pieniądz! – Pan Roman klepnął się po kieszeni płaszczu, który nie wyglądał na taki, w jakim mógł przyjechać z głębokiej prowincji pociągiem towarowym.

– No tak, pan jest jedyny w swoim rodzaju... Jakiś interes?

– Nie, angaż. – Pan Roman powiedział to tak dostojnie, jakby był samym Węgrzynem albo Osterwą. – Kiedyś pracowałem dla Ciechaniaków, ale to były diabelki, a teraz będę obsługiwać poważnych szatanów, stanę za barem w Polonii. – Wskazał ręką na hotel, który stał w Alejach Jerozolimskich. – Tam są rządowe pokoje, apartamenty dla ambasad, pietra dla najważniejszych radzieckich towarzyszy. Nie będzie łatwo, ale skoro pan żeś dał radę w Kripo...

– Szach i mat, lepiej pan tego nie mógł podsumować, a tak przy okazji: gdzie Ciechaniaki?

– Podobnież daleko od Warszawy.

– To teraz ja stawiam – powiedział Rybski i dał znać kelnerce.

– To dobrze – zaśmiał się pan Roman – bo flota już do końca popłynęła i niech się pan nie martwi, na wódkę z panem wydałem grosze, to płaszczyk nie był tani! Ale muszę zachować szyk! Zresztą nie to jest ważne, nie pieniądze, ale jedzenie i ciepły kąć. Jak się urządzę, to ściągnę rodzinę z Mińska Mazowieckiego,

jeszcze w czterdziestym trzecim roku ich tam posłałem, bo wiedziałem, że lekko nie będzie, choć że aż tak...

Wypili jeszcze po jednym i zaczęli się żegnać.

– To jak i gdzie się spotkamy? – zapytał pan Roman.

– Nie sądzę, żeby mnie było stać na luksusy Polonii, poza tym będzie tam zbyt wielu ludzi, których wolałbym nie spotykać... Biletu wizytowego nie mam, adresu tym bardziej, więc może od czasu do czasu wyślę do pana jakiegoś umyślnego.

Pan Roman kiwnął z uznaniem głową.

– Zawsze uważałem pana za wielki policyjny umysł! Dlatego przetrwa pan, szkoda tylko, że nie w moim barze!

Rozeszli się każdy w swoją stronę – pan Roman do pokoiku, który dzielił z dwoma innymi pracownikami Polonii, a Rybski postanowił sprawdzić, czy także dzisiaj szwagier Miry nocuje poza domem.

## **Warszawa, Powązki Okolice Cmentarza Wojskowego**

Porucznik Jeleń nie na darmo miał taką ksywkę. Od zawsze był szybki, od małego, szkoły powszechnej, zabaw na podwórku, a potem zawodów gimnazjalnych. Z wiekiem stał się jeszcze szybszy, bo został zawodnikiem AZS-u i przed samą wojną typowano go na nowego mistrza Polski i olimpijczyka, na następcę mistrza Janusza Kusocińskiego.

Nic nie stracił na swojej szybkości, gnał jak wichur, adrenalina dodawała mu mocy. Musiał biec za dwóch, za siebie i za majora Nałęcza, którego pewnie już zatrzymali. Majora już nic nie ocali, ale on może ocalić innych. Kule świsnęły mu nad głową, dobra nasza, pistoletowe, nie mają karabinów i automatów, a ustrzelić ruchomą sylwetkę z odległości dwudziestu me-

trów – niepodobna. Skończył więc kluczyć po powązkowskich uliczkach i rzucił się na otwartą przestrzeń, puścił się biegiem przez pola i podmokłe łąki, w samą porę, bo właśnie do pościgu weszło auto. Usłyszał dźwięki motoru, obejrzał się ten jeden jedyny raz za siebie i poczuł ulgę zmieszaną z przerażaniem. Nie był to willys, tylko zwykłe auto, więc za nim nie pojedą, ale mieli peemy, skoszą go! Pierwsza seria wypruła fontannę ziemi.

– Żywcem go brać, żywcem! – usłyszał. – Macie świeże siły, gonić go!

Niedoczekanie wasze, frajerzy! Przecież on, porucznik Jeleń, miał być następcą Kusocińskiego, a ubiegli raptem kilkaset metrów. On biegał na dziesięć kilometrów, więc bieg dopiero się zaczął!

## **Warszawa, Smolna 10**

Jeżewski usłyszał pukanie do drzwi.

– Kto? – zapytał jakby od niechcienia, ale był spięty i pełen złych przeczuć.

– Andrzej Kmicic – usłyszał chłopięcy głos, pewnie trzynasto-, czternastolatka.

Wziął głęboki oddech i otworzył drzwi, myśląc równocześnie o tym, że mieszkanie konspiracyjne powinno mieć judasza. Przed nim, na pustej klatce schodowej stał chłopiec, blondynek w krótkich spodenkach i sandałach, w połatanej, ale czystej koszulce i w podkolanówkach, z których jedna była rozciągnięta i opadała do połowy łydki.

– Słucham kawalera.

– Mam tu list od mojego brata.

– A kim jest twój brat?

– No, jest Jeleniem!



– Jeleniem powiadasz – zdziwił się Jeżewski, odbierając od chłopca złożoną w mały kwadracik kartkę papieru. – Może się napijesz wody?

– Nie ma czasu, tak powiedział brat!

To powiedziawszy, chłopiec obrócił się na pięcie i puścił się w dół.

## **2 sierpnia 1945** **Warszawa, Mokotów**

Wodociągi uruchomiono dwudziestego dziewiątego maja, ale nie wszędzie była woda, i to nie tylko dlatego, że spora część mieszkań i domów nie miała wodociągów ani kanalizacji przed wojną. Akurat tu, na Puławskiej, pękła jakaś rura i w kranach była susza, więc na odchodnym poszedł po wodę, żeby Mira nie musiała targać wiader. Stojąc w kolejce do pompy, usłyszał rozmowę dwóch starszych mężczyzn, z których tylko jeden był wczoraj na Powązkach.

– Gdyby tylu alowców walczyło w powstaniu, co poległo i wypełniło wojskowe Powązki, tobyśmy się im musieli podporządkować i pójść pod ich rozkazy już w sierpniu. Kwaterę mają, że hej, a akowska... Akowska wciąż za mała, ale byli tam chłopcy z Zośki, był Anoda, ten mistrzunio z książki *Kamienie na szaniec*, Rodowicz się nazywa, Janek, porucznik.

– Naprawdę istnieje i żyje?

– Żyje, ma energię, trzeba przyznać. On zawiaduje środowiskiem, o groby walczy, słyszałem, że ekshumacji pilnował, bo komuniści kopali jak leci: akowców, cywili i wio, na swoją kwaterę na Powązkach.

– A ten, no, co dowodził...

– Radosław?

– No, ten, pułkownik!

– Radosława nie było, plotka poszła, że go aresztowali. – Do-kończył papierosa, trzymając jego końcówkę za resztki bibułki, której nie objął jeszcze żar. – Pewnie wszystko się wyjaśni, co i jak.

– Dużo było bezpieki.

– Dużo.

Przewidywania Rybskiego się spełniły, lepiej było zostać w Śródmieściu. Spojrzał na zegarek przez popękane szkiełko i zaklął w myślach, że trochę zabarłóżył i spóźni się do Jeżewskiego, w notatce zostawionej przez Staśka było, że dziś na Smolnej między dziesiątą a jedenastą. Była ósma, a jeszcze parę osób w kolejce. *Ja? Ja nie dam rady?* – pomyślał, uśmiechnął się sam do siebie i zapalił papierosa.

## Przedmieścia Warszawy

W zakonspirowanym areszcie Informacji Wojskowej też trwała walka z czasem.

Obie strony uważały, że ją wygrały, ludzie Portugalczyka wiedzieli, dokąd jechać, a leżący na ziemi major Nałęcz miał nadzieję, że nie zdążą na Smolną. Chciał wytrzymać dłużej, ale nie dał rady, złamali go biciem, wrywaniem paznokci i rażeniem prądem. Był strzępem człowieka, nie wiedział tylko, czy przegrany, czy wygrany. A jeśli zdążą zrobić obławę? Było pół do dziesiątej, a są szybcy, sprawni... Cały wysiłek, całe to cierpienie na nic? Tak czy owak, go zastrzelą, ale niech to zrobią w złości, a nie w triumfie.

\*\*\*

Auto z Portugalczykiem i jego ludźmi gnało w kierunku Śródmieścia, gdyby startował z Oczki, miałby pięć minut drogi, ale przecież udawał, że go nie ma w Warszawie. Nie mógł więc skorzystać z wojskowej łączności i nie mógł liczyć na posiłki, to będzie kameralna, akcja, organizowana *ad hoc*. Musi się udać, bo jeden z jego informatorów, stary dąbrowszczak, dał cynk, że Koliccki już zaczął urzędowanie. O niego się pytał i podobno ze zrozumieniem przyjął, że wyjechał z grupą operacyjną w teren. Sam działał bardzo intensywnie, wytypował nawet więźniów, przerwano im badania, tak by się nadawali do rozmów, które sobie z nimi zaplanował. Portugalczyk domyślał się, że będzie próbował tego, co nie udało mu się z Rybskim, a co udało się generałowi Sierowowi z Piaseckim. Wpisał sobie na listę pułkownika Radosława, chce z nim rozmawiać jutro, w areszcie UB przy Sierakowskiego. Wcześniej Koliccki będzie w areszcie wywiadu wojskowego przy Płockiej. Portugalczykowi wszystko zaczynało się powoli klarować... Do układanki brakowało mu tylko jednego elementu. Zaraz będzie go miał, tak czuł, a przecucie rzadko kiedy go myliło, dlatego wciąż żył i wciąż był w grze!

## **Warszawa, ulica Smolna**

Sytuacja była zła, ale nie beznadziejna. Mieszkanie spalone i tu chwala Nałęczowi i Jeleniowi, że dali radę przekazać tę informację. Po wyjściu z uroczystości na Powązkach rozpoznano Nałęczę, a ten, czując, co za chwilę nastąpi, podszedł do porucznika Jelenia, którego znał osobiście. Powiedział krótko „wał pan na Smolną 10, na ostatnie piętro i ostrzeż przed kotłem!”. To były ostatnie słowa Nałęczę, bo rzucili się na nich obydwu, majora złapano po kilkunastu metrach, a Jeleń puścił się biegiem. Wszyscy zostali ostrzeżeni, wszyscy, którzy byli umówieni, ale

przecież byli i tacy, którzy przyjeżdżali z meldunkami z terenu i wiedzieli, że dzisiaj na Smolnej...

Ludzie Jeżewskiego rozstawili się w okolicy i czekali na konspiratorów, którzy mogli iść na spotkanie. Udało się wyłowić dwie osoby, a na zegarku był już kwadrans po dziesiątej, zatem chyba sukces! I wtedy Duch zobaczył na końcu ulicy znajomą sylwetkę – to był Rybski! Odnalazł się ten, na którego czekał! Dzielilo ich kilkadziesiąt metrów, ruszył w jego stronę, zaraz się spotkają! W tym momencie w ulicę wjechały dwa auta, mijając Rybskiego, nagle zahamowały i wyskoczyli z nich ludzie, którzy obezwładnili go i wepchnęli do środka. Duch stanął bezradny, nie było szans go odbić. Patrzył, jak samochody manewrują w ulicy, by zawrócić, i nagle dostrzegł furgonetkę, która stała w zaułku pod szkołą, podskoczył do kierowcy, wyciągnął rewolwer i powiedział:

– Rekwiruję wóz! – Wskoczył do środka i ruszył za porywaczami Rybskiego.

\*\*\*

Rybski szedł szybkim krokiem, był w dobrym nastroju i nawet zaczął myśleć, że może z tą Mirą to znów nie był ostatni raz? Byli zupełnie różni, ale w te klocki doskonale do siebie pasowali. Był rozluźniony, zapomniał o wszystkim, nawet z pewną niechęcią myślał o obowiązkach, o konspiracji i wszystkich tych emocjach z tym związanych. Lubił szybkie życie, ale jeszcze bardziej piękne kobiety. Zawsze miał do przodu z babkami, taki Jung musiał chodzić po burdelach i wydawał na to majątek. Zaśmiał się, bo sobie przypomniał, jaki im wykład wygłosił! Że nawet najdroższa kurwa to mały wydatek, bo jak idziesz z panną, to musisz po nią pojechać, potem zaprosić do kawiarni, kina, na kolację i trwać to może tygodniami, a pieniądze wylatują z kieszeni, bez gwarancji, że coś z tego będzie. A nawet jeśli pójdzie z

tobą, to może się okazać, że jest drewniana w łóżku albo tylko szuka męża. Kawalarz, świetny policjant i kumpel, choć, zdawało się, taki paniczyk. Czy żyje? W powstaniu wciąż był głęboko zakonspirowanym agentem, który w mundurze z dystynkcjami Hauptsturmführera działał w niemieckiej policji. Usłyszał warkot silnika, minęło go auto, które nagle stanęło, i to tak, że o mało drugie nie wjechało w jego tył. Ruszył do ucieczki, ale oni też byli szybcy i było ich czterech. Wepchnęli go do środka jednego z pojazdów i ruszyli.

– Witam dawno niewidzianego przyjaciela – powiedział Portugalczyk. – Chciałem z tobą porozmawiać, komisarzu, na Targowej, ale się wymówiłeś jakąś pilną sprawą – zaśmiał się. – Za to teraz sobie porozmawiamy, bo będę miał dla ciebie propozycję.

– Nic nowego, major Kolicki też mi składał propozycję.

– No proszę, taki as! Chcą z tobą pracować najlepsi. Opowiedz mi o tym, ale najpierw wyjaśnij mi, jak to się stało, że nas rozbiłicie podczas rekwizycji, którą przeprowadzaliśmy w banku Społem.

– Zamordowaliście komendanta Reszczyńskiego, dobrego glinę i Polaka, więc stawaliśmy na głowie, żeby was wszystkich rozpracować. No i udało się, a potem sami nam ułatwiliście sprawę. Skok na bank Społem to był prezent, mogliśmy was po prostu wystrzelać, jak zwykłych bandytów.

– Nikt nie zdradził?

– Nikt, spartaczyliście robotę jak amatorzy. Tak teraz będziecie rządzić Polską? Bez Sowietów jej nie utrzymacie.

– Sporo się nauczyliśmy, przekonasz się.

Wjechali na Ochotę i stanęli pod jakimś domem.

– Tu sobie spokojnie porozmawiamy – powiedział Portugalczyk. – I przy okazji coś ci pokażę. Rozgość się, kawa, herbata,

coś mocniejszego?

Mieszkanie było dość przyzwoicie urządzone, kuchnia wyposażona, byłoby wręcz idyllicznie, gdyby nie to, że miał założone kajdanki, a Portugalczykowi towarzyszyło dwóch ludzi z obstawy.

Do drzwi ktoś zapukał, jeden z goryli poszedł do przedpokoju i powiedział:

– Gotowe!

– Wyjrzyj przez okno – zakomenderował Portugalczyk.

\*\*\*

Przez kilka dni tylko donosili jedzenie. Ta noc była straszna, bo gdzieś obok katowali człowieka, robili to do dziesiątej rano. Teraz zbliżało się południe, wsadzili ją do auta i pojechali. Nie wiedziała ani dokąd, ani skąd. Siedziała ściśnięta między dwoma drabami i nie widziała nic oprócz ruin, to musiała być Warszawa. Była tu w maju, na otwarciu wystawy, ale kiedy zobaczyła gigantyczny, przechylający się na jedną stronę betonowy kredens, któremu urwano nogę i wybito szyby, nie miała wątpliwości, że to Dworzec Główny, a za nim oczywiście hotel Polonia Palace. Dzisiaj zobaczyła go znów, ale od strony Mokotowa, czyli wąwóz, to gruzowisko, którym jechali, to była Marszałkowska. Skręcili w Aleje i jechali w kierunku Ochoty. Cała pierzeja ulicy od Polonii aż do Emilii Plater była nietknięta, coś, co kiedyś było normalne, dziś należało do zjawisk niezwykłych: kilkanaście domów jeden przy drugim całych, nie licząc wyrąbanych pociskami dziur, powybijanych okien, i dachów porwanych przez odłamki. Ochota też wyglądała dobrze, przy placu Narutowicza wjechali w boczne uliczki, gdzie wszystko wyglądało jak w innym, niemal zwykłym świecie. Samochód zatrzymał się przed eleganckim, modernistycznym domem. Jasna klatka schodowa, winda, czysto, nierealnie luksusowo. Ale nie

weszli na piętro. Trzymający ją za ramię osiłek zaprowadził ją na podwórko, ustawił pośrodku dziedzińca i rozkazał, wskazując przy tym palcem:

– Spójrz tam!

Skierowała głowę i wzrok w ślad za palcem, gdzieś na drugie, może trzecie piętro. Na drugie, bo tam w oknie stało dwóch mężczyzn, przyglądali się jej przez szybę, a później zaczęli się szamotać.

Chciała krzyknąć, lecz osiłek zatkał jej usta dłonią.

– Nie drzyj się, koniec pokazu, idziemy.

Nie chciała iść, ale pomógł mu drugi, a wykręcona boleśnie ręka nadawała kierunek marszu. Szła tam, gdzie mniej bolało, do wyjścia, tak jak tego chcieli jej dozorczy, którzy kierowali nią, jakby była kłaczą zaprzęgniętą w bryczkę.

\*\*\*

Chciał doskoczyć do okna, otworzyć, je, krzyknąć do niej, ale Portugalczyk i jego ludzie byli szybsi, dostał cios w splot słoneczny i zaczął się osuwać na podłogę, przysiadł i ciężko dyszał.

– Czego chcesz?

– Chcę, żebyś konsekwentnie trzymał się pewnej wersji zdarzeń.

– Jakiej, jakich zdarzeń?

– Na początku października ubiegłego roku, dokładnie ósmego października zastrześliś majora radzieckiego wywiadu wojskowego, Wsiewołoda Władimirowicza Kolicznego – spojrzał na Rybskiego, po czym od niechcienia dodał: – i jego obstawę. Wiesz, co za to jest?

– Czapa.

– No, nie. – Uśmiechnął się. – Powiedz, co jest gorsze od czapy?

– Nie wiem.

– Dwie czapy! – Portugalczyk wykrzyknął, jakby wziął pierwszą nagrodę w konkursie dla dzieci.

– Chcesz w to wrobić Olę?

– Przecież wiem, że to nie ty! Ty byś mu wpakował dodatkową kulkę. Spartolona robota. – Portugalczyk pokręcił głową. – Dziewczyna dobrze strzelała, rozwalila doborową eskortę z oddziału specjalnego NKWD, bo to nie byli malczuki z konwojowego, ale robiła to pierwszy raz, więc skrewiła. Dlatego się teraz ukrywa, prawda?

– Ukrywa?

– Ja ją ukrywam, dla jej dobra.

– O czym ty mówisz?

– Ano o tym, że nawet gdyby sąd w to uwierzył, to ofiara i zarazem świadek zezna inaczej.

– Co ty pieprzysz?!

– Pani Fuchs nie odstrzeliła mu głowy, tylko kawałek! Kolicki padł jak nieżywy, życie się w nim ledwie tliło, ale jeśli w jednym z ulubieńców Stalina jeszcze się tli życie, to trzeba je podtrzymać! Najpierw ratowali jego życie, a później przywracali go do sprawności, miał zanik pamięci, kłopoty z poruszaniem się, pół roku zabrało mu dochodzenie do siebie.

– Skąd to wiesz?

– Bo jest już w Polsce, a jego ludzie mieli zatrzymać twoją Fuchs, żeby mu ją przekazać w ręce zaraz po wylądowaniu, ale ja byłem szybszy, i co najważniejsze, on nie wie, że to ja ani gdzie jej szukać!

– Czego chcesz?

– Żebyś potwierdził jej wcześniejsze, zeznania, że to ty jesteś zabójcą Kolickiego, masz zrobić to, z czym się wszyscy pogo-



dzili, a co stało się w ostatnich dniach nieprawdą, teraz rozumiesz?

Rozumiał, ale po chwili zapytał:

– Rozumiem, co mam zrobić, ale dlaczego? Jak ty, stary komunist, chcesz odstrzelić innego starego komunistę, do czego ci to potrzebne? Przeszkadza ci radziecki towarzysz komunist?

– Przeszkadza, bo ja, i nie tylko ja, jestem za Polską ludową, sprzymierzoną z Republiką Rad, ale tylko sprzymierzoną.

– Sowietci i komuniści chcą rozbioru?

– Rozbiór to już zrobili, nie całkowity, ale taki, jaki chcieli. To znaczy całkowity na Litwie, Łotwie i Estonii, a częściowo rozebrali Rumunię i Polskę, to samo pewnie zrobią z Niemcami. Ale myśmy coś w zamian dostali i ja to rozumiem, szanuję! Dla mnie to w porządku, że będziemy państwem spójnym, narodowym, polskim, bez tylu Ukraińców, Białorusinów, Litwinów i Żydów. To mi się podoba. I to, że tyle dostępu do morza. Należało nam się, a po kresach płakać nie będę. A że Niemcy musieli oddać? Mogli wojny nie zaczynać. A Związkowi Radzieckiemu też oddali, w końcu wygrał wojnę. Prusami Wschodnimi się podzieliliśmy i dobrze jest. Część towarzyszy chciała, żebyśmy zostali republiką radziecką, ale tego to chyba nawet Stalin nie chciał. A na pewno on i wielu towarzyszy radzieckich chcą, żeby to było dla pucu, na niby. I tu się rodzą problemy. Sojusz ze Związkiem Radzieckim? Tak, ale całość decyzji w Moskwie? Nie! Od początku był z tym problem, ale teraz go sobie rozwiążemy i to będzie twój wkład w budowę nowego polskiego ładu, ojczyzny ludu pracującego miast i wsi oraz tych, którzy będą chcieli razem z nami kierować tym przedsięwzięciem. Szkoda, że bez ciebie, ale odejdziesz z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku, dla ojczyzny i, ma się rozumieć, dla Aleksandry Fuchs. Wchodzisz w to?

– Oczywiście! – Tym razem nie popełnił błędu jak wtedy z Kolicim. Żeby im zaszkodzić, nie można się tak po prostu dać zabić. – Co dalej?

– Jesteś wolny, bądź jutro w południe na Browarnej przy ruinach domu przy wiadukcie.

– Dom spółdzielni Własność.

– No proszę, jaki zorientowany, dobry glina! – Poklepał go po ramieniu. – Szkoda, że nie z nami, ale zrobisz dobrą robotę, naprawdę.

Zdjęli Rybskiemu kajdanki i puścili wolno, mając go jednak na niewidzialnej smyczy. Portugalczyk patrzył, jak idzie przez podwórko, nadrabiając sprężystym krokiem i uniesioną wysoko głową to, co się działo w jego wnętrzu.

– Obywatelu kapitanie, a co z tym Nałęczem?

– Kulka w głowę – powiedział, nie odwracając się od okna. – Aha, i powiedzcie mu, że skrewił, że mamy Rybskiego i że poszedł na współpracę – zaśmiał się Portugalczyk.

Kiedy jeden z ochroniarzy wyszedł, drugi podszedł do Portugalczyka i stanął obok niego w oknie, sylwetka Rybskiego zniknęła już z pola widzenia.

– Nie boi się obywatel kapitan, że nas wykołuje? To sanacyjna swołocz!

– To świetny oficer, ale honorowy facet, romantyk i dlatego idiota. Wielki, wspaniały i pożyteczny idiota, nasz polski, poruczniku Marczak! Sami jutro zobaczycie!

## **Warszawa, Mokotów**

Szwagier Miry wrócił, znaczy się skończyła się dobra passa. Kiedyś musiała. Widocznie Anioł Stróż w tych sytuacjach nie pomaga, za to ten skurczybyk wysoko sobie podniósł poprzeczkę

na jutrzejszy dzień. Tak wysoko, że tym razem usiądzie na widowni i obejrzy pożegnalną walkę swojego podopiecznego.

Może już mu się to wszystko znudziło i ma już ugadanego nowego klienta. Może się tym wszystkim zmęczył i poszukał sobie spokojnej duszyczki. Ma jutro załatwić radzieckiego pułkownika, który właśnie wprowadził się do polskiego wywiadu. Na pewno będą dwa auta, a skoro się ustawili przy Karowej, to pewnie będzie tędy jechał, do mostu pontonowego. Na Pragę, gdzie wciąż było mnóstwo sowieckich i bezpieczniejskich jednostek i więzień. Załatwi go pierwszego, nie ma kwestii, ale co potem? Potem się będzie martwił, bo będzie miał na głowie nie tylko obstawę, lecz także pół warszawskiej milicji. Na górze Karowej, przy samym początku wiaduktu była Komenda Główna. Trzeba będzie załatwić obstawę i zaraz wiać co sił w nogach, bo z góry zjadą posiłki. Tylko co z tego – przecież będą ludzie Portugalczyka, którzy mu nie dadzą wyjść z tego cało, nie ma na co liczyć. Pojawiła się chwila zwątpienia, bo pomyślał jeszcze o czymś znacznie gorszym: że może nie dotrzymać słowa i zrobić Oli krzywdę.

Zamiast na Złotą poszedł do baru Luks, stanął, zamówił wódkę i usłyszał:

– Dwie, bo jeszcze dla Anioła Stróża!

### **3 sierpnia**

#### **Warszawa, Karowa róg Browarnej**

Wyposażyli go elegancko i powiedzieli, jak będzie. Kolicki ma jechać z Aresztu Informacji Wojskowej przy Płockiej, a jest umówiony na konkretną godzinę. To służbista, więc powinien tu być za jakiś kwadrans. Będzie w dwa samochody, sprawa jest prosta. Ma tu szmajsera, magazynki i pistolet. Samochody wy-

jadą spod wiaduktu na prostą, po ostatnim, ciasnym zakręcie nie zdążą się rozpędzić, więc będą łatwym celem.

– Powodzenia! – Portugalczyk klepnął go po ramieniu i został w ruinach domu. Dla niego powodzenie oznaczało coś zupełnie innego niż dla Rybskiego.

Kiedy się oddalił, Rybski zagłębił się w ruiny, z których wystawało coś, co przypominało pocisk granatnika skrzyżowany z konserwą, której koniec się rozszerzał. Położył to na murku i czekał, chciałby mieć już to za sobą, żeby było już po wszystkim.

Ile razy można zabijać jednego człowieka? Jego zabijano już tyle razy, że wszystkich nie pamięta, a nawet o wszystkich nie wie.

W końcu ich zobaczył. Dwa wojskowe gaziki jechały z góry, raz z prawej na lewą, a później z lewej na prawą, tak jak trawersowała jezdnia wiaduktu przy Karowej, później zniknęli mu, ale znów się pojawili, wyjechali spod wiaduktu, jechali prosto w dół i weszli w kolejny zakręt. Są, widzi ich, widzi w drugim pojeździe wyprostowaną sylwetkę Kolickiego, w rogatywce, polskim mundurze i z gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego. Oprócz niego dwóch kierowców i pięciu żołnierzy, czyli tylu, ilu się spodziewał. Przyśpieszyli, ale tylko na krótką chwilę, bo przed nimi ostatni zakręt, po którym wiadukt na powrót stanie się ulicą.

Chwycił puszkę z lotkami, która leżała obok niego, i cisnął nią przed pierwszy pojazd. Zauważyli i jego, i granat, sięgnęli po broń, a on schował się za kawałek ściany. Usłyszał przeraźliwy huk i dopiero wtedy wyskoczył z automatem. Pierwszy willys, a raczej jego szczątki, leżał do góry kołami i płonął, chyba nikt z niego nie przeżył, ale jego interesował drugi pojazd, którego kierowca zdążył odbić kierownicą w bok i popychany siłą wybuchu wyjechał poza jezdnię, wbijając się w skarpe. Jeden z żołnierzy wypadł, a Kolicki próbował wyjść z samochodu. Nie

udało mu się, bo skosił go krótką serią. Chłopaka, który próbował sięgnąć po leżącą na bruku broń, poczęstował kolejną, jeszcze dwie serie i skończył ze wszystkimi. Podszedł do Kolickiego, który nie powinien żyć, bo raniły go odłamki granatu i samochodu, a na piersiach miał krwawe dziury po kulach ze szmajsera. Pamiętał jednak, że Rosjanin ocalał po tym, co się stało w parku Skaryszewskim, i dokończył magazynek, pakując z bliska w głowę. Spojrzał w niebo i powiedział:

– A widzisz, Zyga, na pewno to nie tylko Kopernik nie żyje, pułkownik Kolicki też!

W tej chwili koło ucha przeleciała kula. Wskoczył za samochód w samą porę, bo o blachę odbiły się kolejne. To ludzie Portugalczyka, trzymają go teraz ogniem od strony Bednarskiej. Zaraz dwóch, a może trzech zejdzie z góry, żeby sfinalizować sprawę, szybko zmienił magazynek i czekał. Gwizdnęła jeszcze jedna kulka, tym razem z boku, a potem karabinowy strzał. Usłyszał wrzask, spojrział w bok – na jezdni leżał człowiek z rozpylaczem, drugi przykucnął, jakby chciał uniknąć kolejnego strzału, który przyszedł z niespodziewanego kierunku. Rybski wykorzystał tę chwilę zawahania i skosił go serią. Od strony ruin, z których rozpoczął akcję, rozległy się pistoletowe strzały.

– Czysto! – usłyszał głos.

Z góry Karowej rozległ się jazgot gwizdków i odgłos zapuszczanych motorów, zaraz zaczęła tu jechać, nie było chyba sprawy, o której Komenda Główna Milicji byłaby szybciej poinformowana. Przebiegł na drugą stronę jezdni, tam nad trupami Portugalczyka i jednego z jego goryli stał Tomasz Jung, który trzymał za kołnierz ранego porucznika Marczaka.

– Gdzie jest Aleksandra Fuchs?! – zapytał Rybski.

– Nie wiem! – odpowiedział Marczak.

Wtedy Jung wpakował mu kulę w nogę. Porucznik zawył.

– Szczęśliwice, przy Bema, niedaleko zajezdni – wyjęczał, spoglądając na zbliżających się milicjantów.

– Mam nadzieję, że to nie było twoje ostatnie kłamstwo w życiu – powiedział Jung, celując w głowę przerażonego Marczaka.

– Niiieeeee!

Padł strzał, a za chwilę kolejne, obława była tuż. Spojrzeli po sobie i na trzy cztery rzucili dwa granaty i puścili się biegiem w ruiny Powiśla, bo obława szła i z góry, i z dołu: z komendy przy Karowej i od strony mostu, gdzie wojsko i bezpieka miały silnie obsadzony przyczółek, ale oni mieli motocykl, który ukradli ostatniej nocy, a Jung był doskonałym kierowcą. Pomknęli od razu na Szczęśliwice, by uwolnić Olę.

## **Warszawa, Szczęśliwice**

### **Ulica Bema**

Teraz zmieniło się tylko tyle, że wiedziała, że trzymają ją w Warszawie albo gdzieś w pobliżu, pewnie na przedmieściach, bo z Ochoty było blisko i jechali po typowych dla przedmieść wertepach. Nie wiedziała, co to wszystko znaczy, czego chcą od Rybskiego, a już najmniej rozumiała te aluzje do Kolickiego. Przecież go zastrzeliła! Wpakowała mu kulę w głowę, więc o czym mówił ten herszt, który zachowywał się jakby był z UB, choć twierdził, że nie jest? Kiedy przyjechali z tego dziwnego spektaklu, podczas którego pokazali ją Wickowi jak konia na padoku, ci, którzy ją przywieźli, poszli do tego człowieka, którego wcześniej dręczyli i zastrzelili go, a potem – tak się zorientowała z odgłosów – zakopali go przy domu. Kiedy jej strażnik przyniósł kolację, miał ręce uwalane ziemią i krew na koszuli. Nie była w stanie jeść, znów czuła się jak w getcie, czuła, że oszaleje od tych okropieństw, ze strachu, że ją może spotkać coś podobnego. Myślała o Wicku, zastanawiała się, czy go jeszcze

kocha, czy go w ogóle kiedykolwiek kochała, czy to była tylko jedna wielka przygoda, wzmocniona przez strach i coś, co można by nazwać ponurą, czarną przygodą. Bo taka była wojna, i pewnie jak kurz opadnie i zagoją się rany, jak się zatrą twarze zamordowanych i poległych, to dla wielu będzie to przygoda do opowiadania wnukom przy kominku. *Boże, jeśli jesteś i kimkolwiek jesteś, uratuj mnie* – pomyślała, zasypiając.

Rano nie mogła jeść, obiad ledwie dzióbnęła, strażnik zaśmiał się, że jej koszerne trzeba będzie przynieść. Leżała i myślała, wspominała i wymyślała przyszłość, chciała napisać dla siebie jakiś piękny scenariusz, ale nie potrafiła. Wczesnym popołudniem usłyszała jakiś hałas, a po chwili drzwi do jej celi otworzyły się i stanął w nich Wicek. Rzuciła mu się na szyję, całowała, płakała ze szczęścia.

## **5 sierpnia 1945**

### **Warszawa, Cmentarz Bródnowski**

To ostatni dzień w Warszawie, jadą na zachód, na Dolny Śląsk. To wszystko wymyślił kapitan Duch, czyli Tomek Jung. Wiedział, że to wariat, ale to, co wyrabiał w czasie wojny, to czyste szaleństwo.

Był wtyką polskiego wywiadu w niemieckim Kripo i bardzo dużo pomógł, parę razy ocierając się o śmierć. Sam go przecież wyciągał z kłopotów w czasie powstania, kiedy groziły mu albo rozstrzelanie, albo dekonspiracja. Wzięli go za zdrajcę, który policję państwową zamienił na folkslistę i służbę dla Niemców. Sprawa była gardłowa i nie miał innego wyjścia, jak pomóc mu uciec, o mało wtedy nie stanął pod ścianą.

Okazało się, że jego kontaktem, jedną z nielicznych osób, które znały o nim całą prawdę, był Jeżewski. Namawiał go, by już dał sobie spokój, ale Tomek Jung uparł się, że się wmiesza w

niemiecki odwrót i uda na Pomorze, gdzie miał do dorwania Standartenführera Frantza Fritzla, wyjątkowego skurwysyna, który znał wiele tajemnic i mógł razem z nimi uciec sprawiedliwości. Nie udało się, dostał się do sowieckiej niewoli, gdzie ostatnią rzeczą, którą mógł zrobić, było przyznanie się, że pracuje dla polskiego wywiadu. Planował ucieczkę i udało mu się to z trójką esesmanów i młodym Ślązakiem. Ci z SS to byli poważni bandyci, którzy mieli za zadanie chronić jakieś niemieckie tajemnice na Dolnym Śląsku, dlatego tak kierowali ucieczką, żeby dotrzeć właśnie tam, ale im się nie udało. Za to Jungowi udało się wydobyć z ich herszta nazwy miejscowości, w których mieli się ukrywać wysocy niemieccy oficerowie. I to nie sami, ale wraz z cennymi dokumentami i przedmiotami.

Równocześnie w Warszawie działał kapral Biały, akowiec z Zamojszczyzny, który ukrywał się przed UB w milicji. Wielu takich było, ale on się bujał w Komendzie Głównej, bo mu towarzysze partyzanci z NKWD wystawili piękną laurkę. Biały skontaktował się z konspiracją i jednocześnie pomyślał, że można wciągnąć więcej ludzi z AK. W MO były bałagan i niedobory, trafiał tam marny sort, który się do niczego nie nadawał i Biały wpadł na pomysł zorganizowania specgrupy, która pojechałaby na Ziemię Odzyskane robić porządki z bandytami i Werwolfem. No i łyknęli to, a kiedy wrócił Jung, to się okazało, że spadło mu to jak z nieba. Pojechali na Dolny Śląsk razem ze Staśkiem, bo go zarekomendował koleżka z czasów, gdy był robinsonem w gruzach Warszawy. Jung nie wyjechał z pierwszym rzutem, wierzył w to, że Wicek Rybski na pewno żyje, więc musi na niego poczekać. Uparł się i wygrał! Obaj wygrali, bo Tomek został jego Aniołem Stróżem. Nie zdążył go ostrzec, bo się spóźnił przez romansowanie z Mirą. Gdyby był choć minutę wcześniej, to Jung by ostrzegł i... wtedy przepadłaby Ola, a tak chcący rozegrać swoją partyjno-bolszewicką partię Portugalczyk zmusił go do wykonania zamachu na Kolickiego. Jung go asekurował, po-



mógł mu ściągnąć angielski granat przeciwpancerny i już nocą zamelinował się w ruinach. Kiedy ludzie Portugalczyka chcieli go sprzątnąć, on załatwił ich.

Teraz pojedą razem na Dolny Śląsk, ale bez Oli, ma się rozumieć. Dla niej nową legendę ma zbudować pani Reich, już na pewno uczyni ją czyjąś córką albo siostrą, w żydowskich rodzinach było jeszcze więcej wolnych miejsc niż w polskich. A dokumenty? Ludzie Jeżewskiego i Kosiorka korzystali z usług najlepszych fachowców. Złapał się na tym, że więcej myślał o Mirce niż o Oli, a o żonie Zosi i córce Jadzi... wstyd się przyznać. Pamięć zacierała wspomnienia, życie nie znosiło próżni.

Przed wyjazdem pojechał jeszcze na Bródno, tak jak się umawiał kiedyś ze Staśkiem, że jakby co, to spotkają się nad grobem Zygi Stolarczyka w rocznicę urodzin jego córki. Pojechał z Jungiem, brakowało więc tylko Strasburgera. Zapalili lampki, wspominali Zygę i jego rodzinę, uronili parę łez, trochę się pośmiali, a kiedy mieli odchodzić, pojawił się facet. Młody, trochę jak Zyga, nieco kanciasty, z kwadratową szczęką i szramą na policzku.

- Kim jesteście? – zapytał, wbijając w nich wzrok.
- A to zależy, kto pyta – odparł Jung.
- Lucjan Podolski, ojciec, mąż i zięć.

Zanosilo się na dłuższą rozmowę, a przecież dziś już wyjeżdżali. Szkoda.

# EPILOG

**20 sierpnia 1945 Warszawa,  
aleja Marszałka Stalina 17<sup>[36]</sup>**

**S**awicki siedział w swoim gabinecie w głównej siedzibie PPR i właśnie radio znów mówiło, że wybuchła bomba. Nie interesowały go cudze bomby, gdzieś daleko w Japonii. Chuj z nimi.

Miał własną bombę w głowie, wybuch szedł leniwie, rozsadzając czaszkę powolutku, ale konsekwentnie. To już ponad tydzień, no dwa prawie! Po śmierci Portugalczyka w taki cug poszedł. Wzruszył się, kurwa, normalnie się wzruszył! Stary przedwojenny towarzysz, którego nie wykończyły ani sanacja, ani czystki, ani hiszpańscy, włoscy i niemieccy faszyści! Śmierć dopadła go w Warszawie, więc wypił za jego pamięć, potem druga tura na pogrzebie, a poza tym sprawy się spiętrzyły: artyści, towarzysze, wyjazdy w teren, a dzisiaj kolejny się szykuje. Jak żyć!? Gdyby nie to, że miał dziś dwie delegacje z województw, toby siedział w domu i czekał na kierowcę, żeby go zawiózł w teren. Ale musiał przyjść, psia mać, lekko nie było, klina musiał uderzyć.

Nie mógł się skupić, telefon nie dzwonił, nikt nie wzywał, nikt nie przychodził, Basia jeszcze nie zaparzyła kawy, więc sięgnął po gazetę i przeczytał: *Największy triumf nauki!*, głosił nagłówek, a tytuł krzyczał: *Pierwsza bomba atomowa spadła na Japonię*. Nauka, triumf, bomba? Co w tym naukowego, wyjątkowego i jaki triumf, skoro tysiące bomb spalały na popiół niemieckie

miasta? W tekście znalazł to, co go naprawdę poruszyło: *według doniesień obserwatorów amerykańskich, miasto Hiroshima, na jakie zrzucono pierwszą bombę atomową, było jeszcze w 24 godziny po ataku okryte tak gęstymi kłębamii dymu i pyłu, że nie można było dokonać zdjęć i określić rozmiarów dokonanego spustoszenia*<sup>[37]</sup>. Czytał dalej oniemiały ze zdumienia, że miasto zniknęło z powierzchni ziemi, a bomba, jedna bomba nazywana atomową, ma siłę dwóch tysięcy fortec latających. Na Dreźnie poleciało osiemset fortec, a zabili ponad dwadzieścia tysięcy ludzi, więc ilu Japończyków mogło zginąć w Hiroshimie? Pięćdziesiąt tysięcy? I jeszcze ważniejsze, ile takich bomb mają Amerykanie...

## **Warszawa, ulica Wiejska**

Leszek Pec nie miał jeszcze własnego mieszkania, ale duży pokój przy Wiejskiej, z wygodami, w dobrym towarzystwie, to było duże wyróżnienie. Zdobył starą kanapę, włożył kupioną na bazarze bonzurkę, palił amerykańskiego papierosa i pił prawdziwą kawę. Żył pełną gębą! Ale nie mógł zwalniać tempa, musiał być czujny. Tego przyjaciela Sawickiego, starego wiarusa Portugalczyka zabili bandyci, jakby nie mogli się ujawnić i skorzystać z amnestii! To smutne, ale konieczne, nieuniknione, trwa walka o nową Polskę i nowy ład.

Terror bandytów niczego nie zmienia w jego działce, najważniejsze, że sprawy kina przyśpieszyły, pułkownicy napędzają tę maszynę: Ford<sup>[38]</sup> i Wohl<sup>[39]</sup>, trzeci muszkieter kina Bossak<sup>[40]</sup> też oficer. Mają w ręku Czołówkę, wojskową wytwórnię filmową, więc tam się już nie wbije. Trzeba działać, działać, działać! Wie, że Ford z Bossakiem pojechali na szaber do Berlina, po aparaturę filmową, taśmy, światła. Podobno za dwa miliony dolarów skarbów nawieźli. Ford namawia partyjną górę na nacjo-

nalizację kin i chce stanąć na czele państwowego studia filmowego. I nie w Warszawie, ale w Łodzi.

Ścigać się? Konkurować? Nie da rady, musi się przyłączyć i nawet wymyślił sobie funkcję, pożyteczną i ważną, potrzebną. Ktoś musi prezentować za granicą polskie filmy! Pogada o tym w czasie delegacji do Lublina, w którą jadą we trójkę: on, Sawicki i sekretarka Basia. Ślub mają brać, wszystkim będzie wygodnie. Sawicki jednak się zna na rzeczy, bo gdyby się związał z Aleksandrą Fuchs... Ktoś ją zatrzymał i wywiózł, pewnie NKWD. Za co? Nie wiadomo. Po drodze mają zboczyć z głównej drogi i wpaść do Samokłesk. Sawicki mówi, że mają tam świeże ryby z własnych stawów i bimber. Skoro chce, to pojada. On był bardziej ciekaw Teatru Miejskiego w Lublinie. Trzeba popracować nad tym, żeby nie było tego prywaciarstwa w teatrze, bo jeśli będą państwowe, to wiadomo – repertuar będzie, jaki będzie. Tak powiedział Sawicki.

## **Kraków, ulica Wielopole 1**

Wybuchły dwie, a nawet trzy bomby. Najgłośniej ta amerykańska, ciszej ta polityczna, a najciszej ta, o której się nie mówiło. Śmierć pułkownika Kolicznego, Bohatera Związku Radzieckiego, która powinna wszystkimi wstrząsnąć, ale uznano, że nie należy tego nagłaśniać. Pojawił się tylko komunikat o nieszczęśliwym wypadku. Mina. Duża, widocznie przeciwczołgowa – uznał major redaktor Jerzy Borejsza, co prawda major od propagandy, ale tak jak każdy miał swoje wojskowe doświadczenia i wiedzę. Trudno jej nie mieć w kraju Kościuszków i Napoleonów, ojczyźnie Dzierżyńskiego i Rokossowskiego.

Przeczytał raz jeszcze o bombie atomowej, a jego uwagę przykuł opis eksperymentu, który Amerykanie zrobili w lipcu w Teksasie:

*Cała okolica zalana została oślepiającym światłem, jaśniejszym niż najjaskrawsze światło słoneczne. Nastąpił gwałtowny grzmot i ciężkie trzęsienie, powodujące falę powietrza, która powaliła dwóch ludzi stojących w odległości 5 km od miejsca wybuchu. Ogromna chmura wzniosła się na wysokość 13.000 m. Wieża stalowa, z której bomba atomowa została zrzucona, ulotniła się bez śladu.*

Czytał po raz kolejny także dlatego, żeby porównać do tego, co napisały o tym samym wydarzeniu satyryczne „Szpilki”. Podobnie jak redaktor z jego dziennika, felietonista „Szpilek” Jan Szelaąg stwierdził, że japońskie miasto przestało istnieć od jednej bomby. Pewnie dopisałby, że kilka dni później przestało istnieć i kolejne – Nagasaki, ale i to nie przeszkodziło mu być optymistą, który widział w sile atomu przyszłość i twierdził, że dzięki niemu nastąpi „konsolidacja świata”. Borejsza nie byłby tego taki pewien, chyba że i Związek Radziecki umiał rozszczepiać atom.

No i była jeszcze trzecia bomba, o której myślał, i która martwiła go najmocniej. Myślał, że tak jak ta wieża w Teksasie, na której wybuchła bomba atomowa, znikną bez śladu ONR, Wszechpolacy, Falanga i inni faszystowscy klakierzy. A jednak nie zniknęli, będą mieli swoje pismo! Najpierw ze zdumieniem przyjął deklarację Bolesława Piaseckiego, później jego uwolnienie z więzienia, a dwa dni temu informację, że dostał zgodę na wydawanie tygodnika. Będzie się nazywał „Dziś i Jutro” i przynajmniej przez jakiś czas szef Falangi będzie miał środki na jego wydawanie. Piasecki, który przez ostatnie miesiące siedział, wyłożył tysiąc sto dolarów, prymas Hlond pięćset, a przedwojenny oenerowiec i falangista doktor Hagmajer trzy tysiące! Otwarcie o tym mówią, w kraju, gdzie po reformie walutowej nikt nie powinien mieć takich pieniędzy, a już tym bardziej amerykańskich dolarów.

## **Warszawa, ulica Złota 32**

Anna Reich nie mogła sobie dać rady z życiem, nie potrafiła znaleźć jego sensu w tych ruinach, które boleśnie przypominały wojnę i śmierć jej męża. Chciała umrzeć albo wyjechać. W Palestynie był jej syn Mietek. Studiował, mógł zrobić karierę jak Julian, ale wstąpił do Betaru, kazał się nazywać Menachem.

– Olu, moje dziecko, opowiesz mi o Palestynie? Byłaś tam.

Tak było każdego dnia, aż w końcu Ola odpowiedziała:

– Ale mogę jeszcze raz zobaczyć, jadę z panią. – I przytuliła panią Reich.

## **Samokłęski, województwo Lubelskie**

Ludzie z oddziału Orlika przyjechali do dawnego folwarku po jedzenie, żeby trochę odpocząć i poflirtować z dziewczynami. Porucznik Zagłoba tak zarządził. Wąsa takiego jak pan Onufry nie miał, tuszy też nie, ale lubił tę postać. Może gdy się zestarzeje, o ile dożyje, to stanie się takim pękatem, starym rębajłą. I na pewno będzie miał co opowiadać, bo dzieje się tyle, że nie sposób wszystkiego spisać.

Zdjął górę od munduru, a sierżant Błysk wylał na niego wiadro wody, fachowo, żeby nie zalać spodni. Poczul się orzeźwiony, wypoczęty, gotowy do działania.

Do działania! Od strony szosy galopował przez pola zwiadowca, machał ręką, to znaczy że nadciągał wróg. Niewiele brakowało, a złapaliby go bez munduru.

– Tylko jeden gazik – zameldował goniec. – Wali jak szalony.

Nie zdążył włożyć munduru, kiedy auto z rykiem wpadło przed dwór, po czym zahamowało niemal przed półnagim Zagłobą.

Tamci nie byli chyba świadomi, z kim mają do czynienia, sami cywile i żołnierz za kierownicą, ale jeden z nich nagle się poderwał i wyszarpnął pistolet. Wtedy Błysk, jak to Błysk, błyskawicznie, z biodra pociągnął serią. Dwóch mężczyzn padło zalanych krwią, kobieta krzyczała, a żołnierz siedział za kierownikiem z rękami do góry.

Zagłoba podszedł do nich. Żołnierz blady ze strachu, lalunia, która krzyczała, piękna i ubrana tak, jak widywał kobiety w przedwojennych filmach, a ci dwaj... Pochylił się nad nimi. Ten, co strzelał, taki byczek o typowej dla ubeka albo pepeerowca twarzy buldoga, był martwy i na pewno odszedł z tego świata dobrze opity, bo leciało od niego wódką. Ten drugi jeszcze żył, elegancki, jakiś literat, bo tak sobie Zagłoba wyobrażał literata. Chciał coś powiedzieć, więc pochylił się nad nim, a on wyszeptał:

- Bardzo pan przystojny, panie oficerze, filmowa uroda.  
I były to jego ostatnie słowa.

## **Dolny Śląsk, Srebrna Góra**

Stasiek poznał przez ostatnie trzy tygodnie zupełnie inny świat, poznał zagranicę, która jest teraz Polską. Zobaczył miasta w ruinie, takie jak Wrocław, kompletnie zrównane z ziemią, jak Strehlen<sup>[41]</sup>, gdzie ruscy użyli katusz mocniej niż Niemcy krów w Warszawie, wreszcie trafili do niedotkniętej przez wojnę oazy, którą był Frankenstein. Na koniec Kłodzko, nad którym wisiała wielka twierdza, a z każdym kolejnym kilometrem pagórki przemieniały się w góry, choć do tych prawdziwych jeszcze podobno kawałek.

Teraz są w Silberbergu, który porucznik Marek przechrzczył na Srebrną Górę. I tu, jak w Kłodzku, jest wielka twierdza, kolejne

miejsce z urojonych opowieści esesmana, z którym przedzierał się z sowieckiej niewoli kapitan Duch. Teraz to on dowodzi tą oficerską drużyną, bo i Duch, i brat Staśka Wicek Rybski są kapitanami, porucznik Marek – wiadomo, jest jeszcze podchorąży Gustaw i nowy człowiek, sierżant Zyga. Tak go nazwał Wicek, bo to zięć jego przyjaciela, Zygi Stolarczyka, a on lubił teścia i się na taki pseudonim ucieszył. Jest jeszcze jeden podoficer – kapral Lisek. I w tym wszystkim jest jeden jedyny szeregowiec, czyli on sam, Stasiek Rybski.

A porucznik to inna sprawa. Przed wszystkimi władzami to on jest dowódcą, porucznikiem MO, szefem specgrupy. Ale po stopniach wojska polskiego i akowskich to jest tylko kapralem, a jak się trafi NKWD i UB, to on rządzi, a Ducha i Wicka nie ma, to znaczy są, ale są tylko cywilami. Trudno powiedzieć, komu podlegają, bo była Armia Krajowa, było NIE i Delegatura Sił Zbrojnych, ale wszystko porozwiązane, podobno ludzie wychodzą z podziemia i się ujawniają. Niezły bałagan się zrobił w tych organizacjach, ale bałaganu, który jest na Ziemiach Odzyskanych, za chińskiego boga nie da się opisać. Lisek mówi, że to jest jakiś jeden wielki western i chyba ma rację.

## **Zima, wiosna 2021, Warszawa – Bukowina Tatrzańska**

Bohaterowie *Granatowego '44* i *Wyzwolonego '45* wrócą w powieści *Odzyskany '46*.



## POSŁOWIE

Wincenty Rybski żyje i jest to sprawa jasna, a nie tylko zagadka, którą zakończył się *Granatowy '44*. To, że się narodził, to zasługa wydawnictwa Skarpa Warszawska i jego szefów; Rafała Bielskiego i Piotra Sternala, którzy zaproponowali mi napisanie powieści sensacyjnej osadzonej w czasie Powstania Warszawskiego. Podjąłem się tego wyzwania i nie żałuję, bo *Granatowy* był okazją do pokazania mniej znanych epizodów Powstania i okupacji.

Sam nie wiedziałem, czy bohater przeżyje, zakończenie było symboliczne; Rybski znalazł się w matni, jak setki tysięcy ludzi związanych z konspiracją. Furtka była uchylona bardzo wąsko, ale Państwo chcieli wiedzieć, co będzie dalej, więc poszukałem drogi ratunku dla naszego Bohatera.

Wejście Armii Czerwonej do Polski to, podobnie jak czas Powstania, okres wciąż mocno eksploatowany przez historyków, a rządziej przez pisarzy. To przede wszystkim *Popiół i diament*, którego kulisy powstania postanowiłem sfabularyzować, oraz niedawno wydane *Zgliszcza* Piotra Zaremby.

Za motto do książki dziękuję Piotrkowi Latosowi, człowiekowi Skarpy Warszawskiej, który po zapoznaniu się z fragmentami książki zacytował swoją babcię. Moi bliscy też opisywali te czasy jako bezgraniczną biedę, niespotykaną nędzę, jakiej nigdy wcześniej ani później nie zaznali, ale słowa Pani Krystyny Wlazło definiowały ten okres jednym, wszystkim mówiącym zdaniem.

Historia partyzantów z Zamojszczyzny jest oparta na faktach, a porucznika Czarnego miałem zaszczyt poznać osobiście, zna-

jomość warunków panujących w więzieniu przy Namysłowskiej i akcji oddziału Orlika zawdzięczam lekturze wspomnień pułkownika Antoniego Żurowskiego, który dowodził praską częścią PW. Oczywiście jak zwykle bezcenne były zapisy wspomnień ze strony Muzeum Powstania Warszawskiego oraz wydawnictwa Domu Spotkań z Historią.

Chciałem poprzez *Wyzwolonego* pokazać, że były to czasy trudnych wyborów, jeśli już zdarzyło się mieć szansę wybierać. Dzisiaj łatwiej nam być patriotami, bo to niewiele kosztuje i w sumie nie jest efektowne, heroiczne, może dlatego wielu z nas zapełnia szeregi podziemnych armii, walczy, dopisuje się do list bohaterów, oddając się iluzji, a nie pracy dla siebie i Polski. A przecież Oni, Bohaterowie tamtych ciężkich czasów, przed wojną i po niej, jeśli ją przeżyli, budowali Polskę. Wykazywali w niesprzyjających warunkach heroizm poprzez naukę, odbudowę kraju, rozwój osobisty. Dzisiaj patriotyzm to płacenie podatków, edukowanie siebie i innych, budowanie dobrego imienia kraju przez jego zasobność i własną postawę, którą prezentujemy wobec cudzoziemców, solidarność i umiejętność dzielenia się z potrzebującymi.

Książkę zadedykowałem, zgodnie z moim i Wydawnictwa zobowiązaniem, Rodzinie Rucińskich, która wylicytowała podczas ostatniej WOŚP najwyższą kwotę za moje powieści. Szkoda, że senior rodu Piotr Ruciński nie doczekał tej chwili, odszedł od nas jeszcze przed wydaniem książki.

Pisałem już o osobach, które nakręciły mnie do pisania, a teraz przyszedł czas na te, które spowodowały, że znalazła ona swój finał. Moja Żona Beata i redaktorka Anka Mieczkowska zadbały o to, żeby nie było to przegadane dzieło grubości książki telefonicznej, wszak to powieść, a nie rozprawa naukowa i pewnie dalej pisałbym, zagłębiając w się w szczegóły szczegółów.

Cykl o komisarzu Rybskim rozgrywał się do tej pory, jak większość moich książek, przede wszystkim w Warszawie, pora więc na zmiany. Teatrem trzeciej części – *Odrodzonego* – będzie Dolny Śląsk i nie ukrywam, że mocną inspiracją są nie tylko zeszłoroczne wakacje spędzone w tych stronach, lecz także film *Prawo i pięść*. W końcu *Wyzwolony* kończy się słowami „Niezły bałagan się zrobił w tych organizacjach, ale bałaganu, który jest na Ziemiach Odzyskanych, za chińskiego boga nie da się opisać. Lisek mówi, że to jest jakiś jeden wielki western i chyba ma rację”.

*Grzegorz Kalinowski*

# PRZYPISY

- [1] Porucznik Stanisław Lombardo „Poleszuk” i starszy wachmistrz Wojciech Szarzyński „Żbik”.
- [2] Porucznik Marian Gołębiewski „Ster”. Cichociemny zrzucony do Polski w 1942 roku.
- [3] Kapitan Wacław Dąbrowski „Azja”.
- [4] Kapitan Karol Bojarski „Wyga”.
- [5] Antoni Obiegła „Mucha”, żołnierz 27 Wołyńskiej Dywizji AK.
- [6] *Międzynarodówka* – sł. Eugène Pottier, tłumaczenie Maria Markowska.
- [7] Towarzystwo Antropozoficzne – założona w 1913 r. w Berlinie przez Rudolfa Steinera organizacja dbająca o dziedzictwo antropozofii – koncepcji filozoficzno-psychologicznej opartej na założeniu, że człowiek jest mikrokosmosem i stanowi jedność z Bogiem i światem.
- [8] Polska Ludowa Akcja Niepodległościowa (PLAN) – lewicowa organizacja konspiracyjna założona 15 października 1939 roku przez środowisko związane z „Orką na Ugorze”. W początkowym okresie działalności związani z PLAN-em byli m.in. Tadeusz Zawadzki „Zośka”, Jan Bytnar „Rudy” oraz Aleksy Dawidowski „Alek”, a pierwszym szefem sztabu był Gustaw Herling-Grudziński.
- [9] Konstytucja z roku 1935 sporządzona z myślą o objęciu przez Józefa Piłsudskiego urzędu Prezydenta RP. Zwiększała rolę prezydenta, doprowadzając de facto do ustanowienia nie tyle systemu prezydenckiego, co autorytarnego. Piłsudski zmarł 12 maja 1935 i nie zdążył zastąpić prezydenta Mościckiego.
- [10] Kettenhunden z Feldjägerkorps (niem.) – psy łańcuchowe z żandarmerii wojskowej.
- [11] Ochronka – przedszkole.
- [12] Defensywa – Wydział IV Komendy Głównej Policji Państwowej, przedwojenna policja polityczna.
- [13] Unteroffizier – najniższy stopień podoficerski w Wehrmachcie.

- [14] Feldwebel – sierżant.
- [15] Zażopie, *зажопье* – od *жопы* – dupa, zadupie.
- [16] Warthegau – Kraj Warty, anektowana do Rzeszy Wielkopolska.
- [17] Fokstrot, foks, foksterier (gwara warsz.) – folksdojcz.
- [18] Unterlagen (niem.) – dokumenty.
- [19] Erlauben (niem.) – pozwolenie.
- [20] Sziwa – siedmiodniowy okres żałoby i opłakiwania w judaizmie.
- [21] „Konrad” – profesor Lech Kobyliński, kuzyn rysownika Szymona Kobylińskiego.
- [22] Fraki – członkowie PPS Frakcja Rewolucyjna.
- [23] 27 i 28 marca aresztowano przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, których zaprosił na rozmowy generał Iwanow. Pod tym pseudonimem ukrywał się generał NKWD Iwan Sierow, który był współodpowiedzialny za zbrodnię katyńską. W 1956 r. był odpowiedzialny za pacyfikację Węgier.
- [24] Wartheland – inna nazwa Warthegau, czyli Kraju Warty – Wielkopolski wcielonej do Rzeszy.
- [25] Sabotage und Sonderaufgaben – sabotaż i zadania specjalne.
- [26] Dulag 121 – niemiecki obóz przejściowy, założony po upadku powstania. Przeszło przez niego około 650 000 osób – 550 000 warszawiaków i 100 000 mieszkańców miejscowości podwarszawskich, które także zostały wysiedlone.
- [27] *Nacht und Nebel, niemand gleich* – Nocy i mgło, znikam (Richard Wagner, *Złoto Renu*).
- [28] Feldmarszałek Wilhelm Keitel.
- [29] Kapral Feliks Tymoszuik „Longinus”.
- [30] Kapral podchorąży Zdzisław Sośniak „Żaba”.
- [31] Wohlau – Wołów, województwo dolnośląskie.
- [32] Grupy Szturmowe – formacja Szarych Szeregów, w której byli dorośli harcerze, GS podlegały Kedywowi – Kierownictwu Dywersji AK.

[33] Proces odbył się w Moskwie, w dniach 18–21 czerwca. Spośród szesnastu oskarżonych trzech ułaskawiono, pozostałych skazano na kary od czterech miesięcy, do dziesięciu lat więzienia. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej powołano 28 czerwca, a porozumienie zawarto w dniach 17–21 czerwca, czyli w trakcie trwania procesu szesnastu.

[34] Bolesław Mołojec – ps. Apostoł, Edward Długi, uczestnik wojny domowej w Hiszpanii, dowódca Brygady Międzynarodowej im. Jarosława Dąbrowskiego. W grudniu 1942 I sekretarz Komitetu Centralnego PPR, pierwszy dowódca Gwardii Ludowej.

[35] Bolesław Piasecki – przed wojną przywódca Ruchu Narodowo-Radykalnego „Falanga”.

[36] Tak od marca 1945 do roku 1956 nazywały się Aleje Ujazdowskie

[37] Za: Michał Głowiński, *Nowomowa i ciągi dalsze. Szkice dawne i nowe*, Universitas, Kraków 2009, s. 95. *Pierwsza bomba atomowa spadła na Japonię*, „Dziennik Polski”, 8 sierpnia 1945, s. 1.

[38] Aleksander Ford – reżyser. Przed wojną nakręcił min.. *Legion ulicy*, *Drogę młodych* i *Ludzi Wisły*, po wojnie autor dziewięciu filmów, w tym *Młodości Chopina* i *Krzyżaków*.

[39] Stanisław Wohl – operator, reżyser i scenarzysta, współtwórca takich filmów jak *Strachy* (1938), *Król Maciuś I* oraz *Czterej pancerni i pies*.

[40] Jerzy Bossak – reżyser filmów dokumentalnych.

[41] Strehlen – Strzelin.